

**James Grippando**

# **To Coś**

Przełożył  
Jan Kraśko



Tiffany dedykuję.

*„I tylko w piątkę zostali”<sup>1</sup>*

---

<sup>1</sup> Fragment dziecięcej rymowanki wykorzystanej przez Agathę Christie w powieści Dziesięciu małych Murzynków (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

# 1

W Czarcim Uchu nigdy nie świeci słońce.

W drodze do Ginnie Springs agentka specjalna FBI Andie Henning słyszała to ostrzeżenie kilkanaście razy. Czarcie Ucho to jedno z najbardziej imponujących wejść do podwodnego świata północnoflorydzkiej warstwy wodonośnej, mrocznego, niebezpiecznego labiryntu wapiennych jaskiń i grot, który codziennie wypływa prawie dwadzieścia siedem miliardów litrów krystalicznie czystej wody pitnej.

- Daleko jeszcze? - Andie z trudem przekrzyzczała ryk silnika. Motorówka pędziła pełnym gazem, pozostawiając za sobą kilwater w kształcie litery „V”, dwie długie fale rozbijające się o czarne jak atrament brzegi rzeki. Santa Fe jest dość płytka i bezpieczniej pływa się po niej kanu czy kajakiem niż dużą motorówką. Tylko doświadczony sternik mógł rozwinąć tu tak dużą prędkość, zwłaszcza w środku nocy. Gdzieś tam, w ciemności, mieszkały czaple i aligatory, lecz las spał. Strzeliste cyprysy, ich wielkie, omszałe konary były teraz tylko sylwetkami na tle rozgwieżdżonego nieba. Tuż nad wodą wisiała cienka warstwa mgły, która pasażerom motorówki sięgała ledwie do pasa. Łódź przecinała ją jak laser watę. Chroniąc się przed zimnym wiatrem, Andie podciągnęła zatrzask służbowej kurtki.

- Dwie minuty - odkrzyknął sternik.

Andie spojrzała na zegarek. Dwie minuty. Oby tylko je mieli.

Nocny telefon od porywacza potwierdził, że wbrew radom FBI rodzina ofiary zapłaciła okup. Milion dolarów to dla zwykłego człowieka mnóstwo pieniędzy, jednak Drew Thornton, jeden z najbogatszych hodowców koni w Ocala, wydatku tego pewnie nie odczuł. Wiadomość była krótka i lakoniczna: Ashley Thornton jest w Czarcim Uchu. Rozszyfrowanie jej znaczenia trwało tylko sekundę. Biuro szeryfa natychmiast wysłało tam ekipę pletwonurków. Andie i dwóch agentów z placówki w Jacksonville pojechali razem z nimi. Byli częścią zespołu przydzielonego do sprawy Ashley Thornton, a ona jako jedyna negocjatorka przesiedziała w Ocala całe trzy tygodnie, jakie minęły od chwili uprowadzenia.

Ucichł silnik, opadła kotwica i motorówka się zatrzymała. Członkowie ekipy ratowniczej natychmiast zajęli pozycję.

- Dupa w górę! - krzyknął prowadzący.

Trzech pletwonurków zrobiło przewrót przez plecy i wpadło z pluskiem do wody.

Wystarczyło jedno pstryknięcie włącznikiem i w świetle wodoszczelnych latarek czarna otchłań zmieniła się w czysty, mieniący się refleksami basen. Sternikiem był szeryf Buddy McClean, zwalisty mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat. On i jego zastępca zostali w motorówce z Andie i dwoma technikami FBI. Zastępca obsługiwał kołowrotek poręczówki, długiej syntetycznej liny, którą każdy płetwonurek był przywiązany do łodzi. Lina ta, swoista mapa drogowa, miała wyprowadzić ich z labiryntu podwodnych jaskiń. Schodzący coraz niżej płetwonurkowie ciągnęli za sobą kabel wideokamery, który rozwijał jeden z techników. Drugi technik majstrował przy monitorze, próbując uzyskać obraz.

Ku powierzchni popłynęły setki bąbelków i woda zakipiała. Światło pod łodzią przygasło i rzekę znowu otuliła ciemność. Stało się to tak szybko, jakby geologiczna maszyna przestała nagle działać, lecz świecący jaskrawo ekran mówił coś innego.

- Jest - mruknął szeryf McClean. - Czarcie Ucho.

Andie spojrzała na monitor. Dzięki światłu i podwodnej kamerze widziała dokładnie to, co płetwonurkowie. Ekipa ratownicza była w pieczarze gdzieś pod dnem rzeki.

- Oni dobrze znają te groty?

- Aż za dobrze - odparł szeryf. - Pierwszy raz nurkowałem w naszych jaskiniach jako nastolatek i od tamtego czasu zginęło tu ponad trzystu ludzi. Zeszli na dół i już nie wyszli. Czarcie Ucho też pożarło sporo nieszczęśników. Za młodu sam wyciągnąłem stąd dwóch.

- Jakie są szanse, że ona jeszcze żyje? - spytał zastępca.

Andie nie odpowiedziała od razu.

- Mieliśmy przypadki, kiedy pogrzebana żywcem ofiara porwania wychodziła z tego cało.

- Tak, ale pogrzebana pod wodą?

- O tym nie słyszałam. Ale zawsze musi być ten pierwszy raz.

W motorówce zapadła cisza, jakby wszyscy nagle zdali sobie sprawę, że zamiast w akcji ratunkowej biorą udział w akcji poszukiwania zwłok. Co jednak nie znaczyło, że stracili nadzieję.

A jeśli ona żyje? - pomyślała Andie. Czy ta biedaczka w ogóle ma pojęcie, gdzie jest? Gdzieś pod tym czarnym dnem, pod Bóg wie iloma metrami piachu i litego wapienia leży żywa, oddychająca kobieta, żona i matka. Porywacz mógł uwięzić ją w jakiejś kapsule, zbiorniku ciśnieniowym, cichym i mrocznym kokonie z powietrzem na ledwie parę godzin. Albo, co gorsza, mógł ją zostawić tylko z maską, automatem i butlą. Tak czy inaczej, ta nieszczęśnica przebywa tam w całkowitej ciemności, nie mogąc znaleźć - nie, nie mogąc wymacać! - wyjścia z tego czarnego plastra miodu. Może słyszy, może nawet czuje silny prąd, pęd czystej, chłodnej wody mknącej z prędkością dochodzącą do dwóch i siedmiu

dziesiątych metra sześciennego na sekundę. Bez względu na to, czy da mu się porwać, czy postanowi stawić mu czoło, nie będzie wiedziała, gdzie jest góra, gdzie dół. Ostre, wystrzępione skały tną ciało jak nóż. Nagłe obniżenie stropu może uszkodzić aparat oddechowy albo pozbawić ją przytomności. Ale nawet w chwilach najpotworniejszej paniki Ashley na pewno nie pomyśli, że niektóre z tych jaskiń mają ponad dwadzieścia siedem kilometrów długości, że prąd może wciągnąć ją na dziesiątki, a nawet setki metrów w głąb, że każdy litr wody z florydzkiej warstwy wodonośnej krąży pod ziemią przez dwadzieścia lat, zanim w końcu przesiąknie przez skałę i wypłynie na powierzchnię.

Nieprzytomna, pomyślała Andie. Żywa, lecz nieprzytomna. W najlepszym razie.

- Gdzie teraz są?

Szeryf przyjrzał się uważniej ekranowi monitora. Płetwonurkowie już dawno minęli punkt, gdzie pora dnia miała jakiegokolwiek znaczenie.

- Jakies sześćdziesiąt metrów za wejściem do jaskini.

- Skąd pan wie?

- Widzi pani tę skalną formację tuż przed nimi? - McClean wskazał ekran. - To coś, co wygląda jak otwarta paszcza wieloryba? To tak zwane usta. Pierwsze przewężenie, którym można dostać się do Czarciemu Systemu.

- I oni przez to przejdą? - spytał technik.

- Jasne. Teraz są w galerii, czymś w rodzaju długiego korytarza, który prowadzi od wejścia do pierwszego uskoku. Tam, za ustami, jest mnóstwo niezbadanych miejsc.

- Na jakiej są głębokości?

- Na jakichś piętnastu metrach. Ta część systemu głębiej nie schodzi. Co daje mi trochę nadziei, że, no wie pani...

Że Ashley Thornton jeszcze żyje. Szeryf nie musiał kończyć.

Dowodzący grupą płetwonurek zniknął w skalnych ustach jak Jonasz w paszczy wieloryba. Tuż za nim przecisnął się przez nie kamerzysta. Obraz na ekranie monitora gwałtownie zadrżał, lecz gdy grupa znalazła się po drugiej stronie przejścia, wszystko wróciło do normy. Tu nie trzeba było poruszać kamerą w górę i w dół. W kadrze mieściła się cała jaskinia, jej piaszczyste dno i wapienny strop. Płetwonurkowie przesunęli butle z pleców na brzuch, żeby nie zahaczyć nimi o ostre skały.

Obiektyw wspomaganey potężnym reflektorem kamery powoli omiótł pieczarę. Jej wnętrze przypominało starożytny grobowiec, zatopione rzymskie katakumby - złe skojarzenie, Andie wołała o tym nie myśleć. Nie w chwili, gdy na włosku wisiało czyjeś życie.

- Co to? - spytała.

Kamera pokazywała coś, co sterczało ze skalnej ściany, coś długiego i białego.

- Wygląda na kość - powiedział technik.

- Myśli pan, że to...

- Wykluczone - uciął stanowczo szeryf. - Leży tam od stuleci. To pewnie kość wieloryba albo nawet mastodonta. Pełno tu prehistorycznych szczątków. Było ich jeszcze więcej, ale ci durni turyści wywożą je stąd na przyciski do papieru.

Kamera skupiła się na trzecim płetwonurku. Oświetliły go wszystkie reflektory. W zabezpieczonej rękawicą dłoni płetwonurek trzymał szklaną fiolkę. Przełamał ją na pół i ekran monitora przesłoniła niebieskawa mgiełka.

- Barwnik - wyjaśnił szeryf. - Sprawdzają kierunek prądu. Czasem trudno ustalić, jak krąży tam woda. Zwykle wypływa jak z komina, ale dużo zależy od deszczu i ilości nowych łykawców. Widziałem sadzawki, które opróżniały się tak szybko, że woda wrywała z korzeniami rosnące na brzegu drzewa i wsysała je błyskawicznie pod ziemię. Tu trzeba bardzo uważać. Nawet doświadczony płetwonurek mógłby z łatwością stracić orientację.

- Chce pan powiedzieć, że oni zabłądzili? - spytała Andie.

- Mało prawdopodobne. Tyle tam korytarzy, że muszą najpierw ustalić, gdzie mogło ją znieść.

- Żywą lub martwą?

- Obojętnie, jeśli w ogóle tam jest.

Niebieska chmurka rozmyła się i znikła. Dowodzący grupą dał znak i płetwonurkowie zrobili w tył zwrot.

- Zawracają? - spytała Andie.

- Tak, popłyną dalej inną drogą. Wygląda na to, że chcą ominąć usta bocznym odgałęzieniem.

Płetwonurkowie ruszyli w stronę szerokiego otworu w skalnej ścianie. Różnorodne odcienie oligoceńskiego wapienia, mozaika skamieniałych muszli i muszelek na tle wyblakłego, zrytego dziurami dna, setki skalnych formacji i tekstur sprzed trzydziestu, a nawet sześćdziesięciu milionów lat - może doceniłby ten widok biolog czy paleontolog, ale dla siedzącej przed monitorem Andie wszystko wyglądało tak samo. Nic dziwnego, że tylu płetwonurków pływało tu w kółko, aż skończyło im się powietrze, i nie zdawali sobie sprawy, że ratunek jest tuż-tuż, za najbliższym zakrętem.

- Płyną do kraty - powiedział szeryf.

- Do kraty?

- Jedno z wejść do głównego korytarza systemu zamyka stalowa krata. Po tym, jak utopiło się tam dwudziestu paru płetwonurków, poszliśmy po rozum do głowy i zamontowaliśmy ją, żeby od tej pory nikt już tam nie łąził.

- A więc barwnik wskazuje miejsce, gdzie zginęli ci wszyscy ludzie?

Zanim szeryf zdążył odpowiedzieć, ich uwagę przykuł obraz na ekranie monitora. Początkowo była to tylko barwna plama na brunatnozielonym wapieniu. Człowiek? Jej kształt zdawał się początkowo zbyt nieregularny, zbyt powyginany, lecz po chwili kamera zrobiła zbliżenie i fragmenty plamy stworzyły całość.

- O Boże - szepnęła bezwiednie Andie.

Widok był niepokojący, choć surrealistyczny. W strumieniu krystalicznie czystej wody długie do ramion włosy falowały jak loki śpiącej syreny, wdzięcznie i spokojnie. Kobieta była nieprzytomna - jeśli w ogóle żyła - i podwodny prąd przygniatał ją do kraty. Jej prawa noga, najwyraźniej złamana, bo nienaturalnie wygięta poniżej kolana, uwięzła między stalowymi prętami. Miała na sobie podarte spodnie i bluzkę, na skórze widniały liczne zadrapania i skaleczenia. Andie widziała kiedyś poobijaną przez nurt topielicę, którą wyciągnięto z Columbus River w Waszyngtonie, jej rodzinnym stanie; kobieta na kracie bardzo ją przypominała.

- To Ashley Thornton - powiedział McClean.

- Jest pan pewien? - spytał technik.

- A ktoś by inny? - rzuciła Andie.

Płetwonurkowie natychmiast przystąpili do działania. Kamerzysta wciąż filmował, podczas gdy dwóch pozostałych rozpoczęło akcję ratunkową. Odpędziwszy stado małych węgorzy koloru musztardy, które kłębiły się wokół ciała niczym podwodne sępy, prowadzący chwycił kobietę za nogę, próbując uwolnić ją spomiędzy prętów. Drugi płetwonurek zdjął rękawicę, sprawdził puls i natychmiast podał kobiecie powietrze z zapasowej butli.

- Jeśli ma zalane płuca, nic jej to nie pomoże - powiedziała Andie.

- Warto spróbować - odparł McClean. - W czystej, zimnej wodzie można przeżyć trochę dłużej.

- Ale to i tak kwestia minut. Słodka woda przedostaje się prosto do krwiobiegu. Jej krwinki czerwone pękają teraz jak oszalałe. Jeśli jeszcze żyje, w każdej chwili grozi jej niedotlenienie albo atak serca.

Z każdą mijającą sekundą przybywało węgorzy, które podskubywały teraz ratowników, chcąc sprawdzić, czy i oni nadają się do jedzenia. Drugi płetwonurek jeszcze raz zbadał kobiecie puls. Spojrzał prosto w obiektyw kamery i pokręcił głową, co nie wróżyło niczego

dobrego. Jediną nadzieją było sztuczne oddychanie, co oznaczało, że unikając zakrętów i załomów, musieliby natychmiast wyciągnąć ją na powierzchnię. Gwałtownym gestem ręki pletwonurek wskazał prowadzącego, który rozpaczliwie próbował uwolnić nogę kobiety spomiędzy prętów. Kamerzysta położył kamerę na dnie i podpłynął do kraty, żeby mu pomóc.

Cała trójka wyszła z kadru, ale kamera wciąż pracowała. Na monitorze widać było tylko piaszczyste dno i rękę ofiary.

- Co to? - Andie wskazała ekran.

Pozostali też wytężyli wzrok. Ashley Thornton miała coś na nadgarstku. Coś w rodzaju bransoletki. I nie była to biżuteria. To coś przypominało raczej plastikową opaskę, szpitalny identyfikator.

- Czy przed porwaniem Ashley była w szpitalu? - spytała Andie.

- Nic o tym nie wiem - odparł szeryf.

- Tam jest jakiś napis.

Technik poprawił kontrast. Napis stał się wyraźniejszy.

- Dasz radę to odczytać? - spytał szeryf.

- Niech pan zatrzyma - rzuciła Andie.

Obraz znieruchomiał.

- To są chyba dwa słowa - powiedział technik. - Spróbuję je powiększyć i wyostrzyć. - Pokręcił gałkami i ukazały się pierwsze litery pierwszego wyrazu. - „Z”, „Ł” i jeszcze jedna... Wygląda na „A”.

- Może pan pokazać całość? - poprosiła Andie.

Technik znowu pokręcił gałkami. Ukazały się dwa słowa. Trochę zamazane, lecz w pełni czytelne.

- „Zła wycena” - przeczytała na głos Andie.

- Zła wycena? - burknął szeryf. - Sukinsyn. Myśli, że to zabawne czy co?

- On nie żartuje. - Andie nie odrywała oczu od ekranu. - To wiadomość. I wiem dokładnie, co oznacza.



## 2

Prawo na Yale. Cztery lata obrony skazanych z bloku śmierci. Chlubny okres pracy w prokuraturze stanowej, a potem prywatna praktyka w Miami i najgłośniejszy od lat, najbardziej porywający proces o morderstwo. Po tych wszystkich dokonaniach w barwnej karierze Jacka Swytecka, syna byłego gubernatora Florydy, nastąpił nader ciekawy zwrot.

- To kłótnia między sąsiadami - powiedział Jack.
- To kłótnia o penisa - odparł jego najlepszy przyjaciel Theo Knight.

Jack wykrzywił usta.

- Wolę nazywać to różnicami artystycznymi.
- Tak, dotyczącymi penisa.
- Ordynarnie mówiąc.

- Gdybym chciał być ordynarny, powiedziałbym, że chodzi o twardego, długiego na trzydzieści pięć centymetrów...

- Dobra, lepiej nie kończ. To jak? Pomożesz mi czy nie?
- Oczywiście, że pomogę. Zawsze do usług.

To dziwne, ale nawet o twardym penisie - w kontekście nowej sprawy Jacka - Theo potrafił mówić tak, że brzmiało to zupełnie naturalnie. Był jego najlepszym kumplem i - z braku lepszego określenia - najlepszym „śledczym”. Potrafił załatwić dosłownie wszystko, bez względu na to, czy chodziło o ostatni samolot śmigłowy z Afryki, o wyjaśnienie, skąd wziął się trup w wannie Jacka, czy o wyznanie zagubionego nieudacznika, który spalił mu kabriolet. Nie przestawał tym zadziwiać Jacka, który czasem pytał go, jak to wszystko robi, lecz najczęściej nie chciał o niczym wiedzieć. Nie łączyła ich typowa przyjaźń, bo czy to możliwe, żeby syn gubernatora, absolwent prestiżowego uniwersytetu zadawał się z wychowanym w Liberty City czarnym, który wyleciał z ogólniaka? Ale jak na dwóch facetów, którzy poznali się w celi śmierci, adwokata i jego klienta, całkiem nieźle się dogadywali. Theo miał już wyznaczone spotkanie z krzesłem elektrycznym, lecz dzięki uporowi Jacka odłożono je na później i odkładano tak długo, aż w modę weszły badania DNA, które udowodniły, że Theo jest niewinny. Chociaż żaden z nich tego nie planował, od tamtej pory Jack stał się częścią jego nowego życia. Czasem szedł na całość i przyłączał się do zabawy, czasem tylko ze zdumieniem obserwował, jak szybko Theo odrabia stracony czas.

W piątek o czwartej po południu byli w Coral Gables, w ratuszowej sali posiedzeń, gdzie Jack miał wystąpić przed wszechpotężną komisją architektoniczną, grupą działających w dobrej wierze ochotników, którzy decydowali o tym, czy nowy projekt urbanistyczny odpowiada ściśle określonym normom estetycznym i - co ważniejsze - czy zadowala kaprysy najbardziej aroganckich członków komisji. Jego klient postawił na swoim podwórku ponad pięciometrowy posąg, wierną kopię słynnego florenckiego Dawida. No, może nie do końca wierną. Znamcy już dawno zauważyli, że ponieważ rzeźba - ta oryginalna - miała stać na wysokim piedestale i być oglądana od dołu, Michał Anioł celowo powiększył jej prawą rękę, tak by w oczach patrzącego zachowała właściwe proporcje anatomiczne. Z powodów, które trudno nazwać artystycznymi, klient Jacka zaadaptował anomalie „dużej ręki” do realiów dwudziestego pierwszego wieku, modyfikując ją zgodnie z kulturowymi kanonami zdominowanymi przez szaleństwo viagry i przekonanie, że wielkość ma jednak znaczenie. (Bo co mówią kobiety o facetach obdarzonych dużymi rękami?) W rezultacie powstał Dawid, który choć zredukowany do wzrostu przeciętnego mężczyzny, z dumą demonstrował trzydziestopięciocentymetrowej długości penis.

Poskarżyli się na to sąsiedzi.

Jack przyjął sprawę.

Theo - co oczywiste - był zachwycony.

Jack rozumiał argumenty przeciwnika. Nigdy nie postawiłby na swoim podwórku Dawida z penisem Goliata i zapewne nie chciałby oglądać go na podwórku sąsiada. Ale klient się zaparł i jego zadaniem było przekonanie komisji, że erekcja takiego posągu - wbrew zupełnie niezamierzonej grze słów - jest świętym prawem każdego właściciela domu. Wiedział również, że nie ma najmniejszych szans na wygranie sprawy. Dlatego postanowił się przynajmniej zabawić.

- Panie i panowie - powiedział, zwracając się do dwanaściorga statecznych członków i członkiń komisji. - Dziękuję, że zechcieliście poświęcić nam swój cenny czas. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pozwolę sobie zacząć od pewnej pieśni. Pieśni nie byle jakiej, bo od oficjalnego hymnu naszego stanu *Old Folks at Home*, lepiej znanego jako Suwannee River. Odśpiewa go mój znakomity przyjaciel i zaskakująco muzykalny asystent pan Theo Knight. Proszę, Theo.

Przewodniczący komisji nachylił się do mikrofonu na końcu esowatego przewodu.

- Panie mecenasie, to wysoce niestosowne...

- Uwiniemy się błyskawicznie, obiecuję. Zaczynaj, Theo, od początku.

Theo zwlekał chwilę, jakby wczuwał się w rolę. Był okazałym mężczyzną o

muskulaturze futbolisty i wroście gwiazdora NBA, skrzyżowaniem Dwayne'a Douglasa Johnsona, zwanego Skałą i młodego Samuela Jacksona na steroidach. To, że kiedyś siedział, nikogo nie dziwiło, a wizerunek niegrzecznego chłopca dobrze mu służył. Bez względu na to, czy przyjaźnie się uśmiechał, czy przeszywał kogoś złowieszczym spojrzeniem, było wiadomo, że nie da wcisnąć sobie kitu.

Żeby odstawić ten mały numer, pochylił ramiona i zwiesił głowę, jakby od wschodu słońca zbierał bawełnę. I nagle w starej, kamiennej sali rozbrzmiał jego soczysty baryton, ten szczególnie dialekt Murzynów z plantacji uwieczniony niegdyś ręką Stephena Fostera.

*Way down upon de Suwannee Ribber,  
Far, far away,  
Dere's wha my hart is turning ebber,  
Dere's wha de old folks stay<sup>2</sup>.*

- Panie mecenasie, proszę... - jęknął przewodniczący.

- Dalej, Theo. Teraz refren.

Głosem pełniejszym i dźwięczniejszym Theo zaśpiewał troszkę wyżej.

*All de world am sad and dreary,  
Eb-rywhere I roam,  
Oh, darkeys, how my hart grows weary...<sup>3</sup>*

- Chwileczkę - przerwał mu Jack. - Czy ja dobrze słyszałem? Możesz powtórzyć ostatnią linijkę?

- *Oh, darkeys, how my hart grows weary...*

- Dość, wystarczy. - Jack spojrzał na członków komisji. Patrzył na nich i milczał. Po prostu czekał, aż słowa pieśni dotrą dokładnie tam, dokąd posłał je Theo, do ich nadętych głów, aż owiną to znakomite ciało opiniodawcze jak szorstkim kocem. Ciało poczuło się nieswojo, bo tonąc w morzu politycznej poprawności, nie bardzo wiedziało, jak się do tego odnieść.

---

<sup>2</sup> *Suwannee River, o rzeko ma,  
Choć drogi to szmat,  
Do ciebie serce me gna,  
Bom rodziców nie widział od lat.*

<sup>3</sup> *Gdziekolwiek rzuci mnie życie tułaczę,  
Świat jest smutny i ponury,  
Bo serce czarnucha wciąż tęskni i płacze...*

W końcu Jack dał wyraz swemu niedowierzaniu.

- „Serce czarnucha”? „Czarnucha”? Piękna pieśń, nie ma co. Nie sądzicie?

Przez stół przetoczyła się fala zakłopotanych spojrzeń. Przewodniczący wypełznął wreszcie spod swędzącego koca i podkręcając siwego wąsa, spytał:

- Panie mecenasie, do czego pan właściwie zmierza?

- Cieszę się, że pan o to pyta. Mamy tu dzisiaj zdecydować, czy właściciel domu może postawić na swej posesji rzeźbę, której oryginał, niekwestionowane dzieło sztuki i obiekt muzealny, co roku oglądają miliony ludzi. A powodem tej wąśni jest tylko to, że jeden z nieprzyzwoicie bogatych sąsiadów mojego klienta mógłby kiedyś wyjrzeć przez okno swego wartego dziesięć milionów dolarów domu i poczuć się urażonym. Jednocześnie nasz hymn stanowy jest pieśnią o „czarnuchach” i jakoś nikt przeciwko temu nie protestuje. Nie sądzicie państwo, że może, podkreślam tylko może, jest to klasyczna sprawa z cyklu pieniądź rządzi światem, czyli wiele hałasu o nic?

Jack mówił tak jeszcze przez kilka minut i członkowie komisji robili wrażenie dość zaintrygowanych jego pomysłowością. Jednakże nawet sam Michał Anioł z młotem i dłutem w ręku nie odmieniłby ich poczucia dobrego smaku i przyzwoitości. Wniosek odrzucono stosunkiem dwanaście do zera. Coral Gables miało pozostać „Miastem Piękna”, przynajmniej na razie.

Dwadzieścia minut później Jack i Theo śmiali się nad kuflem piwa na drugim końcu Miracle Mile. Amatorzy *happy hour* zaczęli się dopiero schodzić, więc przy barze było kilka wolnych miejsc. Szybko wypili pierwszą kolejkę i Theo zamówił następną.

- Przykro mi, że przegrałeś - powiedział. - Wciąż uważam, że gdybym włożył słomkowy kapelusz wuja Toma, miałbyś większe szanse.

- Były marne od samego początku.

- Fakt. Durna sprawa jak dla tak znanego prawnika. Co?

Jack pogrzebał w talerzyku, wziął kawałek tortilli i nabrał nań trochę salsy.

- Bailey mi ją wcisnął; wisiał komuś przysługę.

Theo skrzywił się z niesmakiem. William Bailey był głównym wspólnikiem Bailey, Benning i Langer, najstarszej, największej i najbardziej wielkopańskiej kancelarii prawniczej w Miami. Nie było tajemnicą - przynajmniej w tym środowisku - że BB&L szuka dobrego adwokata na stanowisko szefa wydziału procesowego.

- Zaczynają się do ciebie dobierać, staruszk. Weźmiesz jeszcze kilka spraw, poznasz ich klientów i zanim się spostrzeżesz, posadzą cię w pięknym, narożnym gabinecie z grupą młodych prawników, dla których kupa mecenasa Swytecka będzie pachniała jaśminem. A

wskaźnik twego WS wystrzeli w górę jak rakietą.

- Wskaźnik czego?

- Twego „wal się”. Kasy, którą musisz odłożyć, żeby pójść do swego nadętego szefa i powiedzieć: „Wal się, palancie, odchodzę”. Najwyższy wskaźnik WS w Miami mają chyba wspólnicy BB&L.

- Nie zamierzam się sprzedawać.

- A czy ja mówię, że zamierzasz? Ale jak będziesz tak ze wszystkimi tańczył, niedługo każą ci prosić o pozwolenie na każde bzykanko.

Theo chciał dodać coś jeszcze, lecz nie dodał, bo spojrzawszy na drzwi, nagle znieruchomiał. Jack poszedł za jego wzrokiem i zobaczył, że do kelnerki witającej i usadzającej gości podchodzi wystrzałowa brunetka. W przeciwieństwie do wielu mieszkanek Florydy, które mogą robić za chodzący billboard z reklamą osiągnięć chirurgii plastycznej, bynajmniej nie ociekała seksem. Czarny kostium od Chanel, rozpięty kołnierzyk, skromny dekolt, zakiet dopasowany na tyle, by dać wszystkim do zrozumienia, że tej klasycznie pięknej twarzy towarzyszy równie piękne ciało - było w niej coś niezwykle intrygującego i urzekającego.

- Świetnie - powiedział Jack. - Przyszła. To ją chciałem ci przedstawić.

- To jest... Mia? To z nią się spotykasz?

- Tak. Od ponad dwóch miesięcy.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat Theo zaniemówił.

- Co się stało? - spytał Jack.

- Czemu nie powiedziałeś, że taka z niej laska?

- Może nie uważałem, że to ważne.

- Jasne, jasne, a mnie wybiorą na gubernatora Florydy. Chodzisz z taką babką od dwóch miesięcy i ani razu nie dałeś mi na nią zerknąć?

- Zawsze się wykręcałeś. Myślałem, że nie chcesz.

- Po prostu nie chciałem udawać, że podoba mi się jakaś głupia cipcia, która w końcu i tak by cię rzuciła. Niech cię szlag, Swydeck. Nie wiedziałem, że taki jesteś.

- Czy to tylko moja wyobraźnia czy właśnie udało ci się obrazić mnie trzydzieści sześć razy zaledwie w trzech zdaniach?

- A skąd, to komplement. Ile ona ma lat? Dwadzieścia pięć?

- Jest starsza, niż wygląda. Więc nie patrz na mnie tak, jakbym poderwał młódkę.

- A podrywaj sobie, ile chcesz, nie mam nic przeciwko temu. Tylko że...

- Że co?

- Tak sobie myślę... Wygląda mi na taką, co leci na prawników z dużą kasą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że na Jacka Swytecka bez dużej kasy nawet by nie spojrziała?

- Nie, absolutnie, nigdy bym tak nie pomyślał. - Theo posłał Jackowi badawcze spojrzenie. - A ty?

Jack otworzył usta, lecz nie od razu znalazł odpowiednie słowa.

- Naprawdę uważasz, że zadaję się z tymi bufonami, żeby zaimponować kobiecie?

- Wiem tylko tyle, że coś z tobą niehalo, bo dawny Jack Swytec nie postawiłby nogi w miejscu takim jak kancelaria Bailey, Benninga i Langer. A teraz? Robisz osobistą przysługę Baileyowi i reprezentujesz jego klienta w kretyńskiej sprawie przed komisją architektoniczną. No i, patrzcie państwo, co za niespodzianka! Zaraz po tej nagłej przemianie pojawia się odlotowa brunetka imieniem Mia.

- Tak się przypadkiem składa, że ta odlotowa brunetka lubi Jacka za to, kim jest.

- Skąd wiesz?

- Bo to ona zasugerowała, żebym bronił rzeźby Dawida, argumentując, że trzydziestopięciocentymetrowej długości penis nie jest wcale taki duży.

Theo zakrztusił się piwem tak mocno, że omal nie pocięło mu nosem.

- Uprawialiście już seks?

Pytanie było o wiele bardziej skomplikowane, niż Theo mógłby przypuszczać.

- Nawet jeśli tak, nic ci do tego.

Theo kiwnął głową.

- Jasne. Pewnie przy zgaszonym świetle. To, czego się nie widzi, zawsze wydaje się ogromne. Tak jak wtedy, kiedy coś utknie ci między zębami. Macasz to językiem jak obłąkany i masz wrażenie, że to bydlę wielkości cadillaca, tymczasem tak naprawdę siedzi tam maciupęńki kawałek...

- Tak, tak, wiem. Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy.

Jack i Mia spotkali się wzrokiem. Mia uśmiechnęła się, pomachała mu ręką i ruszyła w jego stronę. Jack zauważył, że za każdym razem, kiedy ją spotyka, jej widok sprawia mu coraz większą przyjemność. Zaczął się zastanawiać, co to może znaczyć, ale szybko odpędził niechciane myśli, próbując cieszyć się chwilą. A chwila była naprawdę wyjątkowa.

Bo Theo znowu zaniemówił. Już drugi raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

### 3

Jack zapalał świece. Cztery na stoliku do kawy, sześć na kominku, dwanaście kolejnych w najbardziej strategicznych miejscach pokoju. Cofnął się, żeby popatrzeć, jak płoną.

Świece, pomyślał. Naprawdę zapalam świece. Kiedy robił to ostatni raz, ku Miami pędził huragan, a abuela, jego kubańska babcia, modliła się na klęczkach do świętej Barbary i świętego Łazarza. Ale tego wieczoru huragan nie nadciągał. Nie było również awarii prądu. Ani niczych urodzin.

Tego wieczoru była Mia.

Nawet Theo z entuzjazmem zauważył, że jest wspaniała, ale Jack zawsze wzbudzał zainteresowanie pięknych kobiet. Jednakże znalezienie kobiety pięknej i mądrej zarazem to zupełnie inna sprawa. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ciemne oczy po latynoskich przodkach. Jego była żona mawiała, że z tą surową, męską urodą mógłby od razu zostać piosenkarzem country, prawdziwym bożyszczem, sęk tylko w tym, że ani trochę nie umiał śpiewać, że w kapeluszu wyglądał idiotycznie i że był takim samym kowbojem jak Art Buchwald. Teraz, kiedy zniknęła z jego życia, pozostały mu tylko sarkastyczne komplementy Thea, który nie zostawiał na nim suchej nitki.

Wziął głęboki oddech. Cynamon, korzenny i świeży. Świece zrobiły swoje. Po *paelli a la napalm* pozostał jedynie ślad zapachu, nikły, prawie niewyczuwalny swąd spalenizny. Kto mógł wiedzieć, że godzina w stu sześćdziesięciu stopniach to nie to samo co pół godziny w dwustu sześćdziesięciu? Nie żeby paella, nawet ta zapieczona w stu sześćdziesięciu, była jadalna. Jackowi nie mieściło się po prostu w głowie, że tak zwany kucharz gwiazd może mieć własny program telewizyjny i nie wspomnieć w swojej bestsellerowej książce - kucharskiej oczywiście - że najpierw trzeba ryż ugotować, a dopiero potem wstawić go do tego cholernego piekarnika.

- Jack, co to za zapach?

W korytarzu stała Mia. Miała na sobie jego koszulę, która była teraz jego ulubioną częścią garderoby.

- Cynoman. - Poplątał mu się język. - Cymanon. Cynamon. Widzisz? Umiem mówić.

On gotował, a ona się zdrzemnęła i była jeszcze zaspana. Z uśmiechem podeszła bliżej i objęła go, patrząc mu w oczy.

- Gotujesz?
- Próbuję.
- Co?
- Nazywam to *paella mortua*.
- Paella jaka?
- Nieważne. Zabawmy się, dziś sobota. Zabiorę cię na kolację.

Zrzedła jej mina.

- Na kolację? Myślałam, że gotujesz lunch. Do licha, która godzina?
- Prawie szósta.
- O Boże! Chcesz powiedzieć, że przespałam całe popołudnie?

Jack uśmiechnął się jak dumny dziewiętnastolatek. Oglądali razem wschód słońca, potem zdrzemnęli się, by dwie godziny później zrobić poranną powtórkę.

- Nie ma to, jak zacząć dzień od sześciu czy siedmiu orgazmów.
- Nie pochlebiaj sobie, chłoptasiu.
- Od czterech? Trzech?
- Hmm... Nie.

- Od rozkosznego mrowienia, które bije na łeb wrażenie, jakiego doznajesz, przyciskając intymne części ciała do wirującej pralki?

Roześmiała się, lecz jej uśmiech powoli zniknął, ustępując miejsca wyrazowi rozczarowania.

- Nie mogę iść na kolację. Muszę wracać.
- Dokąd?
- Do domu.
- Dlaczego?
- Mam pewne... plany.

Jack zrobił pół kroku do tyłu i oparł się o kuchenny blat.

- Aha. Plany z cyklu „muszę umyć głowę” czy inne?
- Nie, to nie randka. Mówiłam ci, nikt inny mnie nie interesuje.
- W takim razie, dlaczego musisz iść?

- Chodzi o Emilię, moją przyjaciółkę. Miesiąc temu się rozwiodła. Obiecuję jej to spotkanie od trzech tygodni i umówiłyśmy się na dzisiaj.

- Nie możesz tego odwołać?
- Przestań. Dobrze wiesz, że nie. Ty też się rozwodziłaś.

Fakt, rozwodził się i wiedział.



- Dobra, masz rację. Zostanę w domu i zacznę wylupywać tę cholerną paellę z piekarnika.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. - Wzięła go za rękę i pocałowała w kącik ust.

Chciałby oddać pocałunek, lecz nie oddał.

- Lepiej już idź. Nie zaczynamy czegoś, czego nie możemy dokończyć.

- Mam jeszcze pół godziny. To sporo czasu, zdążę nauczyć cię paru rzeczy

- Naprawdę? Konkretnie jakich?

- Jest ich mnóstwo.

- Na przykład?

- Hmm... Wiesz, co pocałunki mają wspólnego z nieruchomościami?

Zastanawiał się przez chwilę, chociaż atmosfera wybitnie nie sprzyjała logicznemu myśleniu.

- Nie, chyba nie wiem.

Mia przyłgnęła do niego, pocałowała go lekko w usta, potem w podbródek, w szyję...

- Lokalizację - szeptała całując. - Lokalizację... Lokalizację.

- Fakt, rzeczywiście. Nigdy bym nie...

- Jack. - Stała na palcach i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak?

- Zostało nam tylko dwadzieścia dziewięć minut i mnóstwo kodów pocztowych do zaliczenia.

- Ciężka sprawa - odparł, prowadząc ją do sypialni. - Ale cóż, ktoś musi to zrobić.

Wyszła przed siódmą, a o ósmej jechał już do hotelu Ritz-Carlton. Zaraz po jej wyjściu popełnił błąd i odebrał telefon w nadziei, że może zmieniła zdanie i wraca. Ku jego rozczarowaniu okazało się, że to William Bailey z BB&L. Jeden z jego wspólników musiał zrezygnować z uczestnictwa w wielkiej imprezie dobroczynnej. Kancelaria miała jedno wolne zaproszenie. William pomyślał o Jacku.

- Przykro mi, ale nie mam z kim - odparł Jack.

- Wpadnij tylko na drinka, możesz sam.

- Dzięki, ale...

- Jack, jednym z moich gości jest prezes zarządu Rubillo & Porter i tak się przypadkiem składa, że jego firma audytorska jest siódmą co do wielkości firmą w kraju. Facet maczał palce w szwindlu na Wall Street i lada dzień mogą zażądać jego głowy. Są duże szanse, że będzie potrzebował dobrego, bardzo dobrego adwokata.

Jack potarł czoło. William obiecał, że jeśli Jack zrobi mu przysługę i weźmie sprawę

rzeźby Dawida, ci z BB&L zaczną podsyłać mu lepsze kąski. Oczywiście wciąż pobrzmiwały mu w uszach słowa Thea, zarzut, że się sprzedaje. Ale słyszał również głos właściciela domu domagającego się zapłacenia za ostatni miesiąc czynszu, którego kancelaria adwokacka mecenasa Jacka Swytecka nie raczyła jak dotąd uiścić.

- Dobra, wpadnę na drinka.

Mieszkał przy Key Biscayne, dwadzieścia minut jazdy od Ritza, i po drodze zaczęły ogarniać go wątpliwości. Nie licząc studenckiego stażu, nigdy dotąd nie pracował w wielkiej firmie prawniczej. Wiedział jednak, że zaproszenia na te wysoko cenione spędy towarzyskie są odgórnie rozdzielane. Dyrektor handlowy mówił o nich tak, jakby chodziło o bilety na rozgrywki baseballowe o mistrzostwo Stanów, tymczasem chętni znajdowali się dopiero po e-mailu z pogrózkami od głównego wspólnika. „No, co wy? Co to za żenada? Jeśli do dwunastej nie znajdę dwunastu chętnych, przysięgam, że doroczną imprezę dla kierownictwa będzie obsługiwała ta sama firma cateringowa, która obsługuje imprezy dla niższego personelu. Nie, ja wcale nie żartuję!”.

Kiedy oddawał parkingowemu kluczyki do samochodu, zadzwonił telefon. Theo.

- Masz jakiś radar czy co? Poszła fama, że mają mi założyć złote kajdanki? Trąbią już o tym w Internecie?

- To znaczy, że znowu widzisz się z Mią?

- Nie, dziś jest zajęta.

- Uuu, tak mi przykro. Załatwić ci środki uspokajające?

- Nie, dzięki.

- Striptizerkę?

- Nie.

- prostytutkę?

- Tym bardziej nie.

- W takim razie co?

- Co „co”? Theo, czego ty ode mnie chcesz?

- Po prostu dzwonię do starego kumpla, to wszystko. Ostatnio prawie nie rozmawiamy, bo... się zakochał. - Ostatnie dwa słowa Theo wypowiedział głosem knajpianego dyskdżokeja, który o trzeciej nad ranem puszcza stare przeboje Barry'ego White'a.

Jack już miał zaprzeczyć, ale ugryzł się w język. W ostatni poważny związek wdał się za prezydentury pierwszego George'a Busha. Chociaż jak dotąd nie wymienili z Mią sakramentalnego „kocham cię”, nawet facet na aparaturze podtrzymującej życie romantyczne bez trudu by się domyślił, że jedynym pytaniem, jakie pozostało bez odpowiedzi, jest to, kto

pierwszy wypowie te dwa krótkie słowa. Tak przynajmniej uważał. Miał nadzieję, że ona też.

- Między nami wszystko dobrze. Jako mój kumpel powinienes się cieszyć.

- I się cieszę. Chodźmy to oblać.

- Nie mogę. Coś mi wypadło.

- Jakie „coś”?

Jack nie wiedział, jak mu to powiedzieć.

- Impreza. Pasuje? Bailey mnie zaprosił. Chodzi tylko o nawiązanie nowych kontaktów zawodowych, o nic więcej.

Theo długo milczał. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos ociekał dezaprobatą.

- No, to wpadłeś, stary. - I się rozłączył.

Jack nie zdążył nawet odpowiedzieć i już miał wcisnąć przycisk oddzwania, ale zrezygnował. Nie, lepiej niech Theo wypije kilka głębszych i ochłonie, próbując zgłębić kolejną z wielu tajemnic swego życia, choćby taką czy jeśli drzewo padnie w lesie, to jego skrzynkę mejlową zaleje fala reklam viagry? Schował telefon do kieszeni i wszedł do hotelu.

Przyjęcie koktajlowe odbywało się w sali balowej. Wjechał schodami na górę i wysiadł na tarasie, gdzie trwała już zabawa. Mnóstwo designerskich sukien i karatów wypożyczonych od Van Cleefa & Arpelsa. No i gwar niezliczonych rozmów, które nie zagłuszały jednak głosu Thea w jego głowie. Czyżbym naprawdę wpadł? Ale nawet jeśli, to w co? Tak, jak powiedziała Mia: w tym, że płacą ci tyle, ile jesteś wart, nie ma nic złego. Zdziałał dużo dla dobra publicznego, biorąc sprawy, na których nie zarobił nawet na spłatę zaciągniętych na studiach długów. Po rozwodzie został dosłownie z niczym, nie licząc samochodu, który mu później spalono. Nie zamierzał wskakiwać Baileyowi na kolana. Ale jeśli dalej chciał być swoim własnym szefem, musiał zdobyć zaufanie kogoś takiego jak on, wytrawnego czarodzieja, który nie lubił występować w sądzie i którego klienci gotowi byli oddać adwokatowi swój najbardziej luksusowy apartament, żeby tylko nie trafić do więzienia.

- Jack! - powiedział z uśmiechem Bailey. - Cieszę się, że wpadłeś.

- Chyba tylko po to, żeby załapać się na darmowego drinka.

- Nie bardzo: drinki są po dziesięć dolarów od szklaneczki.

Tysiąc dolców od łebka i płatny bar. Cóż, wszystko dla dobra sprawy, na szlachetny cel, taki jak wypasiony mercedes dla szefa nowego niedochodowego programu ochrony zdrowia.

Bailey wyjął z kieszeni zwitek talonów do baru i oderwał z niego sześć czy siedem.

- Masz, na koszt firmy. Ale najpierw przedstawię cię moim znajomym.

Chwyił go za łokieć i ciało Jacka niechętnie podążyło za ręką. W ciągu następnych dwudziestu minut poznał kilku ludzi, którzy zakładali, że ponieważ nosi nazwisko byłego

gubernatora, na pewno zaciekawia go barwne opowieści o jego słynnym ojcu. Chociaż wcale nie miał ochoty szczyrzyć zębów do tych popisujących się znajomościami staruchów - którzy prawdziwego Harry'ego Swytecka znali równie dobrze jak prawdziwego Elvisa Presleya - z udawanym rozbawieniem wysłuchiwał wspominków o tym, jak to grali razem w golfa, jak razem pili, łowili ryby i jak pomagali mu w kampanii wyborczej.

Słuchał tych otępiających bzdur i słuchał, gdy wtem jego wzrok przykuło niezwykłe zjawisko na drugim końcu sali. Stała tyłem do niego, w czarnej sznurowanej sukni koktajlowej. Pięknie zaplecione, wysoko upięte włosy, blask brylantowych kolczyków na oliwkowej skórze, łagodny łuk szyi - nie chciał się na nią gapić, ale z jakiegoś powodu nie mógł oderwać od niej oczu.

Do rzeczywistości przywrócił go głos Bailey'a.

- Jack, przedstawiam ci Ernesta Salazara, mojego najstarszego i najlepszego klienta.

„Najstarszego? Niby kto tu jest stary?” - zażartowali stojący w kółku mężczyźni, ale Jack prawie ich nie słyszał. Z uśmiechem ucisnął Salazarowi rękę, ukradkiem zerkając na miejsce w pobliżu baru po drugiej stronie sali, chcąc odszukać wzrokiem urzekającą kobietę w czarnej sukni.

- Ernesto wrócił dzisiaj z Argentyny - ciągnął Bailey. - Przez dwa miesiące dopinał w Buenos Aires wielki kontrakt na telefonię bezprzewodową.

- Przez dwa i pół miesiąca - poprawił go Salazar.

Jack powiedział coś dla podtrzymania rozmowy, ale ciągle wypatrywał luki w tłumie, żeby choć przez chwilę mieć dobry widok na bar. Nie wiedział dlaczego, ale coś - nie coś, tylko wszystko! - kazało mu odnaleźć to niesamowite zjawisko. Wreszcie dostrzegł błysk brylantowych kolczyków i przez ułamek sekundy widział jej profil. Ale zaraz potem ludzie znowu się przesunęli i wyrósł przed nim kelner z kieliszkiem szampana. Zanim zdążył wypatrzeć kolejny wyłom w tłumie, kobieta zniknęła.

- Jest - powiedział Salazar. - Tam.

- Kto? - spytał Jack. Nagle poczuł się jak uczeń przyłapany ze skradzionym „Playboyem”.

- Żona Ernesta - odparł Bailey.

- Przedstawię ją panu - dodał Salazar.

W tym rozgwarze by go nie usłyszała, więc pomachał ręką, próbując zwrócić jej uwagę. Albo go nie widziała, albo ignorowała, bo wciąż widzieli tylko górę jej pleców i wdzięczny łuk szczupłej szyi. Salazar przeprosił ich i ruszył w tamtą stronę, strategicznie manewrując między grupkami rozgadanych gości.

Bailey położył rękę na ramieniu Jacka i zniżył głos.

- Jesteś dziwnie rozkojarzony - powiedział lekko zirytowany. - Coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku.

Ernesto podszedł do kobiety w czarnej sukni i wziął ją za rękę. Kobieta odwróciła się, ale tłum zgęstniał jeszcze bardziej i Jack zobaczył jej twarz dopiero wtedy, kiedy Salazarowie przebili się przez labirynt ciasnych przejść między śmiejącymi się i gawędzącymi gośćmi.

Instynkt go jednak nie zawiódł.

- Panie mecenasie, to jest moja żona Mia.

Jack nie mógł się poruszyć. „Moja żona Mia... moja żona Mia”. Słowa te pobrzmiwały mu w głowie jak echo. Czuł się tak, jakby ktoś włączył wielki odkurzacz pod podłogą i próbował wyssać zeń całą duszę. On patrzył na nią, ona na niego, a jej oczy błagały: ani słowa.

Bailey trącił go łokciem.

- Teraz już wiesz, dlaczego Ernesto tak cieszy się z powrotu do domu po prawie trzech miesiącach w Argentynie.

Jackowi odebrało mowę, dlatego odezwał się dopiero po chwili.

- Tak. Teraz już wiem.

Mia, wytrawna aktorka, podała mu rękę.

- Bardzo mi miło.

Uścisnął jej dłoń, choć pozbawiło go to resztek sił. Miała dziwnie zimną skórę.

- Mnie również - wykrztusił. - Uroczo.

## 4

„Bardzo mi miło". Tak, jasne. A mnie było miło widzieć cię nago, słyszeć, jak krzyczysz z rozkoszy, jak mówisz, że nikt inny cię nie interesuje, podczas gdy twój mąż - o czym zapomniałaś wspomnieć, bo tak było ci wygodniej - był ponad trzy tysiące kilometrów stąd, w dwuipółmiesięcznej podróży służbowej do Argentyny.

Mnie również, pani Salazar. Mnie również.

Był poniedziałkowy wieczór - czterdzieści osiem godzin po katastrofie - a on wciąż kipiał gniewem. Mia zadała sobie wiele trudu, by wcielić w życie swój sprytny plan. Jej mąż miał domy na całym świecie, więc udając singielkę, przeprowadziła się do apartamentu w South Beach na dwa i pół miesiąca seksu. Obrączkę schowała do szkatułki na biżuterię. Znajomym powiedziała, że „wyjeżdża w podróż". Jemu, że uczy się do egzaminu licencyjnego i szuka odpowiedniej pracy w handlu nieruchomościami - stąd jej żarcik o tym, co nieruchomości mają wspólnego z pocałunkami: lokalizację, lokalizację, lokalizację. A on to wszystko kupił, kupił cały pakiet tych pięknych, wierutnych kłamstw.

- Wiedziałem, że coś mi się w niej nie podoba - powiedział Theo. Siedział na sofie z pilotem w ręku i z oczami przyklejonymi do ekranu telewizora.

- Jasne - odparł Jack. - Nie podobało ci się tylko to, że ona nie uprawia seksu grupowego.

- Myślę, że z czasem mogłaby się do tego przekonać.

Theo i jego nieustające próby pogorszenia sprawy! Jack zastanawiał się, co ten kretyń jeszcze wymyśli. Poszedł do kuchni po zimne piwo.

Gdy teraz patrzy wstecz, znaki ostrzegawcze były widoczne jak na dłoni. Gdy ich rozmowy zbaczały na tematy osobiste - kiedy opowiadał jej o błędach, jakie popełnił, o swoim nieudanym małżeństwie i poprzednich związkach - Mia zamykała się w sobie. Nie przedstawiła go swoim znajomym. Czasami bez żadnego powodu nie chciała iść do tej czy innej restauracji. Jako typowy facet nie miał nic przeciwko temu, że wołała rozmawiać o nim. Nie żeby ją zauroczył, teraz było to oczywiste. Po prostu się maskowała.

- Dureń, dureń, dureń - powiedział do otwartej lodówki.

- Zapomniałaś dodać: „dureń"! - krzyknął z sofy Theo.

Jack otworzył piwo i wrócił do pokoju.

- Jak myślisz, dlaczego ze wszystkich facetów w świecie wybrała właśnie mnie?

- Bo Tom Cruise od razu by się skapował?
- Pytam poważnie. Co ja jej zrobiłem?
- Nic. Świat kręci się czasem na chybił trafił.

- Nie wierzę.

- W przeciwieństwie do czterdziestu ośmiu procent ludności naszego globu.

- Skąd wiesz, że do czterdziestu ośmiu?

- Bo to fakt statystyczny. Z drugiej strony, sześćdziesiąt jeden, przecinek, siedem dziesiątych wyników statystycznych bierze się z sufitu, więc cholera go wie.

Kiedy z pilotem w ręku siedział przed telewizorem - ekran w ekranie, oglądał dwa mecze koszykarskie naraz - nie można było z nim poważnie porozmawiać. Jack wrócił do kuchni i zapatrzył się w okno. Tak, przydałoby się jakieś wyjaśnienie i trochę żałował, że nie podtrzymał tej wymuszonej przez nią rozmowy. Zaczęła wydzwaniać już w sobotę o północy i jak obłąkana dzwoniła do niedzieli wieczorem. Dzwoniła, zostawiała błagalne wiadomości, ale wszystkie zignorował. Przyszła dopiero w poniedziałek rano, bez zapowiedzi, i czekała na niego przed kancelarią. W pierwszym odruchu chciał ją minąć, powiedzieć, żeby się wypchała i pójść dalej. Ale coś - coś więcej niż ciekawość - kazało mu przystanąć i wysłuchać, co ma do powiedzenia.

- Przepraszam, Jack. Tak mi przykro.

- To niewiele zmienia.

Stali obok jednego z tych żalonych drzewek oliwnych, które posadzono w kwadratowych dziurach w chodniku w ramach dotowanej przez miasto akcji powiększania obszaru terenów zielonych. Jeźdźnią snuły się zaspane samochody. Mia miała zboląłą, zmęczoną twarz, jakby nie spała od soboty. Zerknęła na drugą stronę ulicy, na staruszkę, który udawał, że nie widzi, jak jego collie użyźnia chorowite drzewka.

- Tamtego wieczoru u ciebie, przed przyjęciem... To, co powiedziałam przed wyjściem, to prawda. Nikt inny mnie nie interesuje.

- To znaczy, nikt oprócz męża?

- Nie jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Nigdy nie byliśmy. Ernesto robi to od lat. Od lat mnie zdradza.

- Naprawdę? A ty jego od kiedy?

Oczy miała jak lasery i patrzyła prosto na niego.

- Nie jestem taka. To dla mnie coś nowego. Z tobą zrobiłam to pierwszy i ostatni raz.

- Rozumiem. Dzięki jednemu głupiemu prawnikowi wyrównałaś rachunki za sznur lasek

męża, tak?

- Przestań. - Głos jej się załamał. - Nie chodziło o wyrównywanie rachunków. Nasze małżeństwo skończyło się na długo przed jego wyjazdem.

- Na przyjęciu wyglądało to inaczej.

- Ernesto niechętnie rezygnuje z rzeczy, których pragnie.

- Nie jesteś rzeczą.

- A ty Ernestem.

- Zażądałaś rozwodu?

- Tak, kilka miesięcy temu. Prosił mnie... Nie, kazał mi dobrze przemyśleć ten krok. Brzmiało to jak groźba. Przestraszyłam się tak bardzo, że przestałam do tego wracać. Ale potem spotkałam ciebie i zrozumiałam, że muszę z tym skończyć.

- Aha, czyli wszystko przeze mnie, tak?

- Nie, nie przez ciebie. Dzięki tobie. Byłeś dla mnie...

- Kim?

- Nieważne.

- Powiedz. Proszę. Chciałbym wiedzieć, kim, do diabła, dla ciebie byłem.

Uciekła wzrokiem w bok.

- Byłeś pierwszym mężczyzną z którym kochałam się prawie od dwóch lat.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- A więc ty i Ernesto...

- Już ci mówiłam: nasze małżeństwo umarło na długo, zanim cię spotkałam.

Jack dobrze wiedział, jaki wpływ może mieć psujące się małżeństwo na życie seksualne partnerów, i to bez względu na to, jak cudowne było na początku. Ale dwa lata to kawał czasu, zwłaszcza dla dwojga ludzi, którzy wciąż mieszkają w jednym domu.

- Posłuchaj, nie musisz się tłumaczyć...

- Ale chcę, przynajmniej tyle jestem ci winna.

- Wierz mi, to niczego nie zmieni. Okłamałaś mnie tak, że gorzej nie można. Koniec, kropka.

- Nie dziwię się, że mnie nienawidzisz. Ale naprawdę dobijało mnie, że nie byłam, że nie mogłam być z tobą szczerą. Dobijało i wciąż dobija. Chcę, żebyś wiedział, jak się z tym czuję.

- Już nie muszę.

- Na pewno?

No jasne, że nie na pewno. Jak na dobrego prawnika przystało, chciał jej wysłuchać,



wchłonąć każde słowo, przeanalizować je i dobrze zrozumieć. A potem - jak każdy zraniony kochanek - długo te słowa odtwarzać, odtwarzać w nieskończoność, aż pękłaby mu głowa, aż serce zmieniłoby się w czerwoną poduszczkę na igły. Ale chromosom Y walił go w łeb jak siekierą, dość przekonująco wskazując, że chociaż Mia chciałaby ulżyć sumieniu kiepską, mało wiarygodną wymówką - która zabrzmiałaby bez wątpienia jak bełkot z telewizyjnego talk-show - każdy szanujący się mężczyzna pozbawiłby ją tego przywileju.

- Przepraszam. Mam robotę. Do widzenia, Mio. - I uciekł do kancelarii, zanim zdążyła cokolwiek dodać. Przystanął w pustym przedsionku i oparł się o przeszklone zadymionym szkłem drzwi z nadzieją, że Mia nie zapuka - z nadzieją, że zapuka. Powinien był pozwolić jej dokończyć? Czy to możliwe, żeby miała dobry powód, by kłamać, powód całkowicie sensowny, coś, co przywróciłoby stracone zaufanie?

A może po prostu chce mnie jeszcze podręczyć?

Za drzwiami zaległa dziwna cisza. W końcu usłyszał kroki na chodniku. Najpierw tylko dwa. Dwa bardzo ostrożne kroki. Przystanąła. Potem znowu cichy stukot obcasów, jeden, drugi, trzeci. Wreszcie cały ich związek rozplątał się i rozmył w oddali.

Mia odeszła.

## 5

Spokojnymi oczami dobrze wyszkolonej profesjonalistki agentka specjalna Andie Henning obserwowała, jak asystent lekarza sądowego przeprowadza sekcję prawego płuca Ashley Thornton.

Z szybów klimatyzacyjnych pod sufitem buchały strumienie powietrza tak zimnego, że musiała sobie przypominać, iż wciąż jest na Florydzie. W sali było lodowato niczym w zimie w Seattle, gdzie się wychowała i gdzie podczas jednej z tajnych operacji policyjnych spisała się tak świetnie, że zwróciła na siebie uwagę szefów Grupy Szybkiego Reagowania FBI. Miała dyplom z psychologii, więc szybko uznano, że będzie z niej znakomita negocjatorka. Ponieważ w Seattle nie było dla niej etatu, po intensywnym szkoleniu w akademii przeniesiono ją do Miami, miasta, gdzie zakładników brano tak często, że pracy starczyłoby jej do końca życia. Miami było tym bardziej atrakcyjne, że leżało trzy tysiące dwieście kilometrów od miejsca zamieszkania jej byłego narzeczonego. Ale to już zupełnie inna historia.

Jaskrawe światło odbijało się od sterylne białych ścian i żółtobrazowej terakoty na podłodze. Na błyszczącym stalowym stole pośrodku sali leżały na plecach szarawofioletowe zwłoki. Od ramienia do ramienia przecinały je dwie głębokie, poprzeczne rany zbiegające się na wysokości mostka. Od mostka do pachwiny biegła rana jeszcze dłuższa i głębsza, tworząc podstawę klasycznego nacięcia w kształcie litery Y. Na krawędzi stołu, tuż obok sterczącego płata żeber, starannie ułożono wątrobę, trzustkę, nerki i jelita. Ciało było teraz pustą skorupą, która w dziwny sposób przypominała wydrążoną połówkę arbuza na stole z przystawkami.

Andie rozsmarowała pod nosem trochę maści miętowej, żeby zabić trupi zapach. Wizyty w sali sekcyjnej nie należały do codziennych obowiązków agenta FBI. Znakomita większość zabójstw podlega jurysdykcji stanowej i miejscowej. Ale ponieważ uprowadzenie było przestępstwem federalnym, dzięki swej nieszczęsnej specjalizacji Andie bywała w takich miejscach częściej, niżby chciała.

- Bardzo ciekawe - wymamrotał doktor Feinstein.

Wciąż badał prawe płuco, pochylając się nad małym, jaskrawo oświetlonym stołem po drugiej stronie zwłok. Był tak bardzo skupiony, że jego siwe, krzaczaste brwi wyglądały jak rozciągnięta na czole długa gąsienica. Odłożył skalpel i zrobił cyfrówką zdjęcie. Andie

poczuła się trochę nieswojo. Nie z jego winy - po prostu pomyślała, że ofiara doznaje upokorzenia nawet po śmierci.

- Znalazł pan coś?

Lekarz zrobił krok do tyłu i prawie się uśmiechnął. Andie wyczuła, że zaraz uraczy ją jakąś dygresją.

- Najpierw musi pani zrozumieć - zaczął - że na stole do sekcji zwłok nie da się jednoznacznie dowieść, że ofiara się utopiła. Zależnie od okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć, możemy jedynie postawić diagnozę opartą na eliminacji.

- Okoliczności śmierci Ashley Thornton były dość ponure.

- Owszem. Ale to, że pod wodą znaleziono trupa, nie musi znaczyć, że była to śmierć przez utonięcie. Widziałem ofiary, które uduszono i wrzucono do basenu kąpielowego. Widziałem ofiary, które uderzono młotkiem w głowę i wrzucono do jeziora.

- Sugeruje pan, że było tak i w tym przypadku?

- Wprost przeciwnie. Tak, ciało nosi ślady zadrapań, a kość piszczelowa jest złamana w miejscu, gdzie noga utknęła między prętami kraty w tej podwodnej grocie. W strefie wodonośnej są silne prądy, dlatego nie można oczekiwać, że zwłoki będą w doskonałym stanie. Rzecz w tym, że nie widzę tu żadnych urazów zagrażających życiu.

- Co w związku z tym podpowiada panu diagnoza oparta na eliminacji?

- Nie tyle eliminacja, ile to. - Lekarz wrócił do stołu. Wziął latarkę i skinął na Andie. Cienki promień światła przeszył rozciętą ściankę prawego płuca ofiary.

- Widzi pani?

- To jakiś... brud.

- Piasek. W przypadku śmierci przez utonięcie to prawie jednoznaczny dowód.

- Piasek w płucach?

- Tak. Biorąc pod uwagę procesy, jakie zachodzą w organizmie tonącego, jest to fakt o wprost krytycznym znaczeniu. Kiedy głowa znika pod wodą, normalną reakcją jest wstrzymanie oddechu. Ale wstrzymywać go długo nie można i organizm zmusza nas w końcu do zaczerpnięcia powietrza. Kiedy powierzchnia jest wysoko, to bardzo poważny problem.

- Albo kiedy jest się uwięzionym w podwodnej grocie.

- Właśnie. Tak więc kiedy woda wlewa się do ust i gardła, ofiara zaczyna ją połykać, wciągać do płuc. To oczywiście powoduje, że nieszczęśnik wpada w jeszcze większą panikę i walka staje się jeszcze bardziej rozpaczliwa. Jeśli nie zdąży wydostać się na powierzchnię, płuca będą wypełniały się wodą, a on, nieustannie walcząc i coraz bardziej się zachłystując, wpadnie w błędne koło procesu, który może trwać kilka minut, do chwili ustania oddechu.

- I razem z wodą wciąga do płuc piasek?

- Nie zawsze. Piasek może dostać się do ust i gardła, kiedy podwodny prąd wlecze zwłoki po dnie. Ale w tym wypadku ciało ofiary utknęło na stalowej kratce, mimo to piasek trafił nie tylko do ust i gardła, ale i do płuc. Proszę tylko pomyśleć: gdzie stoczyła swoją ostatnią walkę?

- W podwodnej grocie.

- W grocie o piaszczystym dnie. Topiący się człowiek umiera długo i w męczarniach. Ostatnie minuty życia to chwile potwornego przerażenia i paniki. Ta kobieta utknęła w grocie o niskim stropie. Im bardziej rzucała się w ciemności, próbując znaleźć powietrze, tym więcej piasku wzbijała. Ponieważ grota jest mała, piasek nie miał ujścia i trafił do płuc.

Andie spojrzała na rozkrojone płuco.

- A więc jest pan pewny, że ta kobieta się utopiła?

- Absolutnie.

Andie zamyśliła się i zamilkła.

- Dobrze się pani czuje? - spytał doktor Feinstein.

- Tak, to tylko ten odór.

Tak naprawdę chciała powiedzieć, że przez chwilę była zażenowana, speszona tym, że stoi przy zwłokach, nie czując nic oprócz zadowolenia, że udało jej się przykleić denatce metkę z napisem „Śmierć przez utonięcie”. Nigdy dotąd nie odbierała tego tak bezosobowo.

- Chce pan po prostu powiedzieć, że jakiś zboczony sukinsyn wciągnął Ashley do tej groty, przywiązał ją do stalowej kraty, a potem odpłynął, pozostawiając ją w ciemności bez butli z powietrzem. Że zostawił ją tam żywą.

Lekarz zerknął na jej twarz.

- Boję się, że tak.

- Dziękuję, doktorze. - Wychodząc z sali, Andie wciąż słyszała w myślach jego słowa: „Topiący się człowiek umiera długo i w męczarniach”.

## 6

Mając na głowie tyle problemów osobistych, cieszył się, że znowu może wrócić do sądu. Adwokat, który ma rozprawę, jest jak rodząca kobieta. Mało kto oczekuje, że wszystko rzuci i podbiegnie do telefonu.

Halo? Mówi Bóg. Czy zastałem mecenasa Swytecka?

Przykro mi, ale pan mecenas jest na rozprawie.

Och, w takim razie proszę mu nie przeszkadzać. Chodzi o drobnostkę, o kwestię jego śmiertelności. Zechce mu pani przekazać, żeby do mnie zadzwonił, kiedy skończy.

Powiadano, że William Bailey ma więcej pieniędzy niż Bóg. Najwyraźniej miał również lepsze wyczucie spraw niecierpiących zwłoki. Jack pił właśnie wodę z poidelka na korytarzu, gdy wytropił go jeden z asystentów Baileya.

- Panie mecenasie, pan Bailey musi natychmiast z panem porozmawiać.

Jack wyprostował się i wytarł kroplę wody z podbródka. Sekretarka powiedziała mu na pewno, że jest na rozprawie - standardowa odpowiedź telefoniczna - więc Bailey wysłał do sądu jednego ze swoich chłopców na posyłki.

- Proszę mu powiedzieć, że mam rozprawę i że po lunchu też pracuję.

- Bardzo pana przepraszam, ale pan Bailey nie chce słyszeć odpowiedzi odmownej. Czeka na pana z panem Salazarem. Chodzi o żonę pana Salazara. O żonę pana Salazara... To dziwne, ale Jack mógłby przysiąc, że zaśpiewała to jakaś grubaska w głębi przepastnego gmachu.

- Dobrze - odparł z rezygnacją. - Ale o pierwszej muszę być z powrotem.

I to żywy.

Dziesięć po dwunastej był już na wysokości pięćdziesiątego piętra, wysoko nad centrum Miami. Ledwo zerknął na statki wycieczkowe i port, na niesamowity widok, jaki roztaczał się z okien narożnego gabinetu szefa firmy, współnika zarządzającego BB & L. William Bailey stał za biurkiem z ręką na globusie tak starym, że Prusy wciąż były na nim państwem. Jego najważniejszy klient siedział na końcu skórzanej sofy, naprzeciwko Jacka, który usiadł w fotelu z uszakami. Ernesto Salazar był dystygowanym Latynosem o kruczoczarnych włosach (oczywiście farbowanych) i ciemnych, przesywających oczach przebiegłego negocjatora. Był w garniturze od Armaniego, butach od Gucciego, na rękę miał roleksa, a na twarzy

gniewną minę, zarezerwowaną chyba tylko dla niego.

- Moja żona zaginęła - zaczął posępnie.

Jack spojrział na Bailey'a, potem znowu na niego. Minęło dziesięć dni, odkąd go poznał, i nie miał jeszcze pewności, czy Salazar wie o romansie Mii. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później rozmowa zbroczy na ten temat, ale przedtem postanowił dowiedzieć się więcej szczegółów.

- Jak to zaginęła?

- Została porwana - wyjaśnił Bailey.

Słowa te grzmotnęły Jacka z zaskakującą siłą. Według Kupidyna zasad miłości i wojny (Wydanie dla idiotów), technicznie rzecz biorąc, powinien mieć to gdzieś. Ale nie miał.

- Porwana? - spytał. - Przez kogo?

- Nie mamy pojęcia - mruknął Bailey.

- Dzwonił pan na policję?

- Nie - odparł Salazar. - Tak jak wielu innym zamożnym rodzinom południowoamerykańskim, groźba porwania nie jest nam obca. W takich sytuacjach zawiadomienie policji rzadko kiedy ma sens.

- Rozumiem pański punkt widzenia. Ale często istnieją dobre powody, żeby jednak to zrobić.

- Między innymi właśnie dlatego do pana zadzwoniliśmy - powiedział Salazar. - Żeby coś nam pan doradził.

- Pomogę, jak tylko będę mógł. - Ponieważ zdawało się, że jest to dobry moment na oczyszczenie atmosfery wokół tego okrytego tajemnicą cudzołóstwa, Jack zrobił pauzę i starannie ważąc słowa, dodał: - Panie Salazar, powinien pan o czymś wiedzieć...

- Chwileczkę - wtrącił Bailey. - O pierwszej musisz być w sądzie, pozwólmy więc panu Salazarowi przedstawić fakty. W pewnej bardzo konkretnej sprawie przyda nam się twoja znajomość prawa karnego. Możemy tak zrobić?

- Oczywiście - odparł Jack.

- Dziękuję - powiedział Salazar. - Zasadniczo rzecz biorąc, w tej chwili niewiele wiem. Wczoraj wieczorem żona pojechała do miasta z przyjaciółką. Ja leciałem z nóg. Około wpół do jedenastej poszedłem spać. Kiedy obudziłem się rano, już jej nie było. Z rana zwykle biega.

- O której się pan obudził? - spytał Jack.

- Około siódmej.

- I co pan zrobił?

- Nic. Ale minęły trzy godziny, a ona wciąż nie wracała. Zadzwoiłem na jej komórkę, zawsze zabiera ją na te swoje przebiezki, lecz nie odebrała. Zadzwoiłem więc do Emilii, jej przyjaciółki, ale ona nie wiedziała nic. Wtedy się zaniepokoiłem.

Salazar mówił to wszystko bez żadnych emocji, na co Jack od razu zwrócił uwagę. Wiedział, że w sytuacji kryzysowej niektórzy tak właśnie reagują, ale w wypadku Salazara nie był tak do końca pewny.

- I?

- Przeszukałem dom, podwórze i garaż. Niczego nie zauważyłem. Wtedy postanowiłem zajrzeć do komputera.

- Do komputera?

- Tak, żeby sprawdzić pocztę. Nie dawało mi to spokoju. Miałem przeczucie, że ktoś przysłał mi list.

- Z żądaniem okupu?

- Tak. Jak wspomniałem, moja rodzina miała już do czynienia z porywaczami. Konkretnie mój wujek, podczas podróży w interesach do Brazylii.

- To przykre - powiedział Jack. - Znalazł pan coś w komputerze?

- Znalazł to. - Bailey wstał, podszedł bliżej i podał mu wydrukowany e-mail. - Sprawdziliśmy nadawcę. To jest SMS nadany ze skradzionej komórki. Nie sposób namierzyć konkretnej osoby.

Jack niczego innego się nie spodziewał. Przeczytał wiadomość szybko, ale dokładnie. Była krótka i treściwa:

WYCEŃ JĄ I ZAPŁAĆ TYLE, ILE JEST

DLA CIEBIE WARTA.

Dalsze polecenia wkrótce.

- Tylko tyle?

- To cała wiadomość - odparł Salazar. - Widział pan kiedyś coś takiego?

Jack położył kartkę na stoliku do kawy. Przeczytał list jeszcze raz i odrzekł:

- Chyba nie. Z drugiej strony, jako obrońca z urzędu prowadziłem tylko dwie sprawy o uprowadzenie i żaden ze skazanych na śmierć porywaczy nie żądał okupu.

- Nawet pan o czymś takim nie słyszał?

- Nie. Sformułowanie żądań często zajmuje porywaczowi troszkę czasu, zwłaszcza w przypadku uprowadzeń o podłożu politycznym. Ale kiedy chodzi mu tylko o pieniądze, kwota

jest zwykle konkretna. Czasem nierealna, ale zawsze konkretna.

- Dla mnie wygląda to na głupi kawał - powiedział Bailey.

- Możliwe - odparł Jack. - Ale dopóki nie wiemy tego na pewno, trzeba podjąć kilka ważnych decyzji. Po pierwsze, czy zamierza pan zawiadomić policję?

- Nie, żadnej policji.

- W takim razie musi pan wybrać pośrednika, swego reprezentanta. Porywacz napisał, że wkrótce wyśle dalsze polecenia. Ktoś będzie musiał kontaktować się z nim w pańskim imieniu.

- Myślę, że najlepszy będzie William.

- Dobry wybór, to pański adwokat. Jeśli oczywiście zechce.

- Wybrałem go dlatego, że jest moim przyjacielem, a nie adwokatem - odparł Salazar z nutką irytacji w głosie.

- To jeszcze lepiej - odparł Jack. - Kolejna sprawa, którą trzeba rozważyć, to okup. Porywacz daje panu wolną rękę, dlatego musi się pan zastanowić, ile chce pan zapłacić.

- To proste - odrzekł Salazar. - Mam ją wycenić, zdecydować, ile jest dla mnie warta. Dlatego nie zapłacę ani centa.

- Rozumiem, postanowił pan nie płacić okupu. Niektóre rodziny tak robią. Ale żeby sprawa była całkowicie jasna: to wcale nie znaczy, że pańska żona nie jest warta tego, żeby za nią...

- Nie, wyraziłem się jasno.

Do Jacka dotarło to dopiero teraz.

- Chce pan powiedzieć, że pańska żona nic dla pana nie znaczy?

- Ma pan kłopoty ze słuchem, mecenasie?

- Nie.

- W takim razie dlaczego pan tego nie rozumie? Zapłacę tyle, ile jest warta. - Salazar usiadł na brzegu sofy, nachylił się ku niemu i cichym, chrapliwym szeptem dodał: - Mia mnie zdradzała. Jest dla mnie zerem.

Jego ciemne oczy płonęły jak węgle. Wyraz gniewu był równie widoczny na twarzy Bailey'a. Jack wyzbył się wszelkich wątpliwości: o wszystkim wiedzieli.

Bailey pokręcił głową z wyraźnym niesmakiem.

- Jak mogłeś?

- Przysięgam, nie miałem pojęcia, że...

- Niech pan sobie daruje - przerwał mu Salazar. - Dość tych zniewag.

Jack chciał się wytłumaczyć, ale kto by mu uwierzył? Zresztą jego wina miała



drugorzędne znaczenie. To dziwne, ale uznał, że ktoś powinien stanąć w obronie Mii i że tym kimś powinien być on.

- Zdaję sobie sprawę, że w mojej sytuacji trudno o coś prosić, ale zechce mnie pan wysłuchać. Trzeba założyć, że porywacz ją zabije, jeśli nie spełni pan jego warunków. Nie chce pan płacić okupu, dobrze. Ale musi pan przynajmniej zawiadomić policję.

- Dlaczego? - spytał Salazar. - Czy mąż uprowadzonej jest zobligowany do tego jakimiś przepisami?

Jack zwlekał z odpowiedzią nie dlatego, że jej nie znał, tylko dlatego, że nie podobał mu się sposób, w jaki go wrobili, to, że się z nim bawili.

- Czy właśnie po to była wam potrzebna moja znajomość prawa karnego?

- Niech pan po prostu odpowie na pytanie, mecenasie. Czy jako mąż muszę zawiadomić o tym policję?

- Nie, ale jeśli pan nie chce nic zrobić, żeby bezpiecznie wróciła do domu, powinien pan to zrobić. To pański moralny obowiązek...

- Obowiązek? - powtórzył podniesionym głosem Salazar. - Moralny? Ośmiela się pan tłumaczyć mi, co jest moralne, a co nie? Pan?

Jack nie chciał się z nim kłócić. Spojrzał na Bailey'a.

- William, przecież wiesz, że mam rację.

- Lepiej już idź, Jack.

Nie doszli do żadnych ustaleń, ale dopóki Salazar kipiał gniewem, sprawy mogły przybrać tylko jeszcze gorszy obrót.

- Zadzwoń do ciebie po rozprawie.

- Nie musisz - odparła Bailey.

- Wszystko jest pod kontrolą - dodał Salazar.

Jack miał ochotę ich spoliczkować, zarzucił im, że igrają z ludzkim życiem. Ale uznał, że to bez sensu. Wstał i ruszył do drzwi.

- Señor, nie zapomniał pan o czymś?

Jack przystanął. Salazar wskazał kartkę na stoliku.

- Chcę wiedzieć - powiedział.

- Co?

Salazar podał mu kartkę i jego usta wykrzywił ironiczny uśmiešek.

- Ile Mia jest warta dla pana.

Jack spojrzał mu w oczy, lecz nie powiedział ani słowa. Schował kartkę do kieszeni i wyszedł z gabinetu.

# 7

Minęli przystań jachtową w Coconut Grove, Jack za kierownicą, Theo na miejscu pasażera. Już od miesiący Jack próbował znaleźć godnego następcę dla bryły spalonego, częściowo stopionego metalu, która była kiedyś klasycznym kabrioletem marki Mustang. Theo wypatrzył dla niego ramblera marlina rocznik 1966, ale tylko dlatego, że jego właściciel, zagorzały kibic, pomalował go na turkusowo, na oficjalne barwy Marlinów z Florydy.

- Magnes na dziewczyny, hę? - spytał Jack.

- Absolutnie. A czy wspomniałem już, że jeśli jeździć nim regularnie, zapobiega również chorobom serca, a nawet odwraca proces starzenia się? Wszystko to za ledwie cztery tysiące czterysta dolarów.

- Ale nie za moje.

Zatrzymali się na mrożoną lemoniadę w Kennedy Park, gęsto zadrzewionym parku nad zatoką Biscayne, w miejscu ulubionym przez wszelkiej maści bcyklistów i triatlonistów. Tuż przy parkingu biegła trasa biegowa, więc gdy usiedli na masce starego ramblera z nogami na chromowanym zderzaku, mieli stamtąd znakomity widok na miłośników joggingu. Niestety, w ten wtorek park opanowali geriatrycy, niekończąca się parada rozedrganych zwałów tłuszczu, które przybrały ludzki kształt tylko dzięki cudowi spandeksu.

Umówili się, że Jack przetestuje wyśmiany przez niego samochód pod warunkiem, że Theo zabawi się w ulicznego psychoanalityka i powie mu, co myśli o Ernesto Salazarze. Z takich czy innych powodów Theo umiał myśleć jak wredny, acz inteligentny sukinsyn.

- To oczywiste - zaczął.

- No?

- Po prostu: pan Zanzibar nie wierzy, że porwano mu żonę.

- Salazar - poprawił go Jack. - On nie ma nic wspólnego z Afryką.

- Chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to zamknij się i słuchaj. - Theo postawił lemoniadę na turkusowym dachu i otworzył torebkę chipsów. - To jest tak: podłapałeś młodą, wspaniałą kobietę, żonę pięćdziesięciokilkuletniego multimilionera. Ta wspaniała kobieta powiedziała ci, że nie uprawia już seksu z mężem i założmy, że to prawda. Wyobraź sobie, jak wkurzony musiał być ten lamus, kiedy się dowiedział, że żoneczka zabawia się z wziętym adwokatem.

Krótką piłką: spadaj, dziwko, już cię tu nie widzę. Jeśli podpisali umowę przedmałżeńską i jeśli zechce się z nią rozwieść, Mia może dużo stracić. Cóż więc robi? Pozoruje swoje uprowadzenie, żeby wycyckać od niego kasę na okup.

- Naprawdę myślisz, że tak było?

- Nieważne. Mówię ci tylko, co chodzi po głowie temu Salazarowi.

- Salazarowi, kretynie.

- No właśnie. Tak czy owak, na spotkaniu zachowywał się za spokojnie, żeby wierzyć w jej porwanie. Nikt nie ma w żyłach tyle zimnej wody.

- A jeśli on ma? A jeśli jej zdrada wkurzyła go do tego stopnia, że chciałby, żeby porywacz poderznął jej gardło?

- Aaa, paradoks grupy Journey...

- Czyj?

- W zależności od tego, kogo spytasz, najlepszej albo najgorszej kapeli rockowej lat osiemdziesiątych. Ktoś, kto dla jednego jest Stingiem, dla drugiego może być duetem Air Supply. Chwytasz? - I zaczął śpiewać *All Out of Love*.

Jack aż zamrugał.

- Co to, do diabła, ma wspólnego z Salazarem?

- Ty i on patrzycie na ten sam obraz: piękna mężatka zdradza męża i znika. Ale ty widzisz na obrazie ofiarę porwania, której grozi niebezpieczeństwo, a on podstępna zdzirę, która coś knuje. Paradoks grupy Journey.

- Brzmi to jak fatalny tytuł powieści Ludluma. Ale skup się na chwilę, możesz? Czy nie umknęła nam przypadkiem trzecia możliwość?

Theo kiwnął głową.

- Kiedy ten cały Alcazar odkrył, że brzydko się bawicie, zabił ją i próbuje upozorować porwanie.

- Alcazar, czyli Salazar, tak?

- Alcazar, Baltazar, co za różnica? Każdy facet myśli fiutem.

Jack nie całkiem się z tym nie zgadzał, ale skojarzenie z Szekspirem pomogło mu zrozumieć sedno sprawy.

- Bardzo logiczne - odparł. - Tak jak mówisz, nikt nie ma w żyłach tyle zimnej wody.

- Chyba że próbuje osłonić swój własny tyłek.

- I właśnie to nie daje mi spokoju: jego reakcja na porwanie. Zwykle jest tak, że ludzie nie dzwonią na policję nie dlatego, że zabronił im tego porywacz, tylko dlatego, że boją się, żeby policja nie namówiła ich, żeby nie płacili okupu. Proszę: Salazar pokazuje porywaczowi

środkowy palec, mimo to nie chce ich zawiadomić. Jeśli jesteś ofiarą uprowadzenia, to cholernie niebezpieczna sytuacja.

- Z drugiej strony, jeśli zaciukałeś swoją żonę i chcesz upozorować porwanie, musisz się porządnie natańczyć.

Jack wyjadł łyżeczką resztkę mrożonej lemoniady.

- A więc na moim miejscu poszedłbyś na policję? To chcesz powiedzieć?

- To zależy. Jeśli myślisz, że Baltazar zabił swoją żonę, to jasne, idź.

- A jeśli tak nie myślę? Jeśli naprawdę ją porwano, a Salazar chce dać jej nauczkę?

- Chcesz wiedzieć, co bym zrobił? - spytał Theo.

- Tak, na moim miejscu.

- Wystawiłbym głowę przez okno i wrzasnął: „Hej, suczko! Mamusia nie mówiła ci, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę?”. Codziennie robiła słodką minkę, jakbyś był tym jednym jedynym. I co wieczór wisiała na telefonie, prosząc Ernestunia, żeby przysłał jej więcej szmału z Buenos Noches.

- Z Buenos Aires.

- Wszystko jedno. Chodzi o to, czy Jack Swytek powinien być białym rycerzem, który wskakuje na konia i pędzi jej na ratunek.

- Zawiadomienie policji, że ją porwano i przekazanie im listu z żądaniem okupu trudno nazwać wskakiwaniem na konia.

- Ale dlaczego miałyby ci zależeć nawet na tym?

- Nie wiem. A dlaczego przez pierwsze cztery lata mojej kariery adwokackiej zamartwiałem się jak idiota, że ci wszyscy parszywi mordercy, przy których wyglądałbyś jak młodzianki chórzysta, mogą umrzeć na krześle elektrycznym? Mam w sobie coś ludzkiego, co zabrania mi życzyć komuś śmierci. Nawet kłamliwym kochankom.

- To chore.

- Tak myślisz?

- Absolutnie. Ale między innymi właśnie dlatego cię kocham, skarbenku - odparł Theo i cmoknął Jacka w policzek.

Jack wytarł się ręką i zamilkł, chociaż myślenie zakłócał mu chrzest chipsów w ustach kumpla.

- Chcesz? - Theo podsunął mu torebkę.

Jack pokręcił głową. Bistro Chipsy. To chyba jakiś żart. Cóż to za geniusz wymyśla takie nazwy? Ale czego się nie robi dla zwiększenia sprzedaży: torebka z kanapkami na pokładzie samolotu to nie zwykły lunch, tylko „delikatesowy lunch specjalny”. Głupie, tak, ale to

najstarszy chwyt reklamowy w historii. „Proszę, drogi Sokratesie. Spróbuj naszej cykuty. Prosto z delikatesów”.

- Nie, dzięki.

Theo zlizął sól z palców.

- Wracając do rzeczy. Czyli co? Nie kupujesz tego, tak?

- Teorii, że Mia upozorowała swoje własne porwanie?

- Nie. Tego samochodu.

Jack dotknął tandetnej ozdóbki na masce, kiwającego głową Billa, oficjalnej maskotki Marlinów.

- Chyba sobie odpuszczę. No bo pomyśl: po cholere mi magnes na dziewczyny, skoro mam ciebie?

Theo zmiął pustą torebkę i beknął tak głośno, że zatrzęsły się reflektory.

- Święta prawda, staruszku, święta prawda.

## 8

Jack nie zadzwonił na policję. Nie musiał.

To policja zadzwoniła do niego.

Zatelefonowali dwa dni po spotkaniu u Williama Bailey'a. Powiedzieli, że chcą tylko porozmawiać o Mii Salazar. Czterdzieści pięć minut później był już w małej sali konferencyjnej w miejscowym biurze FBI. Po drugiej stronie stołu siedziała agentka specjalna Andie Henning.

- Dziękuję, że zechciał pan tak szybko przyjść - zaczęła.

- Pomyślałem, że to ważne - odparł Jack.

Po drodze zadzwonił do Gerry'ego Chafetza, swego byłego szefa z prokuratury, żeby go o nią wypytać. Gerry, jak to Gerry: zaczął od tego, że Andie to prawdziwa wystrzałowa. I wschodząca gwiazda z Seattle. W wieku szesnastu lat zdobyła licencję pływaczki i była świetną narciarką, członkinią olimpijskiej ekipy juniorów do czasu, aż nabawiła się kontuzji kolana. Prosto po studiach prawniczych poszła do FBI, nigdy nie praktykowała. Dwudziesta - dopiero dwudziesta! - kobieta w historii biura przyjęta do ekskluzywnego Klubu To Jest Możliwe, w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach męskiego stowarzyszenia agentów, którzy uzyskują maksymalne wyniki na jednej z najtrudniejszych strzelnic policyjnych w kraju. Pochwałom nie było końca.

- A mówiłem ci już, że odlotowa z niej laska? - Jack niemal słyszał, jak Gerry powtarza to po raz trzeci.

Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Chyba że było się heteroseksualnym mężczyzną w wieku co najmniej trzynastu lat.

- Jak pan wie - zaczęła konkretnie Andie - trzy dni temu wprowadzono Mię Salazar.

- Zanim zaczniemy, tak z ciekawości: jak to się stało, że trafiłem na waszą listę przesłuchiwaną?

- Dzięki panu Salazarowi.

Jacka ciekawiło, iloma określeniami udało mu się ubarwić jego nazwisko. „Ten zdradziecki sukinsyn, ten cudzołożny skurwiel Swyteck”.

- Zadzwonił do was? To ciekawe. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, nie wspominał, że chce wciągnąć w to policję.

- Nie, nikt do nas nie dzwonił - odparła Andie. - Porywacz przysłał FBI kopię listu z żądaniem okupu. Kiedy zatelefonowaliśmy do pana Salazara, żeby omówić z nim plan działania, prosił nas, żebyśmy skontaktowali się z jego adwokatem, Jackiem Swyteckiem.

- Ale ja nie jestem jego adwokatem.

- Salazar twierdzi, że pan jest.

Jack mógłby natychmiast wyprowadzić ją z błędu, lecz jego adwokacki instynkt kazał mu wstrzymać się z tym do chwili, kiedy lepiej zrozumie, w jakim kierunku zmierza śledztwo.

- Najwyraźniej musimy coś sobie wyjaśnić - mruknął. - Ale tak dla podtrzymania rozmowy: czy zdradził wam, jakiego udzielił mi pełnomocnictwa?

- Tak, chce, żeby przekazał pan okup.

- Teraz to już zupełnie się pogubiłem. Z naszej ostatniej rozmowy wywnioskowałem, że okupu ma nie być.

- I nie będzie. W każdym razie nie od pana Salazara. To nasze pieniądze.

- Pieniądze FBI?

Andie nachyliła się ku niemu i złożyła ręce na stole.

- Panie mecenasie, chcę być z panem zupełnie szczerą. Pracował pan kiedyś w prokuraturze, dlatego mam nadzieję, że szczegóły naszej rozmowy nie trafią do gazet.

- Oczywiście.

- Urowadzenie Mii Salazar nie jest pierwsze; były już podobne. List z żądaniem okupu, który pan widział, jest swego rodzaju podpisem seryjnego porywacza. Z braku lepszego określenia nazwaliśmy go Wyceniaczem.

- Wyceniaczem?

- Tak, bo zamiast zrobić to samemu, ciężar wyznaczenia wysokości okupu zrzuca na bliskich uprowadzonego. Nie żąda konkretnej kwoty. Zawsze pisze: „Wyceń ją i zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta”.

- Widziałem to w mejlu Salazara.

- Ale nie widział pan, jakie konsekwencje spotykają tych, którzy zapłacili za mało. Którzy dokonali „złej wyceny”.

- Twierdzi pani, że ten człowiek już kogoś zabił?

Agentka kiwnęła głową.

- Ashley Thornton. Żonę Drew Thorntona z Ocala.

- Kobietę znaną w tej podwodnej grocie?

- Tak.

- Czytałem o tym. Straszne. Nie wiedziałem, że to ten sam porywacz.

- Niewielu o tym wie. Zrobiliśmy wszystko, żeby jego list, ten z żądaniem wyceny, nie trafił do prasy. Inaczej zaroiliby się tu od wariatów i naśladowców.

- Thornton nie chciał zapłacić okupu?

- Przeciwnie. Zapłacił milion dolarów. Nie wystarczyło. Niecałe dwadzieścia cztery godziny po dostarczeniu pieniędzy znaleźliśmy ciało jego żony w jaskiniach pod Santa Fe. Na plastikowej bransoletce na jej nadgarstku widniał napis: „Zła wycena”.

- Jaka byłaby dobra?

- Oto pytanie. Milion dolarów to duży okup.

- A więc wszystko mu jedno, ile dostanie. Zawsze będzie za mało.

- Tak początkowo myśleliśmy. Ale dzięki komputerowej bazie danych odkryliśmy coś ciekawego. Okazuje się, że osiem miesięcy temu w północnej Georgii wprowadzono żonę dwudziestopięcioletniego mechanika samochodowego. Mechanik dostał taki sam list: wycen ją i zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta. Chłopak sprzedał ciężarówkę, zastawił wszystko, co miał i zbierał dziewiętnaście tysięcy dolarów. Następnego dnia żona wróciła do domu cała i zdrowa.

- No, proszę.

- Serio. Gdyby Salazar poszedł w jego ślady, zebralby czterdzieści milionów.

- Teraz już rozumiem, dlaczego nie chce zapłacić.

- Naprawdę? - spytała z wyraźnym zainteresowaniem Andie. - Mielśmy potwierdzone przypadki okupów sięgających sześćdziesięciu pięciu milionów.

- Wierzę.

- A więc sugeruje pan, że czterdzieści milionów to za mało? A może wie pan o pani Salazar coś, co dyskredytuje jej wartość, by użyć określenia, jakim posługuje się porywacz?

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem, o co mi chodziło.

Andie zamilkła, jakby czekała, aż Jack coś doda.

- Na pewno? - spytała po chwili.

Jack zastanowił się i odpowiedział tak, jak uznał za stosowne.

- Powinna pani spytać o to pana Salazara.

- Na pewno spytam. - Zapisała coś w notesie.

Jack bił się z myślami. Chciał to wyjaśnić, ale słowa utknęły mu w gardle. To, że nie wiedział, iż Mia jest mężatką, zmniejszyło poczucie wstydu, zwiększało jednak zażenowanie, że dał się tak długo oszukiwać. Ale zanim zdążył otworzyć usta, Andie zmieniła temat.

- Tak czy inaczej, w świetle tego wszystkiego postanowiliśmy zmienić strategię działania. Dlatego pana wezwaliśmy.



- Jak mogę pomóc? - spytał.

- Chcemy, żeby ktoś przekazał porywaczowi kwotę o wiele mniejszą. Powiedzmy dziesięć tysięcy dolarów. Nie, to nie okup. To zaliczka w zamian za dowód, że Mia Salazar żyje.

- Zaliczka za dowód życia?

- Tak, z tym, że chcemy osiągnąć coś więcej. Po pierwsze, przedłużyć negocjacje, utrzymać panią Salazar przy życiu tak długo, jak tylko się da. Po drugie, doprowadzić do tego, żeby przekazanie pieniędzy odbyło się na naszych warunkach, dzięki czemu dowiemy się czegoś więcej o porywacz. I wreszcie po trzecie, banknoty będą znaczone. Liczymy na szczęśliwy przypadek. Może facet coś wyda i go namierzemy.

- A więc mam robić za kuriera?

- To niezbyt pochlebne, ale tak, do tego to się sprowadza.

- Dlaczego akurat ja?

- Już mówiłam, to pan Salazar pana zaproponował.

- Jako swego adwokata - mruknął Jack i nagle w jego głowie zapłonęła żaróweczka.

- Tak, jako swego adwokata. - Andie powiedziała to tak, jakby wyczuła, że łączące ich relacje są o wiele bardziej skomplikowane, niżby się wydawało. Ale Jack nie chciał jeszcze niczego wyjaśniać.

- Porozmawiam z panem Salazarem i oddzwonię - obiecał.

- Nie chciałabym pana ponaglać, ale proszę się pospieszyć. Teraz najważniejszy jest czas.

- Rozumiem.

- Nie chcemy robić z pana policjanta. Wprost przeciwnie, wolimy, żeby pieniądze dostarczył ktoś, kto nie ma z nami żadnych powiązań. Salazar odmówił. Jego adwokat będzie wiarygodnym reprezentantem.

- Czy to on wpadł na pomysł, żeby mnie w to wciągnąć?

- Tak. Ale zapewniłam go, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby nic się panu nie stało.

Pewnie ma nadzieję, że się wam nie uda, pomyślał Jack i żarówka zaświeciła jeszcze jaśniej.

- Dzięki. Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

Wstali, wymienili uprzejmości i wyszli z sali. Andie odprowadziła go na koniec korytarza, gdzie w budce z kuloodpornego szkła urzędował oficer dyżurny. Grube, przeszkłone drzwi obok budki oddzielały służbową część gmachu od poczekalni, gdzie siedział samotny mężczyzna.

- Jak w zegarku - powiedziała Andie.

- Słucham? - nie zrozumiał Jack.

- To Drew Thornton. Mąż Ashley. Przychodzi tu w każdy wtorek i czwartek punktualnie o drugiej.

Siedzący za szklaną ścianą mężczyzna nie mógł ich słyszeć - nie zauważył nawet stojącej kilka kroków dalej Andie.

- Jest z panią umówiony? - spytał Jack.

- Nie. Po prostu przychodzi tu dwa razy w tygodniu. Czasem nie mam mu zupełnie nic do powiedzenia, ale to go nie zniechęca. Pewnie myśli, że dopóki będzie przychodził, nie pozwolę zamknąć tej sprawy.

Jack przyjrzał się mu uważniej. Thornton był tylko kilka lat starszy od niego, ale głębokie zmarszczki na jego twarzy wyglądały jak wyrzeźbione w wosku. Pozbawione nadziei oczy były jak czarne sadzawki bólu i cierpienia. Siedział na brzegu kanapy i z łokciami na kolanach, opierał podbródek na kurczowo splecionych dłoniach. W tej zamyślonej pozie zdawał się pytać: co by było gdyby? Co by było, gdybym wcześniej zadzwonił na policję? Gdybym zapłacił większy okup? Co by było, gdybym to lepiej przemyślał, zastanowił się, ile tak naprawdę „jest dla mnie warta”?

- Podobno był jej całkowicie oddany - powiedziała Andie.

- Niesamowite.

- Poznali się w college'u. Pobrali na trzecim roku. W czerwcu obchodziliby dwudziestą rocznicę ślubu.

Gdyby nie rozwód, oni obchodziliby pewnie swoją i przez chwilę Jack niemal mu zazdrościł. Ale przyjrzał się jego zbolącej twarzy i zazdrość ustąpiła miejsca współczuciu.

- Musiało go to dobić.

- Jak każdego na jego miejscu. Chciałabym panu powiedzieć, że Ashley była ostatnią śmiertelną ofiarą. I że uprowadzenie Mii Salazar położy kres szaleństwu tego zwyrodnialca. Ale to nie pasuje do jego profilu psychologicznego. Według nas, on dopiero zaczyna.

- Chyba że go powstrzymamy.

- Tak. - Andie uśmiechnęła się kącikiem ust. - My. Podoba mi się to słowo.

Jack jeszcze raz spojrział na Thorntona, na jego smutną, zboląłą twarz. Wciąż powątpiewał w motywy, jakie kierowały Salazarem, gdy wybrał go na „swego adwokata”, ale jeśli do zrealizowania planu odbicia Mii FBI potrzebowało „kuriera”, musiał wierzyć, że Andie Henning nie pozwoli mu zrobić czegoś głupiego.

- Chyba miałem dość czasu, żeby rozważyć pani prośbę - powiedział.

- Będzie pan naszym kurierem? - spytała Andie.
- Tak - odparł, patrząc przez drzwi na Thorntona. - Będę.

## 9

Andie i jej technik zamierzali spędzić weekend w rezydencji Salazara w Palm Beach. FBI czekało na telefon.

Każde uprowadzenie jest inne, ale logika podpowiadała, że między sprawą Mii Salazar i poprzednimi uprowadzeniami Wyceniacza powinny istnieć podobieństwa. I rzeczywiście istniały. Do pierwszego kontaktu z Thorntonem doszło za pośrednictwem e-maila, bardzo podobnego do tego, jaki otrzymał Salazar. Niecałe pięć dni później Wyceniacz zadzwonił z komórki do jego domu. Ten sam schemat mógł powtórzyć się w przypadku Mii Salazar, dlatego Andie chciała być na miejscu, żeby spróbować go namierzyć. Był już piątek, wczesny wieczór, a oni leżeli na skórzanej sofie, rozwiązując piątą krzyżówkę z rzędu i pijąc trzeci dzbanek kawy.

- Przyprawia o częsty ból głowy, na „m”.

Andie nie podniosła nawet głowy znad czasopisma.

- Małżeństwo?

Technik zadawał pytania, ona się wygłupiała: czego się nie robi dla zabicia czasu.

- Migrena - mruknął i wpisał poprawną odpowiedź.

Andie odrzuciła na bok czasopismo, przecięła przestronny pokój i stanęła pod wysokim na dwa piętra oknem z widokiem na kanał i port. Właśnie zaszło słońce i fale opadły. Leniwą paradą do jachtklubu wracał sznur łodzi, a na zachodzie jarzyły się światła miasta. Salazar zbił majątek na handlu nadbrzeżnymi nieruchomościami, a jego pierwszym nabytkiem był piękny, mały półwysep, który sterczał na tle morza jak złoty palec. Przeprowadziwszy się z Kalifornii, szybko zrozumiał, że Miami to nie Laguna Beach czy inne tego rodzaju miejsca, gdzie ze stojących na zboczu wzgórza domów roztacza się niczym nieosłonięty widok na ocean. Floryda jest płaska jak deska i widok na ocean mają tylko właściciele domów stojących tuż nad brzegiem. Salazar kupował działki przez lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte i kiedy ożenił się po raz trzeci, miał już wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zamieszkać w dowolnym zakątku świata.

Mia wybrała Palm Beach.

- Jeszcze kawy?

Zaskoczona Andie odwróciła się i metr dalej zobaczyła Salazara. Niełatwo jest podkraść

się bezszelestnie do agentki FBI, ale widok z okna był naprawdę porywający. A może była po prostu zmęczona.

- Nie, dziękuję - odrzekła. - Za dużo tej kofeiny.

Salazar popatrzył na wpływającą do kanału żaglówkę.

- Myśli pani, że on zadzwoni?

- Zostaniemy tu, aż się odezwie. Tak długo, jak będzie pan chciał.

Salazar nie odpowiedział. Zmrok zaczynał przechodzić w noc i łodzie na wodach zatoki zmieniły się nagle w sznur kolorowych paciorków.

- Jak pani myśli? - spytał w końcu Salazar. - Dlaczego przysłał wam kopię listu z żądaniem okupu?

- Tak właśnie, to bardzo interesujące zagranie - powiedziała Andie.

Salazar spojrział na nią i odparł:

- To bardzo interesująca odpowiedź.

Andie kiwnęła głową, jakby uznała, że winna mu jest coś więcej.

- Poprzednio tego nie zrobił. Dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero z telefonu pana Thorntona.

- Więc dlaczego akurat teraz?

- Najwyraźniej chce wciągnąć w to FBI. Pewnie z jakiegoś powodu bał się, że pan nas nie zawiadomi.

- I słusznie. Nie zamierzałem was zawiadamić.

- Dlaczego?

- Mam swoje powody. Ale bardziej intryguje mnie to drugie pytanie: dlaczego porywacz chce wciągnąć w to FBI?

- Prawdopodobnie chodzi mu o swego rodzaju sławę. Nie zależy mu na popularności w mediach, ale chce, żeby zauważyła go i doceniła policja. Jest bardzo prawdopodobne, że tymi listami próbuje nam coś przekazać: porywa żonę i każe mężowi zapłacić tyle, ile jest według niego warta. Tak przynajmniej wynika z częściowego profilu psychologicznego, jaki udało nam się sporządzić.

- I to mnie przeraża - powiedział Salazar.

- To zrozumiałe.

- Ludzie kierujący się motywami innymi niż pieniądze zawsze mnie przerażali - dodał z kamienną twarzą Latynos.

- Owszem, to dodatkowa komplikacja.

Salazar odwrócił się i zapatrzył w dal.

- Jakby sytuacja nie była już wystarczająco skomplikowana.

Andie wyczuła, że jest gotów się wreszcie otworzyć.

- Czyżby chciał pan powiedzieć mi coś, czego pan nie powiedział, a co powinnam wiedzieć?

Salazar odszedł od okna i odwrócił się do kominka. Wisiał tam duży portret Mii, ale on na niego nie spojrzał.

- Wtedy, kiedy rozmawialiśmy o pieniądzach w zamian za dowód, że moja żona żyje... Muszę się przyznać, że gdy poprosiłem, żebyście zadzwonili do Jacka Swytecka, pozwoliłem sobie na mały żart.

- Rzeczywiście, kiedy z nim rozmawiałam, był bardzo zaskoczony. Nie wiedział nawet, że jest pańskim adwokatem.

- Bo nim nie jest.

- W takim razie kim jest?

- Kochankiem mojej żony.

Andie aż sapnęła.

- Kiedy powiedział mi pan, że Mia miała romans, nie wiedziałam, że chodzi o Swytecka. Jest pan tego pewny?

- Absolutnie.

- To by wiele wyjaśniało. Tak, Swyteck zachowywał się dość dziwnie, ale pomyślałam, że może coś podejrzewał albo wiedział o romansie pańskiej żony. Ale nie, ani razu nie zdradził się z tym, że chodzi o niego.

- Nie przypuszczam, żeby był z tego specjalnie dumny.

- Tu nie ma miejsca na dumę. Uprawdzono pańską żonę i muszę wiedzieć absolutnie wszystko, co ma jakikolwiek związek z tą sprawą. To dotyczy również pana.

- Myślę, że doszliśmy już do porozumienia. Rozmawiałem z nim po waszym spotkaniu. Uznaliśmy, że powinniście wiedzieć o tym romansie i uzgodniliśmy, że to ja pani o tym powiem.

- To bardzo miło z waszej strony, ale cholera jasna, dlaczego dopiero teraz?

- Potrzebowałem więcej czasu. Musiałem to sobie przemyśleć.

- Co przemyśleć?

- Czy nadal chcę, żeby Swyteck dostarczył porywaczowi pieniądze w zamian za dowód, że Mia żyje.

Andie szyderczo wykrzywiła usta.

- Naprawdę myśli pan, że to wchodzi w grę? Teraz? Po tym, jak powiedział mi pan, że

Swyteck sypiał z pańską żoną?

- Oczywiście, to jak najbardziej sensowne. Swyteck ma poczucie, że jest mi coś winny, więc pozwolę mu być kurierem. Jeśli mu się uda, naprawi swój błąd i zyska spokój ducha. Jeśli nie, skończy w kostnicy; nie będę po nim płakał. Tak więc jest to klasyczna sytuacja, w której nie ma przegranych.

- Może według pana. Ale z mojego punktu widzenia to wszystko zmienia.

- Na inny plan się nie zgodzę.

- Chce pan powiedzieć: Swyteck albo nikt?

- Otóż to. Nie zamierzam narażać na niebezpieczeństwo przyjaciół.

- Poślemy naszego agenta. Tak będzie najbezpieczniej.

- Myślałem, że z tego zrezygnowaliśmy.

- Nie ulega wątpliwości, że porywacz chętniej zgodzi się na nasze warunki, mając pewność, że „kurier” nie jest policjantem. Właśnie dlatego w pierwszej chwili pomyśleliśmy o Swytecku. Ale nasi agenci potrafią być bardzo przekonujący...

- Nie, nie chcę żadnych agentów. Tak jak powiedziałem: Swyteck albo nikt.

- W takim razie nikt. Nie podoba mi się ten wątek osobisty.

- Wielka szkoda - wycedził Salazar. - Ale to ja stawiam warunki, nie pani.

- Słucham?

- Kiedy porywacz zadzwoni, to ja będę z nim rozmawiał. I powiem mu, że mój adwokat, Jack Swyteck, dostarczy dziesięć tysięcy dolarów w zamian za dowód, że Mia żyje. To może być moje dziesięć tysięcy, i załatwię to sam. Ale może to być również dziesięć tysięcy FBI, a wtedy będziecie mogli trzymać rękę na pulsie. Niech pani wybiera.

Andie przyjrzała mu się uważnie. W jego ciemnych, przesywających oczach kipiał gniew, gniew, nad którym Salazar z trudem panował.

- Proszę mi coś powiedzieć: czy byłby pan bardzo zawiedziony, gdyby podczas przekazywania pieniędzy Swyteckowi przytrafiło się coś złego?

- Nikomu bym tego nie życzył.

Ciekawe, dlaczego w to wątpię? - pomyślała Andie.

Zadzwonił telefon. Technik zerwał się z sofy i spojrzał na ekran stojącego przed nim monitora.

- To może być on. Dzwoni przez IP, przez protokół komunikacyjny.

Andie nie bardzo się na tym znała i rozumiała tylko tyle, że porywacz korzysta z urządzenia zamieniającego cyfrowy sygnał dźwiękowy w skompresowany pakiet, który wędruje między węzłami sieci.

- Dasz radę go namierzyć?

Telefon wciąż dzwonił, przypominając, że nie ma czasu na myślenie.

- Spróbuję - odparł technik. - Ale zanim zdążę przebić się przez serwery, facet się rozłączy. - Zamilkli. Rozległ się dzwonek czwarty i piąty. - Ktoś musi odebrać - dodał technik, wkładając słuchawkę.

Salazar spojrział ostro na Andie.

- Moje zasady - powiedział.

Siódmy dzwonek. Andie mogła tylko bezsilnie patrzeć, jak Latynos podnosi słuchawkę. Rzucił: „Halo” i w eterze zapadła ciągnąca się w nieskończoność cisza. Andie poprawiła słuchawkę. Czekala. W końcu padła odpowiedź.

- Jesteś sam? - Głos był zniekształcony przez jakieś urządzenie mechaniczne. Brzmiał jak spod wody - upiorny zbieg okoliczności w świetle tego, co spotkało Ashley Thornton.

- To pan? Dobrze się domyślam?

Znowu zapadła cisza, ale tym razem Andie wiedziała, że opóźnienie jest rezultatem transmisji internetowej.

- Tak. Nowy przyjaciel twojej żoneczki. A więc domyśliłeś się, co?

Salazar milczał i Andie pomyślała, że robi to celowo, pamiętając to, co powtarzała mu na okrągło przez całą godzinę: Nie denerwuj się i nie miotaj. Pomyśl, zanim cokolwiek powiesz.

- Miałem nadzieję, że pan zadzwoni.

- Zawsze do usług.

- Czego pan chce?

Andie aż się skrzywiła: Salazar za wcześnie przeszedł do sedna sprawy. Technik stukał w klawiaturę, łącząc się z terenowymi namiernikami, rozpaczliwie próbując zawęzić obszar, na którym znajdowało się źródło transmisji. Andie pomachała do Salazara ręką i gestem dała mu do zrozumienia, żeby jak najdłużej przeciągał rozmowę.

- Dobrze wiesz, czego chcę - odparł porywacz.

- Tyle, ile jest dla mnie warta? - spytał Salazar.

- Ani centa mniej.

- Dobrze. Myślę o bardzo konkretnej kwocie.

- Świetnie. W takim razie możemy od razu przejść do interesów.

- Nie tak szybko. Chcę wiedzieć, czy moja żona... wciąż jest wśród nas.

- Musisz wiedzieć tylko jedno: jeśli nie zapłacisz, ona umrze.

- Chyba stać nas na więcej. Chcę dowodu, że żyje.

Czekali, ale odpowiedź długo nie nadchodziła. Agent podkręcił głośność i Andie bała się



przez chwilę, że stracili łączność.

- Zapłacę za to - dodał Salazar.
- Teraz mówisz do rzeczy - odparł porywacz.
- Pięć tysięcy.
- Dziesięć.

Salazar znowu zamilkł, jakby musiał to przemyśleć.

- Dobrze - odparł. - Dziesięć. Pieniądze dostarczy mój adwokat. Nazywa się Jack Swytek. S-W-Y-T-E-C-K - przeliterował.

Andie miała ochotę zapchać mu usta szarfetą. Za wcześniej zdradził mu jego nazwisko. To było bezsensowne, zupełnie niepotrzebne.

- Powiedz temu Swytekowi, że się do niego odezwę.
- Kiedy? - spytał Salazar.
- Kiedy będę miał ochotę. Dobra, jakiego chcesz dowodu? Zdjęć?

- Zdjęcia nie są żadnym dowodem, nie w tym cyfrowym świecie. Chcę, żeby odpowiedziała na pewne pytanie. Tylko ona zna odpowiedź.

- Dobra, wal.

Andie zerknęła na technika, który pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że z namiaru jak dotąd nici.

- Niech powie... - zaczął Salazar.

I urwał. Andie wpadła w popłoch. Ćwiczyli to kilkanaście razy. Mia kochała konie i jej pierwszy miał na imię Azucar. Czekala, aż Salazar zada wreszcie to nieszczęsne pytanie, ale on dosłownie zeszywniał jak ktoś, kto zapomniał powtarzanego sto razy wiersza.

Chwyciła ołówek, notatnik i szybko napisała: IMIĘ KONIA!

Ale nie, jego pełna zadowolenia mina mówiła, że niczego nie zapomniał. Uśmiechnął się ledwo dostrzegalnym uśmiechem i powiedział:

- Niech pan ją spyta, co pocałunki mają wspólnego z nieruchomościami.
- Że co? - nie zrozumiał porywacz.

Że co? - miała ochotę krzyknąć Andie. Tego pytania nie brali pod uwagę, nie na takie się umawiali.

- Tylko tyle - ciągnął Salazar. - Chcę wiedzieć, co pocałunki mają wspólnego z nieruchomościami.

Andie miała ochotę wyrwać mu słuchawkę z ręki, ale co powiedziałaby tamtemu? Że pan Salazar nie może dłużej rozmawiać, bo jest bardzo niegrzecznym chłopcem, który nie chce słuchać poleceń agentki FBI? Mogła tylko milczeć i mieć nadzieję, że uda jej się

zminimalizować ewentualne szkody. Ale kiedy zobaczyła, że Salazar też pisze coś na kartce, sama poczuła się jak ofiara porwania.

MOJE ZASADY - napisał wielkimi literami, a słowo: MOJE trzy razy podkreślił.

- Czekam na wiadomość - rzucił do telefonu.

Porywacz rozłączył się i Salazar spokojnie odłożył słuchawkę, nie zwracając uwagi na to, że zarówno ona, jak i technik przeszywają go spojrzeniem ostrym niczym laser.

# 10

Theo podrapał się w głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Mam! - wykrzyknął. - I jedno, i drugie kosztuje znacznie więcej, niż się początkowo wydawało.

- Nie - powiedział Jack. - Lokalizację, brachu, lokalizację. Comprendre? Oto, co pocałunki mają wspólnego z nieruchomościami.

Byli w kuchni Jacka i Theo stał przed otwartą lodówką. Ale nie chciało mu się jeść. Dochodziła siódma wieczorem, na dworze było trzydzieści jeden stopni - nowy zimowy rekord - a Jack postanowił odłożyć remont klimatyzacji do kwietnia. Theo wziął puszkę zimnej coli i przetoczył ją po spoconym czole.

- To tak jak ty i ten fircykowaty adwokacina Bailey, tak?

- Że co?

- To, że całowałeś jego owłosione dupsko, żeby zdobyć nowych klientów, zanim wybuchła afera z Mią.

- Wcale nie...

Theo ukląkł na jedno kolano, złożył usta w ciup i cmoknął, głośno i przeciągle.

- Och, panie mecenasie, jak ja to uwielbiam, tę lokalizację, lokalizację, lokalizację. Ta tutaj to moja ulubiona...

- Przestań. Aż tak mu się nie podlizywałem.

Theo uniósł brew; słowa nie były tu potrzebne.

- Zgoda, może za bardzo podkręciła mnie myśl, że zdobędę w końcu klienta, którego stać na zapłacenie rachunku. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- A co ma?

Jack usiadł na stołku przy kuchennym blacie.

- Rozmawiałem dzisiaj z tą Henning. Wczoraj wieczorem do Salazara zadzwonił porywacz Mii.

- I co? Baltazar kazał mu się wypchać?

- Jeszcze nie. Zażądał dowodu, że Mia żyje i zadał mu pytanie.

Theo zachichotał, otwierając colę.

- Jakie? Co pocałunki mają wspólnego z nieruchomościami?

- Tak.

- Żartujesz?

- Henning mówi, że ją zatkało. W ogóle nie było mowy o takim pytaniu.

- Jasne, bo jest do dupy. Odpowie na nie każdy, kto wie cokolwiek na temat nieruchomości, wystarczy trochę pogłównkować. Gdyby spytał o napis wewnątrz swojej obrączki ślubnej, to co innego. O coś, co Mia na pewno by wiedziała, a czego tamten nie mógłby się domyślić.

- O to właśnie chodzi. Czy Salazar podejmuje po prostu złe decyzje, czy celowo próbuje sabotować akcję ratunkową?

- A ty? Jak myślisz?

Zasłonkami nad zlewem poruszył południowo-wschodni wiatr. Do kuchni wpadło jeszcze więcej gorącego powietrza.

- Dla potrzeb naszej rozmowy uznajmy, że chciał dobrze. Twierdzisz, że pytanie jest do kitu, ale może był to jej ulubiony dowcip i dlatego je zadał. Zbił majątek na handlu nieruchomościami. Pewnie to on go jej opowiedział.

- Albo?

Jack ścigał myśli, próbując ująć je w słowa.

- Może w ten sposób chciał dać Mii do zrozumienia, że o nas wie. Że wiedział od samego początku.

- Jak to?

- Ten sam dowcip Mia opowiedziała mnie.

- Kiedy?

- Zanim poznałem jej męża. To znaczy kilka godzin wcześniej.

- Na tej imprezie dla snobów?

- Nie. W domu.

- W sypialni?

- Nie. Tutaj, w kuchni.

I nagle zrobiło się tak, jakby przez okno wpadł lodowaty podmuch wiatru i wyparł z domu całe ciepło. Theo przeciągnął ręką po gardle: ani słowa więcej! Odepchnął się od lady i stanął na środku kuchni. Szafki, lady, toster, dzbanek - omiół wzrokiem całe pomieszczenie, jakby miał w głowie wykrywacz urządzeń podsłuchowych. Intensywnie myślał, próbując ustalić, gdzie podrzuciłby „pluskwę”, gdyby to on zakładał tu podsłuch. W końcu skupił się na wiszącym nad ladą wentylatorze. Stanął na krześle i wskazał mosiężny panel, na którym go zamontowano. Z dziurki na śrubę wystawał malutki guzek, zupełnie niewidoczny, chyba

że się wiedziało, gdzie go szukać. Jack był pod wrażeniem.

Theo uśmiechnął się, jakby chciał wykrzyknąć: Bingo! Wyrwał „pluskwę”, rzucił ją na podłogę, zeskoczył z krzesła i zmiażdżył ją obcasem buta.

- Adios, señor Zanzibar.

Jack już miał go poprawić, ale Theo nie dał mu dojść do słowa.

- Może być tego więcej - szepnął. - Chodźmy na dwór.

Wyszli na patio i zasunęli drzwi. Nadbrzeżny wał i łódź rybacka, którą Theo cumował na przystani Jacka - tu przystanęli.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy skąpisz na porządną klimatyzację i przez cały dzień zostawiasz otwarte okna? Wygląda na to, że Ernesto i jego chłopcy złożyli ci wizytę i zapluskwili cały dom.

- Jesteś pewny, że to on?

- To standardowy szajs, który można kupić w każdym sklepie dla podglądaczy. Łatwy do zamontowania, idealny dla kogoś, kto chce mieć oko na zbyt ruchliwą żonkę. FBI? Odpada, za słaby sprzęt.

- Nie, myślałem, że może to porywacz Mii.

- Salazar, na sto procent. To nie przypadek, że pytanie, które zadał temu kutasowi przez telefon, i dowcip, który opowiedziała ci Mia, zanim wskoczyliście do wyra, to jedno i to samo.

Jack wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

- Na myśl, że nas słyszał, że słyszał każdy odgłos...

- No i że były to odgłosy, których Mia nie wydawała w jego sypialni.

- Tak przynajmniej mówiła.

- To wystarczy, żeby wkurzyć każdego żonkosia.

- Wkurzyć na tyle, że jest gotów celowo pokrzyżować plany FBI? Dobre pytanie.

- No nie, co ty bredzisz? Wkurzyć na tyle, że nakarmił żonę rybki i upozorował jej porwanie.

- W takim razie może jednak miałem rację.

- Fakt. Porywacz też mógł założyć ci podsłuch.

Jack w zamyśleniu popatrzył na zatokę.

- Chyba będę musiał porozmawiać z panią Henning.

# 11

Przeszukanie domu nie ujawniło innych „pluskiew”. Technicy FBI mieli analizator widma i kamerę termowizyjną, którą zbadali ściany i płyty sufitowe. Mieli nawet miernik uniwersalny Fluke'a, którym sprawdzili wszystkie przewody i kable. Mieli sprzęt jak z katalogu doktora Seussa<sup>4</sup> i Jack zaczynał się już zastanawiać, kiedy przyjdzie czas na zgrabny termometr doodbytniczy rodem z Ktosiowa<sup>5</sup>.

- A kto sprawdzi, czy FBI nie założyło tu swego własnego podsłuchu? - spytał na podjeździe Theo.

- Nie wpadaj w paranoję.

- A ty nie bądź naiwny.

Jack oparł się o drzwiczki samochodu. Adwokat zawsze pozostanie adwokatem.

- Znasz kogoś, kto ma odpowiednie zabawki?

- Jasne - odparł Theo.

- Przyprowadź go dziś wieczorem.

- Rozkaz, szefie.

Andie postanowiła pozostać w rezydencji Salazara - swoim centrum operacyjnym - aż znajdzie porywacza jego żony albo aż Salazar ją wyrzuci. O wpół do dziewiątej wieczorem miała być u Jacka, ale Jack nie chciał, żeby pojawiła się w samym środku ponownego przeszukania domu, tym razem w wykonaniu Thea i jego kumpla. Nieufność wobec FBI a okazanie stopnia tejże nieufności to dwie zupełnie różne rzeczy. I żeby nie musiała jechać aż do Key Biscayne, zaproponował kawę gdzieś w centrum. Umówili się w Perricone w pobliżu dzielnicy finansowej przy Brickwell Avenue.

Perricone Marketplace & Cafe to kawałek starego Miami, coś jak Nowa Anglia. Budynek, który tu kiedyś stał, został zburzony, podobnie jak wiele innych budynków w historii Miami. Nowy właściciel, restaurator wizjoner, kupił w Vermont osiemnastowieczną stodołę. Przewiózł ręcznie ciosane belki, ściany i deski na Florydę i tu kawałek po kawałku

---

<sup>4</sup> Theodor Seuss Geisel znany jako Dr. Seuss, amerykański autor książek dla dzieci, które weszły do kanonu literatury tego gatunku.

<sup>5</sup> Ktosiowo, wioska Whoville z powieści Dr. Suessa i opartego na niej filmu How the Grinch stole Christmas (Jak Grinch ukradł Święta).

odtworzył dawno zapomnianą atmosferę starego Miami. Z przodu urządził sklep spożywczy dla smakoszków, a z tyłu, na skraju parku, przytulną restauracyjkę pod rozłożystymi dębami. Nikt by się nie domyślił, że ledwie kilka ulic na wschód od parku ciągnie się zabudowane apartamentowcami wybrzeże. Dodać do tego dobre jedzenie, przyzwoite ceny i Perricone było chyba najbardziej udanym jankeskim przeszczepem na Florydzie od czasów Jackie Gleasona<sup>6</sup>, przynajmniej według Jacka.

Z tym, że wielki Gleason parzył znacznie lepszą kawę.

- Przepraszam, że nie zdążyłam na przeszukanie - powiedziała Andie.

Siedzieli przy narożnym stoliku pod dębami. Sami, bo wszyscy pozostali goście woleli klimatyzację.

- Nie szkodzi - odparł Jack. - Ciężko tam dojechać nawet w weekend.

- Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłam. Jestem tu dopiero od kilku miesięcy.

- Zupełnie inaczej niż w Seattle, prawda?

- Wbrew pozorom Seattle i Miami są do siebie podobne.

- Tak, pewnie przez te góry.

- Serio. Jedno i drugie miasto leży na zacisznym uboczu czterdziestu ośmiu stanów. W obydwu dochodzi do napięć etnicznych. I w obydwu roi się od szaleńców. Myśli pan, że to przypadek, że Ted Bundy zaczynał w Seattle, a skończył na Florydzie?

- Nigdy tak na to nie patrzyłem - przyznał Jack.

- Widzi pan? Czegoś się pan nauczył.

Miała ładny uśmiech i była bardziej odprężona niż podczas ich pierwszego spotkania. I ładniej ubrana. Może to wpływ Palm Beach, kto wie. Tak czy owak, Jack dopiero teraz zrozumiał, co jego były szef miał na myśli, gdy mówił, że „odlotowa z niej laska”. Kruczoczarne włosy, niesamowite zielone oczy - miała uderzającą, egzotyczną urodę.

- A więc, o czym pan chciał ze mną...

- A więc, co sprowadziło panią do...

Zaczęli jednocześnie i jednocześnie urwali w połowie zdania. Było widać, że ona chciała mu zadać pytanie służbowe. Było również widać, że on nie, co go trochę speszyło. To nie jest randka, Swydeck!

Kelner podał im kawę i zniknął. Andie odczekała, aż odejdzie, i spytała:

- Naprawdę chce pan wiedzieć, dlaczego przyjechałam do Miami?

- Nie chciałem być wścibski...

---

<sup>6</sup> Herbert John Gleason, Jr. (ur. 26 lutego 1916 w Nowym Jorku, zm. 24 czerwca 1987 w Fort Lauderdale) - amerykański aktor i komik.

- Nie szkodzi. Głównie dlatego, że potrzebowałam zmiany.

- Lepszych perspektyw zawodowych?

- Niezupełnie. W Seattle nieźle sobie radziłam. Szef był kiedyś moim agentem prowadzącym i świetnie się nam współpracowało.

- Chciała pani spróbować czegoś innego? Tak po prostu?

- Trudno to wyjaśnić... Większość ludzi nie umie współżyć z innymi.

- Mówi pani o sobie? Bo ma pani taką pracę?

- Nie, bo jestem półkrwi Indianką wychowaną przez białych rodziców. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Moi rodzice to wspaniali ludzie, a ja nie jestem wariatką z chipem w ramieniu. Po prostu uznałam, że najwyższa pora iść dalej, znaleźć sobie miejsce, gdzie nie będę musiała nawet pomyśleć o dopasowywaniu się do jednej kultury czy drugiej.

- Nie wierzę, żeby była pani jedyną mieszkanką Seattle o mieszanym pochodzeniu.

- Nie, ale pomyślałam, że to bzdura, że niby dlaczego mam się z tym godzić? Pamiętam, poszłam kiedyś na taką indiańską balangę na uniwerku. Dziewczyny popatrzyły na moje zielone oczy i natychmiast zaczęły traktować mnie jak kolejną napaloną białaskę, która szuka wielkiego indiańskiego ogiera.

- To ciekawe.

- Nie, miały rację. Ale wkurzyło mnie, że tak pomyślały.

Jack rozdziawił usta.

- Czerwieni się pan? - spytała Andie, najwyraźniej zadowolona, że odebrało mu mowę.

Jack wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko, myśląc o swojej kubańskiej matce, której nawet nie znał, i o sobie, półkrwi Kubańczyku, który spróbował plantanów dopiero na drugim roku studiów. Ale teraz rozmawiali o Andie, dlatego nie chciał opowiadać jej o dwudziestotrzyletniej dziewczynie, która zmarła przy porodzie, i o macosze alkoholizce, która spaliła wszystkie listy od jego kubańskiej babci.

- Rozumiem pani sytuację o wiele lepiej, niż pani myśli. - Powiedział tylko tyle.

Kelner zajrzał do nich i dyskretnie się wycofał. Andie wsypała do filiżanki słodzik i zamieszała kawę. Przeszli do rzeczy i Jack opowiedział jej całą historię, przedstawiając również teorię Thea, że Salazar mógł zabić żonę i upozorować porwanie.

Andie zastanawiała się przez chwilę i pokręciła głową.

- Mocno naciągane.

- Dlaczego?

- Jak już mówiłam, policja nie podała do wiadomości publicznej treści listu porywacza. „Zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta”: to jego podpis i nie chcieliśmy, żeby zalała nas fala



naśladowców. Gdyby Salazar rzeczywiście upozorował porwanie, wykorzystując jego dokładne słowa, znaczyłoby to, że miał dostęp do szczegółów poprzednich uprowadzeń.

- Coś takiego, przeciek na policji.

Andie z uśmiechem kiwnęła głową.

- Wiem, wiem. Ale nie przypuszczam, żeby do tego doszło.

- Czy uprowadzenie Mii jest naprawdę tak podobne do uprowadzenia Ashley Thornton?

- Nie mogę powiedzieć wszystkiego, ale... Jest kilka istotnych różnic. W przypadku Mii list z żądaniem okupu trafił i do Salazara, i do nas. Poprzednio porywacz napisał tylko do Thorntona. I nie dzwonił do niego przez Skype'a.

- Żadna z tych różnic nie daje wam do myślenia?

- Jest zbyt wiele innych ważnych podobieństw.

- A więc uważa pani, że to czysty przypadek, że żona znika zaraz po tym, jak mąż dowiaduje się o jej zdradzie?

- Taki sam przypadek jak to, że żona znika zaraz po tym, jak jej kochanek dowiaduje się nagle, że go oszukiwała i jest mężatką.

Jack zakrztusił się mleczną pianą.

- Chwileczkę. Chce pani powiedzieć, że jestem na jakiejś liście i nic o tym nie wiem?

- Ujmijmy to tak: jest pan na tej samej liście co Salazar.

- Nie wiem, co o tym myśleć.

- Nie twierdzę, że pana podejrzewamy. Może się grubo mylę, i co do pana, i co do niego, ale na razie niczego nie wykluczam.

- Rozumiem. - Jack znał życie i wiedział, że bez względu na to, czy policja oficjalnie to przyznaje, czy nie, każdy jest podejrzanym do czasu, aż zostanie wykluczony. Zwłaszcza kiedy dotyczy to dwóch mężczyzn z miłosnego trójkąta.

Andie odstawiła pustą filiżankę, jakby się do czegoś szykowała.

- Nie pytam o to z próżnej ciekawości, ale chciałabym wiedzieć. Co pan czuł do Mii?

- Zanim dowiedziałem się, że jest mężatką czy potem?

- Zaczniemy od „zanim”.

- Dużo mnie z nią łączyło.

- Kochał ją pan?

- Może. Na pewno znaczyła dla mnie więcej niż inne kobiety, z którymi spotykałem się po rozwodzie.

- A co czuje pan do niej teraz?

- A jak pani myśli?

- Gdyby porywacz przysłał panu taki sam list: „Zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta”, zrobiłby pan to samo co Salazar?

- Na pewno nie.

- Zapłaciłby pan okup?

- Tego nie powiedziałem. Salazar gra w niebezpieczną grę. Ma prawo decydować, zapłacić czy nie. Ale nie powinien bawić się z porywaczem, to może ją zabić.

- A więc rozumie pan, dlaczego jestem taka sfrustrowana. Policja mówi: nie płac, a rodzina i tak płaci. Ale cóż, w takich sytuacjach FBI może tylko doradzać. Salazar ma prawo prowadzić negocjacje tak, jak chce.

- Tak, ale w pewnym momencie musicie w to wkroczyć i powiedzieć: Chłopie, zachowujesz się jak ostatni palant. Nie pozwolimy, żeby ktoś przez ciebie ucierpiał.

- To prawda. Dlatego powinien pan się w to włączyć.

- Jak to?

- Myślę, że wciąż zależy panu na Mii. I że Salazar o tym wie.

- W takim razie obydwójce się mylicie.

- Hej, jestem policjantką, ale i kobietą. Nie oszuka pan ani mnie, ani siebie, nie w tych sprawach. Uczucia, jakimi darzymy innych, rzadko kiedy są racjonalne.

Jack uciekł wzrokiem w bok.

- Co to ma to rzeczy?

- Chcę, żeby dostarczył pan porywaczowi pieniądze za dowód życia.

- Tak?

- Przyznaję, że kiedy dowiedziałam się o waszym romansie, byłam temu przeciwna. Ale Salazar powiedział jasno: żadnych agentów. Dlatego boję się, że jeśli pan odmówi, zrobi to sam. Albo, co gorsza, pošle tam jednego ze swoich goryli, który wszystko schrzani.

- Może nawet tego samego, który założył podsłuch w mojej kuchni.

- Właśnie. Im więcej odbierzemy mu spraw związanych z negocjacjami i przekazaniem okupu, tym lepiej dla nas wszystkich. Zwłaszcza dla Mii.

Jack w zamyśleniu dopił kawę.

- W zeszłym tygodniu, kiedy zobaczyłem u was załamanego Thorntona, byłem gotów wam pomóc. Ale pytanie Salazara wszystko zmienia. W najlepszym wypadku jest cwany. W najgorszym próbuje zrobić komuś krzywdę. Nie jestem tego pewny.

- Rozumiem. Tak czy inaczej, chcę usunąć go z drogi. Nie prosiłabym byle kogo. Ale jako były prokurator musi pan wciąż mieć w sobie coś, co każe panu ścigać tych złych.

- Chyba tak. To coś i silny instynkt przeżycia, tak dla równowagi. Do kiedy muszę

zdecydować?

- Porywacz powiedział, że zadzwoni. Lada dzień. Może nawet lada chwila.

Jack zabębnił palcami w stolik, ale to wcale nie przyspieszyło odpowiedzi. Spojrzał na Andie.

- Prześpię się z tym - powiedział, dobrze wiedząc, że sen nie wchodzi tej nocy w rachubę.

## 12

Po wyjściu z restauracji trafił na zieloną falę i dojechał aż do skrzyżowania z Miami Avenue, gdzie światło się w końcu zmieniło. Po lewej stronie stała tablica witająca wjeżdżających do Key Biscayne, naturalnej wielkości plastikowy delfin. Jeszcze niedawno był to rekin. Jack wyobraził sobie jak w garniturze w jodełkę chodzi po ulicy i pyta: „Czy odniósł pan jakieś obrażenia?” - bardzo odpowiedni hołd złożony wszystkim bogatym prawnikom, którzy tu mieszkali.

Czasem zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby zajął się odszkodowaniami. Koniec kłopotów finansowych. Stary kabriolet poszedł z dymem? Nie ma problemu, kup sobie dwa nowe. Wali ci się małżeństwo? Co za sprawa? Adwokat bierze tysiąc dolców za godzinę i nie ma takiego rozwodu, którego by nie załatwił. Ale wieczne użeranie się z niezliczonymi klientami, którzy potknęli się na ulicy i złamali nogę, i rozpaczliwe czekanie, aż zjawi się u niego pogrążona w smutku matka z raczkującym niemowlakiem, który doznał porażenia czterokończynowego po tym, jak zepchnął go na jezdnię Donald Trump, jak potrafiła go furgonetka FedExu i jak pijany lekarz pogotowia zdiagnozował u niego gripę, nie było w jego stylu. Podobnie jak podlizywanie się komuś takiemu jak Bailey. Jedynym pozytywnym aspektem afery z Mią było to, że położyła ona kres temu idiotycznemu pościgowi za złotymi kajdankami. Albo - jak ujął to Theo - za wskaźnikiem WS.

Stojąc na czerwonym świetle, zadzwonił z komórki do Thea.

- Twój znajomy jeszcze tam jest?

- Co? - spytał Theo.

- Ten elektronik. Skończył już szukać „pluskiew” czy nie?

W tle rozbrzmiewała muzyka i śmiech.

- Tak, jeszcze jest - odchrząknął Theo. - Przyprowadził paru kumpli, pana Jacka Danielsa, pana Bacardi...

Świetnie, pomyślał Jack. Świetnie.

Theo powiedział coś, co zabrzmiało jak: „Przestań, złotko, rozmawiam przez telefon”, więc Jack rzucił tylko: „Cześć” i się rozłączył. Światło się zmieniło, ale on nie skręcił. Przeciął trzy pasy, zjechał na I-95 i ruszył prosto do Palm Beach.

Nadeszła pora złożyć wizytę przyjaciółce Mii.

Nie znał jej, ale miał numer jej komórki. Ilekroć Mia chciała skrócić spotkanie albo nieoczekiwanie zmienić plany, wymawiała się zwykle tym, że musi jechać do Emilii, która była w porozwodowym dołku. Bywało, że dzwoniła nawet z jej komórki, żeby powiedzieć, jak bardzo za nim tęskni. Patrząc wstecz, zdawał sobie sprawę, że robiła to nie dlatego, że zapomniała telefonu czy wysiadła jej bateria. Po prostu starała się jak najrzadziej dzwonić do niego ze swojej komórki, żeby mąż nie zwęszył czegoś, sprawdzając billing.

Wybrał numer Emilii i złapał ją na jakimś gwałnym przyjęciu. Nie była to najlepsza pora na rozmowę, mimo to nalegał.

- Muszę z panią porozmawiać. Chodzi o to porwanie. To bardzo pilne.

Wtedy uległa.

- Jestem w hotelu Breakers, ale spróbuję wymknąć się na kilka minut. Proszę zaczekać w holu.

- Będę o dziewiątej - odparł Jack.

Hotel Breakers, chyba najslawniejszy hotel w Palm Beach, dobrze odrestaurowany klejnot architektoniczny miasta, pachniał historią, luksusem i (hej, ostatecznie to Palm Beach) obrzydliwym snobizmem. Jego imponujące wieżyczki, bogato zdobioną kamienną fasadę i żelazne balkony wzorowano na rzymskiej willi Medyceuszy, a wspaniały portal zbudowano w stylu włoskiego renesansu. Przy stanowisku parkingowym stał sznur czarnych limuzyn. Jack zaparkował sam i wszedł do holu wraz z grupą starych bywalców, którzy wyglądali tak, jakby właśnie obrobili salon Chanel przy Worth Avenue. W dzinsach i podkoszulku ledwo sprostał wymaganiom dotyczącym stroju w Perricone, na spotkaniu z Andie Henning, i zaczynał się czuć jak żebrak na królewskim dworze. Powtarzał sobie, że dzinsy mogą być zwykłe - czemu nie? - ale kiedy przechodził przez hol, z jakiegoś powodu pobrzmiwała mu w uszach tytułowa melodia z Bogatych biedaków.

- Jack?

Odwrócił się i natychmiast ją rozpoznał. Emilia. Wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażał. Chociaż nie tak piękna jak Mia, miała w sobie coś wytwornego. A jej szmaragdowy naszyjnik świadczył, że na rozwodzie wyszła całkiem nieźle.

Usiedli przy kominku, na kanapie w stylu Ludwika XVI, z dala od tłumu. Emilia przycupnęła na samym brzeżku, ale nie dlatego, że piła mu z ust, tylko dlatego, że potrzebowała jeszcze paru tygodni diety, żeby wbić się bez kłopotów w swoją czarną, satynową sukienkę. Wymienili uprzejmości - jak to miło, że się w końcu spotykają, szkoda tylko, że w takich okolicznościach - i Jack przeszedł do rzeczy.

- FBI chce, żebyśmy im pomogli. Nie mogę zdradzać szczegółów. Ale to bardzo ważne i

muszę podjąć jakąś decyzję.

- I zadzwonił pan do mnie?

- Tak. - Zawahał się. - Nie wiem, czy to coś zmieni czy nie, ale... Po prostu nagle poczułem, że muszę... - Spojrzał na nią tak, że wszystko stało się jasne.

- Mia pana kochała - powiedziała Emilia głosem cichym i szczerym. - Wie pan o tym, prawda?

- Wiem tylko, że mnie okłamała.

Emilia odstawiła na marmurowy stolik opróżniony do połowy kieliszek szampana.

- Musi pan wczuć się w jej sytuację. Gdyby powiedziała panu, że jest mężatką, mógłby pan wpaść w złość, pobiec prosto do jej męża i wszystko mu wygadać. Mógłby pan nawet ją szantażować, nie wiem. Ostrzegałam ją, że mężatka nigdy nie powinna sypiać z nieżonatym mężczyzną. Trzeba mieć pewność, że obydwójce macie tyle samo do stracenia.

- Ciekawa teoria.

- Czytałam o tym w „Cosmopolitan”.

- Musiałem to przeoczyć.

Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że Jack żartuje.

- Niestety - ciągnęła. - Kiedy pana poznała, wszystkie zasady i cała logika wyfrunęły przez okno. To nie był zwykły skok w bok. Ona była w panu po uszy zakochana, od samego początku. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie odbił jej pan mężowi. Przestała go kochać już dawno temu.

- W takim razie powinna była się z nim rozwieść i dopiero wtedy szukać innego.

- To nie było takie łatwe.

- Nikomu nie jest łatwo.

- Nie, nie rozumie pan, jaki łączył ich układ.

- Ma pani rację, nie rozumiem. Powie mi pani jaki?

Emilia zerknęła w głąb holu, w stronę hałaśliwego tłumu gości w sali koktajlowej, jakby się zastanawiała, czy ma czas na wyjaśnienia.

- Prawda jest taka, że Mia nie mogła od niego odejść.

- Nie, to nie tak. Skoro od niego nie odeszła, to nie dlatego, że nie mogła, tylko dlatego, że nie chciała.

Emilia pokręciła głową.

- Gdzie się pan tego nauczył? Na studiach? Na zajęciach ze związków rodzinnych? Niech pan spróbuje pożyć trochę w realnym świecie.

Jack powiódł wzrokiem po holu.

- Mia żyła w Palm Beach - odparł. - Trudno nazwać to realnym światem.  
- Myśli pan, że w Palm Beach nie ma kobiet, które żyją w strachu?  
- Niby czego się boją? Tego, że po rozwodzie z bogatym mężem zostaną bez centa przy duszy?

Emilia zrobiła kwaśną minę.

- Widzę, że jest pan zły i wcale się panu nie dziwię. Ale chce pan poznać prawdę o Mii czy nie?

Jack głęboko odetchnął. Na sarkazmie łatwo można się przejechać i było mu wstyd, że to powiedział.

- Przepraszam. Proszę mówić dalej.

- Nie ulega wątpliwości, że kiedy spojrzy się na nią i na Ernesta, do głowy od razu przychodzi myśl, że wyszła za niego dla pieniędzy. Ludzie zawsze o niej plotkowali, mówili, że sypia z czyścicielem basenów, z jakimś tenisistą, i tak dalej. Ale jestem jej najlepszą przyjaciółką i powiem panu tylko tyle: pan był pierwszy.

- To niczego nie zmienia. Mia wciąż jest mężatką.

- No nie, proszę. To Ernesto ją zdradzał. Raz ją nawet uderzył.

- Pomyśli pani, że jestem jak pęknięta płyta, ale w takim razie dlaczego się z nim nie rozwiodła?

- Ja też ją o to pytałam, wiele razy.

- I co odpowiedziała?

- Seguridad. Po angielsku to...

- Bezpieczeństwo, wiem. Jestem półkrwi Kubańczykiem.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Nie szkodzi. Nikt by się tego nie domyślił, zwłaszcza słysząc, jak mówię po hiszpańsku.

Ale wróćmy do Mii. Rozumiem, że chodziło o bezpieczeństwo finansowe.

- Ja też tak początkowo myślałam. Ale pewnego wieczoru wypiliśmy kilka drinków. Zaczęłam o tym mówić i trochę się przede mną otworzyła. Okazało się, Mia i Ernesto nie podpisali nawet umowy przedślubnej. Na rozwodzie mogłaby się nieźle obłowić.

- I jaki z tego wniosek?

Emilia nachyliła się ku niemu i zniżyła głos.

- Taki, że została z nim nie ze względu na seguridad. Chodziło jej raczej o... *protección*.

- O ochronę? Przed czym?

- Nie chciała powiedzieć. Piłyśmy, na chwilę opuściła gardę i zaczęła mówić o czymś, o czym wyraźnie nie chciała rozmawiać nawet ze mną. Ale wyczułam, że dopóki jest z mężem,

nic jej nie grozi.

- Bała się czegoś konkretnego?

- Nie wchodziła w szczegóły. Wywnioskowałam to bardziej ze sposobu, w jaki mówiła o mężu. Że pochodzi z bardzo wpływowej rodziny, że jego nazwisko zna każdy Wenezuelczyk, że każdy mieszkający tu Latynos dwa razy pomyśli, zanim z nim zadrze. Nigdy nie przyznała tego otwarcie, ale tak, moim zdaniem właśnie dlatego za niego wyszła.

- A więc wyszła za kogoś, kogo boją się jacyś ludzie? Na tym polegała ta *protección*?

Emilia kiwnęła głową.

Jack odwrócił wzrok, zastanawiając się nad tym, co powiedziała.

Zza rogu wyszedł nagle jej partner.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale podają już kolację.

- Jeszcze minutka, zaraz przyjdę. Słowo.

Mężczyzna zrobił skonsternowaną minę i odszedł.

- Moja pierwsza prawdziwa randka od rozvodu - wyjaśniła Emilia. - Muszę wracać.

Wstali i wzięła go za rękę. Nie było w tym niczego niestosownego czy zaskakującego, ale Jack wyczuł, że to coś więcej niż zwykły uścisk dłoni.

- Może to banalne, ale księżniczka poznała swego księcia w nieodpowiednim czasie. Nie powinna była kłamać i jestem pewna, że tego żałuje. Nie proszę, żeby przyjął ją pan z powrotem. Ale jeśli może jej pan pomóc, proszę to zrobić. Proszę.

Nie chciał niczego obiecywać.

- Będę musiał to przemyśleć...

Urwał, bo ścisnęła go za rękę.

- Pozwoli pan, że zakończę tę rozmowę tak, jak zaczęłam: Mia pana kochała. Niech pan o tym pamięta.

Jack nie wiedział, co odpowiedzieć.

Posłała mu lekki uśmiech, jakby chciała podziękować mu z góry za pomoc. Potem odwróciła się i odeszła. Jack patrzył za nią, choć jej nie widział. Wiedział, że nie miała takiego zamiaru, ale jednego był pewny.

Tego, że kompletnie się w tym pogubił.



# 13

Nie wyszedł z hotelu od razu. Przeciął lodzię, minął basen i starannie wypielegnowany trawnik do krykieta. Przystanął dopiero na szczycie drewnianych schodów ze skarpy na plażę. Od dzieciństwa przyciągał go kojący szum i zapach oceanu.

Kochała mnie. Tak przynajmniej mówi jej najlepsza przyjaciółka. Ale co to za różnica. Teraz? Nawet gdyby jej nie porwano, wciąż miałaby męża. Którego nie kochała. Od którego z jakiegoś powodu nie chciała odejść. Może dlatego, że nie spotkała odpowiedniego...

Nie. Nie zamierzał tak myśleć, wykluczone. Bez względu na to, co miałyby się zdarzyć, już jej nie potrzebował. Ale i nie nienawdził. Przepełniał go gniew, tak, lecz ten gniew nie zostawiał przyprawiającego o mdłości poczucia nieodwracalnie straconego czasu, jakim było jego nieudane małżeństwo. Może dlatego, że od początku podejrzewał, że Mia nie mówi mu wszystkiego o sobie. A przede wszystkim tego, że jest mężatką. Mąż. Nigdy by się w coś takiego nie wpakował. Ale tak, jej przeszłość musiała skrywać jakąś tajemnicę. A to, że według jej przyjaciółki bała się opuścić męża, że wyszła za niego dla *protección*, tylko wzmogło te podejrzewania. I kazało mu wrócić myślą do czegoś, o czym rozmawiali tylko raz - podczas ich pierwszej łóżkowej randki.

- Dzisiaj są moje urodziny - powiedziała, gdy przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi.

Nawet nie próbował ukryć rozczarowania i zaskoczenia. Zjedli razem kolację i miło spędzili czas, tak, ale była to tylko zwykła kolacja, nic specjalnego.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Skończyłam trzydzieści lat. Nie ma już co oblewać.

- Chyba zwariowałaś. - Zamknął drzwi. - Chodź, pojedziemy gdzieś i coś zorganizujemy.

- Może lepiej... u ciebie?

Pocałowała go i zadrżał na całym ciele.

- To... znakomity pomysł - wykrztusił i znowu otworzył drzwi. Wzięła go za rękę, wprowadziła do środka i znowu pocałowała.

- Muszę się trochę odświeżyć - mruknęła.

- Przyniosę wino.

- Świetnie.

Wyglądała niesamowicie i modlił się w duchu, żeby nie uśmiechnąć się przy niej debilnym grymasem z cyklu: Hura! Zaraz będę uprawiał seks!

W oczekiwaniu na tę okazję, dwa tygodnie wcześniej włożył do lodówki butelkę białego wina i sięgając po doskonale schłodzone chardonnay, poczuł się dumny, że tak sprytnie to wszystko zaplanował. Rzecz w tym, że butelka była pusta. Ktoś wypił wino i żeby zamaskować kradzież, wcisnął do szyjki korek.

Niech cię szlag, Theo!

Szybko znalazł w spiżarni drugą, ale ta była ciepła jak ciepły był wieczór. Pobiegł z powrotem do kuchni, otworzył na oścież zamrażalnik i chwycił pojemnik z lodem. Pojemnik zawadził o duszoną wołowinę sprzed dwóch lat i kostki lodu posypały się na podłogę jak teksaski grad. Ukląkł i zaczął je zbierać. Wrzucił do zlewu najpierw po jednej, potem po dwie, wreszcie przeszedł na garście.

- Czeeeekam! I wcale od tego nie młodnieeeję!

Mia. Wołała z sypialni. Postanowił, że wieczór będzie idealny i że poda jej schłodzone wino, nawet jeśli miało go to zabić. Nie było czasu, żeby włożyć je do zamrażalnika, a na myśl o kieliszku kistlera z kostką lodu robiło mu się niedobrze. Nie, musi zrobić to inaczej. Wziął trzy kostki lodu, drugą ręką chwycił butelkę i stanawszy nad zlewem, zaczął szybko pocierać ją lodem z nadzieją, że chłód przeniknie przez szkło. Tak, po chwili zrobiło się zdecydowanie zimniejsze. Sztuczka poskutkowała. Wziął więcej lodu i zaczął pocierać jeszcze szybciej, z góry na dół, z góry na dół, jak szaleniec. Oddychał coraz głośniejszymi oddechami. Ręka wpadła w rytm, migała mu przed oczami jak zamazana smuga, a on tarł butelkę i pocierał, tarł i pocierał, i tak bez końca.

- To najdziwniejsza gra wstępna, jaką kiedykolwiek widziałam.

Jack zamarł. W drzwiach kuchni stała Mia. Była w czarnym body na ramiączkach, które musiała ukryć w sypialni w oczekiwaniu na tę wielką noc. Miała dziwną minę, więc opuścił na chwilę swoje ciało, żeby przyjrzeć się sobie oczami postronnego obserwatora. I zobaczył lecącego z nóg zboczeńca ze szklanym penisem w ręku.

- Wina? - spytał.

Mia tylko się uśmiechnęła.

- Chodź do łóżka.

Zostawił wino na zlewie. W sypialni grała już muzyka. Mia - nauczyła się obsługiwać jego stary adapter - puściła coś Santany. Przygasiła światło, odwróciła się i pocałowała go w usta. Całowała długo i namiętnie, i nagle opuścił go cały stres. Zdjęła mu koszulę i przesunęła dłońmi po piersi i brzuchu. Kolejny pocałunek i na podłodze wylądowały spodnie. Mia

usiadła na brzegu łóżka i otarła się twarzą o wybrzuszenie w jego slipkach. Jack uśmiechnął się i łagodnie ją odepchnął.

- Nie ma pośpiechu - szepnął.

Pomógł jej zdjąć body, spojrział na nią i pomyślał, że nie zasługuje na tak cudowną, tak wspaniale zbudowaną kobietę w czarnych koronkowych majteczkach. Czubkiem języka musnął jej nagie ramię, delikatnie popychając ją na łóżko. Położyła się na plecach, uniosła kolana, wzięła go za rękę, pociągnęła na siebie i objęła nogami w pasie. Mógłby od razu w nią wejść, ale nie wszedł. Znieruchomiał nad nią na wyprostowanych rękach, chcąc to maksymalnie przedłużyć. Pocałował ją w usta, potem w szyję.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - szepnął, zsuwając się w dół. Leciutko dotknął jej piersi podbródkiem, policzkiem i nosem. Otoczył pocałunkami pępek, czując, jak tężeje jej brzuch. Koronkowe majteczki prawie nie zasłaniały wzgóрка łonowego i czekanie było prawdziwą torturą, dlatego z trudem zszedł jeszcze niżej. Z głową między jej kolanami zaczął przesuwać się teraz do góry, całując wewnątrz ud.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedziała.

- Zaufaj mi. To znakomity początek.

- Po prostu... nie jestem pewna.

- Odpręż się. Rozluźnij.

Wyczuł jakiś ruch i zerknąwszy do góry, zobaczył, że sięga do lampki.

- Lepiej będzie po ciemku - szepnęła i światło zgasło.

Niezupełnie się z tym zgadzał, ale nie zamierzał z nią polemizować. Kontynuował podróż, całując to lewe udo, to prawe, powoli zbliżając się źródła podniecającego ciepła. W połowie drogi zaczął używać czubka języka. Miała taką miękką skórę, taką gładką... Jej nogi powinny się zapraszająco rozchyłać, tymczasem się zaciskały. I wtedy to znalazł: kres gładkości. Po ciemku nic nie widział, ale wyczuł to językiem. Tam, na lewym udzie, ledwie kilka centymetrów od wejścia do pochwy. Blizna.

Bardzo duża blizna.

Próbował niczego po sobie nie okazywać, lecz było to niemożliwe. I bezsensowne, bo ona zareagowała za nich dwoje.

- To po tatuażu.

Nie odpowiedział. Znieruchomiał z głową między jej nogami. Jeśli rzeczywiście usunięto jej tatuaż, powinna była pozwać lekarza, bo spartaczył robotę. Mia kłamała.

Z każdą chwilą była coraz bardziej spięta. Nie wiedział, czy pieścić ją dalej, czy nie, ale zdecydowała za niego. Łagodnie uniosła mu twarz i pociągnęła go do góry. Sunąc ciałem po

jej ciele i kładąc się z boku, wyczuł, że ma gęsią skórę. Znowu znieruchomiał, ona też. Muzyka wciąż grała, ale oni milczeli. W końcu pogłaskał ją po twarzy i spytał:

- Chcesz o tym porozmawiać?

Tylko pokręciła głową.

- Na pewno?

- Przytul mnie - powiedziała załamującym się głosem. - Proszę. Przytul. Mocno.

Ze wspomnień wyrwało go brzęczenie komórki. Dzwonek telefonu zakłócił panujący na plaży spokój - co za dysonans - mimo to Jack uległ technologii i spojrział na ekranik. „Numer zastrzeżony”. Nie było w tym niczego niezwykłego, ale zważywszy na okoliczności, każdy tajemniczy telefon działał na niego jak zastrzyk adrenaliny. Otworzył klapkę i przytknął komórkę do ucha.

- Halo?

- Koniec czekania, Swytek. - Metaliczny, wyraźnie zniekształcony głos.

- Kto mówi? - Jack zadał to pytanie odruchowo, żeby odbić piłkę do przeciwnika.

- Osama bin Laden. A jak myślisz?

- Czego chcesz?

- Salazar mówi, że paleczkę przejął jego adwokat. Mam to załatwić bezpośrednio z tobą.

Jack zacisnął usta. Koniec rozważań z cyklu mieszać się w to czy nie. Rozmawiał z człowiekiem, który bezlitośnie zamordował Ashley Thornton i który mógł zamordować Mię. Jej życie leżało w jego rękach, dlatego zamiast burknąć: „Przykro mi, ale mnie okłamała, więc niech radzi sobie sama”, powiedział:

- Słucham.

- W przyszłym tygodniu dostaniesz e-mail. Z rana, przed dziewiątą. Otwórz go i przeczytaj. Znajdziesz tam dalsze polecenia. Dokładnie je wypełnij. Kiedy przekażesz szmal, dostaniesz odpowiedź na pytanie Salazara.

- Dobrze.

- Jeszcze jedno. Nie chcę żadnego FBI, żadnych glin czy prywatnych detektywów. Jeśli w wymianie bierze udział więcej niż dwóch ludzi, wszystko trafia szlag. Komuś może stać się krzywda. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Oby. Powtarzam: wymiany dokonamy tylko we dwóch. Ty i ja, sami. Złamiesz zasady i zapłaci za to ktoś, na kim najbardziej ci zależy.

Porywacz rozłączył się, zanim Jack zdążył cokolwiek powiedzieć, chociaż i tak nie

wymyśliłby niczego sensownego. To, czy zależało mu na Mii czy nie, było nieistotne. Spokoju nie dawało mu coś innego: Jeśli nawet wciąż mu zależało, skąd wiedział o tym porywacz?

I dlaczego uważał, że „najbardziej” zależy mu akurat na niej?

Żeby zebrać myśli, spojrzał na ocean, na łagodne fale, w których igrał blask księżyca. Patrzył tylko przez chwilę, potem otworzył klapkę telefonu i wybrał numer Andie Henning.

# 14

E-mail przyszedł już w poniedziałek o ósmej rano, wcześniej, niż Jack się spodziewał. „Idź na róg Miami Avenue i Flagler. Znajdź ławkę naprzeciwko drogerii. Usiądź na jej północnym końcu i czekaj”.

Natychmiast zadzwonił do Andie. Chociaż porywacz ostrzegł go, żeby nie zawiadamiać policji, nie zamierzał ryzykować, zwłaszcza że zawarte w liście polecenia były dość dziwne. „Usiądź na jej północnym końcu” - co ten facet knuł? Chciał wystawić go na odstrzał? Jack cieszył się, że poszedł z tym do FBI choćby tylko dlatego, że dali mu wyłożoną kevlarem wiatrówkę - nie wspominając już o walizeczce z dziesięcioma tysiącami dolarów w znaczonych banknotach, z wyrazami uszanowania od Departamentu Skarbu.

Wyszedł z domu w niecałe dziesięć minut, ale ponieważ panował duży ruch, minęło sporo czasu, zanim dojechał do centrum, zaparkował i dotarł na wyznaczone skrzyżowanie. Tuż przed dziewiątą znalazł ławkę i zgodnie z poleceniem usiadł na jej końcu, tym od strony Flagler Street. A potem czekał. I czekał.

Na pewno są gorsze miejsca na spędzanie poranka, ale nawet w centrum Miami obserwowanie ludzi staje się w końcu nudne. Przez jakiś czas bawił go widok staruszka sprzedającego limonki, to, że za tę samą torebkę owoców kierowca chevroleta musiał zapłacić dolara, a kierowca volva aż pięć. Grupa starych Kubańczyków w kafejce na rogu prowadziła niekończącą się dyskusję o Kubie bez Fidela Castro. Po drugiej stronie ulicy ekipa filmowa przez bite dwie godziny kręciła reklamę z latynoską modelką, cierpliwie czekając na odpowiedni podmuch wiatru, który wydałby jej czerwoną sukienkę jak sukienkę Marilyn Monroe w słynnej scenie filmowej. Badania rynku musiały wykazać, że nikt nie sprzedaje tyle samochodowych polis ubezpieczeniowych, ile dwudziestoletnia bogini z idealną opalenizną.

Ekipa odjechała około jedenastej. Został tylko on, starzec z limonkami i sznur samochodów na ulicy. Z pobliskiego sklepu elektronicznego dochodziła muzyka. Mieli tam chyba tylko jedną płytę, bo na okrągło puszczała tę samą starą salsę, co go coraz bardziej irytowało. Dlatego niemal się ucieszył, gdy dwadzieścia po dwunastej na drugim końcu ławki usiadł bezdomny.

Usiadł i po prostu siedział, nie zwracając na niego uwagi. Śmierdział wymiocinami i moczem. Jego podarta, mocno wypłowiała wojskowa kurtka, o wiele za ciepła na słoneczny

dzień, wyglądała i cuchnęła tak, jakby facet nie zdejmował jej od fali wielkich mrozów na południowej Florydzie w 1989 roku. Lewą nogawkę spodni miał wysmarowaną czymś, co mogło być tylko zaschniętym kałem. Zmysł węchu Jacka mógł przystosować się niemal do wszystkiego - jego najlepszym kumplem był Theo Knight - ale w tym wypadku trwałoby to godziny, zamiast minut. Bezdomny zaczął coś do siebie mrużyć i w końcu zdołał wypowiedzieć zrozumiałe zdanie.

- Syn przeklął ojca - oznajmił rzeczowo.

Jack świadomie go zignorował.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - spytał bezdomny.

Jack zerknął na niego, ale on przemawiał do kogoś wymyślanego i niewidzialnego.

- Słyszysz? - powtórzył ostro. - Mówię, że syn przeklął ojca!

Kiwał głową jak plastikowy piesek za tylną szybą samochodu. I zaczęły mu się trząść ręce. Był wyraźnie zły, ale drżączka wyglądała raczej na symptom zespołu abstynencji narkotycznej. Twarz mu poczerwieniała, jakby ktoś go obraził. Zerwał się na równe nogi, oskarżycielskim palcem wskazał niewidzialnego rozmówcę i krzyknął:

- Ty też się wal, kutasie!

Chodnikiem szedł tłum ludzi spieszących na lunch, głównie biznesmenów, którzy mijali go bez słowa. Bezdomny zerkał na nich podejrzliwie, w końcu opadły mu ramiona i znowu zaczął mamrotać. Ale nie ruszył się z miejsca, wciąż stał przy ławce. Wreszcie spojrzał prosto na Jacka.

- Hej, ty tam. Wstań.

Jack patrzył na niego kątem oka. Tym razem facet mówił do niego.

- Wstań - powtórzył. - Muszę się odlać.

- Tu nie ubikacja.

- Gówno mnie to obchodzi. Jakiś frajer dał mi pięć dych, żebym nasikał tam, gdzie siedzisz, więc lepiej wstań, bo cię obeszczam.

Co takiego? Jack już otwierał usta, żeby to powiedzieć i wtedy go olśniło: bezdomny był posłańcem. Zamknął usta i wyjął portfel.

- Dam ci stówę, jeśli mi go opiszesz.

Menel chwycił banknot.

- Białe. To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Gdzie go spotkałeś?

- W kartonowym miasteczku pod rampą na I-95.

- Kiedy?

- Wczoraj koło północy. Było ciemno. Nie przyjrzałem mu się. Kazał mi przyjść tu w południe i nasikać na tę ławkę. - Bezdomny zaczął się wić, przestępować z nogi na nogę. - Nic więcej nie wiem - dodał tak, jakby nagle coś go zabolalo. - Odejdź, bo zaraz się zleję. Wypiłem dwanaście piw.

Jack wstał i się odsunął. Bezdomny szybko podszedł bliżej, rozpiął rozporek i oddał mocz dokładnie na jego miejsce. Kilku przechodniów zerknęło na niego z odrazą, lecz tłum szedł dalej. Jack nie chciał się gapić, ale zdał sobie sprawę, że nie przypadkiem porywacz dał mu tak szczegółowe polecenia - tak samo jak nie przypadkiem kazał wysikać się bezdomnemu tam, gdzie ten właśnie to robił.

Skończywszy, starzec prychnął i wychrypiał:

- A to co?

Jack spozjrzał na ławkę. Działo się coś dziwnego. Pod wpływem moczu na ławce zaczęły pojawiać się litery. Pokrywająca ją farba zmieniała kolor na niebieski i zielony, jak papierek lakmusowy na lekcjach chemii, kiedy zanurzyło się go w roztworze zasadowym albo kwasowym.

Litery ułożyły się w słowa: WKURZYŁEM SIĘ, JAKBYŚ MNIE OBSIKAŁ.

Pół ulicy dalej Andie Henning wyszła z baru kawowego, wtopiła się w tłum przechodniów i tak jak co najmniej kilkanaście innych kobiet, które w drodze do pracy plotkowały przez komórkę z zestawem słuchawkowym, zbliżyła usta do przypiętego do kołnierzyka mikrofonu. Z tym, że ona nie plotkowała. Ona rozmawiała z członkami grupy obserwacyjnej FBI.

- Co teraz robi?

- Menel właśnie się odlał.

- Co takiego?

- Serio. Swyteck dał mu pieniądze i facet odlał się na ławkę.

- Swyteck mu za to zapłacił?

- Na to wygląda. Daj facetowi walizkę pełną szmalu i nigdy nie wiadomo, co taki zrobi.

Andie przystanęła przed przejściem dla pieszych. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Jack zapłacił komuś za to, żeby ten wysikał się na ławkę. Postanowili nie zakładać mu podsłuchu na wypadek, gdyby porywacz miał przy sobie jakiś detektor. Ale w świetle tego, co zaszło, Andie żalowała, że byli tacy ostrożni.

- A teraz? - spytała. - Co się tam dzieje?

- Nie uwierzysz, ale robi się jeszcze dziwniej. Albo Swyteck ma niezdrowe



zainteresowanie ludzkimi odchodami, albo na tej ławce coś jest.

- Czy ktoś może się temu przyjrzeć?
  - Ja nie, ale... Zaczekaj. Ten z dachu mówi, że coś widzi. To chyba litery, jakiś napis.
- Dziwne, pomyślała Andie. Ale sensowne.
- Zdaje się, że nasz bezdomny jest czyimś posłańcem.
  - Tak. Ale wygląda na kompletnego beja. Pewnie wybrali pierwszego lepszego.
  - Zdejmij go. Na przesłuchanie. Za obnażanie się w miejscu publicznym.
  - Nie wiem, czy to przestępstwo federalne...
  - To zrób tak, żeby było.
  - Rozkaz.

Jack gapił się na ławkę, czekając, aż ukaże się coś więcej. Ale wyglądało na to, że to już cała wiadomość. WKURZYŁEM SIĘ, JAKBYŚ MNIE OBSIKAŁ. Bezdomny zapiął rozporek.

- Za pięć dych nasram ci na buty.
- Nie, wielkie dzięki. Ale jeszcze nie odchodź.
- Śmiesz mi rozkazywać, dupku?
- Stój tu.

Mężczyzna zmrużył oczy i zdawało się, że zaraz wybuchnie. Podniósł rękę, jakby miał zaraz obwieścić coś o biblijnym znaczeniu, a potem krzyknął:

- Syn przeklął ojca...
- Tak, tak - przerwał mu Jack. - Już słyszałem.

- Jack Swytek? - spytał z boku niski Latynos o zupełnie siwych wąsach, które zdradzały prawdziwy kolor włosów pod jego kruczoczarnym tupecikiem. Stał na chodniku przed sklepem elektronicznym i trzymał w ręku bezprzewodowy telefon.

- A kto pyta? - rzucił Jack.

- Nie wiem, nie podał nazwiska. Powiedział tylko, że chce rozmawiać z facetem, który stoi przy ławce, i że facet nazywa się Swytek.

Sprytne posunięcie, pomyślał Jack. Policja w żaden sposób nie namierzy telefonu do wybranego na chybił trafił sklepu.

- Tak, dzięki, to ja. - Wyciągnął rękę po aparat.

Latynos cofnął się o krok.

- Nie tak szybko. Ten gość powiedział, że zapłaci mi pan za to pięć dych.

Jack wyjął z portfela trzy dwudziestki. Latynos nie wydał reszty.

- Swytek, słucham.

- Wciąż jestem wkurzony. - Ten sam metaliczny głos: głos porywacza Mii.

- O czym ty mówisz?

- Skoro już cię pilnują, mogliby przynajmniej zmieniać się co godzinę albo chociaż się przebierać. Cztery godziny to dość długo, a sprzedawca hot dogów nie poszedł przez ten czas na kawę ani do kibelka, ani na sekundę nie odszedł od wózka. Na kilometr śmierdzi FBI.

Jack zerknął na wózek na rogu. Nie wiedział, czy sprzedawca jest agentem, ale porywacz miał najwyraźniej dobre oko. Zdając sobie sprawę, że go nie przekona, natychmiast uruchomił plan B, który opracował z Andie na taki właśnie wypadek.

- Posłuchaj, nie dzwoniłem do FBI. Zrobiłem dokładnie to, co chciałeś: żadnych glin. Jeśli tu są, to dlatego, że mnie śledzili, nie dlatego, że ich zawiadomiłem.

- Albo dlatego, że zawiadomił ich twój klient.

„Twój klient” - chwilę trwało, zanim Jack zrozumiał, że porywacz ma na myśli Salazara.

- Nie, Ernesto nigdy by tego nie zrobił.

- Tak, jasne.

- Posłuchaj, nie wiem, co się stało, ale przepraszam.

- Przepraszam niczego teraz nie zmieniają. Te psy wciąż tu są. Cóż, pozostaje mi jedno...

- Tylko proszę, nie wyzywaj się na Mii.

- Musimy ich zgubić, Swytek.

Jackowi trochę ulżyło.

- Jak chcesz.

- Zrobimy tak. Dwie ulice dalej jest sąd hrabstwa Miami-Dade. Pójdiesz tam i wejdiesz do środka południowym wejściem. Przejdiesz hol i wyjdiesz od północy. Na rogu ulicy, u stóp schodów, jest automat z „Miami Tribune”. Wrzuć ćwierć dolara i włóż do środka rękę. Głęboko, do samego dna. Pod ostatnią gazetą jest koperta. Zapamiętałeś?

- Tak.

- To ruszaj! Nie biegnij, ale lepiej idź szybko. Mogę się rozmyślić.

Andie szła akurat Miami Avenue, kiedy po drugiej stronie ulicy zobaczyła Jacka. Szybkim krokiem oddalał się od ławki.

- Zmienia pozycję - rzuciła do mikrofonu.

- Widzę - odparł obserwator z dachu.

- Idę za nim.

Chodnikiem waliły tłumy spieszących na lunch, dlatego trudno było iść prosto. Dodać do

tego ulicznych handlarzy, którzy sprzedawali dosłownie wszystko, od biżuterii i trzciny cukrowej poczynając, na fretkach i okularach przeciwsłonecznych kończąc, i było tu jak na pchlim targu na Union Square, tyle tylko że z wyraźnym latynoskim akcentem. Andie zygakowała między przechodniami i ulicznymi grajkami; po drodze minęła bezdomnego, który w najlepsze spał, nie zwracając uwagi na cały ten rejwach.

- Nie widzę go - powiedziała, przebijając się przez tłum. - Gdzie teraz jest?

- Przechodzi na drugą stronę Flagler Street. Chyba idzie do sądu.

Andie przyspieszyła kroku.

- Niedobrze. Jeśli wejdzie do środka i zatrzyma go straż, tamten pomyśli, że zawiadomił policję.

- Nie zawsze otwierają teczki. A jeśli prześwietlą walizkę, pieniądze będą wyglądały jak plik dokumentów prawniczych.

- Tak, ale na sto procent wykryją kevlar pod wiatrówką. Może i GPS.

Postanowiwszy nie zakładać mu podsłuchu, uznali, że rozsądne będzie wyposażyć go chociaż w mikroskopijny nadajnik globalnego systemu nawigacji satelitarnej, dzięki któremu mogliby monitorować jego ruchy.

- Niewiele możemy na to poradzić.

Andie szła przed siebie.

- Crenshaw, ty jesteś najbliżej sądu. Idź tam, pomachaj im blachą, napręż mięśnie, zrób, co będziesz mógł, żeby wyłączyli bramkę.

- Nie przeginajmy - odparł Crenshaw. - I co z tego, jeśli ochroniarze podskoczą na widok kevlaru czy GPS? To jeszcze nie znaczy, że wykiwał porywacza i zadzwonił do FBI.

- Chcesz tłumaczyć to socjopacie? Musimy założyć, że przez cały czas go obserwuje. Przestań, Pete. Jesteś tam potrzebny. Idź. Szybko.

# 15

Niegdyś najwyższy budynek na południe od Monumentu Waszyngtona, osiemdziesięcioletni gmach sądu był chyba jedynym klejnotem architektonicznym Miami, który prezentowałby się znakomicie nawet w stolicy. Ten imponujący wapienny drapacz chmur z masywnymi, żłobkowanymi kolumnami i doryckimi głowicami, znamionami odrodzenia epoki neoklasycyzmu, był typowym gmachem rządowym. Odwiedzający go goście musieli zaliczyć nie jeden, lecz dwa długie ciągi szarych granitowych schodów, wytartych na błysk od dziesięcioleci ciągłego deptania. Jack szybko pokonał pierwszy, ale w połowie drugiego zwolnił, i to nie dlatego, że się zmęczył.

Po drugiej stronie przeszklonego wejścia stała grupa strażników z wykrywaczami metalu. Jack wiedział, że na widok wyłożonej kevlarem wiatrówki co najmniej uniosą brew, nie wspominając już o nadajniku GPS. A jeśli otworzą walizeczkę... Cóż, przenoszenie tak dużej gotówki nie było nielegalne, ale jej widok na pewno nie uspiłby ich czujności. Sęk w tym, że nie miał wyboru. Porywacz kazał mi wejść wejściem południowym i wyjść północnym. Gdyby nagle zawrócił, tamten wpadłby w jeszcze większy popłoch. Pozostawała mu tylko nadzieja, że ci z FBI trzymają rękę na pulsie i że gładko zaliczy kontrolę.

Obrotowymi drzwiami wlewał się strumień gości, urzędników i prawników. Jack wskoczył za grupę reporterów z miejscowej stacji telewizyjnej, licząc na to, że zajęci sprawdzaniem kamer i aparatów strażnicy nie zwrócą na niego uwagi. Sprzęt mieli taki sam jak ci z lotniska, rentgen i bramkę podobną do futryny drzwi. Tych z telewizji obsłużyli bardzo dokładnie: zajrzeli im do toreb, prześwietlili sprzęt i obszukali ręcznym skanerem. Pewien, że zaraz go zatrzymają i że porywacz dostanie szalu, Jack zastanawiał się przez chwilę, czy jednak nie zawrócić.

- Następny - rzucił strażnik.

Jack postawił walizeczkę na taśmie. Ku jego uldze mundurowy jej nie otworzył. Po prostu wepchnął do rentgena.

- Proszę przejść przez bramkę.

To było najtrudniejsze. Jack wstrzymał oddech, ale to nie pomogło. Gdy tylko stanął między słupkami wykrywacza metalu, odpalił alarm i pod łukowatym sklepieniem przepastnego holu rozległ się głośny, piskliwy świergot.

- Proszę tutaj - rozkazał z kamienną twarzą strażnik.

Jack posłusznie rozstawił nogi i rozłożył ręce. Myślał nad jakimś wytłumaczeniem, ale wszystkie brzmiały idiotycznie. Powtarzał sobie w duchu: nic nie mów sam z siebie. Odpowiadaj na pytania i przejdiesz.

Strażnik powiódł skanerem po jego ciele, od ramion po stopy. Skaner się nie włączył. Niczego nie wykrył.

- Jest pan czysty. - Strażnik wciąż miał kamienną twarz.

Ale do Jacka to nie dotarło. Nie drgnął z miejsca.

- Powiedziałem, że jest pan czysty. - Tym razem mundurowy zrobił lekki ruch głową, jakby kazał mu iść dalej. W tym momencie Jack wiedział już na pewno: ci z FBI rzeczywiście zadzwonili. A ktoś inny wyłączył skaner. Z ulgą wziął walizeczkę i ruszył dalej. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył, jak strażnik sprawdza siedemdziesięcioletnią Latynoskę. Bez wątplenia kolejną terrorystkę z ławy przysięgłych. Skaner znowu działał jak trzeba.

Północne wyjście znajdowało się dokładnie na wprost rotundy, ale panował tam dużo mniejszy ruch. Jack wyszedł obrotowymi drzwiami i granitowymi schodami zbiegł na chodnik. Tak jak mówił porywacz, na rogu ulicy stał automat z „Miami Tribune”. Kieszeń, ćwierć dolara, otwór na monety - połowy gazet już nie było. Sięgnął ręką do samego dna i wymacał kopertę. Gdy klapka się zatrzasnęła, otworzył ją i przeczytał napisany na maszynie list.

„Punkt ksero na rogu Flagler i Pierwszej. Zarezerwowałem komputer na twoje nazwisko. A teraz lepiej biegnij. Na twoim miejscu bym biegł”.

Jack schował kartkę do kieszeni i popędził wzdłuż zachodniej ściany sądu. Gwałtownie skręcił we Flagler Street i pognął na wschód. Spowalniał go zatłoczony chodnik, więc po stu metrach zaczął biec jezdnią. Ostatnie dwie przecznice pokonał pod prąd, zygzakując jak szalenciec za ocierającym się o śmierć kurierem na rowerze z dwunastoma przerzutkami. Tuż za rogiem zobaczył punkt ksero i wpadł do środka.

- Nazywam się... Swydeck - wysapał, stanąwszy przy ladzie.

Obsługująca punkt dziewczyna była najwyżej pół roku po maturze i bez wątplenia wyprzedzała go o lata świetlne jeśli chodzi o znajomość komputerów. Zdjęła słuchawki i Jack usłyszał głośny rap.

- Słucham?

Machnął jej przed nosem prawem jazdy.

- Czy ktoś zarezerwował dla mnie komputer?

Dziewczyna sprawdziła listę.

- Tak. Trzecie stanowisko. Może pan siedzieć do wieczora.

Jack podziękował i ruszył prosto na wskazane miejsce. Sala była podzielona na kilkanaście stanowisk wysokimi do piersi przepierzeniami, co zapewniało względną prywatność. Położył walizczkę na pulpicie i przystawił krzesło na kółkach. Komputer już mruczał, ale monitor był zgaszony. Jack pstryknął włącznikiem - ekran zamigotał, pojaśniał i ukazało się okienko procesora tekstu. Ktoś musiał tu przed nim być, napisać wiadomość i wyłączyć monitor. Wiadomość widniała na środku ekranu: „Pod krzesłem masz płytkę. Włóż słuchawki. Patrz i słuchaj”.

Jack sięgnął pod krzesło. Czubkami palców wymacał plastikowe pudełko przyklejone taśmą do siedzenia. Oderwał taśmę, otworzył je, wyjął płytkę i włożył ją do napędu D. Przetwarzając nowe dane, komputer zamruczał jeszcze głośniejsze. Jack patrzył na przesypującą się klepsydrę i od gorączkowych myśli wirowało mu w głowie. To musiało być to. Odpowiedź na pytanie, dowód, że Mia żyje.

Jeśli żyje.

Ekran znowu zamigotał i Jack włożył słuchawki.

Migotanie ustało, a on wbił wzrok w siedemnaście cali nieprzeniknionej czerni. Nic. Zupełnie nic. Podkreślił jasność, ale na próżno. Może komputer nawalił. Może to jakiś głupi żart. Minutę później - ciągnęła się w nieskończoność - w poprzek ekranu powoli przewinął się napis wykonany dużymi, białymi literami.

„Pytanie: Co nieruchomości mają wspólnego z rozgrzany do czerwoności stemplem do cechowania bydła?”

Nagle napis zniknął i zaczął się film, zbliżenie jej twarzy. Mia była przytomna, patrzyła prosto w obiektyw kamery. Jack z walącym sercem spojrzał jej w oczy, w te niesamowite oczy, zmęczone teraz, zaczerwienione i rozszerzone z przerażenia. Coś nakazywało mu odwrócić wzrok, ale nie chciał niczego przeoczyć. I raptem jej twarz stała się niemal nierozpoznawalna, a z ust wydobył się ścinający krew w żyłach krzyk, od którego omal nie spadły mu słuchawki, krzyk, jakiego Jack nigdy w życiu nie słyszał, jakiego sobie nawet nie wyobrażał. Jej spływająca łzami, wykrzywiona z bólu twarz, jej łaknący ulgi głos - krzyk trwał nieznośnie długo, bez końca, lecz nagle ekran zgasł. Obraz zniknął, jakby montażysta odciął się od jej cierpienia zadowolony, że dopiął swego. Na pocerniałym ekranie znowu pojawiły się białe litery.

„Odpowiedź: lokalizację, lokalizację, lokalizację”.

Jack odruchowo zasłonił rękami usta i nos. Miał szybki, urwany oddech jak ktoś, komu grozi hiperwentylacja. Dostali swój dowód życia, dowcip o pocałunkach i nieruchomościach

w zwyrodniałej wersji porywacza-sadysty. Nie ulegało wątpliwości, że to była Mia. Ból na jej twarzy był prawdziwy. A jej przerażający krzyk aż zbyt namacalny, niemal nie do zniesienia.

Ale nie był to jeszcze koniec. Na ekranie wykwitł kolejny napis.

„Zatrzymaj sobie te nędzne dziesięć tysięcy. Przestań grać na czas. Zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta”.

Ekran zgasł. Jack opadł na krzesło, wziął głęboki oddech i ostrożnie wstał, uważając, żeby niczego więcej nie dotykać.

Wiedział, że Andie Henning i jej technicy zechcą przyjrzeć się dokładnie stanowisku komputerowemu numer trzy.

# 16

Punkt ksero został zamknięty i na całe popołudnie stał się miejscem przestępstwa. Wejście zagrodzono żółtą taśmą, chociaż uwaga ekipy śledczej skupiała się oczywiście na stanowisku numer trzy. Zdjęto odciski palców z komputera, klawiatury i z biurka. Specjaliści od włosów i włókien zebrali dziesiątki próbek, poczynając od mikrośladów, kończąc na taśmie, którą przyklejono do krzesła pudełko z płytką. Specjaliści od komputerów sprawdzili twarde dysk w poszukiwaniu śladów, które porywacz mógł tam świadomie lub nieświadomie zostawić. Jeden z agentów przesłuchał bezdomnego, ale ten nie dodał nic ponad to, co powiedział na ulicy Jackowi. Obsługująca punkt dziewczyna podała im bardzo ogólny rysopis mężczyzny, który zarezerwował komputer. Biały, średniej budowy ciała, około trzydziestu lat. Był w czapeczce baseballowej i ciemnych okularach, czym skutecznie zamaskował kolor oczu i włosów. Wyglądał na bezdomnego i najwyraźniej wystąpił w tym samym przebraniu i w punkcie ksero, i w kartonowym miasteczku pod wjazdem na autostradę, gdzie zwerbował posłańca. Dziewczyna zapamiętała dobrze tylko jedno, to, że podając się za Jacka Swytecka, zapłacił gotówką za rezerwację komputera na cały dzień.

W sąsiednim boksie Andie Henning przesłuchiwała prawdziwego Swytecka przez prawie półtorej godziny, zanim odesłała go do domu.

Czterdzieści pięć minut później była już w laboratorium audiowizualnym FBI, gdzie analizowano dźwięk i cyfrowe obrazy filmu z Mią Salazar. Przed baterią sprzętu elektronicznego pod ścianą siedział technik. Kręcił różnymi pokrętkami, zoomami i potencjometrami regulującymi natężenie dźwięku, nasycenie koloru i prędkość wyświetlania filmu, a ona spoglądała mu przez ramię. Przez drugie ramię patrzył technikowi agent specjalny Paul Martinez, szef miejscowej placówki FBI.

- Trudno oderwać wzrok, nawet bez dźwięku - powiedział.

Nikt z nim nie polemizował. Technik wyizolował i wyciszył krzyk Mii, żeby zbadać odgłosy tła.

- Jest coś? - spytała Andie.

Technik był w słuchawkach, ale do wychwycenia i wzmocnienia dobiegających z zewnątrz dźwięków używał głównie oczu, uważnie obserwując wychylenia wskaźników. Niektóre odgłosy mogły zdradzić miejsce pobytu uprowadzonej.



- Nie wiem - odparł. - Mam tu dziesięć, najwyżej piętnaście decybeli.

- Co to może być?

- Normalna rozmowa to około sześćdziesięciu decybeli. To może być wszystko, od pisku myszy do stada słoni biegnących dwieście metrów dalej.

- Ale coś jest, tak?

- Andie, niczego nie obiecuję. To mogą być zwykłe zakłócenia. Najpierw muszę to wyczyścić i wyizolować. Spytaj mnie jutro rano.

- Nie ma szans, żebyś zdążył przed odprawą?

- Gdy tylko będę coś wiedział, natychmiast dam ci znać.

Andie podziękowała mu i zostawili go samego. Odprawę Połączonego Sztabu Reagowania Kryzysowego (PSRK) wyznaczono na szóstą wieczorem. Jej celem było zacieśnienie współpracy między FBI i policją, miejscową i stanową. Andie została koordynatorką prac PSRK nie tylko dlatego, że ceniono ją w elitarniej Grupie Szybkiego Reagowania FBI, ale i dlatego, że prowadziła śledztwo w sprawie porywacza Ashley Thornton. Tego wieczoru miała zapoznać zebranych z najnowszymi informacjami i ustalić strategię działania.

- Gotowa do odprawy? - spytał Martinez.

Szli w stronę jego gabinetu. W college'u Martinez biegał na osiemset metrów i był prawdziwym gwiazdorem sportowym, a teraz z coraz większymi sukcesami uprawiał triathlon w klubie dla oldboyów, dlatego idąc z nim korytarzem, każdy czuł się jak na bieżniku w siłowni.

- Jeszcze nie, ale będę - odparła Andie.

Przystanęli pod drzwiami. Martinez schował ręce do kieszeni i oparł się o futrynę.

- Posłuchaj, tak, to straszny film, ale to nie twoja wina. Cokolwiek ten potwór zrobił Mii Salazar, ty nie ponosisz za to żadnej odpowiedzialności. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Tak - odparła bez przekonania Andie. - Wiem.

- Hej, mówię poważnie. Dowód życia był dobrą zagrywką. Niepotrzebnie się tym gryziesz.

- Miałam co do tego złe przeczucia, odkąd Salazar zaskoczył mnie tą zagadką z pocałunkami. Wciąż nie mogę uwierzyć, że dałam się tak podejść.

- To też nie twoja wina. Zareagowałaś prawidłowo. Zwerbowałaś Swytecka. Sytuacja nie jest idealna, ale to trudna sprawa. Mamy do czynienia z porywaczem mordercą. Z zazdrosnym mężem, który nie ułatwia ci życia. Na dodatek twój „kurier” sypiał z jego żoną, ofiarą wprowadzenia. Jakby i tego było mało, Swyteck jest adwokatem, który... Po prostu jest

adwokatem, to wystarczy.

Andie prawie się uśmiechnęła.

- Dokładniej mówiąc, byłym prokuratorem.

- Właśnie, byłym. Wykorzystaj go, ale nie ufaj mu za bardzo.

- Rozumiem.

- Robisz świetną robotę. Z tego, co widzę, twoi przełożeni z Seattle ani trochę nie przesadzili. Myślę, że zostaniesz w Miami na dłużej.

- Dziękuję.

Martinez zasalutował jej wesoło, zniknął w gabinecie, a ona poszła do siebie. Pochwały przełożonego są zawsze miłe, ale ją ucieszyło przede wszystkim to, że wciąż stali za nią murem przyjaciele z rodzinnych stron. Martinez miał pewnie na myśli Isaaca Underwooda, zastępcę szefa placówki w Seattle. Isaac był jej największym poplecznikiem - od pierwszego zdania w wydziale do spraw napadów na banki do niebezpiecznych misji pod przykrywką, dzięki którym zrobiła szybką karierę. To właśnie on pokierował nią tak, że została negocjatką. Ale także on jako pierwszy przyznałby, że nie zamierzał tak szybko pożegnać się z przyjaciółką.

A ona z przyjacielem.

Odpędziła wspomnienia, nie chcąc, żeby jej osobiste sprawy zepsuły uczucie zadowolenia, jakie wzbudziły w niej pochwały szefa. Jego miłe słowa podtrzymały ją na duchu, były dokładnie tym, czego potrzebowała, żeby stawić czoło Pete'owi Crenshawowi, ich niekwestionowanemu malkontentowi. Zdawała sobie sprawę, że jej dzisiejszy rozkaz go rozdrażnił. Wysyłając go do sądu, żeby ułatwić Jackowi przejście przez punkt kontrolny, próbowała zachować się dyplomatycznie. Ale z Pete'em nie było łatwo. Za dwa lata odchodził na emeryturę, a jeszcze nigdy nie dostał żadnej prestiżowej sprawy, na czym bardzo mu zależało. Podobno wpadł w furję, kiedy ogłoszono, że koordynatorką grupy specjalnej ma być trzydziestodwuletnia agentka, która ledwo co przyjechała do Miami.

Zauważyła go na końcu korytarza; właśnie szedł do kuchni. Weszła tam za nim z nadzieją, że załagodzi sytuację. Stał nad zlewem, mieszając kawę.

- Pete - rzuciła lekko. - Dzięki za tych strażników.

- W ogóle nie powinno było do tego dojść - mruknął.

- Jak to?

Crenshaw wrzucił do śmietniczki torebki po cukrze i spojrzał prosto na nią.

- To się nazywa zdolność przewidywania, agentko Henning. Gdybyś przeanalizowała wszystkie możliwości, moglibyśmy postawić ich na nogi już dwadzieścia cztery godziny

wcześniej. Może o tym nie wiesz, ale właśnie po to jest PSRK.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam była przewidzieć, że porywacz wysze Swytecka cztery ulice dalej i każe mu przejść przez posterunek kontrolny w sądzie?

- Ja tam niczego nie chcę. Ty tu rządzisz, prawda?

Ta szydercza uwaga wymagała odpowiedzi, ale Andie odczekała chwilę, żeby spokojnie zważyć słowa. Ponieważ nie należała do tych, które zarzucają seksizm wszystkim i każdemu, przyjęła mniej oskarżycielską strategię.

- Posłuchaj, bardzo szanuję to, że masz prawie dwadzieścia lat doświadczenia więcej ode mnie, ale...

- Tu nie chodzi o doświadczenie. Tu chodzi o to, że jesteś kobietą.

Zabrakło jej słów. Bardziej obcesowy być nie mógł.

- Dobrze, i co z tego, że jestem kobietą?

- To, że nie powinnaś być koordynatorką, to duży błąd. Jeśli będziesz kiedyś musiała rozmawiać bezpośrednio z porywaczem, dojdzie do katastrofy.

- Bo jestem kobietą?

- Krótko mówiąc: tak.

- Nie sądzisz, że to trochę...

- Seksistowskie? Nie, absolutnie. To są realia. Widziałaś profil psychologiczny, którzy sporządzili nasi przyjaciele z Quantico. Kobiety są dla niego niczym. Ten facet chce, żeby ich mężowie też je tak traktowali. On ich nienawidzi. Dlatego trochę to dziwne: co, do diabła, robi kobieta na stanowisku koordynatorki śledztwa?

- Chcesz powiedzieć, że temu nie podołam?

- Spokojnie, bez nerwów. Gdyby ofiara gwałtu zażądała psycholożki, zmusiłabyś ją do rozmowy z psychologiem tylko dlatego, że jakiś idiota z Waszyngtonu uważa, że mężczyźni też są w tym nieźli?

Porównanie nie było zbyt celne, ale argument dobry, nie do zbiccia.

- Domyślam się, co chcesz powiedzieć, choć naprawdę nie rozumiem, co moja płeć ma wspólnego z obowiązkami, jakie na mnie spoczywają. Ale zgoda, niech będzie: jeśli kiedykolwiek dojdzie do tego, że nasz negocjator będzie musiał porozmawiać bezpośrednio z porywaczem, na pewno uwzględnię twoją opinię.

Myślała, że podarowała mu gałązkę oliwną, tymczasem na jego twarzy odmalował się wyraz jeszcze większego gniewu.

- Nie traktuj mnie jak dziecko - burknął i ruszył do drzwi. W połowie drogi zawrócił i stanął jeszcze bliżej niż przedtem. - Tak dla twojej wiadomości - dodał głosem cichym, lecz

stanowczym. - Sprawdziłem cię, Henning.

- Sprawdzało mnie całe FBI.

- Ale nie tak dokładnie jak ja. Wiem, dlaczego wyjechałaś z Seattle. To nie było jakieś tam: „Potrzebowałam zmiany”. Znam prawdziwy powód.

Andie próbowała nie okazywać żadnej reakcji.

Crenshaw niemal promieniał.

- Dlatego jeśli nie czujesz się na siłach, lepiej zrezygnuj. Bo prędzej czy później ludzie zrozumieją, że ta sprawa jest zbyt ważna, żeby prowadził ją ktoś, kto nie potrafi jasno myśleć.

- Spokojna głowa. Dam sobie radę.

- Mam taką nadzieję. Naprawdę. - Nie mógł powiedzieć tego bardziej nieszczerze. Podniósł kubek jak do toastu za jej porażkę i wyszedł z kuchni.

Andie nie ruszyła się z miejsca. Stała tam, myśląc, próbując lepiej zrozumieć to, co przed chwilą zaszło.

Crenshaw znał prawdziwy powód? Jasne, akurat. Wszyscy tak myśleli, wszyscy wiedzieli, dlaczego nagle rzuciła pracę i wyjechała z rodzinnego Seattle. Miała romans z szefem tamtejszej placówki. Prześladował ją były narzeczony. Nie załapała się na Quantico. Plotki, ploteczki i poczta pantoflowa. Bo nikt nie znał prawdziwego powodu. Nikt oprócz niej.

A ona nie zamierzała dzielić się swoją tajemnicą.

Z nikim.

Nigdy.

Musiała przygotować się do odprawy. Nalała sobie kawy i wróciła do biura, choć szła krokiem mniej sprężystym niż przedtem.

# 17

Jack nie tknął lunchu. Zjadł go za niego Theo.

Mimo wyłożonej kevlarem wiatrówki i agentów FBI, nie zamierzał wystawiać się na cel porywaczowi i mordercy bez swego przyjaciela w zasięgu głosu. Po rozmowie z Andie Henning poszedł z nim na kanapkę do Gruenberga, miejscowej wersji nowojorskich delikatesów, gdzie serwowano żydowskie klopsiki wielkości grejpfruta. Usiedli pod oknem z widokiem na chodnik. Obiadowy tłum zdążył się już przewalić, a kolacji tu nie podawano. Na stolikach stały podwracane do góry nogami krzesła, cieć zmywał mopem podłogę. Niedługo zamykali.

- Ten szaleniec ją zabije - powiedział Jack. - Czuję to. Ktoś musi wyłożyć pieniądze na okup.

Theo zjadł korniszona i oblizał patyczek.

- Może FBI?

- Odpada. Wyłożyli dziesięć patoli na dowód życia, ale to była przynęta, bo myśleli, że facet weźmie znaczone banknoty i go namierzą. Departament Sprawiedliwości nie płaci okupów, zwłaszcza tak dużych. Kiedy pracowałem w prokuraturze, mieliśmy szczęście, jeśli dali nam dwadzieścia, trzydzieści tysięcy na całą operację.

- To może by wydoić jej męża? Myślisz, że Bailey ma wpływ na Zanzibara?

Jack już go nawet nie poprawiał.

- Może by go i przekonał. Zwłaszcza gdybym mu powiedział, co widziałem na filmie.

- No to złożmy wizytę mecenasowi Baileyowi.

- Dzięki, ale muszę to zrobić sam.

- Tylko cię odprowadzę. Porywacz może cię obserwować, nigdy nie wiadomo. Nic ci nie zaszkodzi, jeśli zobaczy cię w towarzystwie byłego więźnia z bloku śmierci, kogoś zbudowanego jak gubernator Ahhhnold za młodu.

- Może i jest w tym jakiś sens. Chodźmy. To blisko, po drugiej stronie ulicy.

Kancelaria Bailey, Benninga i Langerza zajmowała sześć górnych pięter pięćdziesięcioczeropiętrowego wieżowca. Jack i Theo przeszli przez olbrzymią wiatę, pleksiglasowe zadaszenie między gmachem i garażem, gdzie przechodnie i palmy zażywali kąpieli słonecznych. Miejsce to cieszyło się dużą popularnością wśród amatorów szybkiego

lunchu, tych, którzy lubili obserwować ludzi, i wśród pracowników kancelarii, wpadających tu na papierosa. Ale ilekroć Jack tamtędy przechodził, zawsze przypominał mu się pewien biedny robotnik, budowlaniec, który usiadł na stalowej belce i oparł się o pleksiglasowy panel, by poniewczasie przekonać się, że koledzy jeszcze go nie zamontowali. Upadek z czternastego piętra musiał być bolesny, ale nie można było nieszczęśnika o to spytać, bo nie przeżył.

- Dalej pójde sam - powiedział Jack.

- No co ty, przecież cię tu nie zostawię.

Theo chciał wejść do kancelarii prawniczej, w dodatku takiej jak BB&L? To wzbudziło w Jacku uzasadnione podejrzenia, ale był za bardzo wypluty, żeby się z nim kłócić.

- Tylko zachowuj się tam.

- Ranisz moje uczucia, przyjacielu.

Ruchome schody zawiozły ich do głównego holu. Przeszli przez punkt kontroli bezpieczeństwa i wsiedli do ekspresowej windy, którą mieli dojechać bezpośrednio do kancelarii. Chromowane drzwi zasunęły się bezszelestnie, winda ruszyła, a oni zadarli głowę, patrząc na mrugające cyferki pięter. Z głośnika sączyła się irytująca melodyjka, klasyczny muzak na skrzypce i instrumenty dęte; Jack rozpoznał w niej Satisfaction, stary, obrzydliwie zniekształcony przebój Rolling Stonesów.

- Myślisz, że za trzydzieści lat zmienią podobnie także rap? - spytał Theo.

- Co?

- Czy dwadzieścia lat temu ktoś pomyślał, że te słodkie do wyrzgu wersje klasycznych piosenek Stonesów będą nadawali w takich miejscach? Ciekawe, może jak będziemy już starzy, wsiądziemy kiedyś do windy i jakiś dyskdzokej o zmysłowym głosie powie: „To znowu ja, wasz Wold, stare przeboje non-stop, a przed chwilą słyszeliście Rusz to wielkie dupsko, zdiro w wykonaniu Mormońskiego Chóru Chłopięcego”.

Jack nawet się nie uśmiechnął.

- Theo, dzięki, że starasz się mnie rozweselić, ale nic z tego nie będzie. Nie po takim poranku.

- Aż tak z tobą źle?

- Gorzej.

- Walnęło cię tak, bo wciąż coś do niej czujesz? Czy to przez ten film?

- Powiem ci tylko, że była to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Tyle. A przez cztery lata pracowałem w bloku śmierci i miałem do czynienia z różnymi potwornościami.

Theo zamilkł. Nie zdołał rozweselić Jacka i chyba nie wiedział, co teraz robić. W końcu położył mu na ramieniu swoją wielką rękę i powiedział:

- Przykro mi, stary. Naprawdę.

- Dzięki.

Na pięćdziesiątym pięttrze drzwi się otworzyły i weszli do wysokiego na dwa piętra foyer wyłożonego wiśniową boazerią. Nazwa kancelarii była wypisana wielkimi, błyszczącymi mosiężnymi literami. Z baterii okien we wschodniej ścianie można było wyskoczyć i dolecieć aż do Key Biscayne. Jack podszedł do pięknej blond recepcjonistki przy antycznym biurku i spytał o Williama Baileya. Blondyna uśmiechnęła się, zadzwoniła gdzieś i poprosiła, żeby zechcieli spocząć w poczekalni. Jack minął rząd skórzanych sof i stanął pod sięgającym sufitu oknem. Patrzył na prawdziwy raj, ale prawie go nie widział.

Podszedł do niego Theo.

- Dobrze zrobiłeś, że zawiadomiłeś FBI - powiedział. - To była słuszna decyzja. Chyba o tym wiesz.

- Teraz to już nic nie wiem.

- To, co zobaczyłeś na filmie, to nie zemsta. Ten zboczeniec nagrał tę płytkę, zanim do nich zadzwoniłeś. Wkurzył się tym dowodem życia, tym, że FBI gra na czas. A to nie był twój pomysł.

Jack popatrzył na szkuner idący kursem na Miami Beach i przypomniało mu się, jak płynęli z Mią na Bimini. Morze było tak wzburzone, że nawet kapitan John Paul Jones<sup>7</sup> pojechałby do Rygi. Mia nigdy mu tego nie wypominała, ale miał wyrzuty sumienia, że ją w to wpakował. Nie żeby się to teraz liczyło. Była żoną innego. Ale została uprowadzona. I ktoś ją torturował.

Tortury. To jedno z tych słów, które rozrywają duszę na strzępy, przy których „porwanie” brzmi niemal dobrotliwie.

Jack spuścił głowę.

- Ciekawe, co FBI przede mną ukrywa.

- Myślisz, że ukrywa?

- W sobotę wieczorem widziałem się z Emilią, jej przyjaciółką. Zastanawialiśmy się, dlaczego Mia nie odeszła od Salazara, i Emilia powiedziała, że szukała u niego ochrony.

- Ochrony? To znaczy bezpieczeństwa?

- Tak, ale nie użyła słowa: „bezpieczeństwo”. Rozmawiały po hiszpańsku i Emilia twierdzi, że mówiła o *protección*.

---

<sup>7</sup> Patron Marynarki Wojennej USA, jej ojciec założyciel, kontrowersyjny kapitan amerykański.

- Ale o *protección* przed czym?

- Tego Emilia nie wie. Mia jej nie powiedziała.

- A tobie? Nigdy o czymś takim nie wspomniała?

- A skąd. Ale nie daje mi spokoju coś innego. Ilekroć patrzę wstecz i zastanawiam się, dlaczego nigdy nie podejrzewałem, że jest mężatką, najbardziej zdumiewa mnie to, że tak sprytnie potrafiła unikać rozmów o sobie.

- Spotykałeś się z nią i ani razu porządnie nie pogadaliście?

- Gadaliśmy bardzo dużo. Ale ani razu o jej przeszłości. Tylko o przyszłości. O nadziejach, marzeniach, takich tam.

- Dziewczyńskie gadki.

- Jak wolisz. Ale...

- Ale?

Jack nie chciał mówić mu o bliźnie, którą odkrył na jej ciele po tym, gdy po nieudanej próbie seksu Mia usnęła w jego ramionach.

- Po prostu nic o niej nie wiem. Tak, wiem, że pochodzi z Wenezueli, ale nie mógłbym podać ci nazwy jej rodzinnego miasta czy nawet stanu. Nie wiem, ile ma siostr i braci, nie wiem, czy jej rodzice żyją, nie wiem, czy i gdzie przedtem pracowała. Nie sądzisz, że to dziwne?

- Nie. Mój przyjaciel zwiózł z kochanką do Las Vegas i dowiedział się, że babka jest adoptowana dopiero wtedy, kiedy po powrocie z miesiąca miodowego poznał jej bielutkich jak śnieg rodziców.

- Ty zawsze wynajdujesz ekstremalne przykłady.

- Po prostu próbuję ci pomóc. Po mojemu było tak: Mia niechętnie mówiła o sobie, bo nie chciała, żebyś dowiedział się, że ma męża.

- Początkowo też tak myślałem - odparł Jack. - Ale teraz skłaniam się ku czemu innemu.

- Myślisz, że ukrywała coś ze swojej przeszłości?

Jack spojrzał na niego z poważną miną.

- Myślę, że ukrywała całą przeszłość.

- Jak tajna agentka?

- Nie. Ciągłe nie daje mi spokoju to *protección*. Może dlatego, że jestem adwokatem i pracowałem kiedyś w prokuraturze, ale kiedy ktoś nie chce mówić o swojej przeszłości i zaczyna używać słów takich jak *protección*, ja zaczynam myśleć o bardzo szczególnym rodzaju ochrony.

- Coś mi mówi, że nie o prezerwatywach.



- Zdecydowanie nie.
- O ochronie świadków?

Podeszła do nich recepcjonistka. Ręce założone skromnie za plecy, stykające się ze sobą kostki u nóg, niemal żalobny ton głosu:

- Bardzo mi przykro, ale mecenas Bailey musiał nagle wyjść. Niestety nie może panów przyjąć.

- Ani dzisiaj, ani nigdy - mruknął Theo.

Zmieszana blondyna ściągnęła usta, na próżno szukając słów.

Theo ruszył do wyjścia.

- Chodź, Swytek. Musimy rozpracować tę ochronę.

# 18

Odprawa Połączonego Sztabu Reagowania Kryzysowego odbywała się w jasno oświetlonej sali konferencyjnej w biurze szeryfa hrabstwa Palm Beach. Andie siedziała u szczytu długiego, prostokątnego stołu między starszym agentem Peterem Crenshawem i technikiem FBI. Aby móc zapanować nad przebiegiem spotkania, poprosiła, żeby agencje i wydziały policji, prowadzące śledztwo w sprawie uprowadzenia Mii Salazar i w sprawie morderstwa Ashley Thornton, przysłały na odprawę nie więcej niż czterech przedstawicieli. Po jej lewej stronie siedział szef służb śledczych major Lewis Collins wraz z trzema zastępcami, dyrektorem Biura Śledztw Specjalnych, dyrektorem Biura Przestępstw Brutalnych i dyrektorem Służb Technicznych, który mimo niezbyt zaszczytnego tytułu odpowiadał za wszystkie sprawy związane z miejscem przestępstwa, od analizy technicznej poczynając, na serologii kończąc. Po prawej stronie zasiadali przedstawiciele Departamentu Policji Palm Beach, policji stanowej i Departamentu Stanowych Służb Policyjnych. Dokładnie naprzeciwko, przy krótszym końcu stołu, siedział szeryf McClean (ten, który zawiózł Andie do Czarciego Ucha, gdzie znaleziono ciało Ashley Thornton) i jego dwóch głównych śledczych. Przedstawiciele Departamentu Policji hrabstwa Miami-Dade i policji miejskiej zasiadali na dodatkowych krzesłach z tyłu sali. Byli tu nowi i weszli w skład grupy tylko dlatego, że porywacz zażądał, by do zapłaty za dowód życia doszło w centrum Miami.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - zaczęła Andie. - Najpierw chciałabym zapoznać was z rozwojem wydarzeń i najnowszymi informacjami.

Wstała i podeszła do mapy Florydy, która zajmowała prawie całą ścianę. Niebieską pinezką zaznaczono na niej przypuszczalne miejsce uprowadzenia Ashley Thornton w Ocala - „przypuszczalne”, bo jej koń wrócił do stajni sam, a po przeczesaniu leśnej trasy ponad trzykilometrowej długości śledczy nie zdołali ustalić, gdzie doszło do ataku. Kolejną niebieską pinezką zaznaczono miejsce, gdzie - również przypuszczalnie - uprowadzono Mię Salazar, która zniknęła podczas porannej przebieżki. Ponumerowane pinezki koloru żółtego wbito w miejsca, które porywacz prawdopodobnie odwiedził. Numerem piątym - najwyższym - oznaczono punkt ksero w Miami.

Pojedyncza czerwona kropka na rzece Santa Fe symbolizowała miejsce znalezienia zwłok Ashley Thornton.

- Jak widzicie - ciągnęła Andie - porywacz rozszerza teren działania...

- Zakładając, że mówimy o jednym porywaczu - wtrącił Crenshaw.

Andie zrobiła pauzę, nie wiedząc, do czego Pete zmierza.

- Masz rację - odparła. - Wciąż uważamy, że porywacz i zabójca Ashley Thornton uprowadził również Mię Salazar.

- Pamiętajmy tylko, że to założenie - dodał Crenshaw.

- Tak, oparte na zgromadzonych dotychczas dowodach rzeczowych - odparła Andie. - I tak oto dochodzimy do pierwszego punktu dzisiejszej odprawy: do nowych dowodów rzeczowych. Przygotowaliśmy dla wszystkich szczegółowe zestawienie, skoroszyt, który większość z was już przejrzała. Pierwszym dowodem jest portret pamięciowy podejrzanego sporządzony na podstawie informacji uzyskanych od kobiety obsługującej punkt ksero i bezdomnego, który był posłańcem porywacza.

Major Collins otworzył skoroszyt, spojrzał na portret i zmarszczył brwi.

- Mężczyzna w kapturze i ciemnych okularach. Wygląda jak pierwszy portret Unabombera, portret, który przez siedemnaście lat nie naprowadził nas na żaden sensowny ślad.

- Nie jest zbyt udany, ma pan rację - odparła Andie. - Ale dopóki nie zdobędziemy lepszego, musi nam wystarczyć.

- W tym punkcie ksero nie było kamer? - spytał Collins.

- Były, ale ich nie włączano. Korzystający z Internetu klienci grozili właścicielowi sądem za naruszenie prywatności.

- Ach - rzucił ktoś z lewej - to uświęcone tradycją konstytucyjne prawo do pornografii. Dziękujemy ci, Amerykańska Unio Swobód Obywatelskich. Dzięki tobie świat jest bezpieczniejszy dla seryjnych morderców i pedofilów.

Przez salę przetoczyła się fala chichotu i głośny pomruk niezadowolenia - „chimruk”, jak nazywała to Andie; policjanci bardzo lubili chimrukać.

- Chcę was również zapoznać z wynikami dochodzenia w sprawie płetwonurków. Ponieważ zwłoki Ashley Thornton znaleziono w Czarcim Uchu, uznaliśmy, że porywacz jest nie tylko licencjonowanym płetwonurkiem, ale przeszedł też szkolenie w zakresie nurkowania jaskiniowego. Nie można wykluczyć, że ma nawet certyfikat ATS, Amerykańskiego Towarzystwa Speleologicznego, które szkoli płetwonurków i instruktorów. Oczywiście płetwonurkowie jaskiniowi stanowiliby znacznie węższą grupę podejrzanych.

- Ludzie nurkują w jaskiniach bez żadnych papierów - powiedział szeryf McClean. - Codziennie. Dlatego wyciągamy stamtąd tak dużo trupów.

- Ma pan rację - przyznała Andie. - Z tego powodu przeprowadziliśmy dochodzenie na podstawie poszerzonej listy krajowej. Na szczęście nie musieliśmy ponownie wynajdować koła, ponieważ od zamachu jedenastego września ta sama lista jest przedmiotem poważnego zainteresowania służb antyterrorystycznych.

- Tak, tylko że naszego terrorysty na niej nie będzie, bo zakładanie bomb pod kadłub statku pasażerskiego nie należy do programu szkolenia Club Med.

Ten i ów znowu zachichotał, ten i ów zrzędlawie mruknął.

- Słuszna uwaga - powiedziała Andie. - Nasza grupa stoi przed podobnym problemem. Oczywiście nie szukamy terrorysty. Ale porywacz mógł nauczyć się nurkować za granicą albo zamiast zdawać egzamin na certyfikat, prowadził zwykły rejestr nurkowań; bywa, że to w zupełności wystarczy. Mimo to uznaliśmy, że warto porównać listę licencjonowanych płetwonurków z listą skazanych przestępców.

- Niech no zgadnę - wtrącił Collins. - Stwierdziliście, że wielu płetwonurków lubi popalać trawkę.

- Tyle mógłby powiedzieć każdy, kto był kiedykolwiek na Florida Keys. Ważniejsze jest to, że w skoroszyście znajdziecie dane osobowe i ostatnie dostępne zdjęcie wszystkich licencjonowanych płetwonurków skazanych za podobne przestępstwa w ciągu ostatnich siedmiu lat. Przede wszystkim za uprowadzenie. Ale i za molestowanie seksualne i pobicie. Oczywiście wykluczaliśmy zmarłych i odbywających karę więzienia.

Collins przekartkował listę.

- Trzeba było od razu dać nam książkę telefoniczną.

- Nie jest tak źle - odparła Andie. - W pierwszej części zamieściliśmy całą listę. Potem porównaliśmy nieprzetworzone dane z portretem psychologicznym porywacza. Jednym z kryteriów był wiek. I wykształcenie. Krótko mówiąc, po eliminacji pozostała nam niecała setka.

- A więc uważacie, że jedna z osób, których nazwiska figurują w tym skoroszyście, uprowadziła Ashley Thornton i Mię Salazar?

- To bardzo prawdopodobne.

- Zakładając, że zrobił to ten sam człowiek - wtrącił Crenshaw.

Zaciekawiony major podniósł wzrok.

- Już trzeci albo czwarty raz powtarza pan: „Zakładając, że to ten sam porywacz”. Czy FBI sugeruje, że możemy mieć do czynienia z dwoma?

- Specjaliści od portretów psychologicznych uważają, że nie - odparła Andie.

Crenshaw ciężko westchnął.

- Ale każdy, kto ma trzydzieści lat doświadczenia zawodowego, wie, że specjaliści czasem się mylą.

Kilku policjantów zgodnie pokiwało głową. Crenshaw nie musiał ich przekonywać, bo i bez tego wiedzieli, że najbardziej „elitarny” wydział FBI to w najgorszym wypadku banda mądralińskich, którzy pozjadali wszystkie rozumy, a w najlepszym horda wysoko kwalifikowanych pracoholików, którzy lubią się rozdrabniać.

- Chciałbym usłyszeć coś więcej - powiedział major Collins. - Na jakiej podstawie uważa pan, że eksperci z Quantico mogli coś przeoczyć?

Andie już miała zainterweniować, żeby ponownie skupić uwagę zebranych na sprawie pletwonurków, ale Crenshaw wprost rwał się do czynu i zrobiłby wszystko, żeby przedstawić swoją teorię.

- Proszę bardzo - rzekł, wstając z krzesła. - Po pierwsze, nie sposób nie zauważyć, że między tymi uprowadzeniami istnieją rzucające się w oczy różnice. W przypadku Mii Salazar, na przykład, list z żądaniem okupu trafił i do jej rodziny, i do FBI. W przypadku Ashley Thornton dostała go tylko rodzina.

- Portret psychologiczny tłumaczy to rosnącym pragnieniem zainteresowania - wtrąciła Andie.

- Chwileczkę, dopiero zaczynam - odparł Crenshaw. - W przypadku Ashley Thornton porywacz nikomu się nie pokazał. I nagle wychodzi na miasto w przebraniu bezdomnego, rezerwuje komputery i płaci menelom za to, żeby nasikali na ławkę. A ta sztuczka z moczem? Za sprytne to, za cwane. W pierwszym uprowadzeniu niczego takiego nie było.

- Notoryczni przestępcy stają się z czasem coraz odważniejsi - zauważyła Andie. - To często spotykane.

- Fakt - przyznał Crenshaw. - Ale jeśli profil psychologiczny ma mieć jakąkolwiek wartość, musimy założyć, że działania socjopaty są odzwierciedleniem tej części psychiki, która nigdy się nie zmienia. Ta część to jego osobowość, jego podpis, jeśli wolicie. I właśnie tu teoria o jednym porywaczu bierze w łeb, przynajmniej według mnie.

- Konkretnie dlaczego? - spytał któryś z agentów.

Crenshaw ucieszył się jak nauczyciel, który w końcu zainteresował czymś uczniów.

- Torturowanie ofiary - wyjaśnił. - Według protokołu z sekcji zwłok, na ciele Ashley Thornton nie znaleziono niczego, co dowodziłoby, że przed śmiercią zrobiono jej jakąkolwiek krzywdę fizyczną. Jak widzieliśmy na dzisiejszym filmie - jeśli oczywiście założymy, że pani Salazar wciąż żyje - w tym wypadku sytuacja jest zupełnie inna.

Szeryf McClean głośno odchrząknął.

- Zawlec kobietę do podwodnej groty, odebrać jej aparat oddechowy i pozostawić ją tam na pewną śmierć to według pana nie tortury?

- Nie, to brutalne, ohydne zabójstwo. Taki morderca różni się od kogoś, kto dla zabawy zadaje ofierze niegroźne rany tylko po to, żeby utrzymać ją przy życiu jeszcze przez jeden dzień i żeby znowu ją torturować. To bardzo subtelna różnica, jednak różnica.

Zebrani zamilkli, jakby potrzebowali czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- Zróbmy przerwę - zaproponowała Andie. - Zostało nam sporo do omówienia. Do zobaczenia o dziesiątej.

Jedni zbili się w grupki, żeby pogadać, inni poszli do automatu po kawę, jeszcze inni do toalety. Ona dopędziła Crenshawa w korytarzu i odciągnęła go na bok. Stali we dwoje przy poidelku, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać.

- Co ty wyczyniasz? - spytała.

- Ja?

- Ni z tego, ni z owego próbujesz wcisnąć im teorię o dwóch porywaczach. Co cię napadło?

- Chcesz powiedzieć, że nie mam prawa do własnego zdania?

- Miło by było, gdybyś najpierw omówił je ze mną.

- Właśnie omawiam. Co o tym myślisz?

- Myślę... - urwała.

- Że jestem upierdliwy, co? - dokończył za nią.

Andie milczała.

- Tak, masz rację. Jestem. Gdyby nie tak zwane trudności w kontaktach z ludźmi, już dawno siedziałbym w Quantico. Ale zauważ jedno: jeśli ktoś taki jak ja trafił na listę kandydatów do Wydziału Wsparcia Śledczego FBI, może to znaczyć tylko jedno. Tak, jestem upierdliwy. Ale zwykle mam rację.

Andie patrzyła w milczeniu, jak Crenshaw wraca do sali konferencyjnej. Nie mogła powiedzieć, że go lubi, ale nie mogła go również zlekceważyć.

Czy jej się to podobało, czy nie, Crenshaw dał jej do myślenia.

# 19

Ernesto Salazar szedł środkiem szarego drewnianego mola na przystani jachtowej w Key Biscayne, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Słońce zaszło już przed wieloma godzinami, ustępując miejsca wiszącemu tuż nad horyzontem półksiężycowi, którego promienie odbijały się w czarnej jak smoła wodzie. Większość jachtów tonęła w ciemności i nigdzie nie było widać najmniejszego śladu życia. Jedynym dostrzegalnym wyjątkiem był duży jacht na końcu przystani. Jego wesoła załoga albo oblewała koniec dnia na oceanie, albo dopiero szykowała się do nocnej wyprawy. Byli jednak za daleko, żeby całkowicie zakłócić upiorną ciszę. Przy każdym, nawet najlżejszym powiewie wiatru napięte liny uderzały z głuchym trzaskiem w aluminiowe maszty i nad przystanią rozbrzmiewał istny chór.

Ernesto spojrzął na zegarek. Dziesiąta. Przyszedł punktualnie. Teraz musiał tylko znaleźć ten kuter.

Andie Henning ostrzegła go, że film jest bardzo drastyczny, ale obejrzał go i tak. Tylko raz. To wystarczyło. Wrócił prosto do domu, żeby o tym zapomnieć, ale porywacz najwyraźniej nie zamierzał mu na to pozwolić. Drugi e-mail przyszedł wczesnym popołudniem. „Tym razem żadnych glin, żadnego Swytecka i żadnych głupich zagrywek. Załatwimy to we dwóch, tylko ty i ja. Weź wodoszczelną walizkę i włóż do niej pieniądze. O dziesiątej wieczorem bądź na przystani jachtowej w Key Biscayne. Znajdź kuter rybacki o nazwie »Mega-Bite«. Kapitan będzie wiedział, co robić. Gdybyś miał jakieś wątpliwości, decyzję co do wielkości walizki i wysokości nominałów pozostawiam tobie. Ale to twoja ostatnia szansa. Zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta”.

Ernesto znalazł kuter na końcu południowego mola. Na łodzi paliły się światła pozycyjne. Pracowały dwa diesle i za rufą, na której ręcznie wymalowano nazwę, burzyła się woda.

- Pan Salazar? - Za sterem stał krzepki mężczyzna. Zbudowany jak typowy rybak, miał lekko wystający brzuch i olbrzymie ręce, którymi mógłby wyciągnąć z morza zatopiony samochód, a oderwane rękawy jego dzinsowej koszuli odsłaniały skomplikowane tatuaże na obydwu bicepsach. Ale nawet przez sekundę Ernesto nie pomyślał, że stoi przed nim porywacz Mii. Było oczywiste, że rybak jest tylko pośrednikiem, wynajętym pionkiem, tak jak bezdomny, który nasikał na ławkę Swytecka.

- Tak, to ja - odparł. - Ernesto Salazar.

- Pan pozwoli, wezmę pańską walizkę.

Ernesto cofnął się o krok.

- Nie trzeba, poradzę sobie.

Szyper posłał mu dziwne spojrzenie i przeniósł wzrok na pulpit sterowniczy.

- Jak pan chce. Niech pan rzuci mi tę linę i wskakuje na pokład.

Ernesto odwiązał linę dziobową i wszedł na łódź. Usiadł na rufie, za rybakiem, ani na chwilę nie rozstając się z walizką. Buchnął kłęb cuchnących spalin. Szyper dał małą wstecz, potem małą naprzód i trzynastometrowej długości kuter powoli odbił od nabrzeża. Kilka minut później minęli strefę ograniczonej prędkości. Szyper dał silnik stop i zszedł do kambuza. Ernesto nie wiedział po co, ale szybko się dowiedział, bo spod pokładu dobiegł głos znanego komika.

- Nie muszę oglądać telewizji - powiedział, gdy szyper ponownie stanął za sterem.

- Ani ja, ale facet, który mnie wynajął, kazał włączyć telewizor, jak tylko wypłyniemy z przystani. No to włączyłem.

Żądanie było dość dziwne, ale Ernesto nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Szyper pchnął dźwignię przepustnicy i głos Desiego Arnaza<sup>8</sup> - który śpiewał akurat Bubba-lo - zginął w ryku tysięcy silników. Morze było spokojne i kuter ślizgał się po łagodnych falach, robiąc dwadzieścia pięć węzłów. Utrzymywali tę prędkość prawie przez czterdzieści pięć minut, chociaż zdawało się, że nie płyną w żadnym konkretnym kierunku. Dwadzieścia minut na zachód. Pięć minut na południe. Dwie minuty na północ, a potem znowu na południe.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Ernesto, przekrzykując warkot silników.

- Nie mogę powiedzieć.

- Niech zgadnę. Zabronił panu ten, który pana wynajął.

Kuter wpadł na wyższą falę i szyper wytarł mokrą od piany twarz.

- Tak. Ale nawet gdyby nie zabronił, i tak nie mógłbym podać panu naszych dokładnych współrzędnych. Przez ten cholerny telewizor. Zakłóca GPS.

- Jak to? - zdziwił się Ernesto.

- Antena zakłóca sygnał satelitarny. Kiedy gra telewizor, GPS wariuje albo całkiem wysiada. Mógłbym kupić inną antenę, taką, która niczego nie zakłóca, ale oglądam telewizję tylko w porcie. Więc po cholere wydawać pieniądze?

Ernesto nagle zrozumiał, po co tak krąży - i dlaczego porywacz kazał szyprowi włączyć telewizor.

Myśli, że mam w walizce nadajnik i chce go zagłuszyć.

---

<sup>8</sup> Prawdziwe nazwisko Desiderio Alberto Amaz y De Acha III, amerykańskiego piosenkarza i aktora.



Dotarli do kolejnej strefy ograniczonej prędkości. Szyper przesunął w dół dźwignię, dziób kutra opadł i warkot silnika wyraźnie złagodniał. Pod pokładem wciąż grał telewizor. Ernesto rozpoznał melodię przewodnią Andy Griffith Show, więc musiała to być Nick at Nine albo inna stacja nadająca powtórki starych seriali i programów. Z tego, co się domyślał, zrobili wielką pętlę i zbliżali się do przystani w Coconut Grove, ledwie kilka mil morskich od miejsca, z którego wypłynęli. Ale ta przystań wyglądała zupełnie inaczej, bo nie było tu równiutkich rzędów cumujących obok siebie łodzi. Tu łodzie cumowały daleko od brzegu, na całym basenie portowym, tak że można było dostać się na nie tylko bączkiem. Ernesto dostrzegł w oddali kilka barek mieszkalnych, które spędzały tu zimę. I kilka wielkich jachtów, które zatrzymały się w Miami przed dalszą podróżą na Martynikę, Wyspy Dziewicze lub do innych karaibskich rajów.

Podczas gdy szyper manewrował między cumującymi łodziami, Ernesto przeszedł po cichu na dziób. Chociaż prawie nie robili fali, łodzie lekko się kołysały. Nawet ten minimalny ruch wystarczył, żeby znowu zaśpiewały liny i żeby chwiejące się w blasku księżyca nagie maszty stworzyły iluzję wielkiego zimowego lasu.

Szyper wyłączył silniki i kuter wpadł w dryf. Telewizor wciąż grał - podobnie jak telewizory na pobliskich jachtach. Sygnały zakłócające pracę GPS-u dochodziły dosłownie zewsząd. Sprytny jest, sukinsyn, pomyślał Ernesto.

- To tu - oznajmił szyper.
- Co tu?
- Niech pan wrzuci tu walizkę.
- Do wody? - spytał z niedowierzaniem Ernesto.

- Tak. Takie dostałem polecenia. Miałem włączyć telewizor, krążyć przez godzinę po zatoce, a potem zacumować w Coconut Grove, dziewięć metrów na północ od „Szeptu Mórz”.

Ernesto zerknął za prawą burtę. Rzeczywiście, „Szept Mórz” stał kilkanaście kroków dalej. Przeniósł wzrok na szypra.

- Czy ma pan pojęcie, co jest w tej...
- Nie mam i nic mnie to nie obchodzi - przerwał mu tamten, powstrzymując go gestem ręki. - Wiem tylko tyle, że facet zapłacił mi dwa patole, żebym zrobił dokładnie to, co mi kazał. To niezły zarobek jak na dwie godziny roboty. A teraz niech pan wrzuci tę walizkę.

Ernesto nie wiedział, co robić. Wrzucić walizkę do morza? Zupełne szaleństwo, ale było mało prawdopodobne, żeby szyper to wszystko zmyślił. Chwyił za rączkę, dźwignął walizkę, oparł ją o reling i znowu się zawahał. Czy to ma sens? Przestań, za dużo myślisz. Wziął

głęboki oddech i zepchnął walizkę z relingu.

Wpadła z pluskiem do wody i powoli odpłynęła od kutra. Była wodoszczelna, tak jak chciał tego porywacz, i wiedział, że prędko nie zatonie. Nie odrywał od niej oczu, prawie nie mrugał. I nagle na powierzchni wody coś się zmieniło. Bąbelki. Pojawiły się bąbelki. Po ciemku słabo widział, ale był pewien, że bąbelki idą od dołu.

Walizka przechyliła się gwałtownie w prawo, potem w lewo. Sekundę później zniknęła, jakby wessała ją czarna otchłań. Pozostały po niej tylko kręgi na wodzie, jak po wrzuconym do jeziora kamieniu.

Ernesto milczał. Wreszcie, wciąż patrząc na bąbelki powietrza, spytał:

- Czy GPS działa pod wodą?

- Niektóre z tych nowych działają. Ale tylko niektóre.

Ernesto kiwnął głową, wiedząc, że kiedy wokoło cumuje pięćset łodzi z antenami i włączonymi telewizorami, wysiądą nawet te najnowsze.

- Dlaczego pan pyta?

- Z czystej ciekawości - odparł Ernesto, który zdał sobie sprawę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, właśnie otarł się o człowieka, który zamordował Ashley Thornton i uprowadził Mię.

Oby tylko uprowadził.

## 20

Mia Salazar nie odczuwa bólu.

Zwinięta w kłębek w kącie słabo oświetlonego pomieszczenia powtarzała to sobie w nieskończoność. Słowa zmieniły się z czasem w mantrę, tak jak przed laty, podczas biegu na dwadzieścia kilometrów, kiedy boczny szew w bucie omal nie doprowadził jej do szaleństwa. Bieganie to kwestia kontroli umysłu nad ciałem i od tamtej pory ta mała sztuczka skutkowałą na wszystkich zawodach. Tego dnia jednak zawiodła.

Mia Salazar nie odczuwa... Cholera jasna, jak to boli!

Już nie płakała, ale tylko dlatego, że jej ciało nie potrafiło wytworzyć więcej łez. Tak, płakała przedtem, kiedy ból był nie do zniesienia, ale napięcie narastało w niej od wielu dni, odkąd zaczęła się ta gehenna. Obudziła się z niewiarygodnie głębokiego snu, nie mając pojęcia, gdzie jest ani kto ją zaatakował. Pamiętała tylko, że biegła, nic więcej. Był chłodny, słoneczny poranek i właśnie pokonywała swój ulubiony fragment pięciokilometrowej trasy, odcinek wijący się między nadmorskimi wydmami i kępami trawy. Po zmroku trochę się tam bała, ale nigdy za dnia - do czasu. Zza wydm wyskoczył jakiś mężczyzna. Wyrósł przed nią jak spod ziemi i powalił ją na piasek. Wrywała się, szarpała, próbowała krzyczeć, ale wszystko się zamazało. Prawie udusiła się pod grubym całunem atramentowej czerni. Leżała na brzuchu, z twarzą w piachu, a ciężar napastnika omal nie zmiażdżył jej nerek. Coś ukuło ją w prawe udo i w całej nodze poczuła palące pieczenie. Kilka sekund później jej mięśnie zwiotczały i straciła przytomność.

Ocknęła się ze związanymi rękami i nogami i zaklejonymi taśmą ustami. Uroniła kilka łez ze strachu i samotności, z poczucia całkowitej bezradności, jakie rodzi niepewność. Potem spróbowała wyostrzyć zmysły. Za ciasne więzy na kostkach nóg i na nadgarstkach, stęchły chłód, ucisk pełnego pęcherza - jedynie to uświadomiło jej, że na pewno nie śpi, bo z opaską na oczach trudno było odróżnić jawę od snu. Gdy zaciskała powieki, nie widziała nic. Tak jak wtedy, gdy je rozwierzała. Dopiero przed dwoma lub trzema dniami - nie była tego pewna - po raz pierwszy zdjęto jej opaskę. Prosto w oczy świeciło światło, dlatego nie wiedziała, kto ją zdjął. Widziała tylko sylwetkę stojącego człowieka i palącą się lampę. Chciała krzyczeć już na sam ten złowieszczy widok, ale nie mogła. Miała knebel w ustach.

Po trzech, czterech razach zdejmowanie opaski i jaskrawe światło stało się czymś w

rodzaju rytuału, obrządku, który choć niemiły, uzmysławiał jej, że jeszcze nie umarła. Czarna sylwetka podawała jej kubek wody z gąbką, żeby mogła się obmyć, kubek na odchody i talerz zimnego jedzenia. Nigdy nie rozwiązywano jej nóg, ale przez dziesięć jakże potrzebnych minut Mia miała przynajmniej wolne ręce, mogła umyć się i zjeść, choć zawsze w towarzystwie milczącego osobnika. Rytuał ten powtarzał się przez kilka dni.

A potem wszystko się zmieniło.

Niemal natychmiast wyczuła, że jest inaczej niż zwykle. Usłyszała, jak otwierają się drzwi, usłyszała jego kroki. Zdjęto jej opaskę i zobaczyła światło. Ale tym razem nie było kubków, jedzenia ani artykułów higieny osobistej. Zamiast tego zauważyła drugie światło, bardziej skupione i nie tak oślepiające jak tamto. Zmrużywszy oczy, zdołała ustalić, że bije z jakiegoś sprzętu elektronicznego. Nagle usłyszała krótki pisk i już wiedziała, co się dzieje. Była filmowana i przyszły jej do głowy dziesiątki najstraszniejszych powodów, dla których tamten mógłby to robić.

- Na plecy - rozkazał głosem zniekształconym przez waciki w ustach.

Te dwa krótkie słowa przyprawiły ją o zimny dreszcz. Była pewna, że spełnią się jej najgorsze obawy, że porywacz jest w najlepszym wypadku gwałcicielem, a w najgorszym... Nie chciała o tym myśleć.

- Szybko!

Trzęsąc się, opadła na materac. Próbowwała zapanować nad szalejącą wyobraźnią, ale nie potrafiła się całkowicie wyłączyć. Stężała w napięciu, mięśnie skurczyły się w oczekiwaniu na jego dotyk. Białe światło powoli przysunęło się bliżej i zobaczyła wszechwidzący obiektyw wideokamery. Zimne, mechaniczne oko patrzyło prosto na nią, na jej twarz, co nie wróżyło niczego dobrego. Zacisnęła powieki i porywacz natychmiast ją zganił.

- Otwórz oczy! - rozkazał i posłusznie je otworzyła. Leżała nieruchomo z głucho walącym sercem. Oczy, dostosowując się do nowych warunków, coraz bardziej się rozszerzały z przerażenia. I wtedy to poczuła.

Nigdy w życiu nie doświadczyła takiego bólu. Coś - może szcypce - chwyciło ją za wielki palec u nogi i ścisnęło tak mocno, że oczy omal nie wyskoczyły jej z głowy. Od krzyku zdarła sobie gardło, lecz ucisk tylko się wzmacniał. Wreszcie ustąpił. Nie wiedziała, po jakim czasie, ale trwało to całą wieczność. Reflektor kamery zgasł. Stała nad nią ciemna sylwetka mężczyzny, podświetlona od tyłu pojedynczą lampą. Mężczyzna podał jej kubek z wodą, gąbkę i bandaż. Wzięła to i skuliła się w kącie.

Wiele godzin później palec wciąż pulsował bólem. Próbowwała zająć myśli czymś innym, przypominając sobie słowa ulubionych piosenek i wspominając ulubione miejsca. Myślała o

swoim mężu, zastanawiała się, czy zapłaci okup. Zastanawiała się również, czy Jack Swytek wie, co się stało i czy w ogóle go to jeszcze obchodzi. Ale takie myślenie przyprawiało tylko o ból głowy, równie silny jak ból palca. Dlatego znowu powróciła do eskapizmu, wyliczając składniki swoich ulubionych potraw, robiąc sobie quiz z wiedzy o filmie. „Wymień wszystkie filmy, w których Humphrey Bogart grał ze starszą od siebie aktorką w roli głównej”. Quiz trochę pomógł. Palec wciąż bolał jak wszyscy diabli, ale przypomniała sobie, że dzięki podobnej technice piętnastoletnia naonczas Brookie Shields z powodzeniem symulowała orgazm w scenach z Błękitnej laguny - chociaż ten, kto stojąc poza kadrem, ścisnął palec „niczego nieświadomej” młodziutkiej aktorce, na pewno nie był psychopatą i używał do tego innych narzędzi. Wiedziała, że nieprędko znowu będzie mogła biegać i nagle przyszło jej do głowy, że może właśnie o to mu chodziło. W dawnych czasach często okaleczano niewolników, żeby nie mogli uciec. Jej porywacz musiał wykraść paskudną kartę z historii Ameryki.

Niewolnica. Czy naprawdę jestem niewolnicą?

Ta perspektywa ścięła jej krew w żyłach, ale nie mogła przestać o tym myśleć. Chociaż nigdy dotąd nie przeżyła niczego takiego jak to, co przydarzyło jej się w ciągu ostatnich kilku dni, nie pierwszy raz czuła się osaczona.

Zapiszczały zawiasy w drzwiach i natychmiast wzmogła czujność. Była w opasce i nie widziała, jak ku niej idzie, ale słuch miała lepszy niż kiedykolwiek dotąd. Znała jego kroki. Gdy podszedł bliżej, odruchowo napięła mięśnie. Czy tym razem przyniósł jej kubek i jedzenie? Czy znowu będą reflektory, kamera i... Bóg wie, co jeszcze.

- Usiądź - rzucił zniekształconym przez wacik głosem.

Ból palca nagle się wzmógł, ale tylko z wyczekiwania. Powoli usiadła. A potem czekała. Nie widziała go i nic nie słyszała, ale czuła, że tamten czerpie z tego przyjemność.

Mia Salazar nie odczuwa bólu - poczuła bijące z reflektora ciepło i znowu zaczęła to powtarzać. Ale na próżno.

Nigdy w życiu nie zaznała tak potwornego bólu.

# 21

Już niemal zasypiał, gdy zadzwonił telefon. Jack przeturlał się na brzeg materaca, wymacał po ciemku słuchawkę i podniósł ją po piątym dzwonku. To był ktoś, z kim dawno nie rozmawiał.

- Sie ma, Swyteck. Mówi twój stary kumpel Eddy Malone.

Już sam ten skrzekliwy głos mógłby przyprawić go o bezsenność. To ironiczne, bo kiedyś lubił czytać jego artykuły w „Miami Tribune”, ale było to w tych złych czasach, kiedy nie rozmawiał z ojcem i kiedy Malone uwielbiał zakuwać w dyby gubernatora Florydy i publicznie go chłostać. Ale nawet kiedy było naprawdę źle, Jack nigdy nie upadł tak nisko, żeby ulec nachalnym prośbom Malone'a i dostarczyć mu brudów na ojca. Gdy się w końcu pogodzili, Eddy przestał do niego wydzwaniać i odkąd Harry Swyteck skończył drugą kadencję, nic o nim nie napisał. Ale telefon tuż przed wyznaczonym terminem? Nie wróżyło to niczego dobrego.

- Odkładam słuchawkę - powiedział. - Nie oddzwaniaj.

- Zaczekaj. Z dobrego źródła wiem, że sypiałeś z żoną Salazara.

Jack usiadł na łóżku. W normalnych okolicznościach by się rozłączył, ale obejrawszy film, na którym torturowano Mię, i wiedząc, jak wielkie grozi jej niebezpieczeństwo, nie mógł zignorować nikogo, kto twierdził, że zna jej tajemnice. Poza tym nie było na świecie adwokata, który nie uważałby, że poradzi sobie z każdym pismakiem, nawet z takim jak Eddy Malone.

- Powoli - odparł - zwolnijmy. Założmy, że zaszczycę cię odpowiedzią, tylko co to ma do rzeczy?

- Nie szukam okazji do dyskusji. Wystarczy zwykłe potwierdzenie lub zaprzeczenie.

- Mia Salazar została uprowadzona. Ze względu na jej bezpieczeństwo mój komentarz byłby po prostu niestosowny.

- Bardzo interesujące. Mówisz, że komentarz byłby niestosowny i jednym tchem potwierdzasz, że została porwana.

- Informację o jej porwaniu podano do wiadomości publicznej.

- A jutro do wiadomości publicznej trafi znacznie więcej.

- Daj spokój. Chociaż raz w życiu zachowaj się przynajmniej jak półczłowiek. Nie wiem,

co knujesz, ale czy ten domniemany romans jest naprawdę ważny dla twego artykułu?

- Po pierwsze, romans nie jest „domniemany”...

- Jest, chyba że te domniemania potwierdzą.

- Mylisz się, przyjacielu. Mam taśmy.

Jack poczuł się tak, jakby Malone grzmotnął go najcięższym kijem golfowym. Mówił o podsłuchu, o taśmach z jego kuchni, co znaczyło, że źródłem informacji może być tylko Ernesto Salazar.

- Po drugie - ciągnął Malone - tak, ten romans jest bardzo, ale to bardzo ważny. Bo jak inaczej moi czytelnicy zrozumieją, dlaczego płacisz za nią okup?

- Co takiego?

- Mam swoich informatorów, Swytek. Byłeś jej kochankiem i zgodziłeś się zapłacić okup. O tym jest mój artykuł. No więc, ile tamten zażądał? Sto tysięcy? Więcej?

Jack z trudem zachował przytomność umysłu. Do tej pory FBI skutecznie chroniło przed mediami tajemnicę podpisu porywacza: „Zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta”. Pytanie Malone'a: „No więc, ile tamten zażądał?” sugerowało, że tajemnica wciąż jest tajemnicą i Jack nie zamierzał jej zdradzać.

- Wkraczasz na niebezpieczny teren - odparł. - Nie wiesz, co robisz.

- Robię swoje. A ty mógłbyś przynajmniej powiedzieć prawdę. Sypiałeś z Mią Salazar czy nie? Jeśli zaprzeczysz, przysięgam, że zamieszczę w artykule kilka dokładnych cytatów z taśmy. Jeśli potwierdzisz, obiecuję oszczędzić ci wstydu.

Myśl o negocjowaniu z Malone'em była odrażająca, ale Jack potrafił rozpoznać dobrą propozycję, nawet jeśli składał ją oślizły wąż.

- Dobrze. Tyle mogę ci powiedzieć. Spotykałem się z nią. Ale nie wiedziałem, że jest...

- Co z tym okupem?

- Pozwól mi dokończyć - odrzekł surowo Jack. - Nie wiedziałem, że jest mężatką.

- Tak, tak, jasne. Dotarło. A teraz okup. Płacisz czy nie?

- Sprawy okupu nie mogę komentować.

- Lepiej skomentuj. Bo drugiej okazji ci nie dam.

- Posłuchaj, wstrzymaj się z tym artykułem chociaż jeden dzień, dobra? Pogadam z FBI i będziesz mógł cytować mnie do woli.

Malone wybuchnął śmiechem.

- Mam swoje źródła, poradzę sobie i bez twoich cytatów.

- Tylko jeden dzień.

- W mojej branży jeden dzień to cała wieczność. Dostałem pierwszą stronę jutrzejszego

wydania, a moi informatorzy donoszą, że Jack Swytek zapłaci okup za Mię Salazar. Potwierdzasz czy zaprzeczasz?

Jack spuścił nogi i usiadł na brzegu łóżka, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Jack, muszę znać odpowiedź, mam termin.

- Nie rób tego, Malone. Narażasz ją na niebezpieczeństwo.

- Nie, to ty ją narażasz. Można spokojnie założyć, że porywacz przeczyta mój artykuł. Chcę napisać prawdę, a ty wciskasz mi kit. Dlatego spróbujmy jeszcze raz, ostatni: według moich źródeł, zamierzasz zapłacić okup. Potwierdzasz czy zaprzeczasz?

Jack zacisnął palce na słuchawce telefonu, a drugą ręką nerwowo przecesał włosy

- Potwierdzasz czy zaprzeczasz, Swytek?

Jack nie wiedział, skąd się ta odpowiedź wzięła, bo wyskoczyła sama, odruchowo:

- Zaprzeczam.

- A więc kradniesz żonę innemu, a kiedy ją porywają, mówisz: „Tak mi przykro, to naprawdę smutne, ale radź sobie sama, kochanie”?

- Nie obrażaj mnie. To o wiele bardziej skomplikowane.

- To skomplikowane - zakpił szyderczo Malone. - Dobry cytat. Na pewno go wykorzystam. Zrób dla mnie coś jeszcze, możesz?

- Co?

- Kup jutrzejszą gazetę.

Malone rozłączył się i Jack usłyszał przeciągły sygnał.



## 22

Dziesięć po drugiej nad ranem Andie Henning siedziała na pace ciężarówki, ramię w ramię z sześcioma członkami miejscowego SWAT-u i dwoma agentami FBI. Żeby zachować element zaskoczenia, zamiast wielkim, czarnym chevroletem Suburban, ulubionym pojazdem FBI, jechali wynajętym meblowozem. Dowódca grupy, starszy agent specjalny Michael Harland, siedział najbliżej otwieranych na dwie strony stalowych drzwi. Jego podwładni byli w pełnym rynsztunku bojowym, w kevlarowych hełmach, kamizelkach kuloodpornych i w goglach z noktowizorem. Pięciu było uzbrojonych w karabinki M16 i pistolety kalibru jednaście czterdzieści trzy. Szósty, snajper, taszczył wielkokalibrowy karabin wyborowy. W kabinie panowała cisza, którą zakłócał tylko monotony warkot silnika i szum toczących się po asfalcie opon. Wszyscy byli głęboko zamyśleni, bo każdy po raz setny analizował plan działania i zmagał się z nerwami, próbując obniżyć tętno do sześćdziesięciu, siedemdziesięciu uderzeń na minutę, do optymalnego poziomu, przy którym da się celnie strzelać. Tętno wyższe oznaczało pudło. Nie tylko ci źli zabijali skuteczniej z zimną krwią.

Andie spojrzała na ekran GPS-u. Niecałe osiem kilometrów do celu. Już niedługo, chociaż wciąż miała zastrzeżenia co do szturm. Wiedziała, że rano zmyją jej głowę, mimo to zamiast powiadamiać całą PSRK, o ostatnim przełomie w śledztwie powiadomiła tylko miejscową placówkę FBI. Każdy negocjator miałby trudności z rozpaleniem entuzjazmu wśród dowództwa SWAT-u, nie wspominając już o innych agencjach.

Ciszę zburzyło głośne brzęczenie komórki. Zgodnie z oczekiwaniami, dzwonił jej szef, Paul Martinez. Andie włączyła tryb głośnomówiący, żeby w rozmowie mógł uczestniczyć Harland, i z malutkiego głośnika popłynął cichy głos.

- Przed chwilą rozmawiałem z zastępcą prokuratora generalnego. Możemy wejść tam bez ostrzeżenia, mamy nakaz. Taktyczne Centrum Operacyjne dało nam pozwolenie na akcję ratunkową z bronią gotową do strzału, jeśli uznamy to za konieczne.

- Oczywiście, że to konieczne - odparł Harland. - Ten człowiek nie ma nic do stracenia i raczej się nie podda. Raz już zabił.

- Jesteśmy pewni, że to ten dom? - spytał Martinez.

- Prawie na sto procent - odrzekł Harland.

Polemika z dowódcą SWAT-u w obecności jego podwładnych to sytuacja bardzo

drażliwa, dlatego Andie trzymała się faktów.

- To zależy od poziomu komfortu psychicznego. Pamiętajmy, że trafiliśmy na ten trop dzięki analizie twardego dysku komputera z punktu ksero.

- Tak, przejrzałem raport - odparł Martinez. - Rozumiem, że tuż przed przybyciem Swytecka ktoś połączył się stamtąd z komputerem, który namierzyliście pod tym adresem. Nie wiem tylko, jak doszliśmy do wniosku, że korzystając z komputera w punkcie ksero, porywacz sterował na odległość internetową kamerą, żeby mieć oko na ofiarę. Potwierdza to jakiś film czy zdjęcia?

- Nie, nie dysponujemy żadnym filmem ani zdjęciami - odpowiedziała Andie.

- Czyli to, że porywacz pilnował ofiary za pośrednictwem komputera i kamery, to tylko teoria, tak?

- Tak - przyznała Andie.

- Nie możemy również wykluczyć możliwości, że porywacz był w kontakcie ze współnikiem - powiedział Harland. - Na odprawie PSRK agent Crenshaw przedstawił przekonującą teorię o dwóch porywaczach.

- Ale to znowu tylko teoria - zauważyła Andie.

- Niecałą godzinę przed przybyciem Swytecka do punktu ksero ktoś połączył się przez Net z innym komputerem. Komputer był zarezerwowany na jego nazwisko na cały dzień, dlatego niemal oczywiste, że zrobił to porywacz. Poza tym nie zapominajmy, że ten drugi komputer należy do człowieka karanego za przestępstwa seksualne.

- Czy to wiemy na pewno? - spytał Martinez.

- Tak - odparł Harland. - W wieku dwudziestu dwóch lat skazano go za próbę gwałtu.

- A inne dane? Pasują do profilu z Quantico?

- Tak.

- Ale profil jest bardzo ogólny - wtrąciła Andie. - Ponadto nie mamy jeszcze potwierdzenia, że jest licencjonowanym pletwonurkiem, który mógł zawlec Ashley Thornton do Czarciego Ucha.

- Ale nie mamy też potwierdzenia, że nim nie jest - zripostował Harland.

- W żadnym wypadku nie próbuję podważyć przydatności grupy antyterrorystycznej - ciągnęła Andie. - Ale jeśli porywacz nabierze najmniejszych podejrzeń, że zamierzamy wziąć szturmem jego dom, natychmiast zabije zakładniczkę. Gwarantuję.

- Z całym szacunkiem, ale jeśli agentka Henning wyjdzie na trawnik z tubą w rękę i spróbuje z nim negocjować, akcja ratunkowa zmieni się natychmiast w agresywną, o wiele bardziej niebezpieczną akcję odbicia zakładniczki. Nie wspominając już o tym, że stracimy

element zaskoczenia.

Martinez długo milczał, wając trudną decyzję. Harland przysunął się bliżej telefonu i zatroskanym głosem dodał:

- Co zrobimy, jeśli przyśle nam kolejny film z torturami i zażąda, żebyśmy rzucili broń i puścili go wolno?

Znowu kilka sekund milczenia i w końcu decyzja zapadła.

- Bez urazy, Henning. SWAT ma wolną rękę.

## 23

Czekając na sygnał, Andie wzięła głęboki oddech. Wraz z technikiem FBI i specjalistą od medycyny sądowej przycupnęła w rowie naprzeciwko domu. Tuż przed nimi leżał na brzuchu dowódca oddziału Michael Harland. Pozostali agenci, prawie niewidoczni pod osłoną pochmurnej nocy, otoczyli dom i podwórze. Andie była uzbrojona jedynie w pistolet, sig sauera 9 mm, ale ponieważ wszystko wskazywało na to, że wkrótce dojdzie do wymiany strzałów, zaraz po wyjściu z ciężarówki włożyła kevlarowy hełm i kamizelkę kuloodporną.

Włączyła noktowizor i spojrzała na stary, ranczerski dom. Okna były ciemne, ale ganek tonął w upiornym świetle małej lampy. Dom, otoczony dojrzałymi drzewami oliwnymi i australijskimi sosnami, stał na lesistym terenie w północnej części hrabstwa Palm Beach. Dwudziestopięciometrowego odcinka ziemi między ulicą i drzwiami nie porastało ani jedno źdźbło trawy, ale miękki całun sosnowych igieł umożliwiał bezszelestne podejście.

Andie wskazała leżący obok megafon.

- Nie ma nadziei, że dasz się przekonać, co?

Harland tylko pokręcił głową; wcale go tym nie rozbawiła. Był zajęty, sprawdzał przez radio gotowość bojową swoich ludzi. Jako ostatni meldunek złożył mu dowódca grupy obserwacyjnej, dwuosobowego zespołu, na którym spoczywało ważne zadanie zbadania terenu przed szturmem.

- Dwie sypialnie, obydwie w zachodniej części domu - donosił. - W części wschodniej jest kuchnia, jadalnia i pokój telewizyjny. W głównej sypialni jeden obiekt. Duży, prawdopodobnie mężczyzna. Chyba śpi. W północno-zachodniej części domu jest obszerne pomieszczenie, przebudowany garaż. Brak namiarów optycznych. Drzwi zamurovano. Brak okien. W podczerwieni widać drugi obiekt, mniejszy od tamtego. Brak rąk i nóg, jakby leżał zwinięty w kłębek. Możliwe, że to skulona kobieta.

Andie słuchała tego z rosnącym zainteresowaniem. Kamera na podczerwień wychwytywała ciepło ludzkiego ciała i dosłownie widziała przez ściany. Obiekt w pozycji embrionalnej, zwinięty w kłębek, mógł być kobietą, którą niedawno torturowano. Ale mogło być to również ciało bez rąk i nóg. Tak czy owak, nie mieli żadnej gwarancji, że Mia Salazar żyje. Ludzkie ciało stygnie w tempie od jednego do półtora stopnia na godzinę i kamera na podczerwień może je wykryć nawet dwie, trzy godziny po śmierci.

- Dobra robota - pochwalił ich bez emocji Harding. - Na trzy mamy żółte.

Chociaż tęcza kolorów SWAT-u świeciła tylko dla SWAT-u, Andie wiedziała, że na żółte światło uczestniczący w ataku agenci muszą zająć ostateczną pozycję wyjściową. Światło zielone oznaczało szturm, chwilę, która decydowała o życiu i śmierci, i to dosłownie.

- Raz... Dwa... Trzy. - Harland wyskoczył z rowu i pobiegł w stronę domu. Andie, w ukryciu, patrzyła przez noktowizor, jak idealnie zgrani agenci SWAT-u w całkowitej ciszy wkraczają do akcji. Poruszali się bezszelestnie, na ugiętych kolanach - żeby zamortyzować odrzut na wypadek strzału - najpierw stawiając na ziemi duży palec u nogi, potem piętę. Dwóch podeszło do domu od wschodu i obstawiło tylne drzwi. Dwóch innych od zachodu: ci zajęli pozycję od frontu, ale zatrzymali się strategicznie tuż poza zasięgiem żółtawego światła z ganku. Harland dołączył do tych z tyłu. Zgodnie z planem, mieli oni wkroczyć do ciemnej części domu i wypłoszyć mieszkańców na oświetlony ganek, prosto pod lufy dwóch agentów z M16. Jakby i tego było mało, gdzieś między drzewami, niewidoczny nawet dla Andie, pozycję zajął snajper, który z odległości dwustu metrów potrafił odstrzelić kapsel z butelki piwa.

Andie nie widziała, co się dzieje za domem, ale słyszała ich rozmowę przez radio. Elektroniczne popiskiwanie ustało i w słuchawkach zabrzmiał szept Harlanda:

- Na trzy mamy zielone. - Liczył powoli, z rozważą, jak człowiek, który zamiast krwi ma w żyłach lodowatą wodę. Na „trzy” rozległ się trzask wyłamywanych drzwi i sypiącego się szkła. Andie była pewna, że zaraz padną strzały, ale nie, wciąż słyszała tylko okrzyki Harlanda i przeczesujących dom agentów.

- Gleba! Gleba! Na podłogę!

Seria głośnych trzasków i znowu czyjś krzyk. Ci obstawiający dom od frontu wyszli z ukrycia i podbiegli bliżej ganku. I nagle obydwaj upadli na ziemię, bo w domu huknął wystrzał. Był tak głośny, że Andie usłyszałaby go nawet bez słuchawek. Agenci wycofali się za drzewa, a ona przypadła do ziemi i ostrożnie wystawiła noktowizor za brzeg rowu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Kilkanaście sekund później otworzyły się drzwi i na ganek wyszedł Harland. Dał znak ręką i rzucił:

- Czysto.

Andie zerwała się na równe nogi i popędziła przed siebie. Tuż za nią biegł technik i specjalista od medycyny sądowej. Jeśli była tam Mia, Andie musiała z nią porozmawiać. Musiała również porozmawiać z porywaczem - jeśli jeszcze żył - bo nie chciała, żeby jakiś sprytny obrońca powiedział potem w sądzie, że jego klient przyznał się do przestępstwa z lufą

pistoletu przystawioną do głowy. Wpadła do środka - Harland był w sypialni. Wraz ze swoim podwładnym stał nad tęgim mężczyzną, który leżał zwrócony twarzą do wzorzystego zielonego dywanu. Mężczyzna był tylko w bokserkach. Ręce miał skute na plecach plastikowymi kajdankami, ale wyglądało na to, że jest cały i zdrowy.

- Gdzie jest Mia Salazar? - krzyknął Harland.

- Nie wiem, o czym pan mówi! - odparł grubas trzęsącym się głosem.

- Gdzie ona jest? - ryknął Harland.

- Co z obiektem w przebudowanym garażu? - spytała Andie.

- To rottweiler.

- Zastrzelili mojego psa - wychrypiął grubas, wciąż z twarzą wciśniętą w dywan. -

Dlaczego zastrzeliliście mojego psa?

- Zamknij się! - warknął Harland.

- Zastrzeliliście jego psa? - spytała Andie.

- To był potwór. Tak wielki, że w podczerwieni wyglądał jak człowiek. Kiedy wyłamaliśmy drzwi, skoczył mi do gardła.

- Podam was do sądu, sukinsyny, przysięgam! - krzyknął grubas.

Harland wydał rozkazy podwładnym.

- Sprawdzić strych. I przestrzeń między strychem i dachem. Jeśli ona tu jest, musimy ją znaleźć, i to szybko!

Do pokoju wszedł technik.

- Tu jej nie ma - powiedział.

Harland łypnął na niego spode łba.

- A technicy nie mają tu nic do gadania.

- Świetnie, szukajcie dalej - odparł tamten. - Henning, zerknij na jego komputer.

Przeszli do pokoju telewizyjnego. Rozjarzony ekran monitora puszczał zajączki na chropowatym suficie.

- Zaawansowana technologia - powiedział technik. - Plazma, dwadzieścia jeden cali.

Ulubiony sprzęt graczy i onanistów.

- A kim on jest?

- Sądząc po ciasteczkach na twardym dysku, jednym i drugim.

- A więc to on?

- A gdzie tam. To nosiciel, nie pasożyt.

- To znaczy?

Technik kliknął myszką i na ekranie pojawił się obraz.

- Oto, co nasz porywacz wysłał mu rano z punktu ksero. Pewnie w formie e-maila z darmowymi pornosami, które wgrały się na dysk, kiedy facet odpalił komputer. Plik przykleił się w podfolderze Windowsów jak wirus internetowy. Z tym że z technicznego punktu widzenia to nie jest wirus. To zwykły plik tekstowy. Spójrz.

Technik kliknął na podfolder, otworzył plik i Andie przeczytała szydery list:

*Głupcy! Ułatwicie mi życie! Wysyłam zainfekowany e-mail do karanego gwałciciela, a wy, idioci, rzucacie się na niego jak stado psów. To nie on. Dobrze przemyślcie wysokość okupu. Płatność za pięć dni. Instrukcje niebawem.*

*PS Mia i ja pracujemy już nad dokrętką. Gwarantuję, że zakończenie wyciśnie jej łzy z oczu.*

Przez kilka mrozących krew w żyłach sekund Andie nie mogła oderwać oczu od ekranu. Czytała list czwarty raz, próbując zgłębić umysł psychopaty, gdy technik wyrwał ją z transu.

- Powiesz Martinezowi, czy chcesz, żebym najpierw sprawdził, w jakim jest humorze?

Andie poczuła się nagle tak, jakby kazano jej położyć głowę na katowskim pniaku. To nie ona wpadła na pomysł szturmu, ale to byli jej ludzie, a kapitan zawsze idzie na dno wraz z okrętem.

- Powiem mu - odparła, czując, jak lęk chwyta ją za gardło.

## 24

Jack był jednym z pierwszych mieszkańców Miami, którzy kupili poranną gazetę. Czekał przed siedzibą redakcji „Tribune” na długo przed wschodem słońca, gdy na ulicę wyjechała wreszcie pierwsza ciężarówka dostawcza. Wsiadł do samochodu, rzucił się na gazetę w słabnącym świetle górnej lampki i zatrzęsły mu się ręce, gdy przeczytał - dwa razy - niepokojący tytuł: KOCHANEK UPROWADZONEJ NIE CHCE ZAPŁACIĆ OKUPU.

Eddy Malone dotrzymał słowa przynajmniej co do jednego: ku jego uldze nie zamieścił niecenzuralnych cytatów z podstępnie zdobytych taśm, na których ktoś utrwalił najbardziej intymne chwile Jacka z Mią. Ale z drugiej strony, artykuł bynajmniej go nie usprawiedliwił ani uniewinnił.

*W wywiadzie na wyłączność dla „Tribune” Jack Swytek, syn byłego gubernatora Harry’ego Swytecka, przyznał, że miał romans z trzydziestodwuletnią żoną Ernesta Salazara. Swytek, wzięty adwokat i powszechnie szanowany były prokurator, twierdzi, że nie wiedział, iż Mia Salazar jest żoną bogatego dewelopera, chociaż spotykał się z nią przez ponad dwa miesiące, podczas gdy jej mąż bawił w podróży służbowej poza granicami kraju.*

Potem było jeszcze gorzej, było tak źle, że teraz już chyba nikt nie uwierzyłby w jego domniemaną niewinność. Ogarnął go wstyd i pocieszał się tylko tym, że jego abuela nie zna angielskiego i nie czytuje anglojęzycznych gazet. Musiał jednak zapomnieć o zażenowaniu i skupić się na tym, co zagrażało życiu, bo artykuł był naprawdę niebezpieczny - dla Mii.

Co zrobi porywacz, jeśli przeczyta czarno na białym, że nikt nie zamierza zapłacić okupu?

Artykuł na pierwszej stronie, wielki tytuł - to wszystko było bardzo bolesne, lecz w niczym nie zmieniało faktów. Mia była mężatką. Zakochał się w niej tylko dlatego, że go oszukała. Czy więc to on powinien zapłacić okup? Czy to jego odpowiedzialność? Czy nie wystarczy, że narażał życie, próbując przekazać porywaczowi pieniądze za dowód życia? Oczywiście argumenty te nie znalazły żadnego odzwierciedlenia w artykule. Zaraz po rozmowie z Malonem zadzwonił do Andie Henning, która jednoznacznie potwierdziła, że media nic nie wiedzą o epizodzie z dziesięcioma tysiącami „zaliczki”, bo FBI skutecznie tę



wiadomość zataiło. Tajność bez wątpienia sprzyjała śledztwu, ale jej bezpośrednim rezultatem był artykuł w tonie telefonicznych uwag Eddy'ego Malone'a: „A więc kradniesz żonę innemu, a kiedy ją porywają, mówisz: »Tak mi przykro, to naprawdę smutne, ale radź sobie sama, kochanie«?”. Słów tych oczywiście nie opublikowano, lecz aluzja była jednoznaczna.

Złożył gazetę na pół i rzucił ją na fotel. Słońce zaczęło już swoją wędrówkę nad zatoką i tysiące świateł, które rozjaśniały nocny krajobraz, rozmywało się powoli na błękitnym niebie. Nadchodziła godzina porannego szczytu i wiedział, że jeśli się pospieszy, złapie Bailey'a w domu, zanim ten wyjdzie do pracy. Z piskiem opon wpadł na międzystanówkę I-95 i pierwszym zjazdem zjechał na historyczny Bayshore Drive. Miał szczęście, bo otworzyła mu pokojówka. Bailey pił właśnie kawę we wnęce jadalnej, a na okrągłym szklanym stole leżała otwarta gazeta, oczywiście „Tribune”.

- Proszę, proszę, co za zbieg okoliczności - powiedział, podnosząc wzrok. Gestem ręki zaprosił Jacka do stołu.

Jack usiadł.

- To nie zbieg okoliczności.

Tak, przyjechał tu pod wpływem impulsu, ale po ciągach, jakie zebrał podczas telefonicznej rozmowy z Malone'em, i po jego dobijającym artykule uznał, że musi coś zrobić. Logika wskazywała, że należy zacząć od Bailey'a, adwokata Salazara.

- Powiesz mi, skąd Malone wziął te taśmy?

- Taśmy? - Bailey rozsmarował dżem truskawkowy na bajglu z białym serkiem. - Jakie taśmy?

- Bardzo nieprzekonująco kłamiesz. Malone zagroził, że opublikuje fragmenty pikantnych nagrań ze mną i Mią, jeśli nie przyznam, że miałem z nią romans. No to przyznałem.

Bailey bez słowa żuł bułkę.

- Powinieneś mi przynajmniej podziękować - ciągnął Jack. - Mogłem oskarżyć twego klienta o włamanie i bezprawne nagrywanie moich rozmów.

- Zapewniam cię, że Ernesto Salazar nie miał z tym nic wspólnego.

- Przestań pieprzyć, Will. Jak inaczej mógłby zaskoczyć FBI pytaniem na dowód życia? Dobrze wiesz, o czym mówię. O tym dowcipie: lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Nie ma siły, żeby go znał, chyba że się do mnie włamał.

Bailey odłożył nadjedzonego bajgla, starannie zmiotł okruszki i pozbawionym emocji głosem zaproponował:

- Tej rozmowy nigdy nie było, zgoda?

- Pod warunkiem, że powiesz prawdę.

Bailey kiwnął głową i spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie daliśmy Malone'owi tych taśm.

- Tylko bez takich, William. To co mu daliście? Transkrypt?

- Malone zadzwonił do Salazara i spytał o taśmy. To było jak grom z jasnego nieba. Nie wiem, jakim cudem się o nich dowiedział, ale odmówiliśmy. W ogóle nie chcieliśmy z nim rozmawiać. I ani słowem nie przyznaliśmy, że Mia sypiała z innym.

- A więc zaprzeczasz, że powiedzieliście mu, że zapłacę okup?

- Więcej niż zaprzeczam. Daję ci słowo, że to nie wyszło od nas.

- Myślę, że twoje słowo nie wystarczy.

Bailey cały się zjeżył, ale wiedział, że lepiej nie przesadzać z udawaniem.

- W takim razie popatrzmy na to od strony praktycznej. Włamanie do prywatnego domu w celu założenia podsłuchu jest przestępstwem. Naprawdę sądzisz, że Ernesto ryzykowałby więzienie, wysyłając te taśmy jakiemuś reporterowi?

- Źródła informacji są poufne - odparł Jack. - Sędzia mógłby przysmażyć Malone'owi jaja, a on i tak nie powiedziałby, kto nagrał te taśmy.

- Pewnie nie. Mogę ci tylko powiedzieć, że od nas ich nie dostał.

- Ale nie możesz tego udowodnić.

Bailey milczał przez chwilę, a potem pochylił się do przodu, jakby coś mu przyszło do głowy.

- Pomyśl tylko. Ernesto Salazar jest przystojnym, bardzo wpływowym Latynosem, donem wszystkich Don Juanów. Otwórz el diccionario i znajdziesz jego zdjęcie obok słowa machismo. Naprawdę myślisz, że ktoś taki jak on wysłałby te taśmy reporterowi, ujawniając tym samym całemu światu, że jego młoda żona musiała szukać zaspokojenia poza ścianami ich własnej sypialni? Zapewniam cię, że nie na takim wizerunku mu zależy.

Trudno było polemizować z tak logicznym argumentem.

- Może i masz rację - przyznał Jack.

- Oczywiście, że mam. Co oznacza, że musisz odpowiedzieć sobie na kolejne pytanie. Jeśli informatorem Malone'a nie jest Ernesto Salazar, to kto nim jest?

## 25

Za drzwiami huknęła seria wystrzałów. Andie wzięła głęboki oddech i weszła do środka, ciesząc się, że Martinez nie używa ostrej amunicji.

Placówka FBI w Miami miała supernowoczesną strzelnicę wyposażoną w laserową broń, która zaspokajała wymagania najbardziej kapryśnych entuzjastów rzeczywistości wirtualnej. Pistolety wyglądały jak prawdziwe i kiedy brało się je do ręki, złudzenie było wprost doskonałe. Efekty dźwiękowe też, bo huk wystrzału brzmiał jak huk wystrzału. Ćwiczący musieli zmieniać magazynki, kiedy skończyła im się amunicja, a sprężone powietrze zapewniało realistyczny odrzut. Stojąc po ciemku przed wielkim ekranem, agent mógł przenieść się momentalnie do strzelnicy w Quantico lub sprawdzić swoje reakcje w sytuacjach o wiele bardziej złożonych, decydujących o życiu lub śmierci, takich na przykład, jak bezpośrednia konfrontacja z porywaczem.

Martinez stał w klasycznej pozycji strzeleckiej - rozstawione nogi, lekko ugięte kolana, pistolet w obydwu rękach - i oddawał strzał za strzałem do zwykłej tarczy. Była to świetna metoda na rozładowanie gniewu, a on był wściekły od początku do końca porannego spotkania z Andie. Ochrzan trwał całe pięć minut i ani razu się przez ten czas nie odezwała. Porażka SWAT-u była jego porażką. Siłą rzeczy jej też, bo nie wyperswadowała mu szturmu. Nie był to może najsprawiedliwszy system, ale cóż, musiał przez to przejść każdy nowicjusz. Bała się mu przerywać, bo pewnie jeszcze nie ochłonął, ale rozwój wydarzeń w sprawie Salazara nie dawał jej wyboru.

- Przepraszam... - zaczęła, kiedy zmienił magazynki w czterdziestcepiątce.

Odwrócił się i zsunął słuchawki na szyję.

- Henning? Co znowu?

- Właśnie rozmawiałam z Salazarem. Wczoraj w nocy zapłacił okup.

To go zainteresowało. Schował pistolet do plastikowej kabury.

- Jak to? Jakim cudem?

Telefon od porywacza, nocna wyprawa do przystani, przejażdżka po morzu z walizką pieniędzy - streściła mu to, co powiedział jej Salazar.

- Dlaczego, do diabła, nas nie uprzedził?

- Twierdzi, że porywacz był wkurzony, że Swytek wciągnął w to FBI. Nie chciał

popelnić tego samego błędu.

- Ile dał?

- Nie chciał powiedzieć. Mówi, że to jego sprawa.

- To rozumiałe. Żadna bogata rodzina nie chciałaby, żeby coś takiego się rozniosło. To znak, że są łatwym celem dla potencjalnych porwaczy.

- Tak, coś w tym jest. Ale nagła decyzja, żeby jednak zapłacić, to bardzo radykalna zmiana.

- Pewnie ten film tak na niego podziałał, widok torturowanej żony.

- Tak twierdzi, ale wciąż nie wiem, czy czegoś nie knuje.

- Jak to?

- Od samego początku uparcie odmawiał zapłacenia okupu. Bo żona go zdradzała, i tak dalej. Nawet podczas naszej porannej rozmowy wątpił, czy uratują ją jakiegokolwiek pieniądze.

- To dlaczego zapłacił?

- Tak jak pan mówił, może przez ten film. Może nie mógł znieść widoku jej cierpienia. Z drugiej strony, prawdopodobnie nie chce poświęcić dla niej całego majątku, czyli zapłacić tyle, ile jest warta. Dlatego zapłacił, byle zapłacić, wiedząc, że tamten i tak tego nie kupi. Nie kupi i...

- Zabije ją, tak jak zabił Ashley Thornton - dokończył za nią Martinez. - Mia zginie tak czy inaczej.

Andie nie odpowiedziała od razu. Dokładnie taką miała teorię, ale słysząc jego słowa, uznała, że jest to hipoteza zbyt zimna i wyrachowana.

- Tak, przeszło mi to przez myśl - przyznała.

Martinez kiwnął głową.

- Nie mówię, że masz rację, ale podoba mi się twoja podejrzliwość.

Andie zaniemówiła z zaskoczenia. Ledwie kilka minut wcześniej zmieszał ją z błotem i myślała, że upłyną miesiące, zanim znowu ją pochwalą.

- Dziękuję.

Martinez wyjął pistolet i otworzył ogień, mówiąc między kolejnymi strzałami.

- Nie zmienimy nagle taktyki działania, ale ciekawe jest już samo to, że porwacz do niego zadzwonił. Zwłaszcza w świetle teorii Crenshawa.

- To znaczy?

Bum-bum-bum - Martinez oddał trzy szybkie strzały.

- Mamy tu pewną sprzeczność. W e-mailu, który znaleźliście na komputerze tego pornowielbiciela, napisał: „Płatność za pięć dni. Instrukcje niebawem”. I nagle Salazar mówi,

że zadzwonił do niego jeszcze tego samego dnia po południu i zażądał, żeby okup zapłacono w nocy. To potwierdzałoby teorię Grenshawa, że porywaczy jest dwóch i że jeden jest oszustem.

- Ja widzę to inaczej - odparła Andie. - Żądania są ze sobą sprzeczne, ponieważ porywacz zmienił zdanie.

- A mówisz tak, bo...

- Bo e-mail wysłano z punktu ksero z samego rana, na długo przed tym, zanim porywacz się zorientował, że Swytecka śledzi FBI. Dopiero kiedy Jack przeszedł przez bramkę detektora, kiedy zaliczył całą tę skomplikowaną procedurę, porywacz uznał, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia. Dlatego po południu skontaktował się bezpośrednio z Salazarem. Ale porannego mejla skasować już nie mógł, było za późno.

Martinez włączył symulator sytuacji kryzysowych. Wirtualny agent rozkazał przysadzistemu bandzirowi podnieść ręce do góry i wyjść z sypialni. Bandzior ruszył w stronę strzelca, ale ponieważ szedł w kierunku otwartych drzwi, ten widział go jak w tunelu.

- Przekonujące - powiedział, celując w bandziora. - Choć nie do końca.

- Strzelaj! - krzyknęła Andie, ale on się zawahał. Nie zauważył, że bandzior chwycił rewolwer z półki niewidocznej dla stojącego za drzwiami obserwatora. W symulowanym świecie FBI Martinez był już trupem.

Andie figlarnie uniosła brew.

- Powinien pan częściej mnie słuchać, szefie.

Martinez nie odpowiedział, lecz na jego ustach wykwitł cień uśmiechu.

Zadzwonił telefon i Andie drgnęła. Martinez stał bliżej aparatu i odebrał po trzecim dzwonku. Andie nie chciała podsłuchiwać, ale kiedy spojrzał na nią i powiedział: „Tak, stoi tuż obok”, zaciekawiona podeszła bliżej.

- Interesujące - powtórzył po raz trzeci. - Zaraz tam będziemy. Tak, we wschodniej sali konferencyjnej.

Kiedy odłożył słuchawkę, Andie rozłożyła ręce, niemo pytając: „No i?”.

- Ci od płetwonurków mają nowy trop.

- Oby lepszy od tego, który doprowadził nas do ostatniego szturmu.

- O wiele lepszy - odparł poważnym głosem Martinez. - Ten facet ma motyw.

## 26

Jack wyjechał z miasta dość wcześnie, ale ponieważ trafił w sam środek porannej godziny szczytu, dotarł do Palm Beach dopiero o dziewiątej, czyli o bardzo cywilizowanej porze. Jeden designerski butik przy drugim - Worth Avenue to jedna z najbardziej ekskluzywnych ulic w świecie, idealne miejsce dla kogoś, kto chce wydać jedenaście tysięcy dolarów na wieczorne zakupy lub zmieszać z błotem chirurga plastycznego najlepszej przyjaciółki - za jej plecami oczywiście. Hermesa otwierano dopiero o dziesiątej, więc Jack czekał pod drzwiami, podziwiając parkujący naprzeciwko kabriolet rolls-royce'a i maserati. Emilia była zastępczynią kierownika i o wpół do dziesiątej stanęła przed nim z kluczami w ręku.

- Jack, co pana tu sprowadza? - spytała, podnosząc do góry ciemne okulary w szylkretowej oprawie.

Podał jej „Tribune”.

- Roznoszę gazety. Może tu nie docierają.

Jej uwagę natychmiast przykuł wielki nagłówek na pierwszej stronie i zaczęła czytać artykuł. W połowie przestała i rozdziawiła usta.

- Coś nie tak? - spytał Jack.

Z jej gardła wydobyło się ni to westchnienie, ni jęk. Przez telefon nie zobaczyłby jej miny i uznał, że warto było przyjechać.

- Co się stało?

Emilia doczytała do końca.

- Nie mogę uwierzyć, że to napisał.

- A więc miałem nosa? Rozmawiała pani z Malone'em?

Oddała mu gazetę. Błyszczały jej oczy.

- Tak. Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem, dość późno. Byłam pewna, że opublikują to dopiero jutro, nie dzisiaj.

- Czego chciał?

- Początkowo myślałam, że potwierdzenia, że miał pan romans z Mią. Powiedziałam, że nic o tym nie wiem, przysięgam. Ale potem puścił mi taśmę. Z waszymi głosami. Nie mogłam dłużej zaprzeczać. Widzę, że pan też nie. Potwierdza pan to w artykule, jasno i wyraźnie.

- Tak, ale to mnie już nie interesuje. Chciałbym się dowiedzieć, na jakiej podstawie Malone ubzdurał sobie, że zapłacę okup.

Emilia przełknęła ślinę tak głośno, że podskoczyła jej grdyka.

- Emilio, muszę wiedzieć, co mu pani powiedziała.

- Nie chciałam w nic pana wpakować, naprawdę. Próbowałam chronić Mię.

- Chronić przed czym?

- Malone powiedział, że z wiarygodnego źródła wie, że Ernesto nie zapłaci. Bałam się o nią. Pomyślałam, że jeśli Malone napisze, że miała romans i że jej mąż nie chce zapłacić okupu, porywacz zabije ją, jak tylko zobaczy gazetę.

- Więc powiedziała mu pani, że to ja zapłacę.

- Nie powiedziałam, że na pewno. Powiedziałam tylko, że moim zdaniem wciąż panu na niej zależy i że jeśli Ernesto odmówi, niewykluczone, że przekaże pan jakieś pieniądze. To wszystko. Nie chciałam pana do niczego zmuszać. Malone przekreślił moje słowa, brzmia teraz zupełnie inaczej.

Jack przyjrzał się jej twarzy i szczerym łzom wzbierającym w oczach. Nie winił jej za to, że próbowała ratować przyjaciółkę i ani przez chwilę nie wątpił, że Malone zinterpretuje jej wypowiedź po swojemu.

- Wszystko w porządku, Emilio. Nie zrobiła pani nic złego.

- Owszem, zrobiłam.

- Nie, to nie pani wina, naprawdę.

- Po rozmowie z Malone'em powinnam była zadzwonić do pana, żeby ustalić wspólną wersję. Ale ani przez sekundę nie pomyślałam, że... - Emilia jakby się zawahała.

- Że co?

- Nigdy nie wierzyłam w Ernesta - ciągnęła trzęsącym się głosem. - Ale zawsze miałam nadzieję, że jeśli w ogóle znajdzie się ktoś, kto zechce jej pomóc, będzie to pan. Nie przyszło mi do głowy, że z miejsca pan odmówi.

Jack złożył gazetę, jakby chciał uciec przed swymi własnymi słowami.

- Tak jak nie przyszło mi do głowy, że powie pan to jakiemuś reporterowi i całemu światu. Że powie pan to porywaczowi. Jak pan mógł?

Chociaż cichutki głosik w jego głowie wciąż powtarzał, że to nie tak, że dość już zrobił dla Mii, że zrobił dla niej więcej niż inni, Jack skurczył się pod jej wzrokiem.

- Przykro mi - odrzekł, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Zależy panu na niej czy nie?

- Myśli pani, że przyjechałbym tu, gdyby było inaczej?

- To niech się pan stosownie do tego zachowuje. - Emilia włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i znieruchomiała. W jej głosie zabrzmiała nutka gniewu i niepokoju o przyjaciółkę.

- Okłamała pana i nie będę nawet próbowała jej usprawiedliwiać. To był straszny błąd. Ale co pan teraz zrobi? Kaze jej pan zapłacić za to życiem?

Odwróciła się i zniknęła za drzwiami sklepu.



## 27

Był nagi, nie licząc białego ręcznika kąpielowego na biodrach. Czekał na niego prysznic, a on wciąż czuł na skórze zapach oceanu. Na wyłożonej terrakotą podłodze leżał czarny piankowy kombinezon, mokry po nocnym nurkowaniu. Na okrągłym stole stała wodoszczelna walizka, otwarta jak książka.

Odepchnął się wraz z krzesłem, powoli wstał i podszedł do kuchenki. Z meksykańskiej terrakoty bił miły chłód. Ciemne szkło w rozsuwanych drzwiach było jak lustro i przejrzał się w nim, podziwiając swoje ciało. Jak wyrzeźbione. Najbardziej dumny był z mięśni brzucha, twardych jak skała. Dużo ćwiczył i rezultaty rzucały się w oczy. Zaczęło się od odwyku - koniec z prochami, alkoholem i papierosami - i stało stylem życia. Napięta skóra, stalowe mięśnie - był chodzącym uosobieniem transformacji, prawdziwym obsesjonatem. Kumple z siłowni nazywali go Maszyną.

Gdyby tylko wiedzieli.

Zdjął z palnika gwizdzący czajnik i zaparzył ziołową herbatę. Rumianek z cytryną działały nasennie, a on potrzebował odpoczynku. Od porwania nie sypiał dłużej niż cztery godziny na dobę. Częściowo z podniecenia, że ją ma, ale głównie z paranoi, że Mia spróbuje uciec lub popełnić samobójstwo. Odczuwał nieodpartą potrzebę, żeby jej doglądać, podobnie jak matka dogląda niemowlę, i uważał, że to zupełnie normalne. Ale od trzydziestu sześciu godzin nie przespał ani minuty, a to już normalne nie było. Nie dawało mu zasnąć oczekiwanie na okup Salazara. Najbardziej ekscytującym fragmentem gry był oczywiście odbiór pieniędzy. Rodziło się wtedy tyle intrygujących pytań. Mąż - ile zapłaci? Żona - ile jest dla niego warta?

Ale o największy dreszcz przyprawiało go to: jaka będzie kara za zaniżoną wycenę?

Z kubkiem w ręku wrócił do stołu. Obok walizki stał mały magnetofon. Jego palec zawisł nad klawiszem odtwarzania. Nie. Słuchał tego od kilku godzin i nie mógł się zmusić do kolejnej powtórki.

Usiadł na krześle, odchylił się do tyłu i spojrzał na walizkę. Fakt, Salazar wybrał najlepszą, całkowicie wodoszczelną i bardzo pojemną. Pojemniejszą niż walizka Drew Thorntona, a w tamtej zmieściło się milion dolarów. Ale Salazar dał mu coś więcej niż pieniądze. Dał mu również kasetę. „Jack i Mia”, „Jack i Mia”, „Jack i Mia”. Ile razy można

śłuchać tej durnej rozmowy, tego wesołego przekomarzania się, tych głupich żartów dwojga zakochanych?

Wysłuchał wszystkiego, i to nie raz ani dwa: słuchał tego wiele, bardzo wiele razy. Fragment, w którym, siedząc na kuchennym blacie, Mia mówi, że jej zimno, bo ma gołą pupę, był dość ciekawy, niemal podniecający, ale on szybko zdusił w sobie to uczucie. Nie chciał odczuwać niczego oprócz gniewu i o świcie miał dosyć. Salazar wyraził się jasno i wyraźnie: jego żona zdradzała. Odręczny list w walizce nie pozostawiał wątpliwości, że wysokość okupu jest jak najbardziej stosowna.

„Oto, ile jest dla mnie warta”.

Zamyślony zabębnił palcami w stół. Jak dotąd grał w tę grę uczciwie. Kiedy ten mechanik z Georgii za dziewiętnaście tysięcy dolarów sprzedał wszystko, co miał, jego żona wróciła do domu cała i zdrowa. Ale kiedy multimilioner Thornton próbował wykpić się nędznym milionem, dostał w zamian to, za co zapłacił.

Sprawa Salazara była jednak bardziej skomplikowana. Ostatecznie to był interes, a on zawsze dotrzymywał umów. Obiecał wypuścić Mię, jeśli Salazar zapłaci za nią tyle, ile jest dla niego warta. I trudno powiedzieć, żeby Salazar nie zapłacił. W sumie należał mu się szacunek.

Dwoma łykami dopił herbatę. Nie musiał znowu puszczać kasety, by nabrać pewności, że zeszłej nocy podjął słuszną decyzję. Zachował się roztropnie. To, że wysłał taśmę wraz z anonimowym listem do Eddy'ego Malone'a z „Tribune”, było sprytnym posunięciem. A teraz nadeszła pora, żeby zadzwonić do Jacka Swytecka.

Wstał i dołał sobie herbaty. Nie spieszył się, nie w takiej chwili.

Chciał jak najstaranniej dobrać słowa.

## 28

Pomarańczowe światełka na telefonie nigdy nie mrugają tak często jak wtedy, gdy jest się zamieszany w seks skandal, o którym piszą w porannych gazetach. Jack przekonał się o tym, kiedy tylko wszedł do kancelarii.

- Ma pan dwadzieścia siedem wiadomości, panie Swyteck. - Dani Gilbert, studentka Yale, miała wiosenną przerwę semestralną i zastępowała jego sekretarkę, która wyjechała na urlop. Dani miała UUU, klasyczną złotą trójkę - umysł, urodę i osobowość - dzięki czemu bez najmniejszego trudu zdobywała wszystko to, co chciała, od stażu u prominentnego senatora poczynając, na roli Ofelii w świetnie przyjętej inscenizacji Hamleta kończąc. Mimo to nie dojrzała jeszcze do tego, by zrozumieć, że sekretarka wcale nie ma lekkiego życia. Jack i jej ojciec byli starymi przyjaciółmi i Jack podejrzewał, że Mark przysłał mu córkę na tydzień tylko po to, żeby wybiła sobie z głowy prawo i advokaturę i wybrała zawód pewniejszy, choćby aktorstwo.

- Dzięki - powiedział, biorąc stos karteluszków. - Ale zrób coś dla mnie, dobrze? Przestań nazywać mnie „panem Swyteckiem”. Mam wtedy wrażenie, że jest tu mój ojciec.

- Przepraszam. Ułożyłam je w porządku alfabetycznym, oprócz tej na samym wierzchu, tej ze złotym klipsem. Ta wymaga natychmiastowej uwagi.

Jack zauważył, że „pilną” wiadomość zostawił mu Theodopolis Knight III, „przewodniczący Stanowego Sądu Najwyższego”.

- Hmm, Dani. Theo Knight nie jest przewodniczącym Stanowego Sądu Najwyższego.

Dziewczyna skurczyła się ze wstydu, jakby dostała czkawki w połowie przysięgi małżeńskiej na swoim własnym ślubie.

- Bardzo przepraszam. Tak się przedstawił, słowo honoru. Kto to jest?

- Theo jest... - Jack ugryzł się w język. Dani tak bardzo się starała, te alfabetycznie ułożone wiadomości, i w ogóle. Nawet łagodna reprimenda mogłaby zgasić w niej tę niesamowitą młodzieńczą iskrę. - Jest zastępcą przewodniczącego. Mała pomyłka, nic nie szkodzi.

- Dziękuję - powiedziała i westchnęła z widoczną ulgą. - W takim razie najważniejsza jest ta druga wiadomość. Chce się z panem widzieć agentka FBI, to bardzo pilne. Andie Henning. Dziwne imię jak dla kobiety, nie sądzi pan? Takie męskie.

I mówiła to dziewczyna o imieniu Dani.

- Skoro tak uważasz...

- Czeka po drugiej stronie ulicy, poszła na kawę. Prosi o telefon. Powiedziała, że wpadnie, kiedy tylko pan przyjdzie. Mam do niej zadzwonić?

- Tak. Będę w sali konferencyjnej.

Mimo nazwy, konferencje urządzali tam bardzo rzadko. Sala służyła im również za bibliotekę, za pracownię komputerową, a podczas lunchu za jadalnię. Bywało, że Jack tam spał. Na czas dorocznego zebrania wspólników zamieniano ją na salę posiedzeń jednoosobowego zarządu. A kiedyś - to była naprawdę specjalna okazja - kiedy przygotowywał się do jakiegoś procesu, nocną nasiadówkę przerwała mu Mia, która wpadła z butelką wina. Od tamtej pory nazywali tę salę bawialnią.

Pięć minut później Dani wprowadziła tam Andie Henning. Andie zaczęła mówić, zanim Jack zdążył powiedzieć: dzień dobry.

- Wczoraj w nocy Salazar zapłacił okup. - Tego w artykule Malone'a nie było i teraz stało się jasne, dlaczego chciała rozmawiać z nim w cztery oczy. Jack z trudem ukrył zaskoczenie, kiedy przedstawiła mu skróconą wersję wydarzeń, tę zarezerwowaną dla osób niezwiązanych z FBI.

- Ile dał?

- Nie mogłabym powiedzieć, nawet gdybym wiedziała.

- Wystarczająco dużo, żeby tamten ją uwolnił?

- Nie mogę wchodzić w szczegóły. Ale po tym porannym artykule uznałam, że powinien pan wiedzieć, że jednak zapłacił.

- Proszę, niech pani przestanie wciskać mi te policyjne teksty. Obydwoje dobrze wiemy, że zapłacił tylko dlatego, żeby zachować twarz, nie dlatego, żeby ją uratować.

- Nie twierdzę, że się z tym nie zgadzam, ale ciekawi mnie, dlaczego pan tak uważa.

- Dziś rano rozmawiałem z Baileyem. Tym błaznom chodzi tylko o jedno, jak wiadomość o zdradzie żony wpłynęłaby na sypialnianą reputację Salazara.

- Bailey to panu powiedział?

- Nie tymi słowami, ale tak. Najlepsza przyjaciółka Mii przyznała, że Salazar uderzał nawet do niej. Ten facet to chory egoista. Teraz próbuje tylko ratować twarz. Obejrzał film, ten z torturami, i przestraszył się, że jeśli dalej będzie odmawiał zapłacenia okupu, sprawa trafi do gazet. Dlatego zapłacił. - Poirytowany Jack przeczesał ręką włosy. - Nie zależy mu na niej, ani trochę. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Zrobił pauzę, żeby Andie mogła go zaatakować. Ale ona nie zaatakowała.

- Właśnie dlatego rozmawiam teraz z panem, a nie z nim - powiedziała łagodnie.

- Sama rozmowa nie wystarczy - odparł Jack. - Jeśli Salazar zapłacił za mało, ten psychol zabije ją, tak jak Ashley Thornton.

- Najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić, to ustalić jego tożsamość. Jeśli będziemy działać szybko, może namierzemy go, zanim zdąży zrobić jej krzywdę. Dlatego tu przyszedłem. Niech pan usiądzie.

Jack usiadł naprzeciwko niej, chociaż adrenalina kazała mu krążyć po pokoju.

- Czego pani od mnie oczekuje?

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś o Mii. Czegoś bardzo osobistego. Czegoś, o czym mógłby wiedzieć tylko mężczyzna, z którym utrzymywała bardzo intymne stosunki.

Czyli Salazar odpada, pomyślał zgryźliwie Jack, ale nie powiedział tego na głos.

- Czy ma pan podstawy przypuszczać, że Mia była ofiarą napaści na tle seksualnym?

- Nie licząc tej na filmie?

- W przeszłości. Zanim pan ją poznał.

Pytanie go nie zaszokowało, ale ponieważ po raz pierwszy ktoś zadał je tak otwarcie, zmusiło go, by stawić czoło czemuś, nad czym się od dawna zastanawiał.

- Mia ma bliznę na nodze. Na wewnętrznej stronie prawego uda. Zauważyłem ją, kiedy pierwszy raz poszliśmy do łóżka. Powiedziała, że to blizna po tatuażu, ale jej nie uwierzyłem.

- Rozmawialiście o tym?

- Nie, nie chciała.

- Więc odpuścił pan to sobie? Tak zupełnie?

- Tamtej nocy tak. Spała u mnie, ale nic więcej. Prosiła tylko, żebym ją przytulił. Więc przytuliłem.

- A potem? O nic pan jej nie pytał?

- Zagadywałem o to przez parę tygodni. Niezbyt często, po prostu chciałem, żeby wiedziała, że jeśli będzie miała ochotę porozmawiać, chętnie jej wysłucham. Ale ona już do tego nie wróciła. I naprawdę, po tej pierwszej nocy to jej zupełnie nie przeszkadzało w tym, co robiliśmy. W sprawach intymnych.

- Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem. Chce pan powiedzieć, że, pańskim zdaniem, była czy też nie była ofiarą napaści na tle seksualnym?

- Nie wiem. Dlaczego pani pyta?

- Nie mogę powiedzieć.

Na pewno tego nie chciała, jednak zważywszy na okoliczności, jej tajemniczość dużo mu mówiła. Musiał tylko uważniej czytać między wierszami.

- Sądzi pani, że jest jakiś związek, prawda? Że to uprowadzenie ma coś wspólnego z jej przeszłością. To wasza teoria?

- Jack, gdybym mogła powiedzieć więcej, na pewno bym powiedziała.

- Znacie już nazwisko podejrzanego?

- Bez komentarza.

- Jak go namierzyliście?

- Patrz wyżej.

- Jest płetwonurkiem, tak?

Andie uciekła wzrokiem w bok, ale zdawało się, że opuszcza gardę - niestety robiła to bardzo powoli.

- W tego rodzaju śledztwie każdy policjant z odrobiną oleju w głowie szukałby płetwonurka mającego na koncie gwałt czy inne przestępstwo seksualne.

Jack zmrużył oczy.

- Musi w tym być coś więcej. Jeśli już wzięliście go na muszkę, musieliście odkryć coś bardziej konkretnego. Założę się, że sposób działania, tak?

Andie nie odpowiedziała, ale i nie zaprzeczyła, co oczywiście nie uszło jego uwagi.

- A więc znaleźliście gwałciciela, który umie nurkować i którego modus operandi jest podobny do sposobu działania waszego Wyceniacza. Imponujące. Kawał dobrej roboty, gratuluję.

- To bardzo poufne...

- Dlaczego? Jeśli macie już podejrzanego, najwyższa pora, żeby świat poznał jego nazwisko. Pokażcie jego twarz w telewizji, wyślijcie za nim list gończy, zróbcie obławę.

- Upublicznienie tej wiadomości mogłoby źle wpłynąć na inne, równie ważne wątki śledztwa. Dlatego na razie nie wolno mi o tym rozmawiać. Nawet z panem. Przykro mi, że nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytania.

- Dobra, zapomnijmy o moich pytaniach. Chętnie wysłuchałbym odpowiedzi na te, które pani zadała mnie. Proszę powiedzieć: czy pani zdaniem, Mia była ofiarą napaści na tle seksualnym?

- Nie mogę... - urwała, jakby nagle uświadomiła sobie, że kontynuowanie tej gry nie ma sensu. - Dobrze, powiem panu, co myślę. Moim zdaniem to sytuacja albo-albo. Albo Mia padła ofiarą napaści seksualnej, zanim wyszła za mąż...

- Albo?

- Albo potem.

Spotkali się wzrokiem i Jack spróbował wyczytać coś z jej twarzy.

- Mówi pani o napaści na tle seksualnym ze strony kogoś obcego czy o przemocy małżeńskiej?

Nie odpowiedziała.

- To dlatego rozmawia pani ze mną, a nie z Salazarem, prawda? Jeszcze go pani nie wykluczyła.

Odpowiedź nie padła i tym razem, lecz nie musiała.

- Rozumiem, że kierunek śledztwa zmieni się radykalnie w zależności od tego, które z tych „albo” okaże się prawdziwe.

- Bardzo radykalnie.

- Dlatego chce się pani dowiedzieć, skąd Mia ma tę bliznę.

- Tak.

- Cóż, mogę tylko powiedzieć, że ja też bym chciał.

- A ja, że panu nie wierzę.

Tym go zaskoczyła.

- Hej, nie mam nic do ukrycia.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

Andie złożyła ręce na stole i lekko pochyliła się do przodu, jakby próbowała go rozgryźć.

- Jest pan inteligentny. I nawet miły. Ale udawanie strusia zupełnie panu nie wychodzi.

- Udawanie strusia?

Mówiła teraz szybciej, coraz bardziej spiętym głosem.

- Spotykał się pan z nią przez dwa miesiące. Sypialiście ze sobą, podobno się pan w niej zakochał. Kiedy po raz pierwszy spędziła u pana noc, tylko ją pan utulił, bo znalazł pan bliznę na jej nodze. Ale dzisiaj siedzimy tu, a pan nie domyśla się nawet, czy była ofiarą napaści na tle seksualnym, czy nie, chociaż blizna musi mieć swoją historię, bo inaczej Mia nie okłamałaby pana, zmyślając tę bajeczkę z tatuażem. Jakby tego było mało, oczekuje pan, że pół miliona czytelników „Miami Tribune” uwierzy panu na słowo, że nie wiedział pan, że jest mężatką. Dlatego mówię szczerze i z najlepszymi intencjami: mam nadzieję, że pan coś ukrywa. Bo jeśli nie, musi być panu cholernie ciężko iść przez życie na ślepo.

Jack czuł, że zaraz wybuchnie, ale z gliniarzami trzeba ostrożnie. Czasem doprowadzali człowieka do furii tylko po to, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

- Właściwie o co pani chodzi?

Andie głęboko odetchnęła i potrząsnęła głową.

- O nic. Przepraszam. To było bardziej osobiste, niż zamierzałam.

- Niż pani zamierzała? - Jack nawet nie ukrywał niedowierzania.

- Powiedziała, że przepraszam.

Milczał przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

- Przepraszam przyjęte. Myślę, że pozostaniemy przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się dla rozładowania atmosfery, a zaraz potem omal nie zachichotała.

- Co się stało? - spytał.

- Nie, nic, tylko rozbawiła mnie pańska uwaga o „przyjaciółach”. Przypomniała mi się kwestia z książki, którą czytałam, a może z jakiegoś starego filmu. Że mężczyzna i kobieta nie mogą być tylko przyjaciółmi.

- Myśli pani, że nie?

- Powiem tak: być może moje uwagi były trochę niestosowne, ale nie zamierzam udawać, że nie mówiłam serio. Naprawdę bywa pan... Sama nie wiem. Frustrujący. Niech pan potraktuje to jak przyjacielską radę.

- Chciałem być tylko miły.

- Świetnie. - Andie wstała. - Wygląda na to, że się w końcu zrozumieliśmy.

Uścisnęli sobie ręce trochę mocniej niż zwykle, jak przeciwnicy, którzy choć pogodzeni, w każdej chwili chętnie skopaliby sobie tyłki. Przeszli przez salę konferencyjno-bawialną, jednocześnie przechodząc przez sypialnio-jadalnię, weszli do sekretariatu i tu Andie podziękowała Dani. Jack otworzył drzwi.

- Proszę do mnie zadzwonić, kiedy wyciągnie pan głowę z piasku. Dobrze?

Chyba się z nim droczyła, ale nie miał co do tego pewności. Była teraz jedną wielką zagadką i zastanawiał się, czy widzi prawdziwą Andie Henning, czy też jest to nowa, wyrachowana strategia FBI.

- Będę w kontakcie - powiedział. - Ale pod warunkiem, że obieca pani zadzwonić, kiedy tylko dowiedzie się czegoś nowego o Mii. Okup Salazara musi sprowokować jakąś reakcję. Tak czy inaczej, chcę wiedzieć.

Andie spoważniała. Trochę za bardzo, co go zaniepokoiło.

- Zgoda - powiedziała.

Pożegnali się, zamknął drzwi i spojrzał w okno. Szybkim krokiem szła do samochodu. Intrygująca kobieta. Nie mógł jej rozgryźć. Zdenerwowała go swymi uwagami. Wyraźnie próbowała zaleźć mu za skórę. Ale dlaczego? I nagle go olśniło: chciała, żeby stawiał czoło Salazarowi i wybadał, czy ten próbuje Mii pomóc, czy chce jej zrobić jeszcze większą krzywdę. Ale jeśli tak, zupełnie go nie znała. Nie musiała go podpuszczać, ani ona, ani nikt inny.



Wiedział, że już dawno powinien był z nim porozmawiać - *mano a mano*.

## 29

Co za dom, pomyślał, podjeżdżając pod wielką bramę z kutego żelaza. Strzegły jej dwa naturalnej wielkości kamienne lwy. Niczym średniowieczną fortecę, całą posiadłość otaczał porośnięty dzikim winem mur. Jack zatrzymał samochód, lecz nie wyłączył silnika. Chłonał widok. Nie spodziewał się, że tak to na niego podziała, że dozna tak silnych, tak dziwnych uczuć. Jakby to drugie życie Mii - to z Salazarem - zmaterializowało się w pełni dopiero teraz, w tej chwili. To było miejsce, które nazywała domem, pałac, który mąż zbudował specjalnie dla niej. Kosztujący miliony dolarów pomnik jej gustów i upodobań. Tu jadła śniadanie, tu spacerowała w ogrodzie, tu odpoczywała przy basenie. Wyobrażał sobie te wszystkie przyjęcia, które wydawali, tych niezliczonych gości, których państwo Salazar witali w imię interesów, dobroczynności czy przyjaźni. To tu budziła się co rano, tu co wieczór kładła się spać.

No, może nie co wieczór.

Opuścił szybę i wcisnął guzik interkomu.

W głośniczku zapiszczał metaliczny głos kamerdynera.

- Kto tam?

Jack lekko się zawahał. Kochanek Mii? Jej, hmm, przyjaciel?

- Jack Swytek do pana Salazara.

Zapadła cisza i pomyślał, że zza muru wyskoczą zaraz strażnicy, żeby oblać go wrzącym olejem. Ale nie, brama otworzyła się na oścież i długą, krętą aleją dojechał pod sam dom. Kamerdyner zszedł z krużganku i przez ogród zaprowadził go nad basen. Ernesto Salazar siedział przy szklanym stoliku w cieniu wielkiego płóciennego parasola. Gestem ręki wskazał mu fotel, ale nie podał ręki. Kamerdyner wycofał się dyskretnie do łodzi.

- Zaskakuje mnie pan - zaczął Salazar. - Nie sądziłem, że pan tu przyjdzie. Że ma pan jaja.

Jack usiadł twarzą do basenu, a raczej pięknej kompozycji wodnej ze sztucznymi strumykami krystalicznie czystej wody, przepływającymi przez bujny tropikalny ogród. Sam basen przypominał lagunę. Nie był ani kanciasty, ani nie miał kształtu nerki, a pomalowane na czarno dno stwarzało wrażenie głębi. Na drugim brzegu, tuż obok wielkiego drzewa gumbo-limbo, kojąco szumiał czterometrowej wysokości wodospad zalewający wapienne

głazy kaskadami wody. Jack nie mógł nie zauważyć kopii posągu Dawida na piedestale, lecz uznał, że nie jest to najlepsza pora na wspominki o pieniackiej bitwie, jaką stoczył w obronie marmurowego penisa, i o *Suwannee River* w interpretacji Theo Knighta.

- Nie przyszedłem tu, żeby przerzucać się z panem obelgami - odparł.

Salazar oderwał wzrok od basenu i spojrzał prosto na niego.

- To po co?

- Słyszałem plotki, że zapłacił pan okup.

- Przebrzydłe szczury - mruknął z sarkazmem Salazar. - FBI przecieka jak sito.

- Przestań pieprzyć, Ernesto. Nie uwierzę, że chciał pan utrzymać to w tajemnicy.

- W takim razie nie rozumie pan poczucia ciągłego zagrożenia porwaniem. Kiedy żyje się w takim stylu, to szara rzeczywistość. Gdyby wydało się, że łatwo wyciągnąć ze mnie suty okup, mógłbym od razu wystawić gruby plik czeków in blanco.

- Ciekawy dobór słów - zauważył Jack. - Czy właśnie taki zapłacił pan za żonę? Suty?

- Nie pańska sprawa.

Jack spojrzał na czarną wodę. Czy taki los czekał Mię, podwodny grób? Czyżby czekała ją to, co Ashley Thornton?

- Teraz już moja.

- Pańska szlachetność jest co najmniej oryginalna, lecz całkowicie zbędna. Zawsze chronilem Mię i wychodzi na to, że nadal ją chronię.

- Skąd ta zdumiewająca zmiana? Stał się pan nagle jej obrońcą?

- Nie ma w tym niczego nagłego. Nazywała mnie tak jeszcze przed ślubem.

Jackowi przypomniała się rozmowa z Emilią, to, że według niej Mia wyszła za Salazara dla *protección*.

- Przed czym pan ją bronił?

- Chyba przed przeszłością.

- Przed jaką przeszłością?

Drzewami poruszył powiew ciepłego wiatru. Kilka liści zawirowało w powietrzu i łagodnie opadło do wody.

- Na pewno już pan wie, że zanim się poznaliśmy, Mii po prostu nie było.

- To najbardziej egocentryczne stwierdzenie, jakie kiedykolwiek słyszałem z ust żonatego mężczyzny.

- Egocentryzm nie ma z tym nic wspólnego. Mówię dosłownie. Niech pan spróbuje sprawdzić jej przeszłość. Niczego pan nie znajdzie.

- Wśród imigrantów to dość powszechne. Z tego, co wiem, przed ślubem mieszkała w

Ameryce Południowej.

- To nieistotne. Mówię wyraźnie: Mii przedtem nie było.

Jack długo przyglądał się jego twarzy, tym tajemniczym ciemnym oczom. W końcu spytał:

- Kim ona jest?

- Co?

- Pytam, kim ona jest?

- Moją żoną, panie Swyteck. Więcej nie musi pan wiedzieć.

Jack puścił tę szpilę mimo uszu.

- Andie Henning z FBI ma pewną teorię. Uważa, że Mia mogła paść ofiarą napaści na tle seksualnym. To by się zgadzało z tym pozornym brakiem przeszłości. Bywa, że takie kobiety zmieniają tożsamość.

Salazar patrzył na wodospad, unikając jego wzroku.

- A więc myśli pan, że to tak? Że Mia jest ofiarą przemocy?

- Nie wiem. Ale dlatego, że jestem adwokatem, nigdy nie wierzyłem do końca w to, co mówią ci z FBI. I wciąż nie wykluczam, że może lub mogła podlegać programowi ochrony świadków.

Jack czujnie go obserwował, ale nie zauważył żadnej reakcji. Jeśli trafił z programem ochrony świadków, Salazar nie połknął przynęty.

- Kocha ją pan?

Pytanie, choć zadane bardzo rzeczowo, uderzyło go jak cios w głowę. Nie, Salazar nie zmienił tematu, w każdym razie niezupełnie. Ale bez względu na to, co Jack czuł do Mii, byłoby mu niezręcznie rozmawiać o tym z jej mężem.

- A pan?

- To ja zapłaciłem okup, nie pan.

- Ernesto, przykro mi to mówić, ale jeśli chodzi o okup, wielkość ma znaczenie, i to duże.

Zwłaszcza jeśli potwierdzi się alternatywna teoria Andie Henning.

- Alternatywna?

Jack nie wiedział, czy może przypisać Andie całą teorię, ale był niemal całkowicie pewny, że rozgryzł jej sposób myślenia.

- Bogaty mąż, molestowana żona i brak umowy przedmałżeńskiej. Jeśli porywacz odrzuci okup, zyska pan na tym finansowo.

Salazar poczerwieniał z gniewu.

- Mam tego dość. Najpierw oskarża mnie FBI, teraz pan. Uważacie mnie za potwora? Ta

kobieta jest moją żoną. Jak można obejrzeć taki film i obojętnie wzruszyć ramionami? To byłoby nieludzkie.

- Nie twierdzę, że wzruszył pan ramionami. Ciekawi mnie tylko, czy zapłacił pan wystarczająco dużo, żeby ją uratować.

- Odkąd to jest pan moim sumieniem, Swyteck? Zapłaciłem dużo, bardzo dużo. W tej walizce było pięćset tysięcy dolarów! Pół miliona dolarów, za żonę, która sypiała z innym. Ilu mężów wykazałoby tyle współczucia?

Jack nie odpowiedział. Wciąż przetwarzał w myśli wysokość okupu, która naprawdę go zaskoczyła.

- Dlatego niech pan nie śmie mnie osądzać, bo jakoś nie widzę, żeby coś pan za nią dał. Jeśli dobrze pamiętam, oświadczył pan w gazecie, że nie zamierza pan otwierać własnego portfela, że to absolutnie wykluczone. No i co, kochasiu? To tak jej współczujesz?

- Zrobiłem, co mogłem - odparł Jack, chociaż w porównaniu z pół milionem Salazara nie zabrzmiało to zbyt prawdziwie.

- A ja o wiele więcej, niż powinienem. Każdy, kto myśli inaczej, może pocałować mnie w dupę. - Salazar poprawił się w fotelu. Pleców mu nie pokazał, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że to koniec rozmowy. - A teraz spadaj stąd, Swyteck. Zrobiłem swoje i czekam na telefon.

Na myśl o telefonie od porywacza i jego ostatecznej decyzji Jacka przeszedł zimny dreszcz, ale tymczasem nie mieli sobie nic do powiedzenia. Wstał i ruszył przez ogród w stronę żelaznej bramy, pozostawiając Salazara sam na sam z gniewem.

## 30

W drodze powrotnej do Miami pogubił się jeszcze bardziej niż zwykle. Niekończąca się budowa i przebudowa autostrady pogmatwała wszystko do tego stopnia, że ruch na południe przekierowano miejscami na jezdnię prowadzącą na północ i na wschód. Poczł się jak w Wielkiej Brytanii i przypomniało mu się jedno z ulubionych powiedzonek ojca: jeśli wszyscy walą prosto na ciebie, jedziesz pod prąd. Nie przychodziło mu do głowy nic zabawniejszego czy bardziej optymistycznego, przynajmniej chwilowo. Rozmowa z Salazarem przebiegła gorzej, niż się spodziewał, dlatego musiał ponownie przeanalizować podstawowe założenia dotyczące Mii i jej porwania. Czy naprawdę był jej jedyną nadzieją, czy też wtykał nos w nie swoje sprawy?

Komórka zagrała Leczenie seksem. Dzięki Theo i jego elektronicznym kawałom ten stary przebój Marvin'a Gaye'a był teraz jego stałym dzwonkiem. Piosenka podobała mu się tak sobie, ale biła na głowę Jestem kobietą Helen Reddy, którą Theo potajemnie wgrał mu do komórki przed Leczeniem.

- Halo? - rzucił, trzymając jedną rękę przy uchu, z drugą na kierownicy. Odebrał na ułamek sekundy przed włączeniem się poczty głosowej, ale ponieważ w słuchawce panowała cisza, przez chwilę myślał, że jednak się spóźnił.

- To znowu ja, Swytek.

Jack natychmiast rozpoznał ten przyprawiający o dreszcz, sztucznie zmieniony głos porywacza. Odruchowo zwolnił ze stu dziesięciu do siedemdziesięciu na godzinę.

- Nie spodziewałem się, że zadzwonisz.

- Zaskoczony? Dlaczego? Przecież jesteś jej ostatnią nadzieją. Nie wiedziałeś?

- To znaczy, że mogę jej pomóc?

- Rany, jak ty szybko kojarzysz!

- Po prostu nie lubię domysłów. Wolę rozmawiać bez ogródek. Dlatego będzie lepiej, jeśli powiesz dokładnie, czego ode mnie oczekujesz.

- Po pierwsze, chcę, żebyś powiedział, że ci z gazety coś przekręcili.

- Chodzi ci o artykuł Malone'a?

- Nie, o kącik porad sercowych.

Jack jechał środkowym pasem i wszyscy go wyprzedzali, ci z lewej i ci z prawej. Szybki

skręt ocalił go przed rozpędzoną śmieciarką.

- A konkretnie? O który fragment?

- Na pewno nie o ten, w którym przyznajesz, że pieprzyłeś się z żoną Salazara.

Przesłuchałem kasetę, którą mi przysłał, więc dziwne by było, gdybyś zaprzeczył.

Jack był zaskoczony, choć nie wstrząśnięty.

- Salazar przysłał ci kasetę?

- Tak. Razem z okupem.

Jack lekko się zawahał. Bardzo tego nie chciał, ale pytanie o wysokość okupu mogłoby go sprowokować. Wiedział jednak, że następnej okazji prędko nie będzie.

- Powiesz mi, ile...

- Dał mi jeden szeleszczący banknocik z Andrew Jacksonem.

- Co takiego?

- W ramach okupu. Chciałeś wiedzieć, ile zapłacił, to ci mówię: dwadzieścia dolarów.

- Chyba źle usłyszałem. Włożył do walizki...

- Tak, jeden dwudziestodolarowy banknot. Zapłacił jak za tanią kurwę. Na tyle wycenił życie żony.

Jack nie wiedział, co powiedzieć, czy w ogóle powinien coś mówić. Któryś z nich kłamał: rozmówca albo Salazar. Ale nie było czasu na dociekania.

- Proszę cię tylko o jedno: nie wiń za to Mii.

- Nikogo nie winię. Ernesto i ja jesteśmy kwita. Zapłacił tyle, ile była warta: dla niego.

Ale teraz rozmawiam z tobą.

W samochodzie zrobiło się nagle gorąco.

- Dobrze. Ale tak jak mówiłem: musisz powiedzieć, czego dokładnie chcesz.

- Najpierw chcę krótkiej, szczerzej odpowiedzi. Powiedziałeś temu pismakowi z „Tribune”, że nie zapłacisz okupu?

- To, co mówię jakiemuś reporterowi, nie musi być...

- Zamknij się i słuchaj pytania! Powiedziałeś mu czy nie?

Jack bał się, że szczerą odpowiedź go rozwścieczy, ale kłamstwo byłoby czymś jeszcze głupszym, zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Tak, powiedziałem.

- Facet niczego nie przekręcił?

- Nie.

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli: jeśli skończymy teraz rozmawiać, już za kilka minut Mia będzie wyła z bólu i do zachodu słońca umrze. Chcesz tego?

- Nie. Oczywiście, że nie.
- W takim razie powiedz: co jesteś gotów zrobić, żeby do tego nie doszło?
- Ja... Zaproponuj coś.
- Nie. To ty coś zaproponuj.
- Nie wiem, co powiedzieć...
- To, czego nie mogłeś powiedzieć temu pismakowi.
- Dobrze. - Jack wziął głęboki oddech. - Jestem gotów zapłacić za nią okup.
- Ile?
- A ile chcesz?

Tamten zachichotał, lecz w jego zniekształconym głosie nie było nawet cienia wesołości.

- Chyba mnie nie słuchałeś, Swyteck.
- Słuchałem bardzo uważnie.
- Nie, nie słuchałeś! Gdybyś słuchał, wiedziałbyś, czego chcę.
- Nie lubię zgadywanek. Zażądaj czegoś namacalnego, konkretnego.
- Moje żądania się nie zmieniają. Musisz tylko zadać sobie pytanie, czy chcesz je spełnić.
- Chcę, żeby Mia wróciła cała i zdrowa.
- Świetnie, ale nie to chciałem usłyszeć. I jeśli w ciągu następnych kilku sekund nie usłyszę tych czarodziejskich słów, odłożę słuchawkę i Mia umrze. Więc lepiej je wypowiedz, Swyteck.

- Dobrze, już dobrze. Zrobię to.
- Zrobisz co?
- Zapłacę.
- Ile?

Jack zawahał się i odparł:

- Tyle, ile jest warta.
- A teraz powiedz to jednym ładnym zdaniem, tak od serca.
- Zapłacę tyle, ile jest warta.

Tamten zniżył głos i niemal ze śmiertelną powagą powiedział:

- Winszuję, mecenasie. Właśnie kupił pan swojej pięknej przyjaciółce kolejną dobę prawdziwego piekła.

W słuchawce zabrzmiał sygnał. Jack rzucił komórkę na kolana i zjechał na pobocze, zbyt wykończony, żeby prowadzić.



# 31

FBI urzędowało tuż przy autostradzie międzystanowej I-95, w zwykłym białym budynku, przed którym parkowało mnóstwo równie nieciekawych amerykańskich samochodów. Porywacz nie zabronił mu wyraźnie kontaktów z policją, ale on i tak nie miał żadnych wątpliwości, że nadeszła pora złożyć kolejną wizytę agentce Henning. Spotkali się za zamkniętymi drzwiami jej gabinetu, gdzie próbując nie wiercić się za bardzo w niemiłosiernie skrzypiącym fotelu, opowiedział o telefonicznej rozmowie z porywaczem.

Andie uważnie słuchała i robiła notatki, dopóki nie skończył.

- Przykro mi, że musiał pan przez to przejść - powiedziała.

- Dzięki za współczucie.

- I przepraszam, że rano tak się po panu przejechałam. Nie powinnam.

- Nie ma sprawy. Już o tym zapomniałem. Ale jeśli chciała mnie pani zawstydzić i sprowokować do potyczki z Salazarem, to się pani udało. Pojechałem do niego zaraz po naszej rozmowie.

Andie skrzywiła się z obrzydzeniem, ale nie miało to nic wspólnego z tym, co powiedział. Z trudem przełknęła mały łyk zimnej kawy, a resztą podlała rosnącego w kącie fikusa. Z tego, co Jack zdążył zauważyć, fikus znosił kofeinę znacznie gorzej niż ona.

- Zabije go pani.

- Jest sztuczny.

- Nie. Liście mu żółkną.

Andie zerwała jeden i ciekawie go obejrzała.

- Cholera. Ma pan rację. Prawdziwy.

Jack spojrzął na teczki, raporty i kartki rozrzucone na biurku, regale, a nawet na podłodze. Ta dziewczyna za dużo pracuje, pomyślał.

- Na czym skończyliśmy? - spytała.

- Mówiłem, że rano rozmawiałem z mężem Mii.

- Tak, wiem. Dzwonił do mnie.

- Powiedział, ile zapłacił?

- Tak. Podobno wpadł w gniew i się wygadał, a skoro powiedział już panu, doszedł do wniosku, że może powiedzieć i mnie. Pół miliona, tak twierdzi.

- I jak pogodzi to pani z dwudziestoma dolarami porywacza?

- Rozmawiał pan z jednym i z drugim. Komu pan wierzy?

Wzrok Jacka spoczął na pucharze strzeleckim na regale.

- Obydwaj mają powody, żeby kłamać. Nie wiem.

- Zaczniemy więc od czegoś łatwiejszego: właściwie dlaczego zmienił pan zdanie i postanowił zapłacić?

Jack pokręcił głową.

- Tego też nie jestem pewny.

- Pomyślmy. Może dlatego, że dowiedział się pan, że mąż Mii zapłacił pół miliona dolarów za żonę, która go zdradzała? Jeśli tak, odezwało się w panu ego, to męskie, nastawione na bezmyślną rywalizację. Jeśli nie, może podjął pan tę decyzję po tym, jak porywacz jednoznacznie oświadczył, że ktoś będzie musiał jednak zapłacić, bo inaczej Mia umrze?

- A w tym drugim scenariuszu, co się we mnie odezwało? Męska wrażliwość?

- Coś w tym rodzaju.

- Naprawdę nie wiem, kiedy się zdecydowałem. Może rano, kiedy przeczytałem w gazecie moje własne słowa. Malone mnie zaskoczył i popełniłem błąd.

Andie spoważniała.

- Nie jestem pewna, czy to był błąd.

- Chce pani powiedzieć, że nie powinienem płacić? - Andie nie odpowiedziała, ale Jack widział jej minę. - Że to nie ma znaczenia, tak? Że ten psychopata zabije ją tak czy inaczej.

Wzruszyła ramionami, jakby nie chciała snuć żadnych domysłów.

- Uważam, że powinniśmy przeciągać negocjacje - odparła. - To najlepsza strategia. Jeśli zdecyduje się pan zapłacić, nieważne ile, musimy mieć wystarczająco dużo czasu, żeby złapać go, zanim położy łapę na pieniądzach.

- Powiedział, że kupiłem jej dobę życia.

- To dobrze. Teraz trzeba pomyśleć, jak kupić kolejną, a potem może jeszcze jedną.

Przed oczami Jacka przewinęły się obrazy z nagranego przez porywacza filmu.

- Nie, tak nie można. My gramy na czas, a ona za to płaci. Musimy go jak najszybciej znaleźć.

- Pracuję nad tym.

- Powinniśmy pracować obydwój.

- Nie bardzo się pan do tego nadaje.

Jack pochylił się do przodu z ręką na brzegu biurka i nagle dotarło do niego, że

zachowuje się jak jeden ze swoich zdesperowanych klientów. Natychmiast usiadł prosto.

- Chcę tylko informacji, niczego więcej. Gdybym wiedział coś o podejrzanym, którego ścigacie, bardzo by mi to pomogło.

- Nie mogę o tym z panem rozmawiać. Nie dalej jak dwie minuty temu przyznał pan, że powiedział pan reporterowi coś, czego teraz pan żałuje. Nie mogę tak ryzykować.

- Szuka pani wymówek.

- Tak, szukam. Nie ma znaczenia, czy rozmawia pan z reporterem, czy mówi pan przez sen. Nie mogę prowadzić rozmów o podejrzanym, dopóki nie zamknę dwóch ważnych wątków śledztwa. Wtedy wydamy krajowy list gończy i będziemy mogli rozmawiać, ile pan zechce.

- To ktoś z jej przeszłości? Ktoś, kto ją zgwałcił?

- Bez komentarza.

- Salazar powiedział, że przed ślubem jej nie było. Mój asystent grzebał, gdzie się tylko dało, i za każdym razem natrafiał na ślepy zaułek. O co tu chodzi?

- Żałuję, ale nie mogę powiedzieć.

- Niech pani posłucha: to ja mam bezpośredni kontakt z porywaczem. Powinienem wiedzieć o nim więcej, o nim i o kobiecie, którą próbuję ratować.

- To rozpraszałoby pańską uwagę. Musi się pan skupić. Zaraz trochę poćwiczymy. Musi pan wiedzieć, jak z nim rozmawiać, kiedy znowu zadzwoni. Teraz to najważniejsze.

- Czyli mam być grzecznym chłopcem i robić, co mi każecie. Tak?

- Im więcej będzie pan wiedział, tym większe ryzyko, że zrobi pan coś, co przyniesie skutki odwrotne do zamierzonych. Ludzie zaangażowani emocjonalnie są skłonni do złych osądów, to chyba oczywiste.

- Oczywiście jest również to, że porywacz nie zadzwoni do pani. Zadzwoni do mnie, do domu, na komórkę, może do kancelarii. Tak więc, jeśli dobrze pomyśleć, FBI bardziej potrzebuje mnie niż ja FBI.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Że nie będzie pan z nami współpracował, chyba że zapoznamy pana ze wszystkimi szczegółami śledztwa?

- Nie ze wszystkimi. Tylko z tymi, które powinienem znać.

- Odpada, nie na tych warunkach.

Jack wstał.

- W takim razie wychodzę.

- Błefuje pan - mruknęła Andie, kiedy ruszył do drzwi.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Nie, mówię serio.

Andie ponuro zachichotała.

- Dobrze, zgoda.

- Cieszę się, że widzi to pani tak, jak ja.

- Nie, widzę zupełnie co innego. Codziennie przed zaśnięciem, zawsze to samo. Widzę, jak wyciągają z wody ciało Ashley Thornton po tym, jak jej mąż zapłacił milionowy okup. Dlatego tak potrzebujemy pana bardziej, niż pan potrzebuje nas. Ale Mia potrzebuje FBI bardziej niż Jacka Swytecka. O wiele bardziej. Zapewniam pana.

Jack stał przez chwilę i nagle zauważył zegar na jej biurku. Pstryk! i od telefonu porywacza minęło sześćdziesiąt minut, ot tak. Przepadła jedna bezcenna godzina, którą kupił dla Mii. A wszystko wskazywało na to, że kolejna rozmowa będzie jeszcze gorsza.

- Proszę, niech pan siada. Odegramy kilka scenek.

Wkurzała go tym: „Nie mogę powiedzieć”. Ale tym razem miała rację.

- A propos - spytała. - Ile zamierza pan zapłacić?

Wrócił na miejsce. Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

- Nie mam zielonego pojęcia.

## 32

O wpół do piątej musiała przerwać próbę. Był to ich pierwszy ważny, a nawet przełomowy trop, który łączył Mię z podejrzanym, jeden z wielu, które musieli zbadać, zanim FBI będzie mogło upublicznić jakiegokolwiek informacje.

- Kto to? - rzuciła do słuchawki; rozmawiała z placówką FBI w Atlancie.

- Niejaka Cassandra Nuñez. Mieszka w Newman, ledwie kilka kilometrów od naszego biura. Przesłuchać ją?

Miałaby pozwolić, żeby inny agent przesłuchiwał najważniejszego świadka w sprawie Wyceniacza? Wykluczone. Musiała tylko odpowiedzieć tak, żeby tamten nie wziął jej za kogoś, kto próbuje podporządkować sobie wszystkich dookoła.

- Nawet gdybym zdążyła wprowadzić pana w szczegóły, na pewno byśmy coś przeoczyli. Przylecę pierwszym samolotem z Miami. Niech pan czeka przed bramką. Przesłuchamy ją razem.

Trzy godziny później jechała już nieoznakowanym samochodem z agentem Dwaynem Carmichaeliem; Carmichael prowadził. Wcześniej z samolotu widziała rozświetloną panoramę miasta, ale teraz byli zbyt daleko od centrum, w dzielnicy mieszkalnej podobnej do setek innych dzielnic na całym świecie - oczywiście z wyjątkiem Miami. W Atlancie było o wiele zimniej, niż się spodziewała, a ona nie miała nawet czasu wpaść do domu po płaszcz, popędziła prosto na lotnisko. Carmichael zaparkował na końcu zaułka i zgasił światła. Byli na nowym osiedlu o typowej podmiejskiej zabudowie, ciemniejszym niż sąsiednie, ponieważ kilkanaście domów nie znalazło jeszcze właściciela. Domy, beżowe i szare, były niemal identyczne, różniły się jedynie kolorem. Podwórka też były identyczne, i to pod każdym względem, łącznie z kształtem i ilością igieł na samotnych sosenkach dwumetrowej wysokości, które posadzono od frontu w ramach akcji poszerzania obszaru terenów zielonych.

Andie wysiadła na betonowy podjazd i natychmiast ciasno objęła się ramionami. Oddech zamieniał się w parę.

- Na pewno nie chce pani kurtki? - zapytał Carmichael. Był wysokim Murzynem o ogolonej głowie, na której skraplała się nocna wilgoć. Żadne z nich nie wpadło na pomysł, żeby zabrać parasol.

- Nie, nic mi nie będzie. Jeszcze pół roku temu mieszkałam w Seattle.

- Wspaniałe miasto. Pewnie niechętnie pani wyjeżdżała.

Nie chciała mu mówić, że po prostu musiała.

- Tak, było ciężko. Ale w Miami nie jest źle, można trafić gorzej.

Podeszli do domu, zachowując zwykłą ostrożność, nie zakładając niczego z góry, nie dopatrując się niczego niezwykłego. Pistolety tkwiły w kaburze, choć w zasięgu ręki. Wszystko wskazywało na to, że będzie to przyjacielska wizyta. Odkąd zawężili listę podejrzanych do przestępcy seksualnego o sposobie działania podobnym do sposobu działania Wyceniacza, FBI poszukiwało kobiety imieniem Cassandra, ale zmyliło ich nazwisko. Okazało się, że poszukiwana wyszła za mąż za niejakiego Nuñeza i chociaż Nuñezów mieszkało w Stanach sporo, zdobyli dość informacji, by potwierdzić, że jest to „ich” Cassandra.

Andie weszła na ganek i zadzwoniła do drzwi. Po chwili na ganku zapaliło się światło, lecz drzwi pozostały zamknięte.

- Kto tam? - usłyszeli kobiecy głos.

- Jesteśmy z FBI.

Kobieta długo nie odpowiadała.

- Czego chcecie?

- Proszę się nie niepokoić. Przyszliśmy porozmawiać z Cassandrą Nuñez. To czysto rutynowa sprawa.

Znowu zapadła cisza.

- Dobrze, za chwilę.

Czekali. W środku ktoś rozmawiał, lecz nie sposób było zrozumieć o czym. Rozmowę zagłuszyły nagle inne, donośniejsze głosy. Andie szybko zrozumiała, że albo tak się przypadkiem złożyło, że Cassandrę odwiedziła chmara przyjaciół, albo ktoś podkręcił głos w telewizorze. Spojrzała na Carmichaela, on spojrzał na nią i natychmiast wzmoгли czujność.

Drgnęli, słysząc coś, co zabrzmiało jak trzask kuchennych drzwi. Odruchowo wydobyli broń i puścili się w pościg. Ona obiegła garaż, on popędził w przeciwną stronę. Andie wpadła na podwórze jako pierwsza. Przykucnęła za długą stertą desek i pomachała ręką Carmichaelowi po drugiej stronie trawnika. Ten zobaczył ją, odpowiedział tym samym gestem i sunąc plecami po ścianie, ruszył w kierunku drzwi. Był w połowie drewnianego tarasu, gdy przystanął i wytężył słuch. Ona też to usłyszała. Głosy. Dochodziły z lasku za otaczającą posesję siatką.

Wymienili spojrzenia i bez słowa podjęli identyczną decyzję. Szybkim sprintem przecięli trawnik i przeskoczyli przez siatkę. Ziemia była miękka i śliska od gnijących tu od lat liści.

Ale bardziej niebezpieczne były nisko zwisające gałęzie i Andie czuła na twarzy ich piekące uderzenia. Carmichael biegł kilka kroków za nią.

- Szybko! - Krzyk jakiejś kobiety. Miała podobny głos do tej, która rozmawiała z nimi przez drzwi. Andie namierzyła kierunek i już po chwili dostrzegła w ciemności trzy sylwetki na zboczu wzgórza.

- Stać! - krzyknęła. - FBI!

Tamci przyspieszyli kroku, ale jedno z nich potknęło się i upadło. Ich przywódca pobiegł dalej, lecz ten drugi zawrócił na pomoc. Andie zebrała siły, wrzuciła wyższy bieg i szybko ich dopędziła.

- Ani kroku! - sapnęła, celując do nich z pistoletu.

To były dwie kobiety. Starsza siedziała na ziemi, próbując złapać oddech. Młodsza przyklękała, obejmując ją i pocieszając.

- Ręce na głowę!

Młodsza posłuchała. Powiedziała coś po hiszpańsku i starsza poszła w jej ślady.

- Ona nie mówi po angielsku. Niech pani nie strzela!

W tej samej chwili zza krzaków wypadł Carmichael.

- Gonić tamtego? - spytał, wypuszczając kłęb pary.

- Nie - odparła Andie. Nawet po ciemku poznała, że ten trzeci był mężczyzną, więc to nie jego szukali. Spojrzała na młodszą kobietę.

- Cassandra Nuñez?

- Tak.

- Dlaczego uciekaliście?

Cassandra zerknęła na siedzącą obok Latynoskę.

- A jak pani myśli?

Nielegalni imigranci, pomyślała Andie.

- Mieszkają u pani jacyś krewni?

- Ciotka i wuj męża.

- Dobrze. Nic więcej nie muszę wiedzieć. Nie jesteśmy z imigracyjnego. Chcę porozmawiać o pani siostrze.

- O mojej siostrze?

- Możecie opuścić ręce.

Cassandra szybko przetłumaczyła to na hiszpański. Andie dała znak Carmichaelowi. Ten wyjął z kieszeni zdjęcie, małą latarkę i podszedł bliżej.

- Zna pani tę kobietę? - spytała Andie.

Cassandra zmrużyła oczy. Przyglądała się fotografii długo, zdawało się, że za długo. Nagle Andie usłyszała swój własny oddech. Oddychała tak szybko nie ze zmęczenia, tylko z niecierpliwego wyczekiwania. Gdyby Cassandra dokonała pozytywnej identyfikacji, zdobyliby dowód na potwierdzenie teorii o Wyceniaczu. Było to zdjęcie Mii.

Cassandra oddała je i pokręciła głową.

- Nie, nigdy jej nie widziałam.

Andie zamarło serce.

- To nie jest pani starsza siostra?

- Nie. Moja siostra nie żyje. Zabił ją potwór, który zgwałcił ją siedem lat temu.

Andie starannie dobrała słowa.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to bezdusznie, ale jeśli się nie mylę, policja nie znalazła jej ciała, prawda?

- Nie.

- W takim razie skąd pani wie, że ona nie żyje?

- Bo jesteśmy siostrami. Rodziną. - Cassandra przysunęła się bliżej do swojej towarzyszki. - Dbamy o siebie.

- Rozumiem.

- Nie. - Cassandrze zadrżał głos. - Pani tego nie zrozumie. Kiedy tu przyjechałyśmy, miałam tylko ją. Nigdy nie wykreśliłaby mnie ze swego życia. Przez te siedem lat na pewno by się do mnie odezwała. Ona nie żyje. Umarła. Dlatego zamiast tracić czas, poszukajcie lepiej zboczeńca, który ją zabił.

Andie zaczynała się w tym gubić. Ale nie pogubiła się całkowicie.

- Możemy wrócić do domu i porozmawiać? - spytała. - Coś mi mówi, że właśnie go znaleźliśmy.



## 33

Cassandra położyła się o wpół do pierwszej w nocy, ale nie mogła zasnąć. Leżała w ciemnym pokoju i myślała.

Po tym, jak dopędzili ich ci z FBI, ona i agentka Henning wróciły do domu i długo rozmawiały w kuchni. Mówiła głównie ona, ta Henning, i na jej prośbę Cassandra znalazła w szafie kilka starych zdjęć. Agentka ułożyła je obok zdjęcia Mii Salazar. Tak, było między nimi dużo podobieństw, co Henning wielokrotnie podkreślała. Ale Cassandra bez trudu znalazła i różnice.

O wiele trudniejszy był jednak powrót do przeszłości.

Cassandra spojrzała na budzik na stoliku nocnym. W ciemności jarzyły się zielone cyferki. Dochodziła pierwsza i znowu przypomniały jej się tamte złe czasy. Pierwsza, druga, trzecia - po zniknięciu siostry widywała te cyferki noc w noc. Sen był nieosiągalną ucieczką od surowej rzeczywistości. Terapia w końcu pomogła, lecz nocne koszmary i wspomnienia nie zniknęły. Dzisiaj znowu musiała walczyć z przeszłością, ale podczas dwugodzinnej rozmowy z FBI zdołała utrzymać demony na uwięzi. Dały jej spokój aż do teraz. Może ośmieliła je cisza i spokój wczesnego poranka. A może nie zagoiła się w niej do końca ta wielka emocjonalna rana. Tak czy inaczej, czuła, że tama znowu powoli pęka. Zaczynała tracić kontakt z rzeczywistością, bo umysł przenosił ją do innego miejsca i czasu, do chwil, kiedy piękna Teresa była dla niej chodzącym ideałem.

- Super wyglądzie, dziewczyny - powiedział młody, muskularny bramkarz pilnujący wejścia do Vertigo II. Wielki, potężnie zbudowany, był jak strażnik fortecy, który wprost ze średniowiecza trafił do najmodniejszego klubu nocnego w Atlancie. Kolejka ciągnęła się przez pół ulicy, aż za róg, a tam przez pół następnej. Trzy czwarte czekających nie miało szans na wejście. Zwłaszcza urzędas z Buffalo, który przyjechał tu na jakiś zjazd, i który w marynarce khaki wyglądał jak sprzedawca polis ubezpieczeniowych. Ale Latynoska młódka w szpilkach miała bardzo duże szanse. Większość z niewpuszczonych zapewne wruszy tylko ramionami i przejdzie na plan B. Inni będą prosić i błagać, robiąc z siebie żenujące widowisko. Kilku wyzwie bramkarzy od najgorszych. Kilku innych, tych, którym do głowy uderzy niebezpieczna kombinacja prochów i testosteronu, może nawet rzuci się na nich z

pięściami tylko po to, by odkryć, że czterdziestopięciocentymetrowego obwodu bicepsy nie są tylko na pokaz.

Stały przed aksamitnym sznurem.

- Ty też nieźle wyglądasz - odparła Cassandra.

- Dzięki, dzięki. Kim jest twoja przyjaciółka?

- To moja siostra. Teresa.

- Ładniutka jest.

Teresa - była w cętkowanej lycrze i w szpilkach - z kamienną miną odparła:

- Łakome oko na łakomy kąsek, co, wielkoludzie?

- Ooo, w dodatku pyskata! Rozgryzałaś mnie bez pudła. - Rozsunął sznur. - Dobrze się bawcie.

Otworzyły się główne drzwi i natychmiast uderzył je błysk wirujących świateł i głośna muzyka. Odeszły kawalek dalej, żeby bramkarz nie mógł ich podsłuchać, i wybuchnęły śmiechem.

- Miałas być cool, a zrobiłaś z siebie królową lodu - powiedziała Cassandra.

- Chcesz wejść, musisz w to grać - odparła Teresa.

Tak jak sugerowała nazwa, klub Vertigo II był klonem klubu pierwszego. Ten pierwszy powstał w Miami Beach, a ponieważ działał długo i z wielkim powodzeniem, jego właściciel z hukiem otworzył drugi, tym razem w Atlancie. Obydwa miały taki sam wystrój i atmosferę, z tym że Vertigo II urządzono w trzypiętrowym magazynie, którego wewnątrz całkowicie wyburzono, przeprojektowano i ozdobiono wysokim, wąskim atrium. Główny bar i parkiet były na parterze, a pod baterią kilkunastu wielkich lusterek, zawieszonych pod różnym kątem nad głowami tańczących, trudno się było zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. Kieliszek alkoholu, dudniąca muzyka, wirujące światła, tłum spoconych ciał - to wystarczyło, żeby goście dostali zawrotu głowy. Jak ci, którzy obserwowali tańczących z balkonów.

Cassandra i Teresa znalazły miejsce przy barze i rozejrzały się wokoło przy kieliszku wódki z sokiem jabłkowym. Czują, jak wibruje podłoga, w nozdrza bił unoszący się nad tłumem zapach perfum i potu. Wkrótce zaproszono je do tańca. Po dwóch kawalkach faceci odprowadzili je na miejsce i wyraźnie chcieli zostać, ale wtedy Teresa wyjęła komórkę, udając, że ma pilny telefon z DEA, Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami. Oczywiście nie pracowała w DEA i nikt do niej nie dzwonił. Ale sztuczka skutkowałą za każdym razem.

- Na razie, chłopcy - rzuciła im na pożegnanie.

Już wolne i bez zobowiązań, zamówiły drugiego drinka. Na scenie występowała „Dziewczyna-Ogień”. Był to numer w stylu Las Vegas, w którym baletnica - zgrabniejsza

nawet od Teresy - tańczyła w rytm muzyki, drepcząc na czubkach palców wokół płomieni. Siostry oglądały występ z barowych stołków. W pewnej chwili Cassandra zauważyła, że idzie ku nim bramkarz. Zalała ją fala paniki. Wydało się? Właściciel doszedł do wniosku, że wcale nie są cool i - co gorsza - odkrył, że ona, Cassandra, jest nieletnia?

Bramkarz podszedł do baru, z kamienną twarzą położył przed Teresą wizytówkę i poszedł dalej.

Cassandra rozdziawiła usta.

- Dał ci wizytówkę.

Teresa zakręciła kieliszkiem, patrząc, jak wiruje w nim resztkę wódki.

- To co?

- Wiesz, co to znaczy?

- Jest prawnikiem i myśli, że byłam ranna w jakimś wypadku?

- Przestań, dobrze? Przeczytaj to.

Wizytówka leżała stroną zadrukowaną do lady, tak że widać było tylko biały spód. Teresa podała ją siostrze.

- O... mój... Boże... - westchnęła Cassandra, akcentując każde słowo.

- Odbiło ci?

Cassandra odwróciła wizytówkę, żeby Teresa mogła przeczytać to, co było na niej napisane: MASZ W SOBIE TO COŚ. 2.00. APARTAMENT.

- Co to jest?

- Nie widzisz inicjałów? Tu, w rogu. GM. Odręcznie napisane. Gerard Montalvo.

- Kto to?

- Rany, Teresa, gdzie ty żyjesz? To właściciel klubu. Zaprasza cię do prywatnego apartamentu.

- Dlaczego miałabym tam iść?

- Dlaczego? A dlaczego się tu przychodzi? Żebyś mogła powiedzieć, że tu byłaś, geniuszu.

Teresa uniosła brew.

- Odpada. Może to i modny klub, ale ja jestem staroświecka. Nie chodzę do prywatnych apartamentów tylko dlatego, że ktoś rzucił mi wizytówkę z zaproszeniem.

- Siostrzyczko, proszę. Tam jest na pewno superimpreza. Założę się, że bywają u niego gwiazdy filmowe. Za takie zaproszenie inni gotowi są zabić!

- Świetnie - odparła Teresa. - W takim razie ty idź. Weź wizytówkę i idź.

- Tak, tak, już lecę. Żeby mnie publicznie poniżyli i wyrzucili za to, że próbuję się pod

ciebie podszyć? Po prostu idź tam, i już. Chociaż na pięć minut. Jeśli pójdziesz, postawię nam taksówkę do domu i o wszystkim mi opowiesz.

- Naprawdę chcesz, żebym poszła?

- No, jasne. Ale tylko dlatego, że masz w sobie to coś.

- Tak, tak, oczywiście. - Teresa zachichotała.

- Proszę. Zrobisz to dla swojej małej siostrzyczki?

Teresa spojrzała na zegarek. Dochodziła druga.

- No dobrze - mruknęła niechętnie. - Pójdę.

Cassandra rozpromieniła się, objęła ją i uścisnęła.

Tuląc siostrę, zerknęła ponad jej ramieniem i po drugiej stronie zatłoczonego parkietu zobaczyła bramkarza. Na jego kamiennej twarzy pojawiła się rysa, pęknięcie, coś jakby cień uśmiechu. Cassandra nie odwróciła wzroku, ale nie dlatego, że bramkarz się jej podobał: chciała jeszcze raz sprawdzić, czy dobrze odczytała jego zamiary. Nie żeby miała podstawy do jakichś podejrzeń, ale nie wiedzieć czemu, wciąż słyszała ten cichutki głosik w swojej głowie - głosik, który wyraźnie próbował jej coś powiedzieć.

Może jednak zaproszenie nie było dokładnie tym, co myślała.

## 34

O ósmej Andie po raz ostatni przejrzała list gończy za Gerardem Montalvo. Szef chciał, żeby sprawdziła jeszcze kilka szczegółów, ale była pewna, że do wieczora list zostanie zatwierdzony.

Wbrew jej nadziejom spotkanie z Cassandrą nie zakończyło się pełnym sukcesem. Częściowo dlatego, że Andie nie mogła jej powiedzieć, dlaczego w ogóle zainteresowali się Teresą. Gdyby to zrobiła, musiałaby również zdradzić sposób działania porywacza - zwłaszcza jego podpis: „Zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta” - a jego modus operandi był najpilniej strzeżoną tajemnicą FBI. Szczegółów tych nie zamierzali ujawniać nawet w liście gończym. Patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że wymagania śledztwa, a zwłaszcza stopień jego utajnienia, nadały zły ton ich rozmowie. Cassandra była podejrzliwa i dosłownie w niczym się z nią nie zgadzała. A co najważniejsze, stanowczo odrzuciła teorię, że Mia Salazar to Teresa Bussori.

Ale istniały inne sposoby, żeby to udowodnić.

Koło dziewiątej Andie złapała Salazara na jednej z jego budów. Była to warta dwanaście i pół miliona dolarów rezydencja w stylu kolonialnym nad międzystanowym szlakiem wodnym w Palm Beach, zupełnie nieprzypominająca skromnego domku Cassandry Nuñez.

Budowa była w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ukończona i Andie czuła zapach świeżej farby w eleganckim salonie. Była tu podłoga z brazylijskiej wiśni, do tego biała boazeria i tyle elementów drewnianych pod wymiar, że dobry stolarz miałby tu robotę do końca życia. Z pięciorga dużych przeszklonych drzwi roztaczał się niczym nieprzesłonięty widok na zielony ogród, kamienną fontannę i biegnący w oddali kanał. Ponad hektar luksusu i Andie pomyślała, ile na takiej inwestycji zarabia deweloper. Zastanawiała się również, czy półmilionowy okup - jeśli w ogóle go zapłacono - był dla Salazara czymś więcej niż garścią drobnych.

- Chce pani kupić ten dom, panno Henning? - spytał, wchodząc do salonu.

Andie się odwróciła.

- Tysiąc dolarów za metr to trochę za dużo jak dla urzędniczki państwowej.

- Tysiąc sto, w stanie surowym. Ale kto by się liczył z pieniędzmi? - Grzeczny uśmiech zniknął, ustępując miejsca służbowemu zainteresowaniu. - Czym mogę służyć?

Mogłaby pograć łagodnie, ale czasem lubiła zaskakiwać ludzi, waląc prosto z mostu.

- Czy mówi panu coś nazwisko Teresa Bussori?

- Hmm... Nie. A powinno?

- Siedem lat temu padła ofiarą napaści seksualnej. Uważamy, że mógł ją zgwałcić Wyceniacz.

- Cieszę się, że wpadliście na konkretny trop. Ale dlaczego uważacie, że mogłbym znać tę Teresę?

- Ponieważ mamy podstawy przypuszczać, że Teresa i Mia to jedna i ta sama osoba.

Salazar ni to zakaszłał, ni zachichotał; była to nerwowa reakcja, jaką Andie często obserwowała u tych, którzy nie wiedzą, co powiedzieć.

- Dlaczego tak uważacie?

- Jeśli pan pozwoli, to ja będę zadawała pytania. Trudne pytania. - Zerknęła na stolarza w korytarzu. - Możemy porozmawiać w bardziej ustronnym miejscu?

- Oczywiście. Proszę za mną. - Zaprowadził ją do spiżarni - większej niż jej kuchnia - i zamknął drzwi. - Słucham.

- Pamięta pan, jak podczas naszej pierwszej rozmowy spytałam, czy pańska żona ma jakieś znaki szczególne, blizny, tatuaże czy znamiona?

- Tak, pamiętam.

- Dlaczego nie powiedział pan, że ma bliznę na wewnętrznej stronie uda?

Salazar zmarszczył czoło.

- Byłem pewien, że powiedziałem.

- Nie, nie powiedział pan.

- Zadała mi pani milion pytań. Tuż przedtem dowiedziałem się, że sypiała ze Swyteckiem, zaraz potem, że została porwana. W głowie mi się kręciło. Pewnie zapomniałem.

- Zapomniał pan?

Spojrzał na nią poirytowany.

- Przestaliśmy z sobą sypiać dwa lata temu. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem wewnątrz jej ud.

- Czy pańska żona padła kiedykolwiek ofiarą napaści na tle seksualnym?

- Proszę nie zmieniać tematu. Jeśli to nie ja powiedziałem wam o tej bliznie, to skąd pani o niej wie?

Andie nie chciała odpowiadać, wiedząc, że jeszcze bardziej go to rozzłości.

- Od Swytecka.

- Od Swytecka. - Salazar powiedział to tak, jak można było tego oczekiwać po kimś, kto mówi o mężczyźnie, który widział wewnątrz ud jego własnej żony.

- Swyteck nie wie, skąd Mia ją ma, ale pomyślałam, że może pan będzie wiedział.

- Dlaczego to takie ważne?

- To proste pytanie, panie Salazar. Czy wie pan, skąd Mia ma tę bliznę?

- Nie, nie powiedziała mi.

- Czy blizna pojawiła się na jej udzie przed ślubem, czy po ślubie?

Salazar zwlekał z odpowiedzią, jakby rozmowa zmierzała w niedobrym dla niego kierunku.

- Przed - odparł.

Andie uważnie sondowała jego twarz. Czowała, że Salazar coś ukrywa, ale ponieważ chciała, żeby z nimi współpracował, nie mogła go do siebie zrazić.

- Chciałabym pana o coś prosić. Muszę mieć jakąś rzecz osobistą należącą do pańskiej żony. Potrzebna nam próbka jej DNA.

- Po co?

- Niestety, nie mamy odcisków palców Teresy Bussori. W tej chwili sprawdzamy, czy laboratorium, które badało dowody rzeczowe w sprawie gwałtu, zachowało próbkę jej DNA. Jeśli tak i jeśli próbki okażą się identyczne, będziemy wiedzieli na pewno, że Teresa to Mia. Wtedy podejrzany o zgwałcenie Teresy stanie się automatycznie głównym podejrzanym w sprawie wszystkich uprowadzeń Wyceniacza.

Salazar nie okazał żadnej reakcji. Po prostu stał przed nią ze zmrużonymi oczami.

- Nie kupuję tego.

- Ale czego?

- Tego o Mii i tej Teresie. To podstęp.

- Podstęp?

- Część tego, co Swyteck rzucił mi w twarz podczas naszej rozmowy.

- Nie rozumiem.

- Niech pani nie udaje. Opowiedział mi o tej waszej teorii: Ernesto, agresywny mąż, wyszedłby na tym o wiele lepiej, gdyby jego puszczająca się żona zginęła. Co jeszcze pani powiedział? Że już mi nie staje i nie mogę z nią sypiać, więc pociąłem jej nogę, żeby sobie ulżyć?

- Nikt pana o nic nie oskarża.

- Oficjalnie. Ale oglądam telewizję i wiem, że zawsze podejrzewacie męża. Nie zamierzam dawać wam próbki DNA tylko po to, żebyście powiedzieli, że to ja ją

uprowadziłem. - Salazar gniewnie pchnął drzwi i jak burza wypadł ze spiżarni.

Andie poszła za nim.

- Źle mnie pan zrozumiał.

Salazar przeciął salon i zatrzymał się dopiero w foyer.

- Wie pani co? Już zapłaciłem okup. Zapłaciłem za nią tyle, ile jest warta i mam was dość. Niech pani zadzwoni do mojego adwokata.

- Proszę tylko o coś w rodzaju szczoteczki do zębów albo szczotki do włosów. To nie jest żaden podstęp.

- Świetnie. W takim razie bez trudu przekona pani sędziego, żeby wystawił nakaz przeszukania.

- Rzuca pan nam kłody pod nogi. Badanie DNA i bez tego trwa długo. Nie rozumie pan? Dla Mii liczy się każda minuta.

- Dobrze. Chce pani próbkę DNA, tak na szybko? To niech pani zetrze szminkę z fiuta Swytecka.

Salazar nigdy dotąd nie był tak rozgoryczony i dosadny, ale Andie bardziej zaskoczył jego sposób myślenia niż postawa. Podziękowała mu i pożegnała się, niczym nie zdradzając, że swoją wulgarną uwagą podsunął jej wspaniały pomysł.



## 35

Wyszedł z sądu - miał tam do załatwienia kilka spraw w związku ze zbliżającą się rozprawą - i szukając swego samochodu na zatłoczonym parkingu, sprawdzał pocztę głosową. Właśnie odsłuchiwał trzecią wiadomość, kiedy cichutki pisk zasygnalizował, że ktoś próbuje się do niego dodzwonić. Nie dalej jak poprzedniego dnia porywacz pogratulował mu kupna kolejnej doby prawdziwego piekła dla Mii. Mając w pamięci zbliżający się termin, Jack nie zamierzał lekceważyć jakichkolwiek telefonów, zwłaszcza tych od nieznanymi abonentów. Szybko wcisnął guzik i rzucił: „Halo”.

- Pan Swyteck?

- Tak. Kto mówi?

- Nie znamy się, ale FBI uważa, że jestem siostrą Mii Salazar. Chciałabym z panem porozmawiać.

Taka odpowiedź prowokowała dziesiątki pytań.

- Jak to: „uważa”? Jest pani jej siostrą?

- O tym właśnie chciałabym porozmawiać.

- Nie wiedziałem nawet, że ona ma siostrę.

- Wszystko panu wytłumaczę. Chcę pokazać panu kilka zdjęć. Mojej starszej siostry Teresy. Zaginęła siedem lat temu, a teraz FBI uważa, że ona i Mia Salazar to ta sama osoba. Miałam nadzieję, że będziemy mogli usiąść i jakoś to wyjaśnić.

Jack zmarszczył brwi. Pytanie gonilo za pytaniem, ale zwyciężył zdrowy rozsądek. Ona chce się z tobą spotkać, Swyteck. Nie spłosz jej.

- Oczywiście, bardzo chętnie. Gdzie i kiedy?

- Właśnie przyleciałam z Atlanty. Jestem na lotnisku.

- A ja w samochodzie. Zaraz po panią przyjadę.

- Świetnie. Będę czekała przed terminalem Deltą. Mam na imię Cassandra. Cassandra Nuñez.

- Bardzo mi miło, Cassandro. Jeżdżę starym, czarnym saabem. Jak panią rozpoznam?

- Jestem w... Podobno jestem podobna do Teresy. Może niech pan szuka kogoś, kto mógłby uchodzić za młodszą siostrę Mii?

Odpowiedź była dziwna, przyprawiająca o dreszcz.

- Dobrze. Do zobaczenia mniej więcej za kwadrans.

Dojazd zajął mu jednak prawie pół godziny, chociaż najwięcej czasu stracił w gigantycznym korku, który ciągnął się od wjazdu do terminalu Delty, najnowszej hali na lotnisku krajowym. Ominął blokujący ruch autobus dla gości jakiegoś hotelu, ale jechał na tyle wolno, by nieustannie zerkać na zatłoczony chodnik w poszukiwaniu Cassandry. Okazało się, że wcale nie musi oceniać, czy stojąca przy krawężniku młoda, atrakcyjna brunetka jest znacząco podobna do Mii, gdyż pomachała do niego ręką i zdradziła się, zanim zdążył zobaczyć jej twarz. Zatrzymał samochód, lecz nie wyłączył silnika. Już miał wysiąść, żeby ją powitać, gdy otworzyła drzwiczki i szybko wsiadła.

- Cassandra? - spytał Jack.

- Wszyscy mówią mi Cassie. - Uścisnęli sobie ręce i przenosząc jej torbę na tylne siedzenie, Jack zaproponował, żeby przeszli na „ty”. Włączył się do ruchu i ruszyli w stronę wyjazdu z lotniska.

- Mam kancelarię w Coral Gables, to tylko kilka minut jazdy stąd.

- Moglibyśmy porozmawiać gdzieś indziej?

- Nie podoba ci się moja kancelaria? Dlaczego?

- Nie, nie, ale wczoraj wieczorem przez dwie godziny rozmawiałam z FBI. Przesłuchiwali mnie, kobieta nazwiskiem Henning i mężczyzna, niejaki Carmichael.

- Tak, znam Andie Henning.

- Jeśli jesteś dla nich tak ważny, jak mówią, możliwe, że obserwują twoją kancelarię. Wolałabym, żeby nikt nie wiedział, że u ciebie byłam.

- „Nikt”, czyli porywacz Mii?

- Nie. FBI.

Jack był tak zaskoczony, że aż na nią spojrzał.

- Coś przed nimi ukrywasz?

- Powiedzmy, że nie do końca im ufam. Interesujące, pomyślał Jack. Cassie zaczynała mówić nie jak siostra Mii, tylko jak większość jego klientów, tych naprawdę winnych.

- Znam miłą knajpkę przy Le Jeune. Jesteś głodna?

- A jak myślisz? Leciałam turystyczną.

- Dobra. Porozmawiamy tam.

## 36

- Gerard Montalvo - powiedziała. - „Tomasz” Gwałciciel. Tak go nazywano.

Jack z uwagą słuchał, a ona opowiadała, pogryzając grzankę, bajgła z topionym masłem. W jadalni przy Le Jeune nie bywał regularnie, lecz pamiętał ją z czasów, kiedy jeszcze jako prokurator rozmawiał tu z bagażowym z lotniska, który pomógł mu rozpracować szajkę przemytników walut. Była to mała knajpka z kilkoma stolikami pośrodku i boksami pod ścianą. Długa laminowana lada z grubą na czterdzieści lat warstwą tłuszczu z miliona kawałków bekonu oddzielała gości od kuchni. Pod sufitem, niczym dwóch pływaków synchronicznych, którzy wypadli z rytmu, hałaśliwie chrobotwały dwa koślawe wentylatory. Jack i Cassie siedzieli naprzeciwko siebie w boksie, który mógłby pomieścić ośmiu dokerów, przez co Cassie robiła wrażenie jeszcze drobniejszej. Opowiedziała mu o wizycie Andie Henning i jej teorii, że Teresa zmieniła się w Mię. Opowiedziała mu również o wieczorze w Vertigo II, kiedy Teresa dostała bilet wizytowy z zaproszeniem od właściciela klubu. Jack uważnie słuchał i przez cały czas szukał w niej podobieństw do domniemanej siostry. Idealna oliwkowa cera, duże, ciemne oczy - obydwie były niezaprzeczalnie pięknymi Latynoskami.

Przerwał jej dopiero wtedy, kiedy wymieniła nazwisko gwałciciela siostry.

- „Tomasz”, ten przydomek, przestawione „Masz to” z „Masz w sobie to coś”. Nazywano go tak dlatego, że używał tego tekstu do podrywania kobiet już przedtem? Czy zaczęto go tak nazywać, odkąd dał zaproszenie twojej siostrze?

- Nie wiem, nie jestem pewna.

- Dobrze. Opowiedz mi jeszcze o tym wieczorze.

- Jak już mówiłam, siedziałyśmy w barze. Nie poszłam z nią na tę prywatną imprezę. I nie, nie martwiłam się o nią. Była moją starszą siostrą i zawsze uważałam, że potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji. Gdyby dobrze się bawiła, tylko bym jej przeszkadzała. Dlatego zostałam. Słuchałam muzyki, z kimś tam rozmawiałam. W końcu, gdzieś koło trzeciej nad ranem, zadzwoniła do mnie na komórkę.

- Co powiedziała?

- Że jest już w taksówce i wraca do domu. Że szukała mnie w klubie, ale nie mogła mnie znaleźć. Ale jeśli to była prawda, to chyba nie szukała za dobrze.

- Nie powiedziała, że ją zgwałcono?

- Nie. Ale po głosie poznałam, że jest wstrząśnięta. I to mnie zaniepokoiło. Bo to nienormalne, żeby Teresa się czegoś bała. To znaczy, było nienormalne. Wtedy.

Cassie odwróciła wzrok. Niepewność i zagubienie: mówić o siostrze w czasie teraźniejszym czy przeszłym? Musiało jej być bardzo ciężko.

- Rozmawiałaś z nią rano?

- Przez dwa dni do nikogo się nie odzywała. W poniedziałek nie poszła do pracy. Coraz bardziej się niepokoiłam. A potem, w środę, trzy dni później, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że była na policji.

- To wtedy powiedziała ci, że ją zgwałcono?

Cassie spuściła oczy i zacisnęła usta.

- Tak. To było straszne. Czułam się koszmarnie, bo to ja namówiłam ją, żeby tam poszła.

- Na pewno nie miała ci tego za złe.

- Nie jestem pewna - odparła cicho Cassie.

- Co było dalej?

- No właśnie. Od tej chwili moje informacje nie są już takie dokładne. Niczego nie ukrywam, ale kiedy policja wszczęła śledztwo, musiałam się po prostu przyczaić. Skończyła mi się wiza i przebywałam tu nielegalnie. A Teresa kazała mi przyrzec, że nie będę się w to mieszała jako świadek. Bała się, że mnie deportują.

- Teraz przebywasz tu legalnie?

- Tak. Wyszłam za Amerykanina.

- Siostra wniosła oskarżenie?

- Tak, oczywiście. Była nawet rozprawa wstępna. Sędzia uznał, że Montalvo jest winny.

- Nie, na rozprawie wstępnej nie ustala się niczyjej winy czy niewinności. To zwykle przesłuchanie, podczas którego sędzia decyduje, czy istnieje prawdopodobieństwo, że popełniono przestępstwo. W sprawie o gwałt wystarczy wynik obdukcji, zaświadczenie, że doszło do penetracji i zeznanie ofiary, że było to zbliżenie wymuszone. Sam proces jest o wiele bardziej burzliwy.

- Tak, ale to nie ma znaczenia. Bo zanim się rozpoczął, Teresa zniknęła.

- Jak to zniknęła?

- Po prostu, dzień po przesłuchaniu wstępnym. Montalvo też zniknął. Szukała ich policja. Niczego nie znaleźli.

- Niczego, to znaczy dowodów, że Teresie stało się coś złego?

- Nie licząc tego, że zaginęła, jak ten gwałciciel?

- Tak, chodzi mi o jakiegokolwiek dowody fizyczne.

- O niczym takim nie wiem. Ona po prostu zniknęła.

- I pewnie dlatego FBI wysnuło teorię, że wciąż żyje. Że Mia Salazar to ona.

- Pytali mnie, czy mam coś, z czego mogliby pobrać próbkę jej DNA. Chyba chcą porównać ją z DNA Mii. Niestety, nie mogłam im pomóc. Ale robili wrażenie przekonanych i bez badań.

- Ich specjaliści na pewno nie próżnowali. Są dobrzy, ale to nie znaczy, że nigdy się nie mylą.

Kelnerka dołała Jackowi kawy i odeszła.

- Powiedziałam FBI, że Mia to nie moja siostra - ciągnęła Cassie. - Ale przespałam się z tym i teraz myślę, że może jednak przesadziłam.

- To znaczy?

- Nie sądzę, że ich teoria jest zupełnie zwariowana, tylko po prostu nie dopuszczam do siebie możliwości, że Teresa żyje. Chyba że przedstawią mi konkretny dowód. Kiedy zaginęła, przeżyłam koszmar. Nie chcę żyć złudną nadzieją.

- To zrozumiałe - odparł Jack. - Patrzę na to w podobny sposób, jak adwokat diabła, który woli nie wyciągać pochopnych wniosków.

Trzęsącą się ręką Cassie sięgnęła do torebki.

- Mam tu te zdjęcia. - Wyjęła je i położyła na stole. Stare zdjęcie Teresy. I zdjęcie Mii, które dostała od Andie Henning.

Jack pochylił się, podparł łokciami i przyjrzał się im uważnie. Teresa miała dłuższe, bardziej kręcone włosy, ale ich kolor, ciemny brąz, był identyczny. Miała również grubsze brwi i - mówiąc z brutalną szczerością - wydatniejszy nos, bardziej podobny do nosa Cassandry niż Mii. Usta Mii były pełniejsze, a jej kości policzkowe bardziej sterczące.

- Ile Teresa miała lat, kiedy zaginęła?

- Dwadzieścia sześć.

- Czyli teraz miałyby trzydzieści dwa. Mia skończyła trzydzieści.

- Ta Henning też o tym wspomniała. Uważa, że jeśli ktoś postanowił już zacząć nowe życie i przyjąć nową tożsamość, to czy nie odjąłby sobie kilku lat?

Trudno było temu zaprzeczyć.

- Bardziej niepokoją mnie jej rysy twarzy. Widać wyraźne podobieństwa. Ale zanim powiedziałbym, tak, to na pewno twoja siostra, chciałbym wyjaśnić, skąd wzięły się te oczywiste różnice.

- Henning mówi, że Teresa mogła zrobić sobie operację plastyczną.

- Możliwe. A propos. Czy siostra miała bliznę na wewnętrznej stronie lewego uda?

- Nic o tym nie wiem. FBI pytało mnie o to samo.

- Tak, wiedzą o tym ode mnie. Widziałem tę bliznę na własne oczy.

Cassie dojadła grzankę i odsunęła talerzyk.

- Teresa mogła zostać ranna już po tym, jak zmieniła tożsamość.

- Albo podczas gwałtu - odparł Jack. - Doznała wtedy jakichś obrażeń?

- O ranie na nodze nic nie wiem. Ale ponieważ do procesu ostatecznie nie doszło, nie wszystkie szczegóły na temat gwałtu trafiły do prasy. Nie pokazano mi nawet protokołu z obdukcji.

Jack popatrzył na zdjęcia i pokręcił głową.

- To się nie trzyma kupy. Jeśli to jedna i ta sama osoba, to znaczy, że Teresa nie bała się operacji plastycznej. A żeby tak zmienić twarz, operacja musiała być poważna.

- Co z tego wynika?

- To, że jeśli nie bała się operacji, to dlaczego zostawiła tę brzydka bliznę na udzie? Chirurg, który potrafił przeprowadzić tak skomplikowaną operację twarzy, usunąłby ją bez najmniejszego trudu.

Cassie zmarszczyła brwi.

- Masz rację. To nie ma sensu.

- Nie chcę cię zniechęcać, ale jak sama powiedziałaś, podsycanie złudnych nadziei też nie jest dobre. Możemy mieć do czynienia z seryjnym gwałtciem, którego pociąga określony typ kobiet. Atrakcyjne Latynoski o urodzie Mii i Teresy. Kobiety podobnego wzrostu i budowy. Co wcale nie znaczy, że Teresa jest Mią.

- Tak czy inaczej, oznaczałoby to, że Gerard Montalvo wrócił. Chcę, żeby go schwytano. Nie ma na świecie nikogo, kto pragnąłby tego bardziej niż ja.

- I ja.

- Właśnie. Pod warunkiem, że Mia to Teresa, tak?

- Nie, to znacznie prostsze. Wiem, co ten człowiek zrobił Ashley Thornton. Widziałem film, na którym Mia wyje z bólu. Bez względu na to, czy Mia to Teresa, ktoś musi powstrzymać tego potwora.

- Słusznie. Nie chciałam pomniejszać twoich uczuć. Ta agentka powiedziała, że ją kochasz.

- Co jeszcze mówiła?

- Że Mia wyszła za bogatego przedsiębiorcę. To też nie pasuje mi do ich teorii. Teresa nie należała do tych, które wychodzą za mąż dla pieniędzy.

- Porównywanie ich osobowości nic nie da, nie w tej sytuacji. Gwałt zmienia kobietę nie

do poznania. Z psychologicznego punktu widzenia to może być zupełnie inna osoba.

- Pewnie masz rację. Tak czy owak, dawnej Teresy już nie ma.

Jack chciał ją jakoś pocieszyć, lecz nie potrafił. Zdołał tylko podtrzymać rozmowę.

- Twierdzenie, że Mia wyszła za męża dla pieniędzy, nie jest do końca sprawiedliwe. Jej przyjaciółka powiedziała mi, że zrobiła to dla ochrony, co pasowałoby do teorii FBI.

- Fakt. Teresa była przerażona, to oczywiste. Dlatego poszła na policję dopiero po trzech dniach. Gdy rozmawiałam z nią ostatni raz, było widać, że boi się zemsty tego Montalva. Kiedy wyszedł za kaucją z aresztu, wpadła w panikę. Prosiła policję o ochronę.

- No i?

- No i nic. Prośby pozostały bez echa. Dlatego mogło zdarzyć się jedno z dwojga. Albo tamten ją zabił, albo uciekła i rozpoczęła nowe życie.

- Wychodząc za Salazara i prosząc go o ochronę, której nie chciała zapewnić jej policja.

- Właśnie dlatego nie ufam FBI. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek powiedzieli mi całą prawdę. Zabronili mi nawet rozmawiać z tobą.

- To mnie nie dziwi. Boją się, że jeśli zacznę tropić Montalva na własną rękę, mogę zepsuć im śledztwo.

- Nie wierzę, żeby policja go znalazła. Już raz mu odpuścili. A już na pewno odpuścili mu ten gwałt. Może nawet morderstwo.

Jack podniósł kubek do ust.

- Masz jakieś propozycje?

Cassie schowała zdjęcia do torebki.

- Powinniśmy sobie pomagać. Ta agentka mówi, że to ty będziesz rozmawiał z porywaczem. Że musisz zapłacić okup. To prawda?

- Tak.

- W takim razie na pewno chcesz wiedzieć jak najwięcej o kobiecie, którą próbujesz uratować.

- Można tak powiedzieć.

- A więc nie ma się nad czym zastanawiać. Jeśli Mia jest moją siostrą, nie znajdziesz nikogo, kto mógłby pomóc ci bardziej niż ja. Moje propozycja jest taka. Jeżeli będziesz ze mną szczerą, jeżeli będziesz mówił mi o wszystkim, co robisz i co się dzieje, ja będę szczerą z tobą. Będziesz wiedział, co powiedziałam FBI. I czego im nie powiedziałam. Współpracując ze sobą, nie będziemy musieli się niczego dopraszać.

- Brzmi całkiem nieźle, sęk w tym, że ci z FBI wyprzedzają nas co najmniej o dwie długości. Wiedzą coś, na co my musimy dopiero wpaść.

- Ale co?

- Pomyśl: wątpię, żeby Andie Henning skupiła się na gwałcie twojej siostry tylko ze względu na jej podobieństwo do Mii. Zważywszy na to, że Ashley Thornton, pierwsza ofiara gwałciciela, zupełnie jej nie przypominała, prawdopodobnie nie było to nawet ich głównym kryterium. Podejrzewam, że Montalvo pojawił się na ich radarze, ponieważ po pierwsze, był karany za przestępstwo na tle seksualnym. Po drugie, jest pletwonurkiem. Wreszcie po trzecie i najważniejsze: sposób działania „Tomasza” Gwałciciela jest podobny do sposobu działania Wyceniacza.

Cassie długo szukała odpowiedzi, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie słyszałam o niczym, co sugerowałyby, że „Tomasz” Gwałciciel domagał się od kogoś okupu albo zmuszał rodzinę ofiary, żeby wyceniła jej życie.

- Nie twierdzą, że ci dwaj idealnie do siebie pasują. Myślę tylko, że mają ze sobą coś wspólnego.

Cassie znowu wzruszyła ramionami.

- Trudno mi powiedzieć, bo nie byłam na rozprawie wstępnej. Jak już mówiłam, przebywałam tu wtedy nielegalnie i Teresa nie chciała, żebym chodziła do sądu.

- Nie szkodzi. Będziesz mogła pomóc mi bardziej, niż myślisz. Jestem pewien, że się dogadamy.

- Dobrze. Wiesz, od czego zaczniemy? Masz jakiś pomysł?

Jack odchylił się do tyłu.

- Tak. Teraz, kiedy znam już nazwisko głównego podejrzanego FBI, sprawa jest oczywista.



Dni zaczynały się z sobą zlewać.

Rozpaczliwie próbowała zachować poczucie czasu. Było to bardzo trudne, zwłaszcza odkąd porywacz przeniósł ją do nowego pomieszczenia. Już nie musiała nosić opaski przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i na krótko zapalał światło. Chyba najbardziej dezorientujący był tu zupełny brak odgłosów zewnętrznych; pewnie dlatego przeniósł ją do tego pokoju. Nawet kiedy przykładała ucho do podłogi czy ściany, nie słyszała niczego, co pozwoliłoby jej odróżnić noc od dnia. Ani odgłosów ruchu ulicznego, ani dziennika telewizyjnego u sąsiadów, ani nawet szumu płynącej rurami wody - jakby mieszkała w dźwiękoszczelnym kokonie. Tam, gdzie więził ją poprzednio, coś przynajmniej słyszała, nawet jeśli było to tylko głucho, pulsujące dudnienie. Nie wiedziała, co to za odgłos, ale podejrzewała, że dochodził z jakiejś budowy, drogi albo domu, dzięki czemu mogła chociaż wyobrazić sobie, że gdzieś tam jest dzień i cywilizacja. Bez tych odgłosów, najlepszym miernikiem upływającego czasu była liczba posiłków, które przynosił jej porywacz, i to, ile razy pozwalał jej się załatwić. Ale miernik działał tylko przez kilka dni, bo tamten ją przejrzał. Posiłki zaczęły pojawiać się nieregularnie, czasem dopiero wtedy, gdy umierała z głodu, czasem gdy wcale nie była głodna. Bywało, że bardzo długo musiała wytrzymać bez kubła na odchody, bywało, że przynosił go za często. Jeśli chciał tym sposobem pokrzyżować jej próby mierzenia czasu, całkowicie mu się udało. Nie miała teraz nic, co mogłoby jej podpowiedzieć, ile dni minęło od uprowadzenia.

To nie jest jego pierwsze porwanie - dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.

Obejrzała zraniony palec u nogi. Strup zaczynał się tworzyć, co znaczyło, że od chwili, kiedy przeniósł ją do nowego pokoju - od chwili, gdy zmiażdżył szcypcami palec i nagrał kamerą jej przeraźliwy krzyk - minęło ledwie kilka krótkich dni. Czuła się tak, jakby minęły tygodnie.

Czy może to trwać miesiącami? A nawet latami? Zastanawiała się, czy kiedykolwiek dojdzie do tego, że będzie odmierzała czas godzinami czy dniami dzielącymi jego sadystyczne napady, że jedynym miernikiem czasu, jaki między nimi upłynął, będzie intensywność zasinienia. Ilekroć o tym myślała, robiło jej się niedobrze, dlatego próbowała zająć umysł czymś innym. W sumie można by powiedzieć, że jak dotąd miała szczęście. Bo

choć samo w sobie było to potworne, oprócz zmiądnionego palca u nogi nie doznała żadnych urazów fizycznych. Nie licząc koszmarnego epizodu ze szczypcami, porywacz zadowolony się filmowaniem jej podczas ablucji i defekacji, co miało ją niewątpliwie złamać i poniżyć. Bała się jednak, że podglądanie i te wszystkie psychologiczne zagrywki szybko go znudzą, że to tylko kwestia czasu. Że zechce czegoś więcej.

Oby pieniędzy, myślała. Boże, spraw, żeby chciał pieniędzy.

Tylko kto miałby je wyłożyć?

Obróciła się klamka i Mia drgnęła. Porywacz uchylił drzwi i znowu usłyszała jego głos:

- Na kolana i twarzą do ściany.

Uklękła tyłem do drzwi i wbiła wzrok w kąt. To był rutynowy rozkaz, który kończył „godzinę wolności”, kiedy to zapalał światło i pozwalał jej zdjąć opaskę. Ich spotkania przebiegały prawie zawsze według tego samego schematu. Porywacz wchodził do ciemnego pokoju z latarką. Ponieważ na głowie miał nylonową pończochę i świecił jej prosto w oczy, nigdy nie widziała jego twarzy. Przynosił butelkę wody i kanapkę, raz z indykiem, innym razem z wołowiną. Rozwiązywał sznury na nogach i rękach, kazał uklęknąć twarzą do ściany i zdejmował jej opaskę. Wychodząc, zapalał światło. Pod sufitem były trzy oprawki, ale tylko jedna żarówka, czterdziesto-, najwyżej sześćdziesięciowatowa. Zostawszy sama, Mia mogła zjeść i pospacerować po mrocznym pokoju. Trzy kroki w szerz, cztery wzdłuż. Chodziła w kółko, biegała w miejscu, ćwiczyła jogę - robiła wszystko, żeby zająć czymś myśli i zmusić serce do szybszego bicia z powodu innego niż tylko strach. Była to przerwa rekreacyjna w wersji dla uprowadzonych.

Zawsze kończyła się za szybko.

- Chcesz do kibla? - spytał.

Chciała, ale nie aż tak bardzo, poza tym była pewna, że znowu włączy tę przeklętą kamerę.

- Nie - odparła. A potem czekała. Następnym krokiem w procedurze były sznury i opaska, ale tym razem nie usłyszała znajomych kroków.

- Zostawiam ci to - powiedział. - Nie odwracaj się, dopóki nie wyjdę.

Zamknęły się drzwi i chwilę trwało, zanim dotarło do niej to dziwne odstępstwo od schematu. Bała się powrotu ciemności i całkowitego braku bodźców czuciowych. Ale nic takiego się nie stało. Bo światło nie zgasło. Wciąż mogła się poruszać, wciąż widziała swoją zatęchłą norę. Powoli odwróciła się i zobaczyła czerwony kubek pod drzwiami. Pęcherz miała pełniejszy, niż tamten myślał. Nie był to jej kubek, ale chociaż raz miała odrobinę prywatności i uznała, że powinna to wykorzystać.

Rozpinając spodnie, przeszła przez pokój i nagle stanęła jak wryta. W kubie coś było.

Żarówka.

Wyglądała na zwykłą żarówkę, mimo to Mia nie potrafiła oderwać od niej wzroku. Wyobraźnia oszalała i w wyobraźni tej żarówka roztrzaskała się nagle o ścianę. Mia usłyszała znajome: puf! i zobaczyła setki odłamków spadających na podłogę niczym śmiercionośne płatki śniegu. Płatki ostre, ostre jak brzytwa, a ona... Ona zaraz przykucnie i wybierze ten największy, ten, który najlepiej się nada. Zupełnie odruchowo, pod wpływem impulsu. Ale nie, niczego takiego nie zrobiła. Żarówka leżała w kubie tuż przed nią. Kusila ją, wystarczyło tylko sięgnąć. Ale ręce ani drgnęły, jakby przykleiły się do boków.

Dlaczego akurat żarówka? Dlaczego ją tu zostawił? Do głowy przyszła jej tylko jedna odpowiedź. To nie przypadek. I nie paranoja. Nie widziała jego twarzy, ale żarówka - obraz roztrzaskanej żarówki - był olśnieniem, którego nigdy nie pragnęła.

Podejrzewała, że już się kiedyś spotkali i że żarówka ma jej o tym przypomnieć - przypomnieć, skąd ma bliźnię na wewnętrznej stronie uda.

Jack wracał właśnie do kancelarii, kiedy zadzwoniła do niego Andie Henning. Spytała, czy Mia nie trzymała u niego szczoteczki do zębów. Szczoteczki albo szminki. Trzymała, odparł.

- Ale wyrzuciłem to wszystko, kiedy dowiedziałem się, że ma męża. Urządziłem sobie takie małe terapeutyczne sprzątanie.

- Cholera - zakląła Andie.

Zmieniło się światło i Jack gwałtownie zahamował, chociaż wystawianie się na łaskę i niełaskę żartownisia jadącego z tyłu, kretyna gotowego śmignąć przez każde skrzyżowanie z wyjątkiem tych zablokowanych przez co najmniej sześć policyjnych radiowozów, buldożer i przez kilka powalonych drzew, było jednym z głównych powodów nagłych zgonów na Florydzie.

- Po co wam jej DNA? - Rznął głupa, ale uznał, że może o to spytać, chociaż Andie nie wspomniała, że chodzi o DNA.

- Nie mogę powiedzieć.

- Szok, prawdziwy szok. Chwileczkę, muszę włączyć defibrylator. Uwaga!

- Bardzo śmieszne. Moglibyśmy spotkać się u pana w domu? Zabrałabym specja od mikrośladów. Jeśli jest pan typowym singlem, pewnie nie prał pan pościeli od wojny w Zatoce. Może znajdziemy jakiś włos na poszewce albo coś.

W innych okolicznościach Jack zgodziłby się dopiero po uzyskaniu zadowalającej odpowiedzi, ale podobnie jak FBI, on też chciał się dowiedzieć, czy Mia to Teresa. Umówili się na jedenastą.

Wrócił trochę wcześniej i przez kilka minut snuł się po domu, szukając jej śladów - ale nie wyblakłych zdjęć czy przerwanych na pół biletów, o których w latach sześćdziesiątych śpiewał ktoś, kogo nazwiska już nie pamiętał, tylko śladów, które mogłoby wykorzystać FBI. Zaczął od łazienki i, Chryste, jaki panował tam bałagan! Kiedy się jeszcze spotykali, na prośbę Mii czasem tam sprzątał, ale potem łazienka znowu zmieniała się w napawający grozą loch, z którego dumny byłby nawet Theo. Jack miał nadzieję, że spec od mikrośladów pracował już na miejscu co najmniej kilku masowych morderstw i klęsk żywiołowych, bo ktoś z mniejszym doświadczeniem nie miałby odwagi tu wejść.

Wszedł do kuchni i wziął puszkę wody sodowej z lodówki. Był sam i nareszcie miał trochę czasu, żeby przemyśleć rozmowę z Cassandrą. Coraz bardziej nurtowało go to, że jej siostra Teresa mogła zmienić się w Mię. Jeszcze przed tygodniem powiedziałby każdemu, że Mia zasługiwała na Oscara za skuteczność, z jaką go oszukiwała. Ale ten numer byłby niczym w porównaniu z przyjęciem nowej tożsamości i rozpoczęciem nowego życia. Z drugiej strony może łatwiej jest stać się zupełnie kimś innym i zapomnieć o swoim poprzednim „ja”. Koniec z przeskakiwaniem z roli do roli, koniec z podwójnym gronem przyjaciół, koniec ze stresem i koniecznością bycia w dwóch miejscach naraz. Bo czy nie jest tak, że każdy miał kiedyś ochotę rzucić to wszystko w cholerę, zapomnieć o przeszłości i zacząć od nowa z czystym kontem? Na swój sposób to frajda. Oczywiście dużo zależy od tego, od czego się ucieka i czy rzeczywiście da się to zostawić za sobą.

Zabrzęczała komórka i pomyślał, że to Andie chce go uprzedzić, że się spóźni. I oczywiście nie powie mu dlaczego.

Otworzył kłapkę i spojrzał na ekranik, ale nie, to nie była Andie. Dzwonił anonim, „numer zastrzeżony”. Serce zabiło mu szybciej i podejrzenia potwierdziły się, gdy tylko powiedział: „Halo”.

- Masz moje pieniądze? - Głos był głębszy niż poprzednio, powolniejszy i mniej mechaniczny. Porywacz musiał kupić sobie nową zabawkę w pobliskim sklepiku dla domorosłych szpiegów.

- A uwolnisz ją, kiedy je dostaniesz?

- Wszystko możliwe.

Jack zaczął krążyć po kuchni, powoli obchodząc wysepkę z okrągłym blatem.

- Już ci mówiłem: nie lubię niepewności. Wolę konkrety.

Tamten pogardliwie prychnął.

- Przykro mi, stary. W tym porwaniu nie ma gwarancji zwrotu pieniędzy.

- Nie o to chodzi. Po prostu chcę wyeliminować niepotrzebne domysły.

- To zapłać tyle, ile jest dla ciebie warta, i masz kłopot z głowy.

Jack przystanął przy zlewie i otworzył okno. Jeszcze chwilę przedtem w kuchni panował miły chłód, a teraz nie miał czym oddychać.

- Coś dla ciebie zrobię, chcesz? Kiedy się rozwodziłem, kazali mi złożyć w sądzie oświadczenie majątkowe. To było parę lat temu i niektóre rzeczy się zdezaktualizowały. Na przykład samochód: w zeszłym roku mi go spalili, więc wóz odpada. Ale z drugiej strony teraz lepiej mi idzie w kancelarii. Tak czy inaczej, wszystko spisałem i podsumowałem. Mam to czarno na białym. Niczego nie zataiłem.

- Co ty mi tu pieprzysz?

- Posłuchaj. Żeby udowodnić ci, że działałam w dobrej wierze, zamieszczę to oświadczenie na mojej stronie internetowej: [www.jackswyteck.com](http://www.jackswyteck.com). Zajrzyj tam, wszystko sprawdź i wtedy pogadamy. Będziesz mógł spytać mnie, o co zechcesz.

- Świetnie, ale spytam już teraz: co ty kombinujesz? Chcesz zabić swoją przyjaciółkę?

- Nie, chcę dogadać się z tobą w sprawie pieniędzy. Żebyśmy mogli jakoś to przeżyć, ty i ja. - Gra słów była zupełnie niezamierzona.

- Zrobimy to po mojemu, nie po twojemu. Powiedziałem ci wczoraj, że kupiłeś jej dobę życia. Doba się kończy.

- Nie próbuję grać na czas.

- Żadnych opóźnień. Kropka. Czaisz?

Jack nie mógł przestać myśleć o Ashley Thornton i milionowym okupie jej męża. Musiał skłonić tego bydlaka do zawarcia konkretnej umowy, musiał przejąć inicjatywę. Musiał coś zrobić, by tamten wiedział, że nie ma do czynienia z głupcem, że Jack nie zamierza dać się podejść tak jak Drew Thornton. Może wtedy zdobędzie wpływ na przebieg negocjacji.

- Chcę cię o coś spytać.

- Dość tych pytań.

- Czy...

- Odkładam słuchawkę.

- Czy twoim zdaniem...

- Nie przeginaj, dupku.

- Czy twoim zdaniem Mia ma w sobie to coś?

Zapadła cisza. Jack stał, opierając się o blat. Trzęsły mu się ręce, ale był pewien, że porywacz wciąż tam jest.

- Bardzo dobre pytanie, Jack. Mogę mówić ci po imieniu? - Głos miał cichy i spokojny, bez śladu zdenerwowania.

- Jasne. I jeszcze jedno...

- No?

- Myślisz, że powinienem wspomnieć FBI o tych wszystkich pytaniach, które nie dają mi spokoju? A może lepiej zachowajmy je dla siebie? - Oczywiście blefował, bo FBI musiało wiedzieć co najmniej tyle, ile on. Ale tylko on był w bezpośrednim kontakcie z porywaczem, dlatego tylko on mógł zablefować.

- Nie ma to jak tajemnice między przyjaciółmi, prawda, Jack?

- Absolutnie.

- Zajrzę na twoją stronę.

- Świetnie, ale...

- Tak?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Znowu zapadła cisza, a potem rozległ się zduszony chichot.

- Tak, dalej ma w sobie to coś. Nawet teraz, po operacji plastycznej.

Porywacz rozłączył się i Jack został w kuchni sam.

## 39

Andie i spec od mikrośladów przyjechali kilka minut później. Logicznym miejscem, od którego ten ostatni mógłby rozpocząć poszukiwania, była szafa, gdzie Mia trzymała ubrania, ilekroć spędzała u Jacka noc. Jack wskazał mu drogę do sypialni. Gdy tylko specjalista zniknął na końcu korytarza, Andie rzuciła:

- Niech pan mówi.

Jack był wciąż blady i od razu poznała, że stało się coś ważnego. Tymczasem on czuł, że nie da rady rozmawiać na stojąco. Przeszli więc do saloniku i ona usiadła na sofie, a on w fotelu. Nie zdradził, że rozmawiał z Cassandrą, ale ponieważ nie zataił reszty, łatwo się domyśliła, że zawarł z Cassandrą jakiś sojusz.

- To mnie niepokoi - powiedziała.

- Dlaczego? Bo zabroniła jej pani ze mną rozmawiać, a ona nie posłuchała?

- Szczerze mówiąc, tak.

- A czego się pani spodziewała, skoro pani ulubioną odpowiedzią na wszystkie pytania jest: „Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć”?

- Mówię tak tylko wtedy, kiedy wymagają tego procedury.

- Niby dlaczego procedury miałyby zabraniać dzielenia się ze mną informacjami na temat Teresy i Gerarda Montalvo? Tylko proszę mi nie mówić, że nie może pani odpowiedzieć.

- Zabraniają, i to z wielu powodów. Choćby dlatego, że porywa się pan z motyką na słońce i podejmuje ważne decyzje strategiczne bez konsultacji ze mną. Przykład? Dzięki panu ten bandzior już wie, że ścigamy „Tomasza” Gwałciciela.

- Nic podobnego. Wie tylko tyle, że musi ze mną grać, bo jeśli przestanie, FBI może odkryć jego dawne powiązania z Mią. Nie sądzi pani, że daje nam to przewagę?

- Nie, do cholery! Pod wieczór wysyłamy list gończy za Montalvem.

- Nie możecie. Pomyśli, że złamałem umowę. Że wysłaliście list, bo powiedziałem wam, że jest „Tomaszem” Gwałcicielem.

Andie pomasowała nasadę nosa, jakby potężnie rozboleła ją głowa.

- Doprowadza mnie pan do szału.

- Przepraszam, ale to przez pani tajemnice wpakowaliśmy się w kłopoty. Jeśli mam już ryzykować życie, muszę wiedzieć to, co pani.



Andie zmarszczyła brwi, jakby korciło ją, żeby powiedzieć; „Nie, to wykluczone”.

- Dobrze, niech pan posłucha: nie musimy się lubić, musimy się tylko jakoś dogadać.

Zaczynała mówić jak jego była żona, ale Jack darował sobie tę uwagę.

- Co pani proponuje?

- Pójdę dziś do szefa. Może da panu zezwolenie na dostęp do tajnych informacji.

- Na początek dobre i to.

- Ale listu gończego nie wycofam. Wyślemy go wieczorem.

- To co ja powiem temu świrowi?

- Że to nie pan odkrył, że jest „Tomaszem” Gwałcicielem, tylko FBI. Że zrobił mu pan przysługę, dając nam cynk ponad dwadzieścia cztery godziny przed wysłaniem listu gończego.

- To go nie uspokoi.

- Ma pan lepszy pomysł?

Jack zwolnił tempo, próbując mówić logicznie i spokojnie.

- Moim zdaniem to małe nieporozumienie wskazuje na jedno. Musimy ustalić wspólną strategię ogólną i konsekwentnie się jej trzymać.

- To popieram.

- Świetnie. Powiem pani, jak to widzę, a potem pani powie, czy się z tym zgadza, czy nie. Ilekroć rozmawiam z tym psycholem, facet zawsze powtarza: żadnych glin. Dlatego krokiem numer jeden jest dla mnie mówić i działać tak, jakbym mówił i działał sam, bez FBI i policji.

- Nie, odpada, nic na własną rękę.

- To oczywiste, mówię tylko, że trzeba stworzyć takie wrażenie. Co znaczy, że to ja z nim negocjuję i dostarczam okup. Wy trzymacie się blisko, ale poza zasięgiem wzroku. Zgoda?

- W samym zamyśle tak. Ale niech pan zastanowi się dobrze nad tym okupem. Thornton zapłacił milion i nie pomogło.

- Tak, ale z tym pierwszym, tym mechanikiem samochodowym z Georgii było inaczej. Ile dał?

- Dziewiętnaście tysięcy.

- I żona wróciła do domu cała i zdrowa. Nie jestem mężem Mii i w sumie krótko się znamy. Ale mam trochę więcej pieniędzy niż ten mechanik. Tak więc nasza magiczna liczba oscyluje między dziewiętnastoma tysiącami i milionem. Oby była bliższa dziewiętnastce.

- Ale jeśli wybierze pan złą, będzie koniec gry. I Mii. Sugeruję, żeby jak najdłużej przeciągał pan negocjacje i nie zgadzał się na żadną kwotę. Każda rozmowa musi być dobrze przemyślana i zaplanowana, żebyśmy mogli wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji.

Może się z czymś zdradzi, a wtedy albo namierzemy go i zmusimy do poddania, albo odbijemy zakładniczkę. Mogę pana trochę podszkolić, żeby pan wiedział, co mówić i jak zmusić do mówienia jego.

- Świetnie to brzmi, ale tylko w teorii. Sęk w tym, że chcemy kupić więcej czasu, niż on jest skłonny sprzedać. Moim zdaniem powinniśmy zrobić tak: płacę okup, ale żądam wymiany z ręki do ręki. W określonym miejscu i czasie ja daję mu pieniądze, on wypuszcza Mię. Wtedy będziecie mogli go zdjąć.

- Można spróbować, ale muszę pana ostrzec: wymiana z ręki do ręki to scenariusz niepewny i niebezpieczny.

- Alternatywą jest przeciąganie tego w nieskończoność i kolejne filmy z torturowaną Mią. Tego nie chcę.

- Nikt tego nie chce. Ale proszę to sobie przemyśleć. Wiem, co przynosi efekty, a co nie.

Jack pokręcił głową. Przypomnieli mu się nagle klienci, którzy przychodzili do kancelarii po poradę, po czym mówili mu, jak ma prowadzić ich sprawę.

- Dobrze, przemyślę - odparł - ale i tak musimy być przygotowani na okup. Nawet jeśli przyjmujemy pani plan, może się to sprowadzić do tego, ile skombinujemy pieniędzy.

- Chce pan płacić, proszę bardzo, nie mogę panu zabronić.

- Potrzeba mi czegoś więcej niż tylko waszego biernego przyzwolenia. Chcę wiedzieć, czy kiedy przyjdzie co do czego, FBI wyłoży kasę na stół, czy nie?

- Dobrze pan wie, że nie. Okup płaci rodzina, albo, jak w tym przypadku, przyjaciel.

- Nie, to co innego. Pomagam FBI schwytać seryjnego porywacza. Kogoś, kto zamordował swoją drugą ofiarę i torturował trzecią.

- Nie mogę złożyć zapotrzebowania na pieniądze na okup. Wyśmieją mnie.

- To niech pani nazwie to inaczej, choćby „tajną operacją”. Bo w sumie to jest tajna operacja, prawda?

- Gdyby okup miał być przynętą i gdyby miał go dostarczyć nasz agent, powiedziałabym, że tak, choć nie do końca. Ale to są rządowe pieniądze i nie mogę dać ich panu tylko po to, żeby zapłacił pan okup jakiemuś psychopacie. To nie to samo.

- A gdybym się zgodził wykorzystać te pieniądze tylko jako przynętę, tak jak pieniądze za dowód życia? Pani szefowie by to kupili?

- Nie w sytuacji, kiedy chce pan wymiany z ręki do ręki. Porywacz się zorientuje, że banknoty są znaczone i będę miała dwóch cywilów na sumieniu. Tego by mi jeszcze brakowało.

- Najważniejsze są teraz pieniądze. Może pani chociaż spróbować je zdobyć? Szczegóły

logistyczne omówimy potem, kiedy będziemy wiedzieli, jaką kwotę dysponujemy.

Andie westchnęła.

- Zobaczą, co się da zrobić.

- Jak pani myśli, ile uda się załatwić?

- Będę z panem szczerą. Mamy bardzo wyśrubowany budżet. Od jedenastego września każdy wolny cent idzie na Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

- Ile? - drążył Jack.

Andie była niemal zażenowana.

- Dwadzieścia tysięcy może by zatwierdzili...

- Dwadzieścia tysięcy? - prychnął szyderczo Jack. - Ten psychol zabił Ashley, bo milion było za mało.

- Jej mąż jest bardzo bogaty. Pan nie jest jej mężem i nie jest pan bogaty.

- Kazał nam się wypchać dziesięcioma tysiącami. Musimy wyłożyć na stół poważne pieniądze.

- Niczego nie obiecuję. Poproszę szefa, żeby dał panu dostęp do tajnych informacji, a potem złożę zapotrzebowanie na specjalny fundusz operacyjny. Ale musi pan dać mi coś w zamian.

- Nie ma sprawy. Co?

- Proszę obiecać, że odpuści pan sobie Gerarda Montalvo. To moje zadanie, nie pańskie.

Jack starannie dobrał słowa.

- Obiecuję, że nie będę wam przeszkadzał.

Andie nie napierała, chociaż nawet głupi by wiedział, że „nie przeszkadzać” to nie to samo co „zrezygnować”. Uśmiechnęła się sceptycznie i spytała:

- Pamięta pan pierwszą rozmowę z porywaczem? Ostrzegł pana, że jeśli złamie pan zasady, zapłaci za to ktoś, na kim najbardziej panu zależy.

- Tak, pamiętam. Zastanawiałem się wtedy, skąd facet wie, że w ogóle spotykam się z Mią, nie wspominając już o tym, że jest mi aż tak bliska. Pewnie od razu mu powiedziała.

- Nie jestem pewna, czy miał na myśli Mię. Myślę, że chodziło mu o pana.

- O mnie?

- Dla egocentrycznego socjopaty, kimś, na kim zależy panu najbardziej, jest właśnie pan. Innymi słowy, jeśli pan coś schrzani, będzie musiał pan za to zapłacić. I to nie pieniędzmi.

Jack nie wiedział, czy Andie ma rację, czy tylko próbuje go nastraszyć, żeby był ostrożniejszy. Tak czy inaczej, jej słowa zrobiły na nim wrażenie.

- Pracowałam przy wielu wprowadzeniach - ciągnęła - i jeszcze nigdy nie straciłam

kuriera. Niech pan nie będzie pierwszym.

- Ja dam sobie radę. Bardziej martwi mnie to, co ten sadysta zrobi Mii, kiedy wyślecie list gończy za Montalvem. Kiedy pomyśli, że nie dotrzymałem słowa.

- Mnie też to niepokoi.

- No, proszę. Wreszcie jesteśmy w czymś zgodni.

## 40

Tego wieczoru poszli z Theo do najnowszego i najpopularniejszego klubu nocnego w Miami. Poszli służbowo, nie żeby się zabawić. Mimo danej Andie obietnicy, rozpracowywali kolejny wątek w splocie wątków łączących Mię z Teresą. Ostatecznie Jack zgodził się nie przeszkadzać, a nie wpełznąć pod kamień i czekać.

Ponieważ nie przepadał za łażeniem po klubach, wyprawa wymagała małych przygotowań.

- South Beach to zeszłoroczny śnieg - oznajmił Theo. Co takiego? Mówisz o tym South Beach? Tym z Ocean Drive? Art deco, tłum lasek w ciuchach od Gucciego, tabuny słodkich idiotek o jędrnych ciałach z kieszeniami pełnymi ekstazy i całkowitym dochodem brutto, zamienionym na tonę czternastokaratowego złota na szyi - o tym mówisz? Na pewno? Nic ci się nie pomyliło?

- Coś ty - odparł Jack.

- Serio. Nic się już tam nie dzieje.

W Miami Beach brzmiało to jak herezja, ale dla uszu sklepikarzy i handlowców z Miami Design District była to prawdziwa muzyka. Położona w samym sercu Małego Haiti - nalepek samochodowych z napisem: ZATRĄB, JEŚLI KOCHASZ HAITI było tu więcej niż w Port-au-Prince - dzielnica Design powstała w latach dziewięćdziesiątych jako zbiorowisko meblowych salonów wystawowych i butików, w których swoje dzieła wystawiali awangardowi projektanci i architekci. Oczywiście niektórzy urbaniści śmiali się szyderczo na myśl, że w drodze na lekcję tenisa jakaś supermama mogłaby podrzucić dzieci do prywatnej szkoły, odebrać przyjaciółkę z centrum odnowy biologicznej i przyjechać z nią tu na zakupy. Ostatecznie Małego Haiti nie nazwano Małym Haiti dlatego, że pełno tu ludzi zamożnych i białych. Ale wtedy przyszli projektanci, w tym sporo znanych. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać galerie sztuki, sklepy z antykami i modne restauracyjki. Wkrótce wieść się rozeszła - „No mówię ci: znalazłam tam skórzaną sofę od Roche Boboisa za jedyne dziewiętnaście tysięcy!” - i Design District stała się miejscem, gdzie koniecznie należy bywać.

I wtedy pojawiły się aksamitne sznury. Dokładniej mówiąc tylko jeden, ale Miami jest miastem, gdzie nawet zwykły sznur może zapoczątkować modę.

L'fant był ponoć lepszy, popularniejszy i bardziej odłotowy niż jakikolwiek inny klub w South Beach. Tak jak wszystko inne w tej dzielnicy, powstał w starym magazynie, ale było to jedyne miejsce w okolicy, gdzie o pierwszej w nocy wciąż trwała zabawa. Przed głównym wejściem stało dwóch bramkarzy, każdy z ręką na aksamitnym sznurze. Jeden miał na imię Lionel, drugi Richie - poważnie! - dlatego każdego dowcipnisia, który wymówił ich imiona jednym ciągiem, nucąc przy tym Three Times a Lady, natychmiast uznawano za zbyt starego i skutecznie odprawiano. Lionel był Francuzem. Miał sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i mówił po angielsku na tyle dobrze, żeby dać odpór frajerom i przypodobać się paniom. Richie - sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu - wyleciał kiedyś z ogólniaka i trafił za kratki.

Gdzie zaprzyjaźnił się z Theo.

- Sie ma, ziom.

Jack stał i patrzył, jak oni na jedenaście sposobów uścisnęli sobie ręce, kończąc powitanie uśmiechem i krótką wymianą ciosów w bicepsy - standardowy rytuał więzienny.

- To jest mój kumpel Jack - powiedział Theo.

- Kumpel? - mruknął Richie. - Myślałem, że księgowy.

Jack z kolei myślał, że Richie powie: „adwokat” i nie wiedzieć czemu jeszcze bardziej go to uraziło.

- Nie - odparł ze śmiechem Theo. - On jest spoko. Ale dzisiaj jesteśmy tu w interesach.

- W interesach?

- Musimy pogadać z szefem. Załatwisz nam widzenie?

- Szef jest na górze, w swoim prywatnym klubie. Nie wprowadzę tam tego sztywniaka, nie da rady. Ale mam u ciebie stary dług i jeśli zażadasz spłaty, Tony zejdzie na dół i pogadacie w barze.

Theo spoważniał.

- Chyba zażadam, Richie.

- Nie ma sprawy, bracie.

Theo podziękował mu przyjacielskim klepinięciem w ramię. Czerwony sznur powędrował na bok, Richie przepuścił ich i weszli do środka ku zazdrości długiej na pół ulicy kolejki, w której czekała śmietanka towarzyska miasta.

A w środku zabawa szła pełną parą, bo wszystkie stoliki były zajęte, parkiet zapchany, a przy barze kłębił się głęboki na trzy rzędy tłum spragnionych. Wszędzie widać było designerskie stroje, wszędzie błyszczała krzykliwa biżuteria, wszędzie kręcili się ludzie chcący pochwalić się kasą, półnagim ciałem, rozdętymi kolagenem ustami, rozepchanymi

botoksem łukami brwiowymi i - w wielu przypadkach - całkowitym brakiem gustu. Był to swoisty paradoks mody, bo pragnąc się wyróżniać, wszyscy wyglądali tak samo. W oczy rzucał się szczególnie jeden trend: niektóre kobiety najwyraźniej uważały, że modnie jest zerwać naszywkę z dzinsów - naszywkę wraz z połową tylnej części spodni, tak żeby przeciskając się przez tłum, można było ocierać się nagą skórą o mężczyzn. Idąc w stronę baru, Jack nauczył się mówić: „Śliczny tyłeczek” w pięciu językach.

Theo znalazł dwa wolne stołki tuż przy olbrzymiej kolonii mrówek w szklanej gablocie. Były to mrówki tnące liście. Ten południowoamerykański owad był symbolem klubu (L'fant to skrót od jego nazwy i chyba nie przypadkiem ów szczególny gatunek nazywano również „mrówką wielkoodwłokową”). Na oczach Jacka barman sięgnął do gabloty, wyjął żywego owada i wrzucił go do kieliszka martini.

- Dodaje orzechowego posmaku - wyjaśnił Theo. - Podobno działa jak afrodyzjak.

Jack zerknął w lewo. Tuż obok całowała się jakaś para, podczas gdy kumpel przyszanego do dziewczyny chłopaka macał ją przez wielką dziurę na pupie. Mrówki? Po cholere im mrówki?

Z każdą minutą goście byli coraz bardziej pijani i coraz głośniejsi i Jack zaczął mieć poważne wątpliwości, czy jest to rzeczywiście najlepszy sposób na wytropienie Gerarda Montalvo. Z głośników ryknęła jego ulubiona piosenka Matchbox Twenty w wersji disco. Theo próbował podśpiewywać, ale ponieważ nie znał słów, zamiast: „Nie zwariowałem, po prostu jestem trochę niezdrowy”, wyszło mu: „Nie zwariowałem, po prostu nie mam krowy”.

W końcu, zgodnie z obietnicą Richiego, zszedł do nich właściciel klubu Tony Fontino z ochroniarzem roślejszym niż Theo. Kiedy się sobie przedstawili, Fontino powiedział:

- Richie mówi, że macie do mnie jakiś interes. Chodźcie do mojego stolika.

Za gablotą z mrówkami, tuż obok sceny, stał mały, okrągły stolik, a na nim tabliczka z napisem „Rezerwacja”. Jack pomyślał, że to trochę ironiczne, bo Fontino zdecydowanie nie wyglądał na kogoś z „rezerwą”. Był w błyszczącym jedwabnym garniturze, a brylantowego sygnetu i brylantowych kolczyków w uszach pozazdrościłaby mu nawet Paris Hilton. Jack i Theo usiedli tyłem do sceny, naprzeciwko Tony'ego i ochroniarza. Kelnerka podała im napój orzeźwiający, a szefowi zaserwowała specjalność zakładu, czyli martini z mrówką.

- No więc co to za interes? - zaczął Tony.

- Chcę otworzyć klub w Design District - wypalił Theo.

Jack siedział i słuchał. Podpucha, nie podpucha, Theo potrafił wcisnąć ciemnotę nawet staremu garownikowi.

- No to co?

Theo wzruszył ramionami.

- Nic, powiedzmy, że to zawodowa uprzejmość. Nie chcę nadepnąć nikomu na odcisk.

Tony roześmiał się protekcyjnie.

- Nie ma sprawy, przyjacielu. Możesz zgarniać lamusów, których stąd odprawiamy.

- Pański wspólnik też tak uważa? - spytał Jack.

- Wspólnik?

Nadeszła chwila prawdy. Ale cóż, ostatecznie po to tu przyjechali.

- Gerard Montalvo. O ile nam wiadomo, jest pana wspólnikiem.

- Był - odparł Tony. - Od siedmiu lat nie mam z nim żadnego kontaktu.

- Ach, tak? Ale chyba nie zwiął z pańską forszą?

- Nie wasza sprawa - odparł Tony głosem tak złowieszczym, że zabrzmiało to niemal jak groźba.

- Spokojnie - zainterweniował Theo. - Po co te nerwy? Mówisz, że nic nie łączy cię z Montalvem i my ci wierzymy. Tyle.

- Co wy tak o niego wypytujecie? Jesteście z policji czy co?

- Nie, jesteśmy ostrożnymi biznesmenami, którzy dobrze odrobili pracę domową. Wiemy, że mieliście dwa kluby nocne, Vertigo w South Beach i Vertigo II w Atlancie.

- I co z tego?

- Chcieliśmy się po prostu upewnić, czy otwierając klub w Design District, nie wkurzymy Gerarda i jego rodziny.

Tony łypnął na niego spode łba i przeniósł wzrok na Jacka.

- Gerard, nie Gerard, takie gnojki jak wy nie mają startu w tej branży. - Wstał i jego ochroniarz zerwał się na równe nogi. - Możecie tu sobie posiedzieć. Musi wam to wystarczyć, bo własnego klubu na pewno nie otworzycie.

Odwrócił się i wraz z depczącym mu po piętach gorylem zniknął w tłumie.

- Wtopa, co? - mruknął Jack.

Theo dopił piwo.

- Pójdę z nim pogadać. W cztery oczy wyciągnę z niego więcej. A jeśli nie, to przynajmniej skopię kutasowi tyłek za to, że nazwał mnie gnojkiem. - I zanim Jack zdążył go powstrzymać, wstał i ruszył za tamtymi.

Jack w zamyśleniu pokręcił głową. Od samego początku czuł, że rozmowa z byłym wspólnikiem Gerarda Montalvo nic nie da i zaczynał żałować, że dał się na nią namówić. Jeśli jego teoria dotycząca wydarzeń sprzed siedmiu lat była prawdziwa, Montalvo dał nogę z miasta zaraz po tym, jak zagroził Teresie śmiercią albo nawet jak próbował ją zabić. To była



cena, jaką biedaczka zapłaciła za wniesienie oskarżenia o gwałt. Ale zamiast trwać przy swoim i walczyć, Teresa spanikowała i uciekła, bojąc się, że Montalvo się na niej zemści. Wyglądało na to, że w końcu ją dopadł, chociaż było mało prawdopodobne, żeby jego wspólnik to potwierdził.

Z tyłu dobiegł jakiś hałas - na scenie sadowiła się kapela. Zaszurało stojące obok krzesło i zobaczył, że przysiadła się do niego jakaś kobieta.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedziała. - To patentowany dupek.

- Zna go pani? - spytał Jack.

- Pewnie. Jestem Terri. - Podała mu rękę. Paznokcie i usta w tym samym krzykliwym odcieniu czerwieni, szopa blond włosów na głowie, idealnie opalone i bez wątpienia świetnie wygimnastykowane ciało - wyglądała na dwadzieścia kilka lat, ale biorąc pod uwagę łaskawy półmrok, jaki panował w sali, Jack domyślił się, że jest starsza - wciąż ładna, choć trochę już przywiędła. Nachyliła się ku niemu, a jej spojrzenie jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że jej wyzywający strój nie ma nic wspólnego z klasą, że jest to czysty seksapil.

- Jack. Skąd zna pani Tony'ego?

- Jest moim producentem.

- Filmowym?

- Tak. Robi filmy dla dorosłych.

- A więc jest pani...

- Tak, aktorką porno. - Terri nastroszyła się i dodała: - Musisz mówić jak mój ojciec?

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Nie chciałam na pana nawarczeć. Jestem dzisiaj trochę podenerwowana. Mój mąż też pracuje w tej branży. Właśnie kręcą.

Jack kiwnął głową, jakby to wszystko rozumiał, ale rozmowa zaczynała zbaczać na temat, o którym nie miał zielonego pojęcia.

- Świadomość, że jest teraz z inną... Musi być pani ciężko.

- Ależ skąd. On ma swoje filmy, ja swoje. Łączy nas wzajemne zrozumienie.

- W waszej sytuacji chyba trudno by było wytrwać w konwencjonalnym małżeństwie.

- A po cholere komu konwencjonalne małżeństwo? Najlepszy przykład takiego małżeństwa masz tam. - Terri wskazała kolonię mrówek w gablocie.

- Mrówki wychodzą za mąż?

- Nie. Ale powiem ci coś ciekawego. Królowe i trutnie to jedyne mrówki w kolonii, które umieją latać. Zgadnij, co się dzieje z królową po locie godowym.

- Umiera?

- Nie, gorzej. Traci skrzydła. Już nie może latać. Musi siedzieć w domu z trutniem, który jest oczywiście tak leniwym sukinsynem, że nie robi nic innego, tylko z nią kopuluje. Nie zbiera żywności, nie buduje gniazda, nie broni kolonii przed napastnikami. Pieprzy się z królową i odbiera jej skrzydła. To jakby symboliczne, nie?

- Pani wciąż ma skrzydła?

- Jeszcze mam - odparła z sugestywnym uśmiechem Terri.

Jack pomyślał, że kiedyś, może gdy stuknie mu osiemdziesiątka i przypomni mu się ten wieczór, uzna, że była to jedna z tych chwil w życiu, kiedy powinien był wstać i krzyknąć: „Dzięki Bogu, że nie jestem żonaty!”. Ale szybki powrót do rzeczywistości uzmysłowił mu, że dziewczyna startuje najpewniej do jego portfela, nie do niego. Wybrał bezpieczniejszą trasę, kierując rozmowę na jej męża.

- Skoro łączy was wzajemne zrozumienie, to dlaczego jest pani zdenerwowana?

Terri nachyliła się jeszcze bardziej i zniżyła głos, jakby chciała podzielić się z nim jakąś tajemnicą.

- Bo dzisiaj ma scenę z seksem analnym. A kiedy wraca do domu po scenie z seksem analnym, zawsze chce, żebym mu obciągnęła. Zawsze. Słowo daję, czasem mam wrażenie, że robi to tylko po to, żeby mnie zbrzydziło. Chce pokazać, że ma nade mną władzę. Tak, jestem tego pewna. Myślisz, że powinnam mu coś powiedzieć, czy to tylko moja pruderia?

Bardziej zepsuć nastroju nie mogła i Jack robił wszystko, żeby nie wyjść na chama. Szczerze odsłoniła przed nim duszę - co było bez wątpienia o wiele trudniejsze niż odsłonięcie ciała - ale za nic nie mógł wymyślić żadnej inteligentnej odpowiedzi.

- Terri, jestem ostatnim facetem na świecie, który mógłby udzielać porad małżeńskich. Na pewno coś wymyślisz.

- Ale...

- Posłuchaj, muszę już lecieć. Miło się rozmawiało.

Chwyliła go za rękę.

- Nie odchodź. Proszę. Słyszałam, jak pytałeś Tony'ego o Gerarda Montalvo. Dlatego się przysiadłam. Powinniśmy pogadać.

Jack usiadł.

- Zna pani Gerarda Montalvo?

Terri kiwnęła głową.

- Bardzo dobrze.

Pstryk! Nagle zrobiło się tak, jakby ktoś wyciszył barowe hałasy, śmiech, gwar i muzykę. Jack całą uwagę skupił na siedzącej naprzeciwko dziewczynie.

- Był pani chłopakiem?

- A skąd, nic z tych rzeczy. Po prostu zawsze interesowały go moje filmy.

- Interesowały zawodowo? Jak Tony'ego, pani producenta?

- Nie. Tony tylko wyklada kasę, nic więcej. Samą produkcję ma gdzieś. Z Gerardem było inaczej. Gerard przychodził popatrzeć.

- Był kimś w rodzaju reżysera?

- Nie. Zboczeńca.

Jack zastanowił się i doszedł do wniosku, że warto zaryzykować.

- Terri, gdybym powiedział, że ma pani w sobie to coś, jak by to pani zrozumiała?

Terri roześmiała się i pociągnęła długi łyk martini.

- A więc znasz Gerarda, tak?

- Słyszała pani o tym gwałcie?

- Jasne. Wszyscy o tym słyszeli. Gerard oczywiście zaprzeczał. Mówił, że dziewczyna chce go zrobić. A my udawaliśmy, że mu wierzymy. Dopóki nie zwiął. Jak był niewinny, to po co miałby uciekać?

- Wie pani, dokąd wyjechał?

- Nikt tego nie wie. Po prostu zniknął, tak jak stał. Dziwne to jak na niewinnego, nie?

- Znała pani dziewczynę, którą zgwałcił, Teresę?

- Nie, ale raz widziałam jej zdjęcie. Tak, miała w sobie to coś, zdecydowanie.

- To znaczy?

- Nie wiesz, co to znaczy?

- Ogólnie tak, ale co to znaczyło dla Gerarda?

Terri posłała oliwkę i wrzuciła ją z powrotem do kieliszka.

- Zadajesz sprytne pytania, wiesz?

- Dzięki, taką mam pracę. No więc? Jak rozumiał to Gerard?

- No, dobrze, jak chcesz, to ci powiem. To było siedem lat temu i byłam wtedy młodzieńka. Gerard chciał, żebym zagrała w jego filmie. O facecie, który płaci kobietom za seks.

- Bardzo oryginalne. Miała pani grać prostytutkę?

- Nie. Przeciwnie. Właśnie o tym był ten film. Facet startował do mężatek albo takich, co śpiewają w kościelnym chórze, nie do żadnych tam dziwek. Uderzał do kobiet, które nigdy w życiu nie przespałyby się z nikim za kasę. Ale do czasu, bo nagle pojawiał się ktoś, kto proponował im naprawdę duże pieniądze.

- Czyli szukał takich, które... które co? Które wyglądały jak prostytutki?

- Nie, nie, nie rozumiesz. Są tysiące kobiet, które nigdy by nie przyznały, kim są. Udają, zadzierają nosa, ale wystarczy rzucić odpowiednią cenę i sprzedają się w minutę. Właśnie takich szukał.

- I znajdował je, bo...

Terri wzruszyła ramionami.

- Bo miały w sobie to coś.

Jack spojrział na parkiet. I zupełnie podświadomie, jedna po drugiej, zaczął oceniać te, które zdołał wyłowić wzrokiem z roztańczonego tłumu. Ta ma. Ta nie. Ta ma. Ta nie ma. Próbował myśleć jak Gerard i nagle go olśniło.

- Dobrze się czujesz? - spytała Terri.

- Dobrze - odparł ze słabym uśmiechem. - Nawet nie wiesz, jak dobrze.

# 41

FBI wysłało list gończy za Gerardem Montalvo nazajutrz o ósmej rano. Kiedy agent specjalny Paul Martinez, szef biura w Miami, ogłaszał to przed kamerami miejscowej telewizji, Andie stała po lewej stronie jego zastępcy. Konferencja prasowa miała odbyć się pierwotnie w środę o piątej, ale Andie namówiła Martineza, żeby przesunął ją o dwanaście godzin, z nadzieją, że porywacz zadzwoni, zanim jego zdjęcie pojawi na ekranach wszystkich telewizorów w kraju. Dzięki temu Jack mógłby wyjaśnić to pozorne naruszenie warunków umowy i powstrzymać go przed zemstą na Mii. Ale porywacz nie zadzwonił

- FBI nie mogło dłużej czekać.

Twarz Gerarda Montalvo - aczkolwiek na zdjęciu sprzed siedmiu lat - pojawiła się we wszystkich porannych dziennikach.

Tymczasem Jack złapał pierwszy samolot do Atlanty. Nie była to może wyprawa do miejsca zbrodni, ale prawie. Chciał porozmawiać z zastępczynią prokuratora okręgowego, która prowadziła sprawę „Tomasza” Gwałciciela.

Charlene Wright otworzyła własną kancelarię po piętnastu latach pracy na stanowisku prokuratora okręgu Fulton, w tym co najmniej jedenastu w Wydziale Przestępstw Przeciwko Kobietom i Dzieciom. Jeszcze przedtem była dyrektorką programu kryzysowego dla zgwałconych kobiet w szpitalu Grady Memorial, natomiast prokuraturze zostawiła w spadku program pomocy ofiarom-świadkom, za który otrzymała specjalną nagrodę od gubernatora. Ale równie dumna była z długiej serii skazań, po których najgorsi przestępcy seksualni z Atlanty trafili za kraty na kilka tysięcy lat.

Jacka ciekawiło, jakim cudem ktoś taki jak Gerard Montalvo prześliznął się jej między palcami.

Zadzwonił do niej z lotniska i zgodziła się przyjąć go w kancelarii przed lunchem. Okazało się, że jest to jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy czyjś wygląd niemal idealnie pasuje do obrazu, jaki Jack stworzył sobie w wyobraźni na podstawie głosu. Charlene, czterdziestokilkuletnia Afroamerykanka bez centymetra zbędnych włosów na głowie, była smukła jak stalowy pręt i jak stalowy pręt twarda. Była również bardzo miła i tylko silny uścisk ręki dyskretnie przypominał, że w jednej chwili może zmiażdżyć każdego jak niedźwiedzie sidła. Wskazała mu sofę, a sama usiadła w pasiastym fotelu tyłem do okna.

- Dziękuję, że tak szybko mnie pani przyjęła - powiedział.

Charlene ścisnęła w rękę pomarańczową piłeczkę, taką antystresową.

- Agentka Henning mówiła mi, że pewnie pan przyjedzie. Pomyślałam, że skoro chce pan zapłacić okup za Teresę, ma pan prawo wiedzieć, co ta biedaczka przeszła.

- A więc jest pani przekonana, że Mia była kiedyś Teresą?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- I jest pani również przekonana, że uprowadził ją Gerard Montalvo?

- Montalvo zmuszał kobiety do wyznaczania ceny za swoje ciało. Bez żadnej przesady czy psychologicznego naciągania można założyć, że ten socjopata mógłby zmusić męża do wyznaczenia ceny za uprowadzoną żonę.

- Zatem tak? Porywaczem jest Montalvo?

- Zgadza się, że pod względem psychologicznym w obydwu przypadkach występuje podobny sposób działania. Agentka Henning zdradziła mi tylko tyle. W zasadzie powiedziała mi o podejrzanym to, co jej szef na konferencji prasowej w Miami.

- Witamy w klubie - mruknął Jack. - Właśnie dlatego chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o nim i o tym pierwszym gwałcie.

Charlene się zawahała i Jack wyczuł, że zaraz padnie jakieś zastrzeżenie.

- Technicznie rzecz biorąc, kiedy odchodziłam z prokuratury, jego sprawa była wciąż otwarta. Dlatego mogę powiedzieć panu tylko to, co zostało podane do wiadomości publicznej.

- Nie stać mnie na wybrzydanie. Do wiadomości publicznej na pewno trafiła wiadomość, że Montalvo uciekł po przesłuchaniu wstępnym. Proszę mi o tym opowiedzieć.

- A o czym tu mówić? Sędzia orzekł, że dowody są wystarczające i wyznaczył datę procesu. Nazajutrz rano Montalvo zniknął, zniknęła i Teresa. Od tamtej pory nikt o nich nie słyszał.

- Co pani wtedy pomyślała? Że zabił ją i uciekł?

- Owszem, rozważaliśmy taką możliwość. Ale uznaliśmy, że równie prawdopodobne jest to, że przed ucieczką jej groził, próbował zastraszyć albo zrobić krzywdę i że dlatego uciekła. Ponieważ policja nie znalazła jej samochodu, nie wykluczaliśmy możliwości, że gdzieś się ukryła, może nawet wyjechała z kraju.

- To ciekawe. Wy mieliście nadzieję, że Teresa żyje, a jej siostra była przekonana, że nie.

- Nie powiedziałam, że mieliśmy wielką nadzieję - odparła Charlene. - Nie znaleziono jej samochodu, poza tym zniknęła tak, jak stała. Zostawiła dosłownie wszystko. Paszport. Pieniądze na koncie. Ostatni raz skorzystała z karty dzień przed zaginięciem. Wszystko

wskazywało na to, że nie żyje.

Jack potarł czoło.

- Albo, co ważniejsze, mógł tak pomyśleć Montalvo. Jeśli bała się jego zemsty, mogła to upozorować, udać, że wpadła w przerażenie i wjechała samochodem do jakiegoś kanału czy jeziora.

- Tak. Albo mogła bać się go tak bardzo, że nie zdążyła się nawet spakować i pozalutować spraw.

Jack zamilkł, zbierając myśli. Charlene przekładała piłeczkę z ręki do ręki, z lewej do prawej, z prawej do lewej. Było oczywiste, że sprawa Montalva wciąż ją dręczy - sprawa, której nie zdołała doprowadzić do końca.

- A pani? - spytał Jack. - Jak pani uważa, dlaczego po wpłaceniu kaucji Montalvo uciekł?

- Chyba już to omówiliśmy.

- Niezupełnie. Uciekł dlatego, że miała pani tak mocne dowody?

- Pozostawię to bez komentarza. Kiedy odchodziłam z prokuratury, sprawa była wciąż otwarta, już panu mówiłam.

- Nie wyobrażam sobie, żeby wносиła pani do sądu sprawy, które nie mają szans na wygraną.

- Nie, ale niektóre są trudniejsze od innych.

- Tak, ale gdyby sprawa była trudna dla prokuratury, adwokat Montalvo na pewno by mu o tym powiedział. Po co więc Montalvo miałby uciekać?

- Moim zdaniem przestraszył się orzeczenia wstępnego. Mały, biały, bogaty chłopczyk pogodził się wreszcie z tym, że może mu grozić surowy wyrok. Za gwałt dostaje się w Georgii minimum dziesięć lat, nawet jeśli jest to pierwsze przestępstwo.

- On dostałby więcej, od dziesięciu do dwudziestu.

- Dlaczego?

- Widziałem bliznę na nodze Mii. Nie powiedziała mi, skąd ją ma, ale jeśli stało się to, kiedy była jeszcze Teresą, uznano by to jako okoliczność obciążającą.

Charlene stężyła twarz.

- Strasznie ją pocięto. Dlatego tak się wkurzyłam, kiedy zaatakowała ją cała rodzina.

- Rodzina?

- Montalwowie. Rzucili się na nią z pazurami, wytoczyli wszystkie działa. Chcieli udowodnić, że Teresa zmyśliła to, żeby wytoczyć mu proces cywilny. Że próbuje ich oskubać.

- Byli bogaci?

- Do obrzydzenia. Gerard miał pięć czy sześć klubów nocnych, które przynosiły setki tysięcy dolarów dochodu rocznie. Rodzina wrzasała na to ramionami. Dla nich to były drobne.

- Czy ich strategia poskutkowała? To, że rzucili się na Teresę.

- Na pewno wykończyła ją nerwowo. Przygotowałam Teresę na te wszystkie idiotyczne pytania i oświadczenia, jakim musi stawić czoło każda ofiara gwałtu. Na głupie powiedzonka z cyklu: „Bez przyczyny nie ma winy”. Ale nawet ja byłam zaskoczona tym, jak daleko się posunęli, żeby ją oczernić, przedstawić jako kogoś, kto bezpodstawnie oskarża o gwałt, żeby potem zażądać milionowego odszkodowania w procesie cywilnym.

- Co o niej wygadywali?

- Pierwszą rzeczą, z jaką musieli się uporać, była blizna na jej udzie. Ten sukinsyn pociął ją szkłem z rozbitej żarówki. A potem bezczelnie twierdził, że Teresa zrobiła to sama tylko po to, żeby wzmocnić dowody gwałtu. I był to dopiero początek.

- Proszę mi o tym opowiedzieć. Pomoże mi to lepiej go zrozumieć.

Charlene wzięła głęboki oddech i zmarszczyła czoło.

- Nie wiem, czy wszystko sobie przypomnę... Spreparowali kilka zdjęć przedstawiających Teresę z nagimi mężczyznami. Wie pan, cyfrowo. Kiedy miała dwadzieścia lat, pracowała jako modelka i zdobyli jej zdjęcia.

- Nagie?

- Nie, zupełnie niewinne. Głównie zbliżenia twarzy. Ale dzisiaj każdy głupek potrafi wkleić twarz dziewczyny między dwa gigantyczne penisy, żeby wyglądało to tak, jakby się do nich przymierzała. Dwa dni przed przesłuchaniem wstępnym zdjęcia trafiły do Internetu.

- A to kanalie.

- Potem był ten wiersz...

- Wiersz?

- Tak. Zrobili przeciek do prasy i powiedzieli, że pochodzi z jej pamiętnika. Ktoś rozpoznał, że to słowa piosenki, więc szybko zmienili śpiewkę i powiedzieli, że to piosenka z jej ulubionej płyty.

- Jaka to była piosenka?

Charlene zrobiła minę, jakby próbowała podzielić w pamięci 694 przez 17. W końcu wstała i podeszła do komputera.

- Pamiętam tylko fragment, ale zobaczmy. - Wystukała na klawiaturze kilka słów i przyjrzała się wynikowi wyszukiwania. - Jest. To ta. - Stała z boku, robiąc miejsce dla Jacka. Były to słowa Paskudnej dziewczyny Suk z Bronksu.



- To grupa raperek - powiedziała Charlene.

Jack zdążył się już tego domyślić.

*Nie dostaniesz u mnie bana,*

*nawet gdyś ostatnia lama.*

*Mam cię, ziomal, na tapecie,*

*jutro będziesz już w gazecie!*

*„Gwałt”, „Zgwałcona” - to nagłówki.*

*Jestem niby jak tirówki?*

*Nie, sprostujmy to, kolego:*

*nie zrobiłeś, ziom, nic złego.*

*Mnie tam chodzi o mamonę,*

*tęgą kasę, o zielone<sup>9</sup>.*

Jack usiadł.

- Wątpię, żeby Mia miała taki gust.

- Oczywiście, że nie. To tylko kolejna sztuczka, którą Montalvo i jego klubowe bandziory wykręcili, żeby ją zdyskredytować. Na pewno było ich więcej, ale w tej chwili pamiętam tylko te. Ta dziewczyna przeżyła piekło.

- Czy na przesłuchaniu wstępnym obrona przedstawiła jakieś dowody?

- Mieli jednego świadka. Bramkarza z jego klubu. Zeznał, że Teresa wiedziała, że idzie do Gerarda za pieniądze.

- Chwileczkę. To znaczy, że obrona z własnej woli ujawniła, co znaczy „Masz w sobie to coś”?

- Tak. Takie było sedno zeznań tego bramkarza.

- Czyli ich obrona polegała na tym, że dobrowolnie przyznali, że Gerard Montalvo lubił płacić za seks kobietom, które...

- Były dziewczynami prostytutkami, tak - dokończyła za niego Charlene. - prostytutkami, które nigdy przedtem nie miały klienta. To były chyba jego dokładne słowa, tego bramkarza.

- W sumie to niezła strategia - mruknął w zamyśleniu Jack. - Powiedzieli szczerą prawdę o czymś bardzo wstydlwym i cały świat uwierzył, że zgodziła się na seks za pieniądze.

- Tak, doprowadzało nas to do furii. Radiostacje nadające programy z udziałem słuchaczy miały używanie. Na pierwszej stronie „Journal-Constitution” zacytowano nawet słowa

---

<sup>9</sup> Przekład: Michał Kraśko.

jednego z moich starych przyjaciół z ośrodka dla zgwałconych, który, kierując się jak najlepszymi intencjami, powiedział, że prostytutce przysługuje takie samo prawo do ochrony przed gwałtem jak każdej innej kobiecie. To oczywiście prawda, ale proszę sobie wyobrazić, jak musiała czuć się Teresa, kiedy postawiono ją w jednym szeregu z potrzebującymi ochrony prostytutkami.

- Jak to odparliście?

- Zaskoczyliśmy ich. Skorzystaliśmy z prawa do repliki i wezwaliśmy świadka.

- Kogo?

Po raz pierwszy od początku rozmowy Charlene zrobiła minę, która mogła uchodzić za prawdziwy uśmiech. Obeszła biurko i wyjęła z komody kasetę wideo.

- Wyrzebałam to wczoraj dla FBI; kopię wysłałam wieczorem agentce Henning.

- To jest całe przesłuchanie wstępne?

- Nie, tylko nasza replika. Miejscowa telewizja zwietrzyła, co się święci, i transmitowała na żywo zeznanie ostatniego świadka. Nieskromnie powiem, że było to jedno z moich najsprytniejszych posunięć.

Jack wziął kasetę.

- Z ciekawością obejrzę.

Charlene spoważniała.

- Koniecznie. Założę się, że potem o wiele lepiej zrozumie pan, dlaczego Montalvo uciekł, gdzie pieprz rośnie.

## 42

Wysłana przez Charlene Wright kasetka z nagraniem przesłuchania wstępnego dotarła do biura FBI w Miami nazajutrz rano.

Na pierwszym piętrze gmachu Andie znalazła zaciszny pokój z telewizorem i magnetowidem. Obok niej przy stole konferencyjnym usiadł Paul Martinez. Zgasili światło i zaalała ich jasnoniebieska poświata z rozjarzonego ekranu.

- Dłgie to jest? - spytał Martinez.

- Nie, trwa tylko kilka minut. Trzeba przyznać, że ta Wright jest piekielnie skuteczna. To jej replika, która całkowicie odiera twierdzenie Montalvo, że ofiara zarzuciła mu gwałt tylko po to, żeby wyciągnąć od niego wielomilionowe odszkodowanie z powództwa cywilnego.

- Dobra, puść.

Andie włączyła magnetowid i ekran ożył. Najpierw pojawiła się plansza testowa, potem logo WXIA, w końcu data, nazwa sprawy, Stan Georgia przeciwko Gerardowi Montalvo, i przenieśli się w czasie siedem lat wstecz. Kamera pokazywała łysawego, lecz przystojnego mężczyznę w granatowym garniturze i jaskrawoczerwonym krawacie. Słychać było odgłosy tła, szuranie nogami i czyjś kaszel. Potem kamerzysta zrobił szersze ujęcie i zobaczyli Charlene Wright, która właśnie podchodziła do świadka.

- Pańskie nazwisko i zawód? - zapytała.

Mężczyzna nachylił się do mikrofonu. Nie robił wrażenia zdenerwowanego, ale w mowie jego ciała było coś, co mówiło, że krzesło dla świadków w sali rozpraw jest dla niego miejscem dość dziwnym.

- Henry Talbridge, prawnik.

- Jakiego rodzaju prawo pan praktykuje?

- Jestem adwokatem.

- Czy zna pan sprawę Stan Georgia przeciwko Gerardowi Montalvo?

- Tak, znam.

- Czy zna pan również domniemaną ofiarę? - Zanim świadek zdążył odpowiedzieć, Charlene spojrzała na sędziego i dodała: - Wysoki Sądzie, zgodnie z obowiązującymi zasadami nie wymieniam nazwiska ofiary, chociaż obrona zrobiła co tylko możliwe, żeby

kobieta ta stała się najbardziej rozpoznawalną osobą w Atlancie od czasów Hanka Aarona<sup>10</sup>.

- Sprzeciw! - Ktoś powiedział to bardzo głośno, lecz stół obrony pozostał poza kadrem.

- Podtrzymuję - odparł sędzia - ale rozumiem intencje oskarżenia. Świadek może odpowiedzieć.

- Tak, znam domniemaną ofiarę - odrzekł Talbridge. - Jestem jej adwokatem.

- Kiedy pana zaangażowała?

- Zdaje się, że tydzień po tym, kiedy zgłosiła napad.

Przez salę przetoczył się głuchy pomruk.

Martinez chwycił pilota i zatrzymał taśmę.

- Wynajęła adwokata, zanim sprawę z oskarżenia publicznego skierowano do sądu?

- Na to wygląda - odparła Andie.

- Jak miałyby to odeprzeć zarzut obrony, że chodziło jej tylko o wysokie odszkodowanie?

Andie wzruszyła ramionami.

- Zaraz zobaczymy.

Martinez wcisnął guzik i taśma ruszyła.

- Panie Talbridge - ciągnęła Charlene. - Na pewno pan wie, że obrona podaje w wątpliwość prawdziwość oskarżeń i szczerłość intencji pańskiej klientki.

Talbridge cicho prychnął.

- Delikatnie powiedziawszy. Codziennie zasypują ją lawiną zarzutów, twierdząc, że kłamie, bo chce zbić na tym majątek.

- Jak pańska klientka z tym sobie radzi?

- Sprzeciw. Jak sobie radzi? Świadek jest jej adwokatem czy psychiatrą?

- Ujmę to inaczej - rzekła Charlene. - Panie mecenasie, ile razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni pytano pana osobiście, czy pańska klientka wniesie pozew cywilny, jeśli oskarżony zostanie skazany za gwałt?

- O, mój Boże. Setki razy.

- I odpowiadał pan wtedy, że?...

- Że moja klientka i ja podejmiemy tę decyzję w stosownym czasie.

- To znaczy kiedy?

- Początkowo myśleliśmy, że po procesie, kiedy na jaw wyjdą wszystkie fakty. Ale ze względu na zaciekle ataki, próbujące podważyć jej wiarygodność, moja klientka uznała, że

---

<sup>10</sup> Henry Louis „Hank” Aaron, słynny amerykański baseballista, grający między innymi w Atlancie.

czas ten właśnie nadszedł.

- Dobrze, zatem pozwoli pan, że zadam to pytanie jeszcze raz: Czy pańska klientka wnieście pozew cywilny przeciwko oskarżonemu, jeśli ten zostanie skazany za gwałt?

Obrońca zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To jest dowód ze słyszenia.

- Wysoki Sądzie, na przesłuchaniu wstępnym dopuszcza się dowody ze słyszenia.

Sędzia groźnie zmarszczył brwi i przeciągając samogłoski, jak na południowca przystało, odparł:

- Owszem, pani prokurator. Ale pragnę uprzedzić świadka, że odpowiadając na to pytanie, zrzeknie się tym samym prawa do poufności rozmów między klientem i adwokatem. Obrona będzie mogła go w każdej przesłuchać.

- Zdajemy sobie z tego sprawę, Wysoki Sądzie - odparł Talbridge. - I zrzekamy się prawa do poufności rozmów między klientem i adwokatem.

Obrońcaomal się nie uśmiechnął.

- Wycofuję sprzeciw.

Charlene Wright podeszła bliżej świadka.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie mecenasie. Czy pańska klientka zamierza wnieść pozew cywilny przeciwko Gerardowi Montalvo?

- Moja klientka postanowiła, że w żadnym wypadku tego nie zrobi.

- Nawet jeśli pan Montalvo zostanie skazany?

- Tak, nawet jeśli zostanie skazany.

- Czy powiedziała panu, dlaczego tak zdecydowała?

- Jest zmęczona tymi ciągłymi wyzwiskami i oskarżeniami, że kłamie. Pieniądze jej nie interesują. Chce tylko, żeby ten, kto ją zgwałcił, trafił do więzienia. I żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Zapadła cisza. Wezwanie na świadka adwokata ofiary było posunięciem bardzo odważnym, ale w przeciwieństwie do Charlene Wright, Andie nie dopatrzyła się w tym niczego genialnego. Już miała cofnąć taśmę, myśląc, że coś przeoczyła, lecz w tym samym momencie sędzia oddał głos stronie przeciwnej.

- Brawo, panie mecenasie, brawo. - Do Talbridge'a podszedł obrońca. - To było bardzo szlachetne. Ale pozwoli pan, że go o coś spytam. Ile razy w swej znakomitej karierze

zawodowej skarżył pan kogoś zamożniejszego niż Gerard Montalvo?

- Skarżyłem wielu zamożnych ludzi.

- Wierzę. Właśnie dlatego pańska klientka pana wynajęła, prawda? Dlatego, że można zbić na tym fortunę?

- Moja klientka zaangażowała mnie, ponieważ jestem doświadczonym prawnikiem.

- Ile razy pan się z nią widział?

- Tylko dwa.

- Dwa razy? - powtórzył nieco zaskoczony obrońca. - Dobrze. O czym rozmawialiście podczas pierwszego spotkania?

- Moja klientka pytała mnie o prawa ofiary gwałtu. Pytała mnie również, czy pan Montalvo będzie mógł odpowiadać z wolnej stopy, w jakich rozprawach będzie mogła uczestniczyć jako poszkodowana i czy będzie miała wpływ na decyzję prokuratury co do ewentualnej ugody między oskarżeniem i obroną.

- Czy doradził jej pan również złożenie pozwu cywilnego, jeśli pan Montalvo zostanie skazany?

- Tak, doradziłem.

- Czyli rozmawialiście o tym już od pierwszego spotkania.

- Tak.

Obrońca triumfalnie wypiął pierś.

- Dziękuję, panie mecenasie. Porozmawiajmy teraz o drugim spotkaniu. Kiedy się odbyło?

- Wczoraj wieczorem.

- Czy wczoraj też omawialiście państwo możliwość pozwania mojego klienta?

- Nie. Omawialiśmy możliwość ugody.

- Aha, rozumiem. Czyli jeszcze przed przesłuchaniem wstępnym uzgodniliście państwo strategię, dzięki której pańska klientka mogłaby szybko zdobyć duże pieniądze, tak? Czy dobrze to ująłem?

- Nie, niezupełnie.

- Zatem na ile milionów opiewała propozycja ugody, którą zamierzaliście złożyć Gerardowi Montalvo?

- Na jednego dolara.

Wyraz samozadowolenia zniknął z twarzy obrońcy tak szybko, jak się pojawił. Biedak wyglądał, jakby połknął własny język.

- Słucham? Miał pan na myśli... jeden milion dolarów?

- Nie. Moja klientka godzi się odstąpić od wszelkich roszczeń cywilnych przeciwko Gerardowi Montalvo za niebotyczną kwotę jednego dolara amerykańskiego; zobowiązanie do zapłaty nie jest wymagane. W zamian za to jest gotowa zrzec się na zawsze wszelkich roszczeń cywilnych. Chce w ten sposób przerwać ten nieszczęsny cyrk. Ma serdecznie dość brudnej kampanii oszczerstw, którą rozpętał pański klient...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

- Dość oskarżeń, że robi to dla pieniędzy.

- Wysoki Sądzie, stanowczo...

- Chce pokazać całemu światu, że pragnie tylko jednego: żeby ten, kto ją zgwałcił, resztę życia spędził w więzieniu.

- Wysoki Sądzie, stanowczo protestuję przeciwko tym małym sztuczkom!

- To nie są sztuczki, Wysoki Sądzie. Mam tu dokument - podpisane przez moją klientkę zrzeczenie się wszelkich roszczeń, i jestem gotów go przedłożyć, kiedy tylko pan Montalvo otworzy swój portfel i wręczy mi jednego szeleszczącego dolara.

- Wnoszę o unieważnienie procesu!

- To nie jest proces, mecenasie - odparł sędzia.

- Wysoki Sąd wie, o co mi chodzi. To przesłuchanie zakrawa na skandal.

- Tego jeszcze nie wiem, ale poproszę państwa do mojego pokoju. Natychmiast.

Ekran szerniał, zasyczały głośniki. Andie wyłączyła magnetowid, wstała i zapaliła światło.

- Cóż - powiedział Martinez. - W życiu nie widziałem takiej rozprawy wstępnej. Coś pięknego. Całkowicie obalili twierdzenie Montalva, że Teresa kłamała z chciwości.

- Zrobili o wiele więcej - odrzekła Andie.

- To znaczy?

- Mamy do czynienia z porywaczem, który utopił niewinną kobietę w podwodnej grocie, uznawszy, że jej mąż wycenił ją na nieodpowiednią kwotę. Zastanawiające, prawda?

- Ale co?

Andie uciekła wzrokiem w bok, jakby się bała odpowiedzieć na własne pytanie.

- W takim razie co przygotował dla kobiety, która upokorzyła go podczas transmitowanego na żywo przesłuchania sądowego?

Zamyślony Martinez zabębnił palcami w stół.

- Jest tylko jeden sposób, żeby na to odpowiedzieć.

- Jaki?

- Trzeba go znaleźć. I to szybko.



## 43

Znowu gapił się na nią jednooki potwór.

Zmiażdżony palec u nogi przestał być źródłem ciągłego bólu, jednak pulsowanie powróciło na sam widok kamery. Najwyraźniej wytworzył się w niej odruch Pawłowa; porywacz nie ustawiłby kamery, gdyby nie chciał zrobić jej krzywdy.

Czekała w ciszy, siedząc na twardej podłodze z wyprostowanymi nogami, skutymi, tak jak i ręce, plastikowymi kajdankami. W pokoju było zupełnie ciemno, nie licząc wąskiej smugi jaskrawego światła bijącego z trójnogu jak laser. Światło było bardzo skupione, było jak lina, którą przywiązano ją do kamery. Porywacz używał tego samego oświetlenia już przedtem. Ale wtedy skierował oślepiające światło prosto na jej twarz. Tym razem oświetlił co innego i bardzo ją to niepokoiło.

Reflektor celował w jej podbrzusze.

Rosła jej temperatura ciała, na skutek zdenerwowania i pod wpływem gorąca bijącego z halogenowej żarówki. W ciemności czaił się prześladowca, mroczna sylwetka za jarzącym się reflektorem. Nie widziała go, ale czuła na sobie jego wzrok. Potem usłyszała kroki. W końcu zobaczyła nóż.

Górował nad nią z błyszczącym sztyletem w ręku. Nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Patrzyła w dół, co jeszcze bardziej wzmagało lęk, bo reflektor oświetlał jej najbardziej intymną strefę.

Z twarzą wykrzywioną i nierozpoznawalną pod nylonową pończochą na głowie, porywacz ukląkł na jedno kolano. W ustach miał wacik albo coś, co zniekształcało głos.

- Nie ruszaj się - syknął, trzymając nóż tuż przy jej policzku.

Była przerażona, ale wypełniła rozkaz co do joty, oddychając powoli i tak płytko, że prawie nie podnosiły się jej piersi. Wiedziała, jaka jest kara za nieposłuszeństwo.

Błysnęło ostrze i poczuła, że ma wolne ręce. Ostrze błysnęło ponownie i uwolniło nogi. Porywacz wstał i cofnął się za kamerę. Pamiętając o rozkazie, Mia wciąż siedziała nieruchomo.

- Zdejmij spodnie.

Jeszcze niedawno zareagowałaby na taki rozkaz buntem, a przynajmniej oburzeniem. Ale tamte czasy już minęły. Bez chwili wahania rozpięła guzik i rozporek dżinsów. Zsunęła je z

bioder i spuściła do kolan - zrobiła to szybko, żeby go zadowolić, lecz nie za szybko, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Potem zdjęła, nogawka po nogawce, i odłożyła na bok. Nie kazał zdjąć majtek, więc ich nie zdjęła.

- Usiądź w pozycji jogi.

Bała się prosić, żeby to sprecyzował, ale domyśliła się, że chodzi mu o *baddha konasana*, pozycję, której nauczyła się na zajęciach z rozciągania na siłowni. Usiadła prosto z podkurczonymi i rozchylonymi kolanami, następnie zetknęła bosc stopy, kierując pięty w stronę krocza. Czuła się bezbronna i wyeksponowana, ale uznała, że lepiej siedzieć tak niż z rozłożonymi nogami.

- Dobrze. Teraz przesun trochę stopy do przodu.

Więził ją tak długo, że zeszywniały jej stawy i bez pomocy rąk nie mogła tego zrobić. Wciąż siedząc w *baddha konasana*, lekko pchnęła pięty.

- Bardzo dobrze.

Poprawił reflektor. Światło celowało teraz prosto w jej krocze, ale nie czuła wstydu. Czuła tylko strach.

- Siedź tak, suko.

Mia ani drgnęła. Chciała zamknąć oczy i uciec w inny świat, ale przypomniała sobie, w jaką wpadł furię poprzednim razem, z jaką siłą zmiądzzył jej palec, kiedy odwróciła wzrok od kamery. Dlatego, nie zamykając oczu, patrzyła prosto w oślepiające światło, jakby chciała znaleźć w nim upragnioną ciemność, strefę bezpieczeństwa, to wprawiające w trans odrętwienie, dzięki któremu przetrwała najgorsze chwile. Ale nie mogła się skupić. Chociaż próbowała odizolować się od rzeczywistości, wciąż czuła jego denerwującą obecność, słyszała, jak chodzi po pokoju, jego kroki, potem jakiś trzask. Drgnęła. To był plastikowy kubek, ten sam, który zostawił jej pod drzwiami. I tak samo jak poprzednio, ostrożnie zajrzała do środka. W środku leżała żarówka, nic więcej. Błyskawiczny ruch nogi i puf!, zmiądzzył ją obcasem i serce omal nie wyskoczyło Mii z piersi.

- Weź to.

Mia zamarła. Poruszyła tylko oczami, spoglądając na kamerę.

- Weź to!

- Ale co? - spytała ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Nie odszczekuj, tylko weź. Pokaż mu.

- O czym pan mówi?

- Dobrze wiesz o czym. Pokaż mu, do cholery!

- Ale komu? Co?

Znowu usłyszała jego ciężkie, gniewne kroki. Chwyił ją za włosy i szarpnął do tyłu. Włożył jej do ręki rozbitą żarówkę, zakrzywił palce i zacisnął, aż szkło przebiło skórę. Krew popłynęła z dłoni jak woda z gąbki, ale ona nie dała mu satysfakcji i nie krzyknęła.

- Czego pan ode mnie chce? - spytała drżącym głosem.

- Chcę, żebyś mu pokazała - powtórzył, chwytając ją za krocze. Ścisnął mocno, bardzo mocno, tak mocno, że omal nie rozdarł starej blizny na udzie. Do oczu napłynęły jej łzy. - Pokaż Swyteckowi, jak się pochlastałaś... Tereso.

Najważniejsze spotkanie przy najważniejszym posiłku dnia - Jack uznał, że to jak najbardziej stosowne. Dlatego wybrał jadłodajnię Pod Pięcioma, gdzie śniadanie serwowano przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Można by pomyśleć, że nazwa jadłodajni nawiązuje do pięciu zębów widelca, ale tak naprawdę nawiązywała do najbardziej znanego w Atlancie skrzyżowania, gdzie Peachtree Street łączy się z kilkoma głównymi arteriami komunikacyjnymi. Stara knajpa nie należała do największych klejnotów architektonicznych miasta, ale mieściła się ledwie kilka przystanków metra od biura Charlene Wright, niedaleko sądu i kapiącej od złota kopuły Kongresu Stanowego. Co ważniejsze, dokładnie naprzeciwko było biuro poręczeń sądowych Buda.

Jack nie był pewny, czy Bud w ogóle istnieje, czy nie jest to przypadkiem tylko znak firmowy jakiegoś Wilbura czy Maurice'a. Ale kiedy popytał wśród znajomych adwokatów, okazało się, że jednak istnieje i że lepiej znany jest jako Krwawy Bud. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby się domyślić, jak zdobył ten ciekawy przydomek. Pracował jak większość innych poręczycieli. Jeśli sędzia wyznaczył za kogoś kaucję w wysokości stu tysięcy dolarów, dawało mu się dziesięć patoli i Bud wpłacał do kasy stówę. Dziesięć tysięcy bezpowrotnie przepadało. Jeśli oskarżony zwał i nie stawiał się na rozprawie, Bud był krótszy o dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przynajmniej do chwili, kiedy namierzył uciekiniera. Namierzył, schwytał i dał mu wycisk - jaki, patrz: przydomek. I spokojna głowa: namierzał go i chwycił prawie zawsze.

Krążyły plotki, że wciąż szukał Gerarda Montalvo. Nawet teraz, po siedmiu latach.

Jack zamierzał początkowo załatwić sprawę sam, ale im więcej się o nim dowiadywał, tym głębszego nabierał przekonania, że potrzebuje czegoś ekstra, czegoś, co zrównoważyłoby ich szanse. Czegoś albo kogoś, a ilekroć musiał gadać z bandziorami, zawsze miał do dyspozycji świetny atut wyrównawczy. Wystarczyło tylko zadzwonić. Theo złapał poranny samolot i czekał na niego przed jadłodajnią.

- Racuchy - mruknął, gapiąc się na stertę racuchów wymalowanych na oszklonych drzwiach. - Mam straszną chciwę na racuchy z jagodami. Takie ociekające masłem i syropem.

- Nie śmiem ci o tym przypominać, ale masz przekonać Krwawego Buda, że jesteś gorszym bandziorem niż on. Nie możesz zamówić czegoś bardziej, no wiesz... stosownego?

- Wezmę racuchy.

- Dobrze, świetnie, racuchy. Ale może zamów na przekąskę porcję surowego bekonu czy czegoś takiego?

Jack wszedł do restauracji, Theo za nim. Siedzący przy ladzie staruszek nawet nie podniósł wzroku znad talerza półrzadkiej jajecznicy. Kucharz zeszkrobywał pumeksem tłuszcz z blachy do pieczenia i brzmiało to tak, jakby drapał paznokciami po tablicy. W boksie pod oknem siedział rosły mężczyzna, paker o krótko ostrzyżonych włosach i karku grubym jak pień sekwoi. Pił kawę. Był w czarnej skórzanej kurtce, dżinsach i białym podkoszulku. Oczy miał jak nocny stróż, zwężone i przenikliwe, nos eks-boksera, który musiał być kilka razy łamany i nastawiany, by wreszcie zająć pozycję troszkę na lewo od środka twarzy. Z ust zwisała mu wykałaczką, która przesuwiała się do kącika, ilekroć sięgał po kubek z kawą. Ręce jak bochny chleba pokrywała skomplikowana sieć tatuaży, jakby chciał powiedzieć światu, że nikt mu się nigdy nie wymknie.

Theo i jego racuchy, pomyślał Jack.

Krwawy Bud wstał i przedstawił się, wciąż z podrygującą wykałaczką w ustach. Usiedli, Jack i Theo po jednej stronie stołu, on po drugiej. Usadowił się wygodnie i bez żadnego skrępowania otaksował Thea wzrokiem, próbując ustalić, czy jest uzbrojony lub niebezpieczny czy może jedno i drugie. Gdzieś na zapleczu zaszumiała woda w muszli klozetowej. Z toalety wyszła kelnerka, wycierając ręce w zaplamiony fartuch. Po drodze wzięła dzbanek z lody i emanując ciepłem cudzoziemską osobowością chodzącego trupa, bez słowa dołączyła Budowi kawy. Potem wyjęła z kieszeni notes z pozaginаныmi rogami, zza ucha wyszarpnęła ołówek i zebrała zamówienia. Jack poprosił o czarną kawę, Theo o podwójną porcję racuchów z jagodami.

- Ale bez bitej śmietany - zaznaczył. - Bo straszny ze mnie bandzior.

Jack miał ochotę zabić go już tu, na miejscu, ale postanowił trochę zaczekać z nadzieją, że w niedalekiej przyszłości będą podróżowali razem przez stan, gdzie nie ma kary śmierci.

Krwawy Bud zrobił zmieszaną minę, jakby nie wiedział, co sądzić o tej uwadze.

- A więc, co to za interes, panowie? - spytał. - Wysoka ta kaucja?

- Nie ma żadnej kaucji - odparł Jack.

- W takim razie skąd ten pośpiech?

- Chcemy pogadać o facecie nazwiskiem Gerard Montalvo. Na pewno pan o nim słyszał.

- Wszyscy o nim słyszeli. Dziś rano FBI wysłało za nim list gończy. Poszukują go za porwanie.

- Pan pamięta go chyba lepiej niż inni.

- No jasne - prychnął Krwawy Bud. - Ten skurwysyn olał sąd i wtopił prawie pół melona.

- Nie wziął pan nic w ramach dodatkowego zabezpieczenia?

- Oczywiście, że wziąłem. Zawsze biorę. Ale próbował pan kiedyś procesować się z jego rodziną? Sukinsyny. Im są bogatsi, tym trudniej coś z nich wycisnąć. Ich adwokaci dali mi do wiwatu tak, że głowa boli. Nie pozostaje mi nic innego, jak przyłożyć mu lufę do łba i zażądać zwrotu kasy. Nie żebym zamierzał to zrobić, ale...

- Słusznie - wtrącił Theo. - Tylko najpierw trzeba go znaleźć.

Ta uwaga wyraźnie Buda zaintrygowała.

- Wiecie, gdzie on jest?

Jack nachylił się ku niemu i dla większego efektu zniżył głos.

- Otóż to.

Twarz Krwawego Buda zalała fala żywego zainteresowania.

- Jeśli to prawda, jesteście moimi nowymi najlepszymi przyjaciółmi.

Jack położył ręce na stole.

- Ja widzę to tak. Pan chce wyciągnąć od niego swoje pół miliona. Natomiast ja, z własnych powodów, chcę mieć tylko połowę tej połówki.

- I co pan proponuje?

- Zrobimy tak - ciągnął Jack. - Zapłacę panu zwyczajową stawkę, dziesięć procent. Innymi słowy, dam panu dwadzieścia pięć tysięcy za trzydziestodniową pożyczkę w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Po trzydziestu dniach zwrócę panu ćwierć miliona, a Montalvo znajdzie się w areszcie.

- W areszcie? I co mi z tego?

- Siedziałem w więzieniu - odparł Theo. - I wiem, jak można przycisnąć kołesia spod celi, żeby jego rodzina spłaciła dług.

Krwawy Bud kiwnął głową, jakby spodobał mu się ten sposób myślenia.

- Bardzo by mnie to ucieszyło. Ale skąd gwarancja, że w ciągu trzydziestu dni Montalvo trafi do pudła? Jak się z tego wywiążecie?

- Wywiążemy się - zapewnił go Jack.

- A jeśli nie?

Nadeszła kelnerka i rozmowa ustała. Kelnerka postawiło przed Theo podwójną porcję racuchów. Theo spojrzął podejrzliwie na talerz i wykrzywił twarz.

- Co to jest? - spytał.

- Racuchy z jagodami - odparła monotonicznie kelnerka, ciamkając gumą do żucia.

- To nie są racuchy z jagodami.

- Są.

- A to czarne? Co to za syf?

- Mus.

- A więc to nie są racuchy z jagodami. W prawdziwych racuchach z jagodami jagody są w środku.

- U nas są na wierzchu.

- To nie powinniście ich tak nazywać. Bo ja tego nie przelknę.

- Smakują tak samo, naprawdę.

- Wierzę ci, skarbie. Ale kiedy widzę stertę racuchów pokrytych siną papką, nie myślę: mmm, pychota. Myślę: kto, do diabła, obesrał mi śniadanie sinym gównem?

- To niech pan to obje, tak dookoła.

Theo posłał jej jedno ze swoich spojrzeń, takie, które mogło skreślić wnętrze nawet staremu garownikowi.

- Nie, nie będę niczego objadał. Nie będę, bo zrobimy tak, złotko: zaniesiesz ten talerz do sracza, wrzucisz to wszystko do kibla i zaczniesz spuszczać wodę. Będziesz ją spuszczała dopóty, dopóki na środku jeziora Lanier nie wypłynie wielka, niebieska kupa. Wtedy wrócisz do kuchni i przyniesiesz mi prawdziwe racuchy z jagodami. Rozumiesz?

I przeszył ją spojrzeniem. Kelnerce odebrało mowę, przestała nawet mlaskać gumą. Jack trochę jej współczuł, chociaż wiedział, że Theo robi to tylko na pokaz, ze względu na Krwawego Buda. Biedaczka wzięła talerz i spiesznie odeszła.

Bud zachichotał, merdając wykałaczką jeszcze intensywniej niż przedtem.

- Podoba mi się twój styl, kolego.

Theo zachował kamienną twarz.

- Tak jak powiedział Jack: za miesiąc Montalvo trafi za kratki.

- Ale wciąż nie odpowiedzieliście na moje pytanie. A jeśli nie trafi?

- Wtedy zatrzyma pan dwadzieścia pięć tysięcy i zwrócę panu ćwierć miliona - odparł Jack. - W miesiąc zarobi pan dwadzieścia pięć kawałków.

- Zwróci mi pan jak?

- Dam panu weksel. Na dziesięć procent.

- Na dwadzieścia - odparł Krwawy Bud. - I zanim wyłożę choćby centa, chcę mieć dowód, że wiecie, gdzie jest Montalvo. Mam to gdzieś, że jest pan synem byłego gubernatora. Nie wyłożę kasy na słowo.

Jack nie chciał rozgrywać swojej ostatniej karty, ale tylko ktoś taki jak Bud mógł w kilka

dni zorganizować tak duże pieniądze. Wyjął z kieszeni dyktafon i podał mu go wraz ze słuchawkami.

- Montalvo porwał moją dziewczynę. To nasza rozmowa telefoniczna. Ma zniekształcony głos, ale na końcu się zdradza. To „Tomasz” Gwałciiciel.

Krwawy Bud spojrział na niego bardziej niż sceptycznie, ale Jack zdecydowanie nie chciał wchodzić w szczegóły i tłumaczyć mu, że Mia to dawna Teresa.

- Śmiało - dodał. - Słyszało to tylko FBI.

Bud wetknął słuchawkę do ucha, wcisnął PLAY i bez słowa słuchał przez kilka minut. Nagranie kończyło się odpowiedzią porywacza na podchwytliwe pytanie Jacka, czy Mia „ciągle ma w sobie to coś”. Sceptycyzm nieco zmalął, jednak Krwawy Bud wciąż nie był przekonany.

- Zgoda, facet przyznaje, że jest „Tomaszem” Gwałciicielem. Ale ma zniekształcony głos. Skąd mam wiedzieć, czy nie chcecie wykręcić mi jakiegoś numeru?

- A słyszałeś głos Jacka? - spytał Theo. - Jeśli udawał, powinien dostać Oscara.

Bud wziął głęboki oddech, jakby chciał przyznać - choć niechętnie - że może coś w tym jest.

- Macie jakiś plan, panowie geniusze?

- A czy Miami habla español? - odparł Theo.

- Hę?

- To znaczy: „Tak” - wyjaśnił Jack.

- Jaki?

Jack nie mógł powiedzieć mu wszystkiego, ale każdy pożyczkodawca ma prawo żądać zapewnienia, że jego pieniądze nie zostaną bezsensownie roztrwonione.

- Składa się z kilku prostych punktów. Po pierwsze, dalej będę rozmawiał z nim tak, żeby utrzymać go w przekonaniu, że wykonuję jego polecenia i nie wciągamy w to policji.

- Sam go pan aresztuje?

- Nie, FBI. Ale moja w tym głowa, żeby uwierzył, że działam sam. I to ja będę negocjował warunki wymiany z ręki do ręki. Dostanie pieniądze, kiedy odda mi dziewczynę. To jedyny sposób, żeby wywabić go z kryjówki i wystawić policji.

- Jak namówi go pan do takiej wymiany?

- Właśnie tu na scenę wkracza pańska pożyczka. Muszę go przekonać, że okup jest tak duży, że warto zaryzykować. FBI jest skłonne wyłożyć tylko dwadzieścia pięć tysięcy, na przynętę. Żeby go wywabić, potrzebuję o wiele więcej.

Wyglądało na to, że Krwawy Bud dał się w końcu przekonać, ale nie, nie do końca.



- Ćwierć miliona to kupa forsy - powiedział. - Nawet jeśli ma to być tylko przynęta, skąd pewność, że kasa nie przepadnie? Muszę mieć jakieś zabezpieczenie.

- Gdybym je miał, poszedłbym do banku - odparł Jack.

- Nie mówię, że pełne, na całą kwotę. Wystarczy coś, co przekona mnie, że gramy na serio.

Theo sięgnął do kieszeni i rzucił na stół kopertę. Krwawy Bud otworzył ją i zajrzał do środka.

- Co to?

- Notarialny akt własności i koncesja na sprzedaż alkoholu.

Jack nie wierzył własnym oczom.

- Człowieku, co ty robisz?

- Cicho - warknął Theo. Spojrzał prosto na Buda. - To mój bar, tawerna U Sparky'ego. Tak naprawdę to gównno warta nora. Ale działkę i koncesję opchniesz za dwieście tysięcy.

Jack miał ochotę zabrać im kopertę i wrzasnąć: „Wykluczone!”. Ale zanim zdążył zareagować, Krwawy Bud schował ją za pazuchę.

- Na kiedy potrzebujecie pieniądze?

- Góra za dwa dni - odparł Theo.

- Szybko.

- Gdybym się nam nie spieszyło, zaciągnęlibyśmy kredyt hipoteczny. To co? Zdażysz?

- Spoko. Ale wyjaśnijmy sobie jedno. Dwadzieścia pięć tysięcy nie podlega zwrotowi. Jeśli za trzydzieści dni Montalvo nie trafi za kratki, U Sparky'ego zmieni właściciela. A jeśli chodzi o resztę kasy, to znajdę was, panowie. - Krwawy Bud zacisnął wielką pięść i połówki wytatuowanej pajęczej sieci utworzyły całość. - Montalvo mi uciekł. Wy nie uciekniecie.

- Nie zamierzamy - zapewnił go Theo.

Bud dopił resztkę kawy, wstał i uściśnął im rękę.

- Rano zadzwonię i powiem, kiedy zrobię przelew. Interesy z wami to czysta przyjemność.

- Z panem również.

Krwawy Bud wyszedł z jadalni. Kiedy tylko zamknęły się drzwi, Jack rzucił się na Thea.

- Po jaką cholere to tu przyniosłeś?

- Tacy jak on nie wykładają kasy bez zabezpieczenia. Myślisz, że dowiedziałem się o tym dopiero tutaj, w Atlancie?

- Chciałem przekonać go, że dorwiemy Montalva, miałem nadzieję, że to wystarczy.

- Marzyciel z ciebie. Bud może być krwawy, ale to nie znaczy, że nie jest również biznesmenem.

- Ty też jesteś biznesmenem, do cholery! - odparł coraz bardziej spięty Jack. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

- Nie miałbym knajpy, gdybyś nie wyciągnął mnie z celi śmierci i nie załatwił mi odszkodowania za pogwałcenie moich praw obywatelskich.

- Zabrali ci cztery lata życia: tobie, nie mnie. Odszkodowanie było twoje!

- Właśnie. I mogę zrobić z nim co chcę.

- Theo, mówimy o twoim barze. O twoim marzeniu. Nie możesz tak ryzykować.

Theo spoważniał.

- Kochasz ją czy nie?

Jack nie odpowiedział.

- Tak myślałem - mruknął Theo.

Jackowi dosłownie odebrało mowę. Theo z własnej woli zrobił coś, o co on nigdy by go nie poprosił. Nie był pewny, co właściwie czuje, ale czuł to całym sobą, radość, satysfakcję i zażenowanie, czyli to, co ogarnia kogoś, kto w końcu uświadomił sobie, że jego przyjaciel jest kimś lepszym niż on.

- Tylko zrób coś dla mnie, dobra? - powiedział Theo.

- Wal.

- Nie schrzań tego.

Jack nie wiedział, czy chodzi mu o dostarczenie okupu, czy o przyszłość jego i Mii. Ale w jednym i drugim wypadku odpowiedź brzmiałaby tak samo.

- Nie schrzań. Przymkam.

# 45

Jack złapał jej byłego adwokata w bibliotece federalnego sądu apelacyjnego. Choć od czasów pamiętnego przesłuchania wstępne upłynęło siedem lat, Henry Talbridge bardzo się postarzał, co mogło oznaczać, że dobijając siedemdziesiątki, ma kłopoty ze zdrowiem. Wyszli z sali i przystanęli na końcu długiego marmurowego korytarza, pod imponującym portretem Thomasa A. Clarka, sędziego i prawdziwego dżentelmena, którego Jack pamiętał z czasów, kiedy pracował jeszcze w Instytucie Wolności. Rutynowo wysyłał wtedy do niego prośby o odroczenie egzekucji, z których większość Clark szybko (i słusznie) odrzucał, ale gdy zasiadał w komisji apelacyjnej, zawsze tliła się iskierka nadziei. Niestety, Talbridge nie robił wrażenia człowieka równie otwartego.

- Przykro mi, młodzieńcze, ale nie mogę rozmawiać z panem o sprawie Teresy.

- To bardzo ważne.

- Tak, tak, słyszałem to od dwudziestu kilku reporterów, którzy dzwoniли dzisiaj do mojej kancelarii. Odkąd FBI wysłało list gończy za Gerardem Montalvo, prasa nie daje mi spokoju. Żeby choć trochę popracować, musiałem uciec aż tutaj. Jak, do diabła, mnie pan tu znalazł?

- Pańska sekretarka dała mi cynk.

- Wirginia? Nieprawdopodobne. Ona dochowuje tajemnic lepiej niż CIA.

- Ja też jestem adwokatem i też pracuję na własną rękę. Żeby z panem porozmawiać, przyleciałem aż z Miami.

- Aaa, teraz wszystko jasne. Wirginia ma słabość do prawników, którzy nie są na tyle zarozumiali, żeby nie polizać własnego znaczka pocztowego czy nie podnieść słuchawki telefonu.

- A więc odpowie pan na kilka pytań? To zajmie tylko chwilę.

Widać było, że Talbridge mu współczuje. Może i współczuł, lecz się nie ugiął.

- Nawet gdybym chciał z panem porozmawiać, wszystko to, co mi wtedy powiedziała, jest poufne.

- Coś panu zaproponuję. Już prawie wieczór. Moglibyśmy gdzieś wyskoczyć? Jeśli w ciągu pięciu minut nie skłonię pana do zmiany zdania, stawiam panu kolację w Bone's. - Jack nie znał zbyt wielu restauracji w Atlancie, ale każdy, kto jadał steki, znał Bone's.

- Zgoda, panie kolego.

Pojechali oddzielnie, dwoma samochodami, i już dwadzieścia minut później siedzieli przy stoliku z siostrą Mii. Jack uprzedził ją telefonicznie i prosił, żeby przyszła. Cassandra nie знаła Talbridge'a, ale gdy Jack ją przedstawił, na twarzy starca zagościł uśmiech.

- Boże święty, jest pani bardzo podobna do siostry.

- Dziękuję - odparła Cassandra. - Kiedy pana zaangażowała, miała chyba tyle lat, ile ja teraz.

Siedzieli przy kwadratowym stoliku na cztery osoby i żeby widzieć Talbridge'a, Jack musiał przesunąć wazon z kwiatami w stronę wolnego miejsca.

- Rodzinne podobieństwo nie jest już tak silne - powiedział.

- Zauważyłem.

- Widział pan zdjęcie Mii?

- Tak. Ci z FBI pokazali mi je, zanim wysłali list gończy za Montalvem. Pytali mnie, czy moim zdaniem to Teresa.

- I co pan odpowiedział?

- Że to możliwe. Szczerze mówiąc, widzę więcej podobieństw między Cassandrą i Teresą niż między Teresą i Mią.

- To już nieistotne - powiedziała Cassandra. - Dzwonili do mnie dziś rano. Porównali próbki DNA. Teresa to na pewno Mia Salazar.

Jack nic o tym nie wiedział, ale to by wyjaśniało, dlaczego FBI tak napierało, żeby jak najszybciej wysłać list gończy.

- Niewiarygodne - rzucił w zadumie Talbridge. - Przez te wszystkie lata myślałem, że moje zeznania ją zabiły. Próbowaliśmy po prostu obalić zarzut Montalva, że Teresa oskarża go dla pieniędzy. A tu szast-prast, i nagle obydwójce znikają. Reszty nie muszą wam chyba mówić. Policja nie znalazła jej ciała, ale zdawało się oczywiste, że to sprawka tego bandziora.

- Niestety, wygląda na to, że w końcu ją dopadł.

- Tak, wiem, czytałem sprawozdanie z konferencji prasowej FBI. Biedaczka. Nie mogę uwierzyć, że ten koszmar jeszcze się dla niej nie skończył.

- Dlatego potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Jack, proszę mi coś wyjaśnić - odparł Talbridge. - Jaką właściwie odgrywa pan w tym rolę?

Jack nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

- To trochę skomplikowane...

- Nie, całkiem proste - przerwała mu Cassandra. - Teresa rozpoczęła nowe życie jako Mia. Zakochali się w sobie i Jack robi teraz wszystko, żeby ją odzyskać, łącznie z tym, że

chce zapłacić okup.

Nie była to prawda, a przynajmniej nie do końca - Cassandra pominęła kilka rzeczy, choćby to, że Mia była mężatką - ale ta swoista wybiórczość podziałała na Jacka kojąco. Może to rzeczywiście takie proste. Może właśnie to dodawało mu sił.

- Tak? - spytał Talbridge. - Chce pan zapłacić?

Jack kiwnął głową.

- Właśnie organizuję pieniądze.

- Ale czy ona nie jest przypadkiem żoną jakiegoś bogatego przedsiębiorcy z Palm Beach?

- Nie rozbiłem ich małżeństwa.

- O nic pana nie oskarżam, panie kolego. Jej mąż nie zapłacił?

- Twierdzi, że zapłacił, ale mam co do tego wątpliwości. Tak czy owak, kwota okazała się za mała. Jestem jej ostatnią deską ratunku. Zorganizowałem dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i chcę dokonać wymiany z ręki do ręki. Nie ma Mii, nie ma pieniędzy.

Cassandra delikatnie dotknęła dłoni Talbridge'a.

- Jack bardzo ryzykuje, panie mecenasie.

Starzec zetknął palce w piramidkę i pogrążył się w zamyśleniu. Po chwili spojrzął na zegarek.

- Nie wiem, czy wyrobił się pan w pięć minut, ale chyba nie będzie pan stawiał mi kolacji.

Jack zdążył już zapomnieć o ich umowie i chwilę trwało, zanim o tym sobie przypomniał.

- A więc możemy porozmawiać szczerze i otwarcie?

- Ujmę to tak - odparł Talbridge. - Przeszkadza nam trochę kwestia tajemnicy adwokackiej, ale właśnie mianowałem pana moim doradcą w sprawie cywilnej „Teresa Bussori przeciwko Gerardowi Montalvo”.

- W sprawie, której nie ma - dodał Jack.

- I nigdy nie będzie. Ale jeśli już płaci pan okup, najwyższa pora, żebym zapoznał pana z faktami.

- A ja bardzo chętnie pana wysłucham - rzekł Jack. - Do samego końca.

## 46

Po kolacji pożegnał się z Cassandrą i pojechał za Talbridge'em do jego kancelarii w śródmieściu. Mieściła się w starym budynku, mniejszej wersji słynnego Flatiron Building w Nowym Jorku, trójkątnym „żelazku” na południowej stronie skrzyżowania w kształcie litery X. Zajmowała dwa pomieszczenia na drugim piętrze, a ponieważ miała kształt kawałka słodkiego placka, to, co się w niej znajdowało, można by nazwać nadzieniem. Stało tam kilka krzeseł, ale nie dało się na nich usiąść, ponieważ każdy skrawek wolnej powierzchni wypełniały opasłe tomy akt, notesy, notatniki i książki prawnicze. Były również szafki, ale niemal całkowicie ukryte za sięgającymi pod sufit stertami zakurzonych pudeł, które zasłaniały nawet okna. Wiele z nich musiało tam leżeć od lat, bo zdążyły już pożółknąć i porządnie się wybrzuszyć. Wyglądało to tak, jakby ktoś poukładał uśmiech na uśmiechu, te najszersze dając na samym dole.

- Jej akta na pewno gdzieś tutaj są - mruzczał Talbridge. - Mają dopiero siedem lat...

- Dopiero?

- Tak, sprzątam tu raz na dziesięć, czy trzeba, czy nie.

Dopiero teraz Jack w pełni zrozumiał, dlaczego w ciągu czterdziestu lat prywatnej praktyki adwokackiej starzec nigdy nie miał współnika. Był prawdziwym Oscarem Madisonem, przy którym Theo Knight wyglądał jak Felix Unger<sup>11</sup>.

- Wie pan chociaż, gdzie ich szukać?

- Nie mam zielonego pojęcia. Zadzwońię do sekretarki. Nie wiem, jak ona to robi, ale zawsze wszystko znajdzie.

Talbridge powiódł wokoło wzrokiem w poszukiwaniu telefonu, jakby czuł, że aparat musi gdzieś tam być, wśród tych wszystkich akt i papierzysek. Po chwili zrezygnował i wyjął komórkę. Rozmowa była krótka, przerywana licznymi chrząknięciami i zakończona cichym: „Bardzo cię przepraszam, Wirginio”. Skończywszy, schował telefon i spojrzał na Jacka.

- Jestem z nią od zawsze i zawsze jest tak samo. Najpierw wyzywa mnie od najgorszych i ochrzania za to, że dzwonię do niej do domu i pięć minut później oddzwania z odpowiedzią. Musimy troszkę zaczekać. Lubi pan dobre cygara?

---

<sup>11</sup> Oscar Madison i Felix Unger - bohaterowie sztuki Dziwna para Neila Simona i nakręconego na jej podstawie filmu. Unger jest hipochondrykiem z obsesją na punkcie czystości, natomiast Madison, jego przyjaciel, roztrzepany i bałaganiarskim dziennikarzem sportowym.

- Nie, właściwie to nie przepadam za cygarami. - Ot, i kolejne źródło kulturowego zażenowania dla ukochanej babci półkrwi kubańskiego wnuczka.

Talbridge zapalił, łamiąc przy tym kilka długich zapalek.

- Tylko niech pan nie mówi mojemu lekarzowi.

Po godzinach pracy klimatyzacja nie działała i pokój szybko wypełniła chmura dymu.

- Ta ugoda za jednego dolara, czyj to był pomysł? Pański czy Charlene Wright?

Talbridge zaciągnął się głęboko z błogą miną zagorzałego wielbiciela cygar.

- Teresy.

- Ona naprawdę zamierzała złożyć pozew cywilny?

- Przyszła do mnie, bo nie знаła swoich praw jako ofiary gwałtu. Nie, interesował ją głównie przebieg procesu. Chciała być na bieżąco i bardzo zależało jej na tym, żeby prokurator nie dogadał się potajemnie z rodziną Montalva i żeby nie skończyło się to lekkim klapsem w pupę.

- Ale rozmawialiście o pozwie?

- Oczywiście. Przecież w tym, że egzekwując swoje słuszne prawo, ofiara domaga się odszkodowania od gwałciciela, nie ma absolutnie nic złego. Gdybym grzmotnął pana w głowę kijem hokejowym, podałyby mnie pan do sądu, prawda? Teresa nie była idiotką, która żąda milionowego odszkodowania za cios psychiczny, jakim było to, że nie znalazła nagrody w paczce chipsów.

- Ale była skłonna z tego z prawa zrezygnować.

- Kiedy przyszła do mnie z propozycją ugody za jednego dolara, uznałem, że to pomysł bez zarzutu. Chciała zrobić z tego drugorzędną sprawę. Ale kiedy tylko wyszliśmy z sądu, adwokaci Montalva zaczęli podpuszczać media.

- To znaczy?

- Próbowali im wmówić, że to chwyt reklamowy, taki pod publiczność. Że wyskoczyliśmy z tym, dobrze wiedząc, że podczas procesu każdy sędzia to odrzuci. Takie tam idiotyzmy.

- Jak na to odpowiedzieliście?

Talbridge spojrział na nierówno nadpalony koniuszek cygara i trzasnął kolejną zapalką.

- Początkowo nijak. Uważałem, że kopią pod sobą coraz głębszy dołek. Ale szybko uznałem, że nie są tacy głupi, że to prawdziwi spece od PR-u.

- Rozumiem, że szykowali się do kontrataku.

- O, tak. Ale stary jelen wychodzi dopiero o brzasku.

- Słucham?

Talbridge uśmiechnął się z dymiącym cygarem między zębami.

- Przepraszam. My, południowcy, mamy mnóstwo powiedzonek, które oczywiście wiążą się z daną nam przez Boga umiejętnością gadania o niczym, dopóki nie wymyślimy czegoś konkretnego. Chciałem tylko powiedzieć, że Henry Talbridge nie jest głupcem. Dobrałem się do tego Montalvo i jego wysoko opłacanych spindoktorów. Zwiertzyłem, że mają coś w zanadrzu.

- Jaką kontrpropozycję?

- A gdzie tam. Na ugodę nie zwrócili nawet uwagi. Chcieli, żeby Gerard przeszedł test na wykrywaczu kłamstw. Wie pan, taki spreparowany, przeprowadzony przez jakiegoś sprzedajnego fagasa, który dałby im za pieniądze wynik jak marzenie. Wtedy pobiegliby do prasy i powiedzieli, że Gerard świetnie wszystko zaliczył. Ale ja postanowiłem uprzedzić cios.

- Jak?

- Poszedłem do Charlene Wright i zaproponowałem, żebyśmy zrobili test Teresie.

Zanim Jack zdążył go dopytać, zabręczała komórka. Talbridge odebrał. Najpierw było potulne: „Tak, kochanie”, potem obietnica, że już nigdy nie zadzwoni do niej do domu, wreszcie schował komórkę do kieszeni.

- Mówiłem, że oddzwoni. Pomoże mi pan, panie kolego? Wygląda na to, że będziemy musieli dokopać się do samego dna sterty D.

Przeszli do sali konferencyjnej, którą wypełniały pudła jeszcze starsze niż te w sekretariacie.

- Ma pan mocniejszy kręgosłup, młodzieńcze. To ta, D-jedenaście, drugie pudło od dołu.

Jack zdejmował po dwa naraz, aż dotarł do właściwego.

- No i? - spytał. - Zrobiliście ten test?

Talbridge otworzył pudło i szybko przejrzał akta.

- O, tak. Właśnie to chciałem panu pokazać. - Wyjął kartonową teczkę i oznajmił: - Jest.

- Co to?

- Wyniki badania na poligrafie. Uzgodniliśmy z Charlene, że wynajmiemy najlepszego specjalistę w branży, i tak zrobiliśmy. Facet pracował przedtem w FBI, miał takie referencje, że głowa boli. Badał uczciwie, bez żadnych oszustw i sztuczek. Nie wszyscy wierzą w skuteczność wykrywaczy kłamstw, ale przed nim chylili czoło nawet najwięksi sceptycy.

Sposób badania, czas, miejsce - Jack przekartkował protokół, pomijając standardowy wstęp. Od razu zajrzał na ostatnią stronę, do wyników, i znieruchomiał.

- Nie przeszła - skonstatował z niedowierzaniem.

- Ano właśnie. Nie przeszła. Ciekawe, prawda?



Jack spojrział na starego adwokata i pokój nagle przesłoniła mgła, wielka chmura dymu z cygara.

- Tak. Powiedziałbym nawet, że bardzo.

Wrócił do Miami nazajutrz rano i z lotniska odebrał go Theo. Mało brakowało i Jack nie poznałby jego starego volkswagena, bo na dachu samochodu, zachodząc aż na przednią szybę, piętrzyła się dziwaczna konstrukcja. Miała sześćdziesiąt centymetrów wysokości, sześćdziesiąt długości i była chyba z włókna szklanego. Przypominała trochę montowany na dachu aerodynamiczny bagażnik samochodowy, z tym że ten miał tylko nos. Jack nie potrafił sobie wyobrazić, jak coś takiego mogłoby poprawić wygląd czy osiągi niskiej jetty Thea.

- Co to jest? - spytał, wsiadając.

- A jednak zauważyłeś, co?

Równie dobrze mógłby spytać, czy zauważył trzecie oko pośrodku czyjzegoś czoła.

- Zauważyłem. Co to?

- Otwórz umysł, bracie. - Theo włączył się do ruchu. - Wpadłem na ten pomysł wczoraj wieczorem. Widziałem faceta, który jechał autostradą z materacem na dachu. Miał się pewnie za jakiegoś supermena albo co, bo z wystawioną przez okno ręką pruć co najmniej dziewięćdziesiątką. Rękę miał chudą jak patyk, kościstą, a materac był wielki, taki podwójny, no wiesz. Na pewno też widziałeś takich idiotów.

- No... tak, widziałem - odparł ostrożnie Jack.

- Patrzę na niego i myślę: hej, musi być lepszy sposób, nie? I wtedy mnie olśniło: spojler materacowy.

- Co takiego?

- Pomyśl. Krwawy Bud da nam ćwierć melona, tak? Powiedzmy, że weźmiemy z tego dychę na budowę prototypu. Kolejne dwie dychy poszłyby na kampanię reklamową. Zrobisz dobrą kampanię i sprzedasz pulpety wegetarianinowi.

- Theo, co ty paliłeś?

- Dobra. To może chociaż pięć?

- Tysięcy? Nie włożę w to ani pięciu centów.

Theo jęknął i skupił się na prowadzeniu.

- Idź w cholere. Właśnie dlatego nigdy nie będziesz bogaty.

Przez kilka kilometrów jechali w milczeniu i Theo, przekląwszy wszystkich nieudolnych kierowców między lotniskiem i Coral Gables, zapomniał wreszcie o swoich spojlerach.

- Jak poszło z Talbridge'em?

- Dobrze - odparł Jack. - To znaczy, szło dobrze, dopóki nie pokazał mi wyników badania na poligrafie. Mia nie zaliczyła. Mia, a raczej Teresa.

- Zrobili jej badanie na wykrywaczu kłamstw?

Jack wyjął protokół z teczki, jakby, wciąż w to nie wierząc, musiał zobaczyć go jeszcze raz.

- Zadano jej trzy pytania. Pytanie pierwsze: „Czy zgwałcił panią Gerard Montalvo?”.

Odpowiedź: „Tak”.

- Skłamała?

- Według prowadzącego badanie, odpowiedź nosiła cechy kłamstwa.

- Kurczę, ale schiza! Jakie było drugie pytanie?

- „Czy Gerard Montalvo zmusił panią do seksu wbrew pani woli?”. Na to też odpowiedziała twierdząco.

- I znowu skłamała?

- Tak, przynajmniej według tego specy.

- Niedobrze, brachu. A trzecie pytanie?

- Dotyczyło blizny na udzie. „Czy to Gerard Montalvo spowodował uraz na pani nodze?”

I tym razem odpowiedziała: „Tak”.

- Co na to spec?

- Nie powiedział, że skłamała, ale i nie uznał, że powiedziała prawdę. Napisał, że wynik jest „niejednoznaczny”.

- No nie, co to za lamer?

- Po prostu nie można stwierdzić na pewno, czy kłamała, czy nie. Zdarza się to częściej, niż myślisz.

Theo zatrzymał się na czerwonym świetle i zaczął bębnić palcami w kierownicę, jakby wybijanie rytmu pomagało mózgowi przetwarzać informacje.

- Dlaczego ta prokuratorka nie powiedziała ci o poligrafie? Ta jak jej tam? Charlene?

- Charlene Wright. Wczoraj późnym wieczorem zadzwoniłem do niej i spytałem o to samo.

- I co ci powiedziała?

- Była zaskoczona, że Talbridge dał mi te wyniki. Nie bardzo chciała rozmawiać, ale wyciągnąłem z niej ważną rzecz. Nigdy nie przestała wierzyć w Teresę.

- A jak wytłumaczyła te wyniki?

- Uważa, że to nic dziwnego. Jeśli się weźmie pod uwagę stres i groźby Montalva i jego

kumpli. W takich warunkach nikt by tego nie zaliczył.

- Co myśli o tym Talbridge?

- W sumie zgadza się z Charlene, ale twierdzi, że te wyniki bardzo jej zaszkodziły. To był jej koniec. Za bardzo wierzyła w niewinność Teresy i straciła przez to całą wiarygodność w oczach przełożonych.

- Niezły przypał. Jasne, to źle, że Mia nie przeszła testu, ale te wszystkie poligrafy nie są w stu procentach wiarygodne.

- To prawda, lecz zwykle jest tak, że oskarżenie przykłada do nich większą wagę niż obrona. No i nie zapominaj, że Mia zgłosiła się na policję dopiero trzy dni po gwałcie. To znaczy, że przez ten czas myła się, przebierała, chodziła do toalety. Po siedemdziesięciu dwóch godzinach badanie lekarskie niewiele wykaże. To była sprawa z cyklu „on powiedział, ona powiedziała”. Z wyjątkiem tej blizny na udzie. A badanie na poligrafie nie potwierdziło jednoznacznie, że zrobił to Montalvo.

- Więc co to właściwie znaczy? Prokuratura dalej go ściagała czy chciała zamknąć sprawę?

- Właśnie to próbowałem wyciągnąć z Charlene. Lecz nic z tego.

- Może sami do tego dojdziemy. Jaka była kolejność wydarzeń? Ale tak dokładnie.

Zmieniło się światło. Jack schował protokół do teczki i ruszyli.

- Talbridge zeznawał ostatniego dnia przesłuchania wstępnego. Ponieważ zaraz potem odkrył, że Montalvo chce zrobić badanie na wykrywaczu kłamstw i sprzedać wyniki prasie, umówił się z Charlene Wright, że następnego dnia zrobią badanie Teresie. Ku ich zaskoczeniu Teresa oblała. Mniej więcej dwie godziny później sędzia orzekł, że istnieją wystarczające podstawy do wszczęcia procesu.

- Oczywiście nie wiedział, że domniemana ofiara oblała test.

- I tak nie dopuszczono by tego jako dowodu, ale nie, nie wiedział. Wiedziała tylko Mia, prowadzący badanie, Talbridge i Charlene Wright.

Theo zmienił pas, bo zbliżali się już do kancelarii.

- A więc sędzia wydaje orzeczenie, a prokuratorka dostaje wyniki badania na poligrafie, które dowodzą, że ofiara kłamie. Co w tym układzie robi Charlene W.? Wycofuje zarzuty czy zapomina o wynikach i pełną parą wali dalej?

- Każdy porządny prokurator zrobiłby przynajmniej jedno: pogadałby szczerze z oskarżającym. Ale prawda jest taka, że nigdy się nie dowiemy, jak Charlene i jej przełożeni chcieli rozstrzygnąć ten dylemat. Mia i Montalvo zniknęli niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak sędzia podjął decyzję.

- Co zmusza do zastanowienia, bo niby po co skarżąca i oskarżony mieliby zostawiać

wszystko, co mieli, odwracać się od znajomych i rozpoczynać nowe życie jako zupełnie ktoś inny?

- Bez względu na to, czy Mia mówiła prawdę, czy nie, jest całkiem prawdopodobne, że uciekła ze strachu, że Montalvo będzie próbował się na niej zemścić. Tym bardziej prawdopodobne, jeśli kłamała, bo wtedy nie miałyby motywacji, żeby stawić czoło groźbom Montalva i dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

- Dobra, to kupuję. Ale trudniej jest odpowiedzieć na pytanie, dlaczego uciekł Montalvo?

- Bo był winny?

- Zgoda, jednak teraz to powód bardzo dyskusyjny.

- Bo myślał, że skażą go, chociaż był niewinny?

- Ilu niewinnych ucieka po głupim przesłuchaniu wstępnym?

Uwaga była celna i Jack się zamyślił.

- Może trzeba spytać o coś zupełnie podstawowego. Na przykład... winny czego?

- Nie chwytam.

- Może Montalvo wcale nie bał się tego, że uznają go za winnego gwałtu. Może bał się, że obarczą go odpowiedzialnością za nagłe zniknięcie Mii po tym, jak sędzia postanowił wszcząć proces?

- Dobra, ale co go aż tak przestraszyło?

Samochód zatrzymał się przed kancelarią. Jack położył rękę na klamce drzwiczek.

- Theo, mój przyjacielu. Właśnie tego musimy się dowiedzieć.

# 48

Wysiedli i weszli do kancelarii, gdzie Theo natychmiast dorwał się do miseczki z cukierkami. Dani, tymczasowa sekretarka Jacka, jak zwykle siedziała przy biurku w recepcji, ale tego dnia nie tryskała wesołością. Była wyraźnie przybita.

- Coś się stało? - spytał Jack.

- Nie, nic.

Jack był mężczyzną i miał na głowie masę spraw - jak na razie przegrywał dwa do zera - lecz nawet on widział, że jednak coś się stało. Udał, że przegląda pocztę na ladzie, ale przez cały czas z zafascynowaniem obserwował dziewczynę. Nie, zdecydowanie nie była sobą.

- Chcesz o tym pogadać? - spytał.

Dani wzruszyła ramionami.

- To przez mojego chłopaka. Dostał się na medycynę do Stanfordu.

- Jeju, Kalifornia. Kawał drogi. Aha. Zadzwoił i zerwał?

- Nie. Poprosił, żebym z nim wyjechała.

- Uuu, trudna decyzja. Bierzesz to pod uwagę?

- Myśli pan, że powinnam?

- Myślę, że... - Jack urwał. - Myślę, że powinnaś porozmawiać z rodzicami.

- Adwokat w każdym calu - odparła z uśmiechem Dani. - Niech pan się nie martwi. Nie pojedę. Ale gdybym wiedziała na sto procent, że to ten, nie wahałabym się ani sekundy.

Powiedziała to z taką pewnością siebie, że zaintrygowany Jack spytał:

- Naprawdę?

- Naprawdę. Moja babcia miała takie powiedzonko. Nie można wsiąść do pierwszego lepszego autobusu. Z miłością trzeba trochę inaczej.

- Aaa - wymlaskał Theo z ustami pełnymi miętówek. - Miłość znaczy, że nigdy nie musisz za nikim jeździć<sup>12</sup>. Stara teoria.

Dani zmarszczyła nos. Love Story wyświetlano w przedpotopowych czasach. Jack tylko pokręcił głową i poszedł do siebie. Wiedział, że Dani sobie poradzi. Żałował, że nie ma jej pewności siebie, wrodzonego wycucia, które podszeptęłyby, czy warto jechać za kimś na

---

<sup>12</sup> Theo trawestuje słowa bohatera filmu Love story, Olivera Barretta IV: „Love means never having to say you're sorry”.

drugi koniec kraju.

Może to ona powie mu, ile jest warta Mia.

Zapalił światło i podszedł do biurka. Theo opróżnił już miseczkę i w poszukiwaniu czegoś do picia buszował właśnie w małej lodówce obok pomocnika. Komputer był włączony i Jack szybko przejrzał pocztę. Pomiął mejle od znajomych nadawców. Niepokoiły go te od obcych - te, które mógł wysłać porywacz.

Jego uwagę przykuło intrygujące „Zajrzyj tu!”, ale okazało się, że jest to reklama tabletek odchudzających. Kilka innych listów też przyprawiło go o szybsze bicie serca, lecz najogólniej mówiąc, były to tylko spamy dla grubasów z małymi penisami, którzy chcieli wziąć szybką pożyczkę.

- Myślisz, że Mia skłamała? - spytał Theo. - Że Montalvo jej nie zgwałcił?

Jack oderwał wzrok od ekranu monitora.

- Teraz to już nic nie wiem.

- To badanie na wykrywaczu kłamstw... Nic ci przedtem nie mówiłem, ale chyba nie musiałem. Ja też nie zaliczyłem takiego testu. Pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Czasem za bardzo się starasz. Chcesz zaliczyć nie dlatego, że kłamiesz, tylko dlatego, że masz za dużo do stracenia. I przez to oblewasz.

- Wiem. Dzięki.

Jack przewinął listę nieprzeczytanych mejli i wreszcie znalazł coś obiecującego. „Nasza mała tajemnica” - tak brzmiał temat. Kliknął myszką i otworzył list, ale nie było tam żadnego tekstu. Na ekranie widniało cyfrowe zdjęcie. Początkowo nie wiedział, co to jest. Zmrużył oczy, żeby obejrzeć je z innej perspektywy. I nagle poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go młotem w głowę.

- O cholera - mruknął.

- Co jest? - spytał Theo.

Jack nie mógł się poruszyć, nie mógł wydusić słowa. Natychmiast zrozumiał, że zdjęcie jest swoistym zwiastunem tego, co zawiera załącznik.

Porywacz przysłał mu kolejny film.

Jack wziął głęboki oddech.

- Nic dobrego.

## 49

Ściągnął załącznik, zapisał go i zawiózł prosto do FBI. Obejrzał film raz i to wystarczyło. Oglądanie go z Andie Henning było nie do zniesienia. Na myśl, że będzie musiał przechodzić przez to po raz trzeci, w obecności psychiatry kryminalnego, robiło mu się niedobrze.

- Nie musi pan - powiedziała Andie.

Owszem, zastanawiał się, czy nie wyjść, ale uznał, że nie powinien, wyglądałoby to na akt rezygnacji.

- Nie, zostanę - odparł.

Przystawili sobie krzesła i Andie poprawiła monitor, żeby dobrze widzieli. Otwierając film zdjęcie było boleśnie znajome. Kamera nie pokazywała twarzy - ani na sekundę nie spuszczała szklanego oka z blizny na wewnętrznej stronie uda. Największe wrażenie robiła nie jej długość, tylko gęstość samej tkanki. Duże powiększenie wszystko wyolbrzymia, tak jak noc wyolbrzymia niepokój i lęk. Jack odbierał to jeszcze gorzej, bo wciąż pamiętał miękkość, gładkość, doskonałość idealnej skóry. Tymczasem skaza na udzie, ta ohydna blizna, szpeciła ją niczym wypływająca z ziemi lawa.

Andie wcisnęła przycisk odgrywania. Zaczął się film, zasyczały głośniki.

- Nie odszczekuj, tylko weź to. Pokaż mu. - Głos był zduszony, zniekształcony wacikiem albo jakąś inną wkładką w ustach.

- O czym pan mówi?

- Dobrze wiesz o czym. Pokaż mu, do cholery!

Rozległ się krótki pisk i ekran na sekundę ściemniał, jakby usunięto fragment nagrania. Jack wyobraził sobie, co to mogło być, i poczuł bolesne ukłucie w sercu. Wrócił obraz, to samo powiększenie blizny na udzie. Nie sposób było ustalić, jak długo trwała przerwa, w każdym razie porywacz zdążył przez ten czas trochę ochłonąć. W kolejnej sekwencji miał spokojniejszy głos.

- A teraz? Jesteś gotowa, Tereso?

Odpowiedzi nie było słyhać. Nie wiedzieli, czy i do jakiego stopnia Mia była gotowa, lecz nie ulegało wątpliwości, że spełniała każdy jego rozkaz. W kadrze ukazała się jej prawa ręka, ręka i zaciśnięty w niej trzonek rozbitej żarówki. Wystrzępione szkło było krystalicznie czyste, cienkie i ostre jak brzytwa. Ręka obróciła żarówkę w lewo, potem w prawo, jakby nie



mogła się zdecydować, która krawędź będzie lepszym skalpelem.

- Zrób to!

Naznaczona blizną noga podniosła się leciutko i opadła. Jack niemal czuł, jak jej płuca rozszerzają się i kurczą w głębokim, uspokajającym oddechu. Może tylko to sobie wyobrażał, ale wydawało mu się, że widzi, jak naprężają się mięśnie pod skórą. A potem zaskakująco pewną ręką Mia przytknęła długi kawałek szkła do górnego końca blizny. Szkło było tak ostre, że pierwsza kropla krwi ukazała się niemal natychmiast, bez żadnego nacisku. Ale ona powoli ten nacisk zwiększała i czubek szkła zniknął pod skórą. Zagłębiał się coraz bardziej i bardziej, aż krew spłynęła na szkło i kciuk. Nacisk ustał i wyjęła ostrze z nogi. Ale krew płynęła dalej - tyle krwi z tak małej rany - jak z paskudnego zacięcia żyłką. Skupione oko kamery ani drgnęło.

- Wszystko - rozkazał porywacz. - Pokaż mu wszystko.

Gdzieś pod tą krwią była przebita skóra. Mia przytknęła czerwony koniuszek szkła do blizny i powoli włożyła go z powrotem. Zdawało się, że obraz znieruchomiał na chwilę jak fotografia, bo wszelki ruch zamarł, nie słychać było żadnego dźwięku. W końcu ręka rozpoczęła powolną wędrówkę w dół, rozcinając całą bliznę. Krwawienie przybrało na sile, ale ona jeszcze nie skończyła. Doszedłszy do samego końca, z chirurgiczną precyzją rozpoczęła wędrówkę z dołu do góry, potem znowu z góry do dołu i z powrotem. Z każdym pociągnięciem ręki rana robiła się szersza i szkło wchodziło głębiej, z każdym pociągnięciem ręki krew płynęła szybciej. Wreszcie Mia rzuciła żarówkę między nogi i ekran szerniał.

Jack odetchnął. Andie wyłączyła monitor, jakby chciała zatrzeć wszystkie ślady tych niepokojących obrazów. Ani ona, ani on nie powiedzieli ani słowa, czekając na reakcję psychiatry.

Eve Stapleton przepracowała w policji dwadzieścia lat, w tym dziesięć w Oddziale Służb Śledczych w Quantico, gdzie widziała rzeczy najgorsze z najgorszych. Nie miała przez to mniej współczucia dla ofiar zbrodni, ale dzięki wyszkoleniu potrafiła zachować niemal akademicki spokój nawet wtedy, kiedy oglądała coś takiego.

Przez chwilę zbierała myśli.

- Zaczniemy od tego e-maila. Zwłaszcza od jego tematu.

- Składał się z trzech słów: „Nasza mała tajemnica”. Dlatego natychmiast wzbudził moje podejrzenia.

- Dlaczego? Brzmi to jak typowy spam.

- Podczas ostatniej rozmowy z porywaczem powiedziałem mu, że znam jego przeszłość i wiem, że jest „Tomaszem” Gwałcicielem. Doszliśmy do swego porozumienia

polegającego na tym, że zatrzymam to odkrycie dla siebie. Że nie powiem policji.

Andie odsunęła się z krzesłem od komputera i od nich.

- To, że nadał mejlowi taki tytuł, to oczywisty sarkazm - powiedziała. - Wczoraj rano wysłaliśmy list gończy. Szuka go cały świat.

- Wygląda na to, że Mia za to zapłaciła - zauważył Jack.

- To chyba coś więcej niż zemsta - odparła Stapleton. - On próbuje zasugerować, że siedem lat temu Mia, czyli Teresa, pocięła się, żeby upozorować gwałt.

- Zaraz, chwileczkę - zaprotestował Jack. - To, że jakiś psychol włącza kamerę i każe uprowadzonej się pociąć, nie musi znaczyć, że pierwotna rana powstała na skutek samookaleczenia.

- Nie ulega wątpliwości, że ją do tego zmusił. Przypuszczam, że wymazał z nagrania krzyk, by stworzyć fałszywe wrażenie, że sprawia jej to przyjemność.

- Każę moim ludziom to sprawdzić - powiedziała Andie. - Zresztą i tak szukaliby odgłosów tła, podobnie jak w poprzednim filmie.

Stapleton kiwnęła głową.

- Niemniej rozumiem, że wyniki badania na poligrafie wzbudziły pewne wątpliwości co do przyczyny pierwotnej rany. Na pytanie, czy to Montalvo ją zadał, odpowiedziała: tak. Prowadzący badanie nie potrafił ustalić, czy mówiła prawdę, czy nie.

- Poligrafy nie są niezawodne - odparł Jack. - Zwłaszcza kiedy bada się kobietę, którą nękaną i której od wielu tygodni grozono, ponieważ zawiadomiła policję, że doznała najkoszmarniejszego urazu fizyczno-psychicznego w życiu.

- To prawda - zgodziła się z nim Stapleton. - Ale to nie zmienia motywacji psychologicznej, jaka kryje się za tym nagraniem. Niewykluczone, że wywarły na nią wpływ same okoliczności gwałtu, które skłoniły sprawcę do uznania, że to wszystko jej wina. Że Mia na to zasłużyła, że sama się o to prosiła. Wśród gwałcicieli to dość powszechne usprawiedliwienie.

- Wypaczony umysł jest w stanie wypaczyć obraz czegoś, do czego doszło siedem lat temu. Nie mam wątpliwości, że kręcąc ten film, stosował wobec niej jakąś formę przymusu. To nie jest zwykła powtórka tego, co zrobiła przed siedmiu laty. To jest samookaleczenie pod lufą pistoletu.

- Zgadzam się z Jackiem - powiedziała Andie. - Według mnie, najistotniejsze pytanie, do jakiego powinien sprowokować nas ten film, brzmi następująco: dlaczego porywacz tak bardzo chce przekonać Jacka, że pierwotna rana powstała na skutek samookaleczenia?

Jack miał na ten temat własną teorię, ale najpierw chciał wysłuchać opinii psychiatry.

- Mam wrażenie - odezwała się Stapleton - że jego zdaniem zależy od tego to, na ile Jack wyceni jej życie. Żąda okupu, który będzie nie tylko odzwierciedleniem jej wartości, ale i zapłatą za to, co Mia, albo Teresa, zrobiła jemu, oskarżając go o gwałt, do którego w jego wypaczonym umyśle sama go sprowokowała.

Andie otaksowała Jacka spojrzeniem.

- Na pewno chce pan wyjąć pieniądze z własnej kieszeni i zapłacić komuś o takim sposobie myślenia?

- A jaki mam wybór?

- Może pan nie płacić.

- Byłbym wtedy niewiele lepszy od tego sukinsyna, jej męża. Godzinę później Mia by nie żyła. Jestem tego pewny. Już to przerabialiśmy. Obiecała pani załatwić więcej pieniędzy na przynętę.

- I załatwiłam.

To wzbudziło jego zainteresowanie.

- Tak?

- Tak, ale mają być wykorzystane tylko jako przynęta. Uprzedzałam pana: FBI nie rozdaje pieniędzy na okupy. Może mu je pan pokazać. Może pan nawet dać mu niewielką kwotę, licząc na to, że wytropimy znaczone banknoty. Ale to nie jest pożyczka ani podarunek, którym może pan dowolnie rozporządzać.

- Czyli załatwiacie przynętę, ale nie chcecie ryzykować jej utraty - podsumował Jack.

- Chcę jedynie powiedzieć, że mamy swoje ograniczenia.

- Ile chcecie wyłożyć?

- Dostałam zgodę na pięćdziesiąt tysięcy.

- To za mało.

- To wszystko, co mogłam załatwić. Ale i tak musi pan pójść na pewne ustępstwa.

- Aha, dopisek drobnym druczkiem. Słucham.

- FBI musi mieć większą kontrolę nad pańskimi kontaktami z porywaczem.

- Wciąż nie możecie ścierpieć, że powiedziałem mu o „Tomaszu” Gwałcicielu?

- Choćby dlatego. Ale mam na myśli kontrolę bardziej wszechstronną. Decyzja płacić czy nie, wysokość okupu, czas, miejsce, sposób przekazania pieniędzy - to ja mam o tym decydować, nie pan. Pańskie rozmowy z porywaczem będą bardziej wyreżyserowane, podobnie jak pańskie ruchy i codzienne poczynania.

- A jeśli odmówię?

Andie się zawahała, jakby szukała najlepszego argumentu.

- Myślę, że powinien pan pogodzić się z tym, że to nasze zadanie i że nie jest pan w stanie podejmować obiektywnych decyzji.

- Innymi słowy, przyjmując wasze pieniądze, zrezygnuję z prawa do sprzeciwu.

- Nie zamierzam pana do niczego zmuszać. Musi pan definitywnie zrezygnować tylko z jednego: nie ma pan prawa kazać nam się wypchać i powiedzieć, że załatwi pan to sam.

Jack nie chciał obrazić Andie, ale przypomniała mu się Ashley Thornton. FBI niewiele jej pomogło.

- Chciałbym o coś spytać. O to pierwsze uprowadzenie, które odkryliście dzięki komputerom. O tego młodego mechanika samochodowego, który za dziewiętnaście tysięcy dolarów sprzedał wszystko co miał, żeby odzyskać żonę.

- Tak?

- Braliście w tym udział?

- Nie. Porywacz zakazał mu dzwonić na policję, więc biedak nie zadzwonił. Doniósł o porwaniu dopiero po uwolnieniu żony.

- A Drew Thornton? Też miał zakaz?

- Tak - odparła cicho Andie.

Odpowiedź Jacka była jak sunący po torach pociąg towarowy, którego nie sposób zatrzymać.

- Nie mówię, że wam nie ufam. I nawet nie sugeruję, że nie chcę, by mieszało się do tego FBI. Ale wolę mieć wolną rękę.

- Nie chce pan naszych pieniędzy?

- Nie na takich warunkach. Proszę posłuchać: zgadzam się, że najbezpieczniej by było, gdyby udało mi się utrzymać z nim stały kontakt i wyciągnąć z niego coś, co pozwoliłoby wam go namierzyć. Ale to nagranie jest jednoznacznym dowodem, że nie ma na to czasu. On jest tak sprytny, że nie chce nawet ze mną rozmawiać. Nie negocjuje - przysyła nagrania i mejle. Musimy zmusić go do odsłonięcia kart, do popełnienia błędu.

Andie nie odpowiedziała, ale i nie powiedziała „nie”.

- Uważam, że nadeszła pora na wymianę z ręki do ręki - ciągnął Jack. - I jeśli będę musiał wywabić go z ukrycia własnymi pieniędzmi, zrobię to.

## 50

Andie zjadła lunch przy biurku. Obok kubka odgrzanej w mikrofalówce włoskiej zupki z warzywami leżała kopia profilu psychologicznego Wyceniacza. Andie starła kroplę zupy z marginesu i jeszcze raz pobieżnie przejrzała pierwszą stronę. „Targany gniewem biały mężczyzna, prawdopodobnie w wieku trzydziestu kilku lat. Kiedyś mógł być hazardzistą, człowiekiem rozrzutnym, biznesmenem, który stracił pieniądze, rodzinę i przyjaciół. Może być nawet bezdomny”.

Bezdomny. Co za kanał. Zespół agentów zmarnował cały tydzień, łażąc po kartonowych miasteczkach w poszukiwaniu zbankrutowanego dyrektora firmy internetowej Nigdy-Nie-zarobiłem-Ani-Centa.com.

Odłożyła dokumenty na bok i pociągnęła z butelki ostatni łyk soku noni. Smak miał paskudny, ale uważała, że wśród roślin tropikalnych jest to odpowiednik tranu. Intensywnie uprawiane narciarstwo nadwreżyło jej prawe kolano, a sok noni z Wysp Cooka łagodził ból nawet w deszczowe dni. Lekarz ostrzegł ją kiedyś, że może nabawić się artretyzmu, chociaż w jej wypadku trudno było przewidywać przyszłość. Jako adoptowane dziecko, nie wiedziała, na co chorowali jej biologiczni rodzice. Niemniej diagnoza: „artretyzm mogący doprowadzić do kalectwa” była kolejną teorią, którą wysnuwali znajomi i przyjaciele, aby wyjaśnić jej niespodziewany wyjazd z Seattle i ucieczkę od mroźnych, wilgotnych zim. Oczywiście i ta była błędna. Nagły wyjazd do Miami nie miał nic wspólnego ze zdrowiem.

Chyba że z psychicznym.

Zabrzączał dzwonek interkomu i dyżurna zameldowała, że w holu czeka Cassandra Nuñez.

- Już idę. - Od powrotu z Atlanty Andie była z nią w stałym kontakcie telefonicznym i wiedziała, że Cassandra jest w Miami. Najnowszy film porywacza wymagał kolejnej rozmowy w cztery oczy. Andie powitała ją, zaprowadziła do biura i zamknęła drzwi.

- Dziękuję, że pani przyszła. - Usiadła przy biurku. - Pomyślałam, że skoro jest już pani w Miami, możemy porozmawiać osobiście.

- Oczywiście, dlatego zostałam. Ilekroć tu jestem, lepiej się czuję, nawet jeśli w niczym nie mogę pomóc. Muszę być blisko. Tak jak z siostrą. Zawsze byliśmy sobie bliskie.

- Dobrze to rozumiem.

- Ma pani siostrę?

- Hmm... To trochę skomplikowane.

- Na pewno nie bardziej niż z Teresą i ze mną. Przez siedem lat myślałam, że siostra nie żyje.

- Nie, ale to pokręcony układ. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że z moją siostrą sytuacją była jakby odwrotna. Dowiedziałam się o jej istnieniu dopiero jako nastolatka.

- Jak to?

Andie zamilkła, nie wiedząc, czy dobrze robi, dzieląc się z nią szczegółami swego życia osobistego. Z drugiej jednak strony, chciała wypytać Cassandrę o związki z siostrą i ujawnienie kilku informacji pomogłoby nawiązać szczerą rozmowę.

- Wychowywałam się w rodzinie zastępczej i w wieku dziewięciu lat zostałam adoptowana. Rodziną biologiczną zainteresowałam się dopiero w ogólniaku i moi przybrani rodzice pomogli mi poskładać do kupy to, czego zdołałam się dowiedzieć. Wtedy odkryłam, że mam bliźniaczą siostrę.

- Jejku. Zbliżyłyście się do siebie?

- Trochę to trwało, kilka lat. Ale tak, bardzo się zaprzyjaźniłyśmy.

Cassandra zamilkła, ale widać było, że bardziej pochłania ją jej własna sytuacja. Tak było lepiej, ponieważ Andie chciała skierować rozmowę właśnie w tym kierunku.

- Proszę opowiedzieć mi o siostrze.

- Oczywiście.

- Jaka była w młodości?

- Nie wiem, co chciałaby pani usłyszeć. Była ładna, w szkole uprawiała sport i wszyscy ją lubili. Była taka, jaką chciałyby być wszystkie dziewczyny, łącznie ze mną.

- Była prawdomówna? Czy lubiła zmyślać?

- Teresa była bardzo prawdomówna.

- A gniew? Powściągała gniew, tłumiała czy od razu wybuchła?

- Wpadała w gniew, tak, oczywiście, ale nie powiedziałabym, że była wybuchowa czy lubiła narzekać. Z tego, co pamiętam, wściekała się tylko wtedy, kiedy ktoś dokuczał jej przyjacielom lub mnie. Taka już była.

Andie kiwnęła głową. Odwróciła się z krzesłem do komputera.

- Nigdy bym do tego nikogo nie zmuszała, ale czy chce pani obejrzeć najnowsze nagranie z pani siostrą?

- Już je widziałam.

- Tak?

- Mecenas Swytek przysłał mi je przez Internet. Obejrzałam dziś rano. - Twarz jej stężała. - Więcej nie muszę - dodała cicho.

- Oczywiście. Gdybym wiedziała, nigdy bym tego nie zaproponowała. - Andie odwróciła się od komputera, oparła o biurko i nachyliła w jej stronę. - Ale chciałabym porozmawiać z panią o czymś, co ma z tym związek. Problem ten podniósł nasz psychiatra.

- Dobrze. Chętnie pomogę.

- Wygląda na to, że mamy do czynienia z kimś, kto wmówił sobie, że do gwałtu doszło z winy Teresy. Może to tylko jego urojenia, ale niewykluczone, że chodzi o coś innego.

- O coś innego? Jak to?

- Proszę cofnąć się myślą do tego wieczoru w Atlancie, do waszej wyprawy do klubu Vertigo. Czy zauważyła pani coś, cokolwiek, co mogłoby sugerować, że Teresa i Gerard Montalvo widzą się nie pierwszy raz?

- Że się znają?

- Znają się, spotykają...

- Nie, wykluczone. Musiałam jej tłumaczyć, kto to jest. Zaproszenie na jego prywatne przyjęcie miała gdzieś. To ja namówiłam ją, żeby tam poszła.

- Na pewno?

- Oczywiście, że na pewno. - W głosie Cassandra zabrzmiała nutka irytacji. - Ludzie, co wam jest? Moja siostra została zgwałcona. Czy to tak trudno zrozumieć?

- Nie. Proszę mi wierzyć, że nie zadawałabym tych pytań, gdyby pani siostra zaliczyła test na wykrywaczu kłamstw.

- Zgwałcili ją, ja to po prostu wiem.

- Ale skąd?

- Bo... bo jestem jej siostrą. Wszystko mi powiedziała.

- Dopiero trzy dni później. Dlaczego tak długo czekała?

- Czekala trzy dni, bo tyle potrzebowała czasu. Inna mogłaby czekać trzy tygodnie albo trzy lata. Najważniejsze, że w końcu zaczęła mówić. I wiem, że mnie by nie skłamała.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale skąd ta pewność?

Cassandra drwiąco wykrzywiła usta, jakby pytanie było zupełnie absurdalne.

- Nie miała powodu, żeby mnie okłamywać. Już mówiłam. Jesteśmy siostrami.

- Dobrze. Tymczasem przyjmuję to za dobrą monetę: Teresa by pani nie okłamała. Jest pani tego pewna.

- Na sto procent.

- No właśnie, na tym polega mój problem. Proszę przypomnieć sobie naszą pierwszą

rozmowę. Była pani pewna, że siostra nie żyje. Kiedy spytałam dlaczego, powiedziała pani, że Teresa nie wymazałaby pani ze swego życia, nawet gdyby musiała uciekać przed kimś na drugi koniec świata.

- Tak. To prawda.

- A więc przez siedem lat szczerze pani wierzyła, że siostra nie żyje.

- Zgadza się.

- Że nie tylko nie żyje, ale i że zabił ją Gerard Montalvo.

- Tak.

- Myślała pani, że zabił Teresę i uciekł. Innymi słowy, że mu się upiekło.

- Tak, tak myślałam.

- W takim razie dlaczego nie poprosiła pani prokuratora, żeby oskarżył go o morderstwo?

- Nie wiem. Może... może poprosiłam.

- Nie. Sprawdzałam.

- Dobrze, może i nie. Ale żeby kogoś oskarżyć, muszą go chyba najpierw złapać, prawda?

- Niekoniecznie. Skazania in absentia są bardzo częste.

- Cóż, gdybym o tym wiedziała, pewnie bym się do nich zwróciła.

- A więc tak brzmi pani odpowiedź? Była pani przekonana, że Gerard Montalvo brutalnie zgwałcił i zamordował pani siostrę. Mimo to po jej zniknięciu przez siedem długich lat ani razu nie poszła pani do prokuratury, żeby oskarżyć go o morderstwo, ponieważ myślała pani, że policja musi go najpierw złapać. Tak?

- Chyba tak - odparła cicho Cassandra.

- Na pewno? - spytała z nie ukrywanym sceptycyzmem Andie.

Cassandra zamilkła. Było widać, że czuje się nieswojo.

- Nie wiem, może to moja podświadomość, może jednak nigdy nie straciłam nadziei, że kiedyś wróci cała i zdrowa. I właśnie dlatego nie wniosłam oskarżenia przeciwko temu Montalvowi.

- Czyli była pani pewna i nie była pani pewna, że Teresa nie żyje.

- Nie musi pani robić ze mnie idiotki. Moja odpowiedź to moja odpowiedź.

Andie sondowała jej twarz, czekając, aż całun milczenia zrobi swoje. W końcu powiedziała:

- No dobrze. Pani odpowiedź to pani odpowiedź.

- Nie podoba się pani?

- Nie. Skądże znowu. Jest bardzo dobra - odparła Andie.

I pomyślała: jak na kłamczuchę.



# 51

Okolo pierwszej Jack przyjechał na zakurzony plac budowy, działkę o powierzchni ponad czterech tysięcy metrów kwadratowych położoną nad brzegiem jeziora Hammock. Działka była porośnięta pięknymi, starymi dębami, które właściciel bardzo skromnego ranczerskiego domu zasadził w czasach, kiedy „cracker” wciąż był „crackerem”, tępym florydzkim burakiem, który trzaskając z bata, pędził krowy przez prerię, a nie ćpunem palącym crack w ciemnym zaułku. Buldożer obracał właśnie dom w perzynę, robiąc miejsce dla nowej, luksusowej rezydencji według projektu firmy Salazara. Jack zaparkował na ulicy i złapał go na końcu starego asfaltowego podjazdu. Ernesto oglądał z architektem ostateczne plany konstrukcyjne i rysunki. Przeprosił go i ruszyli w stronę jeziora, aby dalej od hałaśliwej maszyny.

- Dostałem kolejne nagranie - zaczął Jack.

Stali nad samym brzegiem, ale nie patrzyli na siebie, tylko na jezioro. Rechot wielkich żab w zaroślach zagłuszał nawet warkot buldożera; nie bez powodu nazywano je ryczącymi.

- Wiem - odpowiedział Salazar. - Andie Henning mi mówiła.

- Pokazała je panu?

- Nie chciałem. Nie widziałem sensu.

- Nie nalegam, ale przywiozłem panu kopię.

- Po co?

- Może po to, żeby dostrzegł pan, w jakim Mia jest położeniu, i pomógł jej. Na co nieśmiało liczę.

- Ja już swoje zrobiłem.

- Dał mu pan dwadzieścia dolarów i taśmy z naszymi rozmowami. To nie jest żadna pomoc.

- Dwadzieścia dolarów? Dałem pół miliona.

- On mówi co innego.

- Więc pieprzy. Próbuje wyłudzić od pana więcej pieniędzy.

Mówił prawdę? Jack przyjrzał mu się uważnie.

- Dlaczego miałbym panu wierzyć?

Salazar ponuro zachichotał.

- Dlaczego? A co mnie obchodzi, w co pan wierzy? Co mnie...

Jack czekał, aż Ernesto skończy, ale on nagle umilkł. I chyba nie dlatego, że stracił wątek. Wyglądało na to, że urwał celowo. Głęboko odetchnął i już łagodniejszym głosem powtórzył:

- Dlaczego miałby mi pan wierzyć? Choćby z jednego powodu. Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że chciałby ją odzyskać każdy mężczyzna.

- Chce pan powiedzieć, że wciąż ją pan kocha?

- Nigdy nie przestałem. Niech mnie pan dobrze zrozumie. Tak, byłem głównianym mężem. Monogamia to nie moja branża, ale to nie znaczy, że jej nie kochałem. Zacząłem ją zdradzać trzy miesiące po ślubie i od tamtej pory miałem tyle kochanek, że straciłem rachubę. Próbowała mnie powstrzymać. Dwa lata temu powiedziała, że jeśli się nie zmienię, przestanie ze mną sypiać. Sama nie miała ani jednego kochanka. Dopóki nie poznała pana. I oczywiście dlatego pana znienawidziłem. Za odwagę.

- Nie wiedziałem, że jest mężatką.

- Oczywiście, że pan nie wiedział. Nigdy by tego panu nie powiedziała. Za bardzo by ryzykowała.

- Ryzykowała? Myślałem, że miała zamiar od pana odejść.

Salazar pokręcił głową, ale chyba nie dlatego, że się z nim nie zgadzał, tylko dlatego, że, jego zdaniem, Jack niewiele z tego rozumiał.

- Trzymałem ją w szachu.

- To znaczy?

- Już panu mówiłem: chroniłem ją.

- Ale przed czym?

- Ta blizna na nodze. Wiedziałem, skąd ją ma. Powiedziała mi o gwałcie, powiedziała, dlaczego zmieniła nazwisko. Znałem nawet to poprzednie: Teresa Bussori. Za dużo mi zdradziła i okazało się, że to jej pięta Achillesowa.

- Jak to?

- Ujmę to tak. Mia nie mogła powiedzieć panu o mnie, a mnie o panu. Chyba że wyjawilaby wszystkim, kim naprawdę jest.

- Szantażował ją pan? Chciał ją pan zdemaskować, gdyby od pana odeszła?

- Nie jestem z tego dumny. Ale bez umowy przedślubnej był to mój jedyny atut.

Jack zastanawiał się, dlaczego Salazar tak się przed nim otworzył, ale bywał już w podobnych sytuacjach, głównie z klientami, którzy postanowili powierzyć mu w końcu zbyt długo skrywane tajemnice. Tak naprawdę mało kto zabierał do grobu jakiś sekret.

Silnik buldożera ryknął jeszcze głośniejszym głosem. Maszyna zmagła się z wiatem.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym FBI dwa tygodnie temu?

- Mój adwokat zabronił mi z nimi gadać. Jest przekonany, że wciąż mnie podejrzewają.

- Na szczęście wpadli na trop Montalvo.

- Nie chciałem torpedować śledztwa. Naprawdę nie rozumiałem, co jej uprowadzenie może mieć wspólnego z zarzutem o gwałt, jaki mu postawili. Bo jeśli Montalvo chce się na niej zemścić, po co miałby porywać te przed nią?

- FBI uważa, że to proste.

- Tak?

- Tak. Poprzednie porwania mogły być wprawką, przygotowaniem do tego właściwego, najważniejszego. A może po prostu nie mógł znaleźć Mii i żeby dać upust furii, wykorzystywał inne kobiety jako coś w rodzaju substytutu psychologicznego. Możliwe również, że chciał odwrócić uwagę policji od „Tomasza” Gwałciciela, żeby pomyśleli, że Mia jest kolejną przypadkową ofiarą.

- Wierzy pan w to?

- Nieważne, w co wierzę - odparł Jack.

- Ważne. Jest pan pośrednikiem. To pan powinien zadać sobie pytanie: dlaczego akurat teraz? Dlaczego po siedmiu latach Montalvo w końcu skupił się na Mii?

- Może nie mógł jej wcześniej znaleźć.

Salazar pokręcił głową.

- Takiego wytłumaczenia Mia spodziewałaby się po mnie, nie po panu. Powiedziałaaby, że jak zwykle uchylam się od odpowiedzialności.

- O czym pan mówi?

- Mam własną teorię, która wyjaśnia, dlaczego Montalvo wrócił właśnie teraz, a nie na początku naszego małżeństwa. - W głosie Salazara zabrzmiała oskarżycielska nutka. - Bo Mia zaczęła mnie zdradzać.

- Co jedno ma wspólnego z drugim?

- Kiedy zaczęła z panem sypiać, Montalvo mógł bezpiecznie założyć, że mąż nie zechce jej ratować. Innymi słowy, o wiele bardziej woli mieć do czynienia z panem niż ze mną. A wie pan dlaczego?

Jack nie odpowiedział.

Salazar podszedł pół kroku bliżej.

- Bo nawet porywacz boi się odebrać coś cennego Ernesto Salazarowi.

Tak, to była ewidentna groźna, swoiste ostrzeżenie, że jeszcze nie wyrównali z sobą rachunków. Jack miał na głowie sprawy ważniejsze niż rozbuchane ego małego człowieka.

Ale mierząc się z nim wzrokiem, dobitniej niż kiedykolwiek dotąd pojął, że nawet jeśli Salazar zapłacił za Mię pół miliona dolarów - jak twierdził - nie zrobił tego z miłości. Zrobił to tylko po to, żeby utrzymać władzę nad żoną.

- Jest pan bogaty, Ernesto. Mimo to śmieć z pana. Mia zasługuje na coś lepszego. O wiele lepszego.

- I właśnie pan jej to da, tak? - odparł z sarkazmem Salazar.

Wciąż gadał, ale Jack już go nie słyszał. Odwrócił się i odszedł, zostawiając za sobą ogłuszający łoskot i trzask walącego się na buldożer dachu.

Żebyś wiedział, powtarzał w myślach. Żebyś wiedział.

Opatrywała ranę. Najpierw ją ucisnęła, żeby powstrzymać krwawienie. Dał jej tubkę kleju chirurgicznego, który spajał brzegi rany jak szybko schnący klej uniwersalny. Wycisnęła odrobinę, rozsmarowała i mocno ścisnęła. Klej trzymał. Nagle poczuła dziwne ciepło na twarzy i uświadomiła sobie, że płacze. To normalne, pomyślała, jeśli „normalny” może być rytuał samookaleczenia.

Żarówka jej nie zdziwiła. Była osnową jej najgorszych strachów, które narodziły się tamtej nocy w Vertigo II, w prywatnym apartamencie Gerarda Montalvo. Poszła tam bez żadnych oczekiwań, zamierzając wejść, powiedzieć wszystkim: „Cześć” i jak najszybciej wyjść. Kiedy pokazała zaproszenie pilnującemu drzwi bramkarzowi, kręciło się tam już kilkanaście osób. Może dlatego, że była nowa, a może rzeczywiście miała w sobie to coś, Montalvo natychmiast się nią zainteresował. Rozmawiał tylko z nią, nie zwracając uwagi na pozostałych gości, którzy przychodzili i wychodzili. Ilekroć otwierały się drzwi, do pokoju wpadały kłęby papierosowego dymu i ryk muzyki. Montalvo przez cały czas mówił, najwyraźniej chcąc jej zaimponować. Początkowo wydawało się, że jest nieszkodliwy, a nawet ujmujący i czarujący, więc się nie niepokoiła. A potem ktoś włożył kasetę do odtwarzacza. Nie zwróciła na to uwagi, ale tłum zaczął powoli rzędnąć. Ona też zamierzała wyjść, gdy wtem zauważyła, że ochroniarz wyprasza za drzwi ostatnich maruderów. W apartamencie zostali tylko ona i Montalvo.

- Nie odchódź jeszcze - poprosił.

- Nie, naprawdę muszę już iść.

Odtwarzacz wciąż grał i poszła za jego wzrokiem. Patrzył na ekran telewizora i szybko się domyśliła, co to za film. Przeszklone ściany kabiny były zaporowane, ale drzwi otwarte. Kamera celowała w lustro ustawione tak, że pokazywało to, co działo się w środku. Pod prysznicem siedziała młoda, naga kobieta. Włosy miała związane w kucyki, żeby wyglądać jeszcze młodziej, co w tej branży uchodziło za wysoko cenioną podniechęć. Rozchyliła nogi, włożyła ręce między gładkie uda i zaczęła się powoli kołysać do przodu i do tyłu.

- Wychodzę - powiedziała Mia.

Montalvo chwycił ją za nadgarstek, łagodnie, lecz stanowczo.

- Jeszcze tylko chwilę - poprosił z szerokim, nieszczerym uśmiechem playboya.

Mia próbowała zachować spokój, choć instynkt podszeptował jej, żeby zachować maksymalną czujność. Z telewizora dobiegały jęki i stękanie. Kobieta chyba się masturbowała.

- Proszę mnie puścić - zażądała Mia.

- Tylko pięć minut - odparł.

Mia zamarła, modląc się, żeby ją puścił, planując odwrót, gdyby jednak nie chciał. Uciekać? Wymacać w torebce komórkę i wybrać 911? Zastanawiała się nawet, czy nie wyjąć gazu i przekląła siebie w duchu, bo przecież oddała go swojej naiwnej siostrze, która nigdy o takich rzeczach nie myślała. Unikała jego wzroku. Rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu drogi ucieczki, znowu zerknęła na ekran telewizora i tym razem to zobaczyła. Kobieta się nie masturbowała. Trzymała w ręku rozbitą żarówkę. Kamera zrobiła szersze ujęcie, jakby zadając symboliczne pytanie: czy istnieje coś czerwiejszego niż krew na białym marmurze? Bo krew była na jej rękach i udach, krew spływała po nogach długimi, cienkimi strumyczkami i zbierała się na białej podłodze.

Montalvo nachylił się ku Mii i jeszcze mocniej ścisnął jej nadgarstek.

- Zrób to dla mnie - wychrypiął ze zduszonym jękiem. - Zapłacę ci dziesięć tysięcy dolarów.

Wyszarpnęła rękę, zdzieliła go w głowę torebką i krzycząc, pobiegła do drzwi. Klamka obróciła się z cichym skrzyknięciem, które wyrwało ją ze wspomnień i na powrót cisnęło w koszmar rzeczywistości. Hałas ucichł, ale drzwi się nie otworzyły. Zmienił zdanie? Znowu się z nią bawił, każąc jej siedzieć i się zastanawiać, czy przyjdzie, czy nie? Ciągłe grał z nią w psychiczne gierki, a ona robiła, co tylko możliwe, żeby to wytrzymać. Pamiętała, że kiedy dorastała i kiedy było jej źle, ojciec zawsze mówił, żeby pomyślała o tych, którym jest jeszcze gorzej. O ciężko poparzonych. O kalekach z porażeniem czterokończynowym. O malutkich dzieciach, które nie wiedzą nawet, co to jest „atak serca” i nagle zostają pólserotami bez ojca. To swoiste narzędzie psychologiczne nie było doskonałe, bo to tak, jakby ktoś bez butów cieszył się, że ma obie nogi. Niedoskonałe, a w jej wypadku zupełnie absurdalne. To ona nie miała nóg. Ona, bo ledwie dni, godziny, a może już tylko minuty dzieliły ją od chwili, kiedy sama stanie się obiektem pocieszenia dla rzesz nieszczęśników, ona, pechowa młoda kobieta, która doznała niewysłowionych katuszy z rąk porywacza, a jej historia będzie przez lata łagodzić czyjś ból.

Pamiętasz żonę Ernesto Salazara, tę, którą porwano? Ciesz się, że nie jesteś na jej miejscu.

Otworzyły się drzwi. Wrócił jej oprawca.

- Nie ruszaj się. - Wszedł do słabo oświetlonego pokoju.

Zastanawiała się, dlaczego on wciąż zniekształca głos i wkłada maskę. Jakby zapomniał, do czego ją zmuszał, co mówił podczas ostatniej „sesji nagraniowej”. Zastanawiała się, co zrobił z tym filmem, czy wysłał go mężowi, Jackowi, czy komukolwiek, kto stanął do przetargu o jej wolność. Czy im albo policji uda się poskładać skrawki jej przeszłości i ustalić jego prawdziwą tożsamość? Czyżby próbował się ujawnić?

Przeszedł przez pokój i stanął dwa kroki przed nią. Nie podniosła głowy, nie chciała nawiązywać kontaktu wzrokowego. Ale natychmiast zauważyła kamerę. Nadeszła pora na kolejny film i na myśl o tym, co ją czeka, poczuła bolesne pulsowanie rany.

- Masz. - Podał jej kartkę papieru. Była zapisana pismem maszynowym, jak scenariusz. - Przeczytaj po cichu, żebyś wiedziała, co to jest. Zaraz przeczytasz to na głos, do kamery.

Światło było bardzo słabe, ale zdążyła już do tego przywyknąć i dała sobie radę. Zresztą na kartce były tylko trzy akapity. Próbowwała niczego po sobie nie okazywać, ale kiedy dotarła do ostatniego zdania, musiał zauważyć jej minę.

- Tak - powiedział. - Twój chłopak chce zapłacić okup.

Podniosła wzrok.

- I będziemy kwita, tak? - spytała. - Kiedy zapłaci, będziemy kwita?

Odpowiedź nie padła od razu i nie taka, jaką chciałyby usłyszeć.

- Zamknij mordę i czytaj. - Odszedł, żeby ustawić kamerę i reflektor.

Zacisnęła zęby, mimo to czuła, że kartka drży jej w rękach. Łudził ją fałszywymi obietnicami, wiedział, że tego się bała. W sumie nie było w tym nic zaskakującego, zważywszy na to, co między nimi zaszło, jak strasznie ją do tej pory traktował. Nie tak dobijało się targu.

Muszę uciec, pomyślała. Inaczej nigdy stąd nie wyjdę.

- Zaczynasz na „trzy” - powiedział.

Ujęła kartkę, z trudem panując nad drżeniem rąk.

Bez względu na to, jak miało się to skończyć, wiedziała, że to jej ostatnie nagranie.

Biuro szefa mieściło się w tym samym korytarzu, ledwie kilka kroków dalej, i po rozmowie z siostrą Mii Andie postanowiła do niego zajrzeć. Nie mogła tego udowodnić, ale dawała głowę, że Cassandra już od dawna wiedziała, że Mia żyje. Gdyby to jej siostrę zgwałcono i zamordowano, Andie zrobiłaby wszystko, żeby policja i prokuratura schwytały zabójcę i postawiły go przed sądem. Tymczasem prokuratura w Atlancie twierdziła, że Cassandra nigdy się do nich nie zgłosiła.

- Może dlatego, że przebywała tu wtedy nielegalnie - myślał na głos Martinez. Siedział przy biurku w brunatnoczerwonym skórzanym fotelu, trzymając ręce za głowę. - Gdyby poszła na policję, ryzykowałaby deportację, prawda?

- Niezupełnie - odparła Andie. - Cztery lata temu wyszła za Amerykanina i dostała obywatelstwo. Przedtem zgoda, mogła bać się deportacji. Ale potem? Cztery lata i nic?

- Słusznie. Co ona na to?

- Nie wiem, nie drażyłam. Nie chcę, żeby zamknęła się w sobie i przestała odbierać moje telefony. Co zrobiłby pan na moim miejscu?

- Wszystko jest kwestią strategii - odparł Martinez. - Słuchaj instynktu, tylko tyle mogę ci powiedzieć. Jak dotąd dobrze ci idzie.

Miło by było usłyszeć coś więcej, ale cóż, musiała jej wystarczyć aprobatą i wsparcie szefa. Podziękowała i wróciła do siebie.

Nie ulegało wątpliwości, że dzięki sprawie Wyceniacza zaczyna wyrabiać sobie nazwisko w Miami. Martinez był z niej zadowolony. Zbierała pochwały od szefów Grupy Szybkiego Reagowania w Quantico. Nawet Pete Crenshaw, jej nemezis, przestał ją ostatnio strofować. Całkowicie poświęciła się sprawie, zrobiła z niej centrum swego wszechświata. Biuro szanowało takie oddanie. Ale gdyby ktoś spytał, dlaczego aż tak jej na tym zależy, nie wiedziałaby chyba, co odpowiedzieć. Dlatego że podchodziła tak do każdej sprawy? Że była tu nowa i nie miała życia prywatnego? Wszystkie wyjaśnienia brzmiały wiarygodnie. Szkoda tylko, że nie były prawdziwe.

Podeszła do okna i wyjrzała na parking. Za parkingiem, za wysoką prawie na trzy metry siatką, ciągnęło się pole. Troska o bezpieczeństwo nadawała rządowym budynkom więzienny wygląd, ale ona wiedziała, dlaczego przyszło jej do głowy to porównanie. Myślała o



więzieniu, odkąd Cassandra spytała ją o siostrę. Nie powiedziała Cassandrze za wiele, ale ilekroć rzecz dotyczyła jej biologicznej rodziny, nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego, w każdym razie nie od razu. Wspomnienia zawsze burzyły tamę. Nie skłamała Cassandrze. Naprawdę wychowywała się w rodzinie zastępczej, dopóki jej nie adoptowano i naprawdę przez wiele lat nie wiedziała o istnieniu siostry. Upiory straszyły w tym, co zatrzymała dla siebie, chociaż jej tajemnicę mógł poznać cały świat. Wystarczyło tylko spojrzeć jej w oczy. W te piękne, egzotyczne, zielone oczy. Jej matka była rdzenną Amerykanką, Indianką, która wyszła za mąż za Indianina. A potem urodziła się Andie, malutka dziewczynka o zdradliwych oczach białego. Ona i jej bliźniacza siostra nie dotarły do domu ze szpitala. Nie dotarła tam również ich matka. Mąż zastrzelił ją na oddziale położniczym. On trafił za kratki. One do rodzin zastępczych.

Andie patrzyła na ogrodzenie. Wspomnienia nie pomagały, ale nie mogła się powstrzymać. Na tym właśnie polegał kłopot, bo nie da się zachować czegoś w tajemnicy przed samym sobą. Nie zamierzała wyjeżdżać z Seattle. Ale w głębi serca czuła, że jeśli go odwiedzi, będzie musiała rzucić pracę, uciec z miasta i zostawić tam wszystkich tych, których kochała. Że będzie musiała znaleźć dla siebie nowe miejsce. Mimo to pojechała. Sprawa była aż tak ważna.

Poszło gorzej, niż się spodziewała. O wiele gorzej.

Waszyngtońskie więzienie stanowe nie jest miejscem dla przesądnych. Już sam adres jest jak mroczny omen: ulica Trzynasta Północna, numer 1313. Gorzej można poczuć się tam tylko w piątek trzynastego.

Andie przyjechała w sobotę, na zwykle odwiedziny. To była sprawa osobista, nie służbowa, dlatego nie prosiła nikogo o przysługę ani nie dzwoniła uprzednio do dyrektora, domagając się specjalnego traktowania. Prawdę mówiąc, wołała nie zwracać na siebie uwagi. Musiała przejść przez wszystkie procedury, jakie przechodzą ci, których nazwisko nie figuruje na zatwierdzonej liście regularnie odwiedzających tego czy innego osadzonego. Załatwienie pozwolenia zajęło jej dwa tygodnie - to mnóstwo czasu, żeby zmienić zdanie i zrezygnować. Jazda trwała pięć godzin i kilka razy kusiło ją, żeby zawrócić. Ale nie zawróciła. Chciała doprowadzić to do samego końca.

Więzienie, zbudowane na prawie dwustu dziewiętnastu hektarach w południowo-wschodniej części stanu, wyglądało jak prawdziwa forteca strzegąca malowniczej skądinąd doliny w Górach Błękitnych. Miasteczko Walla Walla (w języku rdzennych mieszkańców tych ziem znaczy to dosłownie: „wiele wód”) można by opisać tylko jako czarujące, ponieważ

Krajowy Fundusz Ochrony Spuścizny Historycznej przyznał mu Wielką Amerykańską Nagrodę Main Street. W innych okolicznościach pewnie kusiłoby ją, żeby wpaść do którejś z czterdziestu miejscowych wytwórni win, ale jedynym celem jej wyprawy był największy zakład karny w stanie, gdzie więziono ponad dwa tysiące przestępców. Składał się z czterech oddzielnych obiektów, każdy o innym stopniu obostrzeń wewnętrznych. Ona skierowała się do zamkniętego obiektu głównego, gdzie środki bezpieczeństwa ustępowały tylko tym obowiązującym w bloku śmierci.

- Tędy proszę - wskazał jej strażnik przed wejściem do Budynku Pierwszego.

Nie okazała odznaki, nie zrobiła nic, żeby wyróżnić się spośród innych odwiedzających. Po prostu zgodnie z regulaminem zgłosiła się na punkt kontrolny. Strażniczka otaksowała ją spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy jest przepisowo ubrana. Żadnych przezroczystych czy półprzezroczystych bluzek i sukienek. Żadnych gołych brzuchów czy prowokujących dekoltów. Dżinsy mogą być, ale nie za bardzo odsłaniające brzuch. No i oczywiście bielizna - była obowiązkowa.

- W porządku - powiedziała strażniczka.

Większość odwiedzających ruszyła w kierunku świetlicy, gdzie więźniom wolno było rozmawiać z nimi twarzą w twarz. Ale ją skierowano w drugą stronę.

- Osadzony Wicasa został przeniesiony na oddział karny - wyjaśnił strażnik. - Ma zakaz odwiedzin osobistych.

Wicasa. Chwilę trwało, zanim dotarło do niej, że chce rozmawiać z kimś o tym nazwisku.

- To znaczy, że przejechałam na próżno taki kawał drogi?

- Nie, można go odwiedzać, ale bez kontaktu osobistego. Będziecie rozdzieleni szklanym przepierzeniem.

Andie miała to gdzieś. Jakby zamierzała wyściskać i wycalować człowieka, który zastrzelił jej biologiczną matkę.

- Dobrze, nie szkodzi.

Korytarzem doszli do sali odwiedzin. Tam inny strażnik zaprowadził ją do stanowiska numer trzy, trzeciego z pięciu boksów po ich stronie przepierzenia. Druga strona, kiszkowate pomieszczenie sześć metrów na półtora, z grubymi stalowymi drzwiami na końcu, była przeznaczona dla osadzonych. Po jej prawej ręce, na stanowisku piątym, siedziała kobieta wpatrzona w starszego mężczyznę za szkłem. Obydwoje milczeli, jakby po tylu latach po przeciwnych stronach więziennego muru nie mieli sobie nic do powiedzenia. Andie odwróciła wzrok, nie chcąc, żeby ktoś przyłapał ją na gapieniu się na czyjeś nieszczęście. Przysunęła krzesło bliżej przepierzenia, bliżej telefonu na blacie. I czekała.

Drgnęła, gdy usłyszała brzęczyk. Za szkłem otworzyły się stalowe drzwi. Do kiszkiatego pomieszczenia wszedł siwy mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie. Drzwi się zamknęły. Mężczyzna podszedł powoli do przepierzenia i usiadł naprzeciwko niej. Przez chwilę przyglądali się sobie przez szkło. Na górnej kieszeni miał wypisane nazwisko - WICASA - i tylko dzięki temu wiedziała, że to on. Był dla niej zupełnie obcy, choć wywarł na jej życie głęboki wpływ.

Dziewięćdziesiąt centymetrów - tylko o tym mogła myśleć. Siedziała dziewięćdziesiąt centymetrów od człowieka, który zabił jej matkę.

Na pewno nie był tęgim. Był rostry, potężnie zbudowany i przypuszczała, że w pierwszych latach odsiadki spędzał niezliczone godziny na siłowni. Wraz z wiekiem mięśnie trochę sflaczały, a na jego twarzy zastygł grymas wiecznego niezadowolenia. Skóra, choć brązowa, miała niezdrowy popielaty odcień; nazywano to więzienną opalenizną. Jak na jego wiek była jednak zaskakująco gładka, prawie bez zmarszczek. Skazany na dożywocie bez prawa zwolnienia warunkowego, najwyraźniej wcale nie przejmował się wyrokiem. Ale najbardziej uwagę przykuwały jego czarne, przenikliwe oczy. Gdy niczym dwa radary spojrzały prosto na nią, zakipiał w nich gniew, jakby patrząc, Wicasa chciał odkopać dawno pogrzebaną przeszłość. Niemal czuła tę bijącą przez szkło nienawiść.

Przytknął słuchawkę do ucha. Ona podniosła swoją. Milczeli, jakby żadne z nich nie widziało, od czego zacząć. W końcu powiedział:

- Te oczy nie kłamią.

Nie zaprzeczyła.

Wypuścił powietrze, ni to prychnął, ni chrząknął.

- Po tylu latach. Po tylu latach chcesz w końcu dowiedzieć się czegoś o mężu swojej matki?

Tak naprawdę miała go gdzieś, ale postanowiła odpowiedzieć bardziej ugodowo.

- Bardziej interesuje mnie mój biologiczny ojciec.

- Ojciec? - Nawet po tylu latach w jego głosie zabrzmiała nutka goryczy. - To znaczy co?

- Wszystko, co może mi pan o nim powiedzieć.

- Po co ci to?

- Chciałabym go znaleźć, a nie wiem nawet, jak się nazywa.

- I myślisz, że ci pomogę?

- Mam nadzieję. Ci, z którymi rozmawiałam, nic o nim nie wiedzą. Został mi tylko pan.

Uśmiechnął się sardonicznie.

- Bo co? Chcesz zorganizować miły zjazd rodzinny? Myślisz, że zechce przyjąć cię do

swojej rodziny? Ciebie, mieszańca i bękarta, córeczkę zielonookiego Johnny'ego, który przeleciał indiańską sukę?

Andie wzięła głęboki oddech, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

- Chcę tylko informacji, niczego więcej. Zna pan jego nazwisko?

- Oczywiście, że znam. Twoja matka wymykała się ukradkiem z domu, myślała, że jest taka sprytna. Trwało to miesiącami. O wszystkim wiedziałem i ostrzegłem ją, że nie zamierzam się z tym godzić. Powiedziała, że już z nim zerwała i przez jakiś czas nawet jej wierzyłem. Ale potem urodziłaś się ty i...

Andie uciekła wzrokiem w bok, jakby chciała ukryć swoje zielone oczy.

- I puściły panu nerwy.

- Nic mi nie puściło. Dostała to, na co zasługiwała.

Andie mogłaby z nim polemizować, czy kara była adekwatna do czynu, ale nie przyjechała tu, żeby bronić cudzołżnicy.

- Więc pomoże mi pan? Od pana tylko mogę się dowiedzieć, jak się nazywa?

- Mógłbym. Ale niby dlaczego?

- Dlatego że to nie moja wina, że moja matka pana zdradzała. To bardzo ważne. Nie przyjechałabym tu, gdyby było inaczej.

Zamilkł i niemal widziała, jak myśli.

- Dobrze - odparł. - Podam ci jego nazwisko.

- Dziękuję. - Andie wyjęła z torebki notes i długopis. - Jak się nazywa?

- Nie tak szybko. - Nachylił się do szyby, jakby chciał podzielić się z nią jakąś tajemnicą.

- Najpierw powiedz, ile to jest dla ciebie warte.

- Mam panu zapłacić?

- Mam coś, co chcesz mieć. Mówię tylko, że możemy się dogadać.

Nie zaskoczyło jej to, ale i nie ucieszyło.

- To znaczy?

- Wiesz, jak długo siedzę?

- Wiem. - Odrobiła pracę domową. Pierwsze przestępstwo, napaść czynną z użyciem broni, popełnił na długo przed jej narodzinami. Przyznawszy się dobrowolnie do zabójstwa jej matki, odsiedział dwanaście lat za morderstwo drugiego stopnia. Po wyjściu przez prawie dziesięć lat unikał kłopotów, a przynajmniej nie dał się złapać. W 1994 roku skazano go za rabunek z bronią w ręku, a ponieważ była to jego trzecia gwałtowna napaść, zgodnie z obowiązującym w Waszyngtonie prawem „do trzech razy sztuka” dostał dożywocie.

- Dwadzieścia jeden z ostatnich trzydziestu trzech lat. Tyle tu odsiedziałem.

Mogłaby zauważyć, że z własnej winy, ale nic by jej to nie dało.

- Musiało być panu ciężko.

- Tak. - Zachichotał z odrazą. - Cholernie. Dlatego zrobimy tak. Przyjedziesz za dwa tygodnie. Do tego czasu wrócę na blok i odzyskam prawo do normalnych odwiedzin.

- Nie mogę tyle czekać.

- Musisz. Bo dopóki siedzisz za szybą, nie dasz mi tego, czego chcę.

- Nie zamierzam niczego przemycać - odparła z wahaniem.

- Nie będziesz. Wystarczy, że przyjdiesz.

Szmugiel - w porównaniu z tym, o czym nagle pomyślała, zabrzmiało bardzo niewinnie.

- O co mnie pan właściwie prosi?

Rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

- O nic, co nie jest tu na porządku dziennym podczas sobotnich widzeń.

- Nie, odpada.

- Chcesz poznać nazwisko ojca czy nie?

- Nie za taką cenę.

- Innej nie ma.

- To się nie dogadamy.

Wzruszył ramionami.

- Zmienisz zdanie. Ja mogę zaczekać. Jedno, co mam, to czas.

- Nie wrócę.

- Wrócisz. Jeśli masz coś z matki, na pewno wrócisz.

- Jest pan odrażający.

- To mnie zastrzel. Nas więzy krwi nie łączą.

- Nie zamierzam robić nikomu przysług seksualnych.

- Daj spokój, dziewczyno. Bądź rozsądna. Posłuchaj. Nie każę ci nawet połykać.

Już miała odłożyć słuchawkę, ale ją uprzedził.

- George - powiedział.

Spojrzała na niego pytająco.

- Twój ojciec ma na imię George. Jak chcesz poznać jego nazwisko, przyjdź za dwa tygodnie. Przyjedziesz z uśmiechem na twarzy, to włożę nawet gumkę.

Promieniał zadowoleniem, ale nic nie mogła na to poradzić. Odłożyła słuchawkę i dała znak strażnikowi. Usłyszała brzęczyk. Otworzyły się drzwi. Klucz do jej przeszłości zniknął za więziennym murem.

## 54

Theo z trudem wrzucił piątkę. Jęknął silnik, gwałtownie zawibrowała podłoga. Jack siedział w fotelu pasażera i wskazywał drogę. Jechali na południe płatną autostradą i strzałka prędkościomierza dochodziła do stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Theo ciągle zmieniał pasy, wyprzedzając wolniej jadące samochody i Jackiem rzucało to w lewo, to w prawo.

- Następny zjazd - powiedział.
- Ten?
- Nie, następny.
- Ten jest następny.
- Nie, następny jest po tym.
- Pieprzysz. Ten po tym jest drugi, a następny jest przed nim.

Jack spojrział na niego jak na idiotę, choć wyczuł, że mądrość jak zwykle leży pośrodku.

- Zjazd numer jedenaście.
- No, teraz mówisz do rzeczy, szefie.

Theo zredukował biegi, zmniejszył o połowę prędkość i wpadli na rampę. Przejechali przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i skręcili na zachód. Słońce właśnie zaszło i nad horyzontem wisiała blednąca pomarańczowa wstęga.

Jack zajrzał do notatek.

- Trzyście kilometrów prosto.
- Trzyście? Krokodyle nas zeżrą.
- Tak powiedziała. Trzyście kilometrów na zachód od zjazdu numer jedenaście.
- Zobaczymy, czy wyrobię się w cztery minuty.

Jack pomyślał, że to tylko żart, ale Theo był nieprzewidywalny. Tak, najbardziej liczył się teraz czas. Kiedy zajrząwszy do komputera, zobaczył załącznik z kolejnym nagraniem, wziął się w garść, oczekując najgorszego. Ale w porównaniu z poprzednim filmem ten był bardzo łagodny. Mia czytała z kartki. Chwilami drżał jej głos, ale zdawało się, że jest w miarę spokojna. To, co czytała, było opisem drogi - pytanie tylko do czego. Do niej? A może była to tylko próba, kolejna łamigłówka, preludium do wielkiej wymiany?

Jack wyjął telefon i wybrał numer Andie Henning. Mia ostrzegła go z kartki, żeby nie zawiadamiał policji i przyjechał sam, lecz on miał inne plany.

- Widzicie nas? - spytał.

- Tak, ale niech pan powie temu rajdowcowi, żeby trochę zwolnił. Trzymamy się z tyłu, żeby nikt niczego nie podejrzewał, ale jeśli stworzycie zagrożenie dla ruchu, zatrzyma was drogówka.

Jack zerknął w lewo.

- Zwolnij.

Theo zwolnił do stu dwudziestu; według miejscowych standardów, była to prędkość, z jaką jeździli początkujący kierowcy.

- Ma pan na sobie kamizelkę? - spytała Henning.

- Nie wychodzę bez niej z domu - odparł Jack.

- To dobrze. Wiem, że kusi pana, żeby zabrać z sobą broń, ale niech pan tego nie robi. Oddział antyterrorystyczny jest już w drodze. Nie będzie pan nawet wiedział, że tam są. Jeśli weźmie pan broń, może pan kogoś postrzelić.

- Dobrze.

- I proszę pamiętać: kiedy do pana zadzwoni, niech pan przeciąga rozmowę. Nasi technicy są dobrzy, ale namierzanie numeru trochę trwa. Chce pan przejrzeć pytania, które panu dałam?

Kartkę miał w kieszeni na piersi. Przypomniało mu się, jak przed pierwszą w życiu rozprawą do późnej nocy mozolnie spisywał pytania, jakie zamierzał zadać świadkom. Oczywiście na nic mu się nie przydały.

- Mam je przy sobie - odparł. - Zrobię, co będę mógł, żeby kupić wam trochę czasu, ale przede wszystkim chcę zmusić go do wymiany z ręki do ręki. Taki mam plan.

Andie się zawahała, jakby drzemiący w niej pitbul zastrzygł uszami, zamierzając podsunąć mu inną strategię działania.

- Ma pan przy sobie pieniądze?

- Nie. Dostanę je dopiero jutro rano. Teraz chcę tylko, żeby wyznaczył cenę za jednoczesną wymianę. Potem zobaczymy.

Najeżył się, oczekując kolejnego wykładu, lecz wyczuł na linii falę niechętnego przyzwolenia.

- W takim razie powodzenia. - Powiedziała to szczerze, bez sarkazmu w głosie.

- Dziękuję.

- Aha, jeszcze jedno. Niech pan pamięta: gdyby chciał pana zabić, zrobiłby to już dawno. Nie musiałby wyciągać pana na odludzie. On się po prostu z panem bawi, chce, żeby się pan trochę pogimnastykował. Chodzi mu o władzę.

- To zabawne. Właśnie to chcę mu odebrać.

- Ale co?

- Władzę.

Jack schował telefon. Cyferki na liczniku zmieniały się coraz szybciej. Byli już za miastem, daleko wśród pól zachodniej części hrabstwa Miami-Dade. Choć wbrew obawom Thea, od bagnisk Everglades wciąż dzielił ich kawał drogi, wokoło ciągnęło się głuchoe pustkowie. Na południe od nich królowały pomidory i papryka. Na północ palmy i rośliny ozdobne, setki hektarów znikającej w ciemności ziemi. Na poboczu stała podświetlona tablica z napisem: „Szkółka Whitmore”.

- Skręć tu - powiedział Jack.

Theo skręcił w zakurzoną drogę i monotonny syk asfaltu ustąpił miejsca stukotowi strzelających spod kół kamyków. Jack ponownie zajrzał do notatek, ale tym razem musiał zapalić górne światło. Im bliżej celu podróży, tym wskazówki były dokładniejsze.

- Teraz trzy i pół kilometra na północ.

Theo nie odpowiedział. Właśnie zmieniał nastrój na poważny.

- Mam nadzieję, że tam są - mruknął.

- FBI?

- Nie, krasnoludki.

Zatrzymali się dokładnie trzy i pół kilometra od skrzyżowania i Theo zgasił reflektory. Jack wysiadł i ogarnął wzrokiem wielką plantację królewskich palm. Dojrzałe, na dwanaście metrów wysokie, cicho szumiały na tle przechodzącego w granat nieba. Czuł się jak na skraju tropikalnej dżungli, tyle tylko, że te rosły rzędami, w idealnie równych odstępach. Gdy na zachodzie znikły ostatnie kolory dnia, stężyły bezruch nocy jeszcze bardziej wzmógł złowróżbne przeczucia. Jack wyjął latarkę z kieszeni, chociaż nie musiał już zaglądać do notatek. Znał je na pamięć.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł? - spytał Theo.

Wsparcie na pewno by się przydało, ale miał przyjść sam.

- Zaczekaj tutaj. I nie wyłączaj komórki.

W ciągu ledwie kilku minut szkółka zrzuciła jarzącą się łagodnie wieczorną szatę i zniknęła pod nieprzeniknionym, czarnym jak atrament płaszczem nocy. Rozum nakazywał zrobić pierwszy krok, ruszyć przed siebie, lecz wytrenowany przez miasto słuch zatrzymał go w miejscu, by najpierw przywykł do symfonii dziwnych, obcych dźwięków. Słyszał wracające do gniazd ptaki, słyszał brzęczenie chmar owadów, rechot żab, szelest szopów pracy myszkujących w poszukiwaniu jedzenia. Czuł bijący z nawozu zapach amoniaku,



smak unoszonego przez wiatr pyłku kwiatowego. Ciepłe, wilgotne powietrze otulało go jak mokre prześcieradło. W kuloodpornej kamizelce było mu duszno i bardzo niewygodnie. Wyostrzyły mu się wszystkie zmysły, łącznie z szóstym, który podszeptował, że ktoś go obserwuje. Miał nadzieję, że byli to ci z FBI.

Bał się jednak, że nie.

Jeszcze raz ogarnął wzrokiem palmy. Każdy rząd był oznaczony literą i liczbą. Wypatrzył tabliczkę z ręcznie namalowanym napisem: „Rz-17” i ruszył w tamtą stronę. Początkowo szedł powoli, potem wydłużył krok. Zwolnił dopiero na końcu drogi, gdzie zaczynał się siedemnasty rząd. Wszystkie bieły w odległości trzech metrów od siebie, a pień każdej palmy miał prawie trzydzieści centymetrów średnicy. Czarny baldachim liści przesłaniał światło księżyca i przejścia między rzędami wyglądały jak mroczne tunele. Jack wszedł do tunelu Rz-17, którego koniec ginął gdzieś w mroku. Poczłł się jak u wejścia do podziemnego labiryntu.

„Podejdz do dwunastej palmy w rzędzie siedemnastym”. Tak powiedziała na filmie Mia. Rzecz w tym, że po ciemku sięgał wzrokiem najwyżej do czwartej. Zapalił latarkę, co stworzyło kolejny problem.

Może lepiej od razu wymaluj sobie na plecach wielką tarczę, co?

Pstryknął włącznikiem i zaczekał, aż oczy znowu przywykną do mroku. Trwało to tylko kilka sekund. Ale zanim zrobił kolejny krok, ponownie owładnęły nim dawne wątpliwości. Przecież nie musiał tego robić. A może jednak musiał? Andie dała mu wybór, kiedy zadzwonił do niej z wiadomością o kolejnym nagraniu. Zaproponowała, że zamiast niego wyśle swego kolegę agenta. Ale obydwójce wiedzieli, że to zbyt ryzykowne. Tego rodzaju gierki mogły łatwo zabić Mię.

Zebrał myśli i przypomniały mu się słowa Andie. „Niech pan pamięta: gdyby chciał pana zabić, zrobiłby to już dawno”. Przez takie rozumowanie życie stracił niejeden bohater, ale nic lepszego nie mógł teraz zrobić. Wszedł między drzewa i poczuł miękką ziemię pod nogami. Przystanął i wytężył słuch. Nie licząc odgłosów natury, słyszał tylko własny oddech. Chociaż noc była ciepła, dostał gęsiej skórki na karku i wiedział, że to z nerwów. Tak, ryzykował, ale zdarzało mu się ryzykować bardziej z o wiele mniej ważnych powodów.

Przestraszył go nagły syk i szum. Sekundę później twarz zalały mu strumienie wody. Jakby ktoś polał go węzem, ale szybko zrozumiał, że to spryskiwacze, bardzo silne, takie, które wystrzeliwały wodę na ponad trzydzieści metrów. Walily w niego co najmniej z dwóch stron i palmowa szkółka błyskawicznie zmieniła się w las deszczowy z naciskiem na „deszczowy”. Woda była przyjemnie chłodna, jak wiosenna ulewa, ale pachniała siarką i

nawozem, co było typowe dla płytkich studni w tym rejonie. Jack przystanął tylko na chwilę, ale to wystarczyło, żeby przemókł do suchej nitki. W kamizelce zamontowano namiernik GPS i zastanawiał się, czy wilgoć nie wpłynie na jego skuteczność. Nie dawało mu również spokoju to, czy spryskiwacze odpaliły przypadkiem, czy zgodnie z czymś planem.

Ale nie miał czasu na takie zmartwienia.

Ruszył dalej wśród stworzonej przez człowieka namiastki tropikalnej nawałnicy. Minął trzecią palmę, potem czwartą, oddaloną o dwanaście, trzynaście metrów od drogi. Przed każdą kolejną zwalniał, przygotowując się na spotkanie z kimś, kto mógł czyhać za grubym pniem albo czaić się w ciemności.

Lało jak z cebra, bo spryskiwacze osiągnęły pełną wydajność. Przyspieszył kroku, jakby woda i wilgoć stanowiły dodatkowe niebezpieczeństwo. Im dalej się zapuszczał, tym było ciemniej, a sztuczny deszcz bynajmniej nie polepszał widoczności. Ubranie kleiło mu się do ciała, ziemia przypominała napęczniałą gąbkę. Minął palmę dziewiątą i dziesiątą. Od dwunastej dzieliło go sześć metrów, ale widoczność spadła do niecałych dwóch. Zatrzymał się i znieruchomiał. Rozsądek nie pozwalał mu pakować się na oślep w pułapkę. Owszem, zapalona latarka wystawiała go na cel, ale musiał widzieć drogę. Ponownie pstryknął włącznikiem i żółtawy promień wskazał mu kierunek.

Minął dziesiąte drzewo. Zatrzymał się przy jedenastym. Światło było na tyle silne, że widział już dwunaste. Przyjrzał się mu z odległości trzech metrów, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Ostrożnie podszedł bliżej. Mia kazała mu podejść do dwunastej palmy, ale nie powiedziała, co ma zrobić, kiedy już się tam znajdzie. Powoli, krok po kroku, zbliżył się jeszcze bardziej i przystanął na wyciągnięcie ręki od pokrytego gładką korą pnia. Uważnie wypatrywał jakiejś karteczki czy wyciętego w korze napisu. Ale nie zobaczył niczego - dopóki nie spojrział trochę dalej, za pień. Z ziemi coś sterczało. Było proste i płaskie, może palik, może słupek. Przetarł oczy i zobaczył metalowe ostrze.

Szpadel.

Natychmiast podszedł bliżej. Ziemia była mokra i naruszona, jakby niedawno w niej kopano. Na pewno nie ukryto tu skarbu, lecz nie ulegało wątpliwości, że coś jednak ukryto. Serce zabiło mu mocniej i nagle przypomniała mu się Ashley Thornton pogrzebana żywcem w podwodnej grocie pod Santa Fe.

Położył latarkę na ziemi i zaczął gorączkowo kopać, odrzucając ziemię na bok. Szło mu łatwo i szybko, bo najwyraźniej odkopywał coś, co niedawno tu zakopano. Po chwili szpadel natrafił na jakiś worek. Szpiczasto zakończone ostrze nie przebiło materiału, mimo to Jack znieruchomiał, bojąc się uszkodzić jego zawartość. Odrzucił szpadel, opadł na kolana i zaczął

odgarniać ziemię rękami. Zrobiony z grubego płótna worek wciąż tkwił częściowo pod warstwą mokrej ściółki, dlatego trudno było powiedzieć, jaki jest duży. Jack zaczął kopać szybciej i kilka sekund później znalazł coś w rodzaju uchwytu. Chwycił go obiema rękami i pociągnął, mocno, ze wszystkich sił. Za trzecim szarpnięciem worek uwolnił się wreszcie z objęć ziemi. Jack upadł do tyłu, pociągając go za sobą.

Był duży, sznurowany. Kształtem niczego nie zdradzał, więc Jack ostrożnie trącił go nogą. Wyglądało na to, że nie zawiera jednego przedmiotu, tylko kilka mniejszych, kawałków lub części. Bał się myśleć jakich. Otworzył go, zaświecił do środka latarką i zamarł.

- Theo! - Nie mógł jasno myśleć, bo wszystkie myśli zabiło narastające poczucie, że potrzebuje pomocy.

I raptem ze wszystkich stron otoczyli go agenci z oddziału antyterrorystycznego FBI, ubrani na czarno, z wycelowanymi karabinkami szturmowymi w rękach. Nadbiegł również przemoczony Theo.

- Nie strzelajcie do niego! - krzyknął Jack.

- Co jest, stary? - wysapał Theo, nie mogąc złapać tchu.

Spryskiwacze wciąż pluły wodą i nawet w świetle latarek trudno było rozpoznać zawartość worka. Poza tym Jack nie chciał zniszczyć potencjalnych dowodów rzeczowych. Ale podpowiedź leżała tuż przed nimi, na samym wierzchu: czaszka.

Nie ulegało wątpliwości, że są to ludzkie szczątki.

Theo podszedł bliżej i zatrzymał się, jakby wyczuł, że jest źle. Jack milczał, nawet na niego nie spojrzał. Zawiązał worek, położył go na ziemi, wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Andie Henning.

Obserwował palmy zza żółtej taśmy policyjnej. Widział niewiele, ot, odległe światło przenośnych lamp sodowych i migotanie latarek w najmroczniejszych zakamarkach szkółki. Miejsce zbrodni położone poza miastem zajmuje zwykle duży obszar, dlatego FBI odgrodziło nie tylko rząd siedemnasty, ale i kilka sąsiednich. Jego i Thea odesłano na zakurzoną drogę, prawie czterysta metrów od odkrytych przez Jacka zwłok.

Przez ponad dwie godziny między drzewami znikał jeden śledczy za drugim. Andie namawiała go, żeby wrócił do domu, obiecywała, że zadzwoni, kiedy tylko technicy coś znajdą. Jack został. I aby utrudnić Andie ucieczkę, usiadł z Theo na masce jej samochodu, z nogami na przednim zderzaku. Co kilka minut spoglądał na zegarek. To dziwne, ale w miarę upływu czasu robiło się coraz cieplej - a może krople potu na czole były po prostu oznaką zszarganych nerwów. Widział, że prędzej czy później Andie wyjdzie do niego z dobrymi nowinami. Albo ze złymi.

- To nie może być Mia - powiedział.

Po raz dziesiąty ujmował w słowa tę samą myśl, a Theo tylko wsłuchiwał się w ciszę.

- Na kościach nie było ani skrawka ciała - ciągnął. - I nic nie cuchnęło. Nic a nic. Zwłoki nie rozkładają się tak szybko. - Ciężko westchnął, nie mogąc pogodzić się z wynikami własnego rozumowania. - Chociaż pamiętam, że był taki Cantera i jego matka...

- Kto? - spytał Theo.

- Jorge Cantera, więzień z celi śmierci, którego kiedyś reprezentowałem. Zadźgał matkę i wrzucił jej ciało do bagna w Everglades. Dwa tygodnie później widziałem, jak policja je wyławia. Prawie nic z niego nie zostało.

- To nie Everglades.

- Ale Floryda. Mieszkamy w klimatyzowanym, pozbawionym szkodników świecie i zapomnieliśmy już, jak wygląda życie na prawdziwym bagnie. Mój ojciec znał mnóstwo starych, ciekawych historyjek, ale najbardziej lubiłem słuchać tych, które opowiedziała mu jego babka. Kiedy była młoda, musieli wstawiać nogi stołu do puszek z naftą, żeby robale nie zżarły im kolacji.

- A kiedy ja byłem młody, żarłem robale na kolację.

- Chodzi mi o to, że te wszystkie owady, wilgoć, upał, że to wszystko przyspiesza

rozkład.

- Daj sobie spokój z tym swoim szajbniętym klientem i jego biedną mamuszką. Powtarzam, to nie jest Everglades. Po drugie, od porwania Mii minęły nie dwa, tylko niecałe dwa tygodnie. Od porwania, nie wspominając już o śmierci. Przyjmijmy najgorszy scenariusz. Powiedzmy, że te wszystkie nagrania zrobiono już pierwszego dnia i że zaraz potem facet ją zabił. Jak długo by nie żyła?

Jack zmarszczył czoło.

- Od dwunastu dni.

- A nie mówiłem? Od dwunastu dni, a nie od dwóch tygodni.

Jack doceniał jego wysiłki, ale dwa dni różnicy nie dawały powodu do optymizmu.

Theo zeskoczył na ziemię i podszedł do policyjnej taśmy, gdzie bezskutecznie próbował wyłudzić papierosa od mundurowych pilnujących wejścia na teren szkoły. Jack obserwował go przez chwilę, a potem stracił zainteresowanie. Spojrzał w niebo, w gwiazdy, i poszukał tam Boga, chcąc sprawdzić, czy go słyszy. Zaczął się modlić i nagle przestał. Modlić się o to, żeby nie były to szczątki Mii? Czysty bezsens. Albo to ona, albo nie. Jeśli ona, trudno było oczekiwać, żeby Bóg zmienił ją teraz w kogoś innego. Mógł co najwyżej błagać Go o siłę do walki z czymś niewyobrażalnym. Nie był jeszcze gotowy, żeby prosić o coś więcej. Jeszcze nie.

Z palmowego zagajnika wystrzelił promień światła. Ostry jak lanca, zakołysał się w lewo i w prawo, potem podskoczył i opadł. Latarka. Jack miał przeczucie, że to jest to i się nie mylił. Kilka sekund później z mrocznego jak tunel rzędu siedemnastego wychynęła Andie Henning z jednym ze swoich śledczych. Jack podbiegł do żółtej taśmy i pomachał do niej ręką. Andie powiedziała coś do towarzyszącego jej mężczyzny - Jack stał za daleko, żeby usłyszeć co - i obydwoje ruszyli w jego stronę. Było za ciemno, żeby wyczytać coś z ich twarzy, dlatego gdy tylko znaleźli się bliżej, zawołał:

- To ona?

Andie i śledczy przeszli pod taśmą. Andie nie odpowiedziała od razu; miał przyprawiające o mdłości przeczucie, że zaraz usłyszy jej starą śpiewkę: „Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć”. Możliwe, że źle odczytał mowę jej ciała albo zmieniła zdanie, widząc nagie emocje na jego twarzy. Tak czy inaczej, spojrzała na niego i odparła:

- Nie.

Jacka zalała fala ulgi, która szybko ustąpiła fali sceptycyzmu.

- Tak szybko to ustaliliście?

Andie wskazała stojącego obok mężczyznę.

- To doktor Ruben Calhoun. Jest antropologiem sądowym i tak się szczęśliwie składa, że pracuje w Miami. Studiował w Knoxville, na wydziale antropologii sądowej Uniwersytetu Tennessee.

Jack nigdy tam nie był, ale dużo słyszał o malowniczym obiekcie tuż obok gmachu wydziału medycyny, o tej dolinie otoczonej drutem kolczastym, gdzie badano stadia rozkładu zwłok. O każdej porze roku leżało tam zawsze czterdzieści trupów wystawionych na różne warunki pogodowe, na słońcu i w cieniu, zwłok ubranych i nagich, pogrzebanych pod cienką i grubą warstwą ziemi, ciał zatopionych i wepchniętych do bagażnika samochodowego. Był to najdłuższy i najwszechstronniejszy eksperyment w świecie.

- Na farmie umarłych?

- Unikamy tej nazwy - odparł Calhoun. - Kojarzy się ze zwłokami ułożonymi jak marchewki na straganie. Ale tak, na farmie umarłych.

- Jeśli to nie Mia, to kogo odkopałem?

Calhoun odchrząknął, jakby szykował się do dłuższego wykładu.

- Po pierwsze, mogę z całkowitym przekonaniem stwierdzić, że są to ludzkie szczątki...

- Bez urazy, panie doktorze, ale z takim samym przekonaniem stwierdziłby to każdy, kto potrafi odróżnić czaszkę od piłki futbolowej.

- Hmm, tak, możliwe.

Jack zerknął na palmy.

- Świetne miejsce na ukrycie zwłok. Minie całe pokolenie, zanim te drzewa dojrzeją. Przez dobrych dwadzieścia pięć lat nikt nie będzie tu kopał. Dodać do tego lata oddziaływania pestycydów i nasączonej nawozami gleby, a wszystkie dowody szlag trafi.

- Zakładając, że zwłoki leżały tu tak długo - wtrącił Calhoun.

- Jak pan myśli, ile mogą mieć lat?

Calhoun chciał coś powiedzieć, ale Andie go uprzedziła.

- Za wcześnie na domysły, nie jesteśmy jeszcze gotowi.

- Wyglądają tak, jakby miały ze sto - drążył Jack.

- Pozory mogą mylić - zauważył Calhoun. - Zwłaszcza w tym środowisku, dlatego...

- Jack - przerwała im z mocą Andie - już to przerabialiśmy, i to nieraz. Nie należy pan do ekipy. O pewnych rzeczach nie możemy rozmawiać z osobami postronnymi.

Jack zaczął się zastanawiać, jaką teorię czy też informację przed nim ukrywa, ale ona zawsze miała swoje powody, a przynajmniej rozkazy od tych z góry.

- W takim razie pozwoli pan, że sformułuję pytanie trochę inaczej. Jak długo te kości tam leżały?

- Tego jeszcze nie wiem - odrzekł Calhoun.
- Kilka dni? Kilka tygodni?
- Przecież powiedział, że nie wie - wtrąciła Andie.
- Pytam, bo ziemia była spulchniona, co sugeruje, że zakopano je niedawno.
- Tak, na to wygląda - odrzekł Calhoun.
- Ale kiedy? Trzy godziny temu? Trzy dni? Trzy tygodnie?
- Pobrałem próbkę gleby, roślinności i owadów i muszę przeprowadzić kilka testów.

Wtedy będę mógł powiedzieć dokładniej.

Jack spojrzał na Andie.

- A co myśli o tym FBI?

Andie milczała, choć wyczuł, że chce mu powiedzieć tyle, ile może bez łamania rozkazów. Spróbował ją trochę przycisnąć.

- Trzy znane nam ofiary uprowadzenia pochodzą z Georgii, ze środkowej i północnej Florydy. W zależności od wyników badań antropologicznych możemy mieć kolejną ofiarę z południowej Florydy. Tak?

- Kto mówi, że to kolejna ofiara uprowadzenia? - odparła Andie.

- Porywacz Mii. Gdyby było inaczej, po co by mnie tu zwabiał? To oczywiste, że się z nami drażni, że grożąc Mii śmiercią, wcale nie żartuje. Może chce nam powiedzieć, że Ashley Thornton nie była jedyną kobietą źle wycenioną przez męża. Z katastrofalnymi skutkami.

- Nie skomentowałabym tego, nawet gdybym chciała - odrzekła Andie.

- Założę się, że te szczątki leżały tu od wielu miesięcy i że są to prawdopodobnie kości ofiary nieudanego porwania. Jej zniknięcia nie zgłoszono policji, a może nawet zgłoszono, ale z jakiegoś powodu jej nazwisko nie pojawiło się na ekranach waszych komputerów, kiedy szukaliście przypadków podobnych do porwania Ashley Thornton.

Andie ciężko westchnęła

- Gdyby zwłoki leżały tu od wielu miesięcy, czy ziemia byłaby tak miękka?

Calhoun podniósł palec, jakby chciał podkreślić znaczenie tego, co miał zaraz powiedzieć.

- Istnieje lepszy powód, dla którego pańska teoria nie trzyma się kupy. Ten sam, dzięki któremu mogę spojrzeć panu w oczy i z całym przekonaniem powiedzieć, że odkopane przez pana szczątki nie są szczątkami Mii Salazar.

- Zamieniam się w słuch - odparł Jack.

Calhoun zerknął na Andie, jakby szukał u niej przyzwolenia na podzielenie się swoim odkryciem. Andie skinęła głową.

- Otóż w znalezionym przez pana worku jest kość łonowa.

- No i?

Calhun znowu spojrział na Andie, ale ona go nie uciszyła.

- Męska kość łonowa. Nie kobieca.

Chwilę trwało, zanim Jack w pełni to zrozumiał. Popatrzył na ciemne palmy i głosem tak cichym, jakby mówił do samego siebie, powiedział:

- A to dopiero...

- Właśnie - mruknęła Andie.



## 56

Pieniądze wpłynęły w sobotę rano, zgodnie z terminem. Ponieważ jedynym zabezpieczeniem pożyczki był notarialny akt własności knajpki Thea i koncesja na sprzedaż alkoholu, Krwawy Bud przelał je z Atlanty na jego konto w Miami. Tuż po dziesiątej Theo zjawił się w domu Jacka z gotówką i złymi nowinami.

- Teraz już wiem, dlaczego mówią, że to sukinsyn - powiedział, wchodząc do kuchni i stawiając na blacie metalową walizeczkę. - Dał nam tylko dwieście tysięcy.

Jack omal nie zakrztusił się kawą.

- Co takiego?

- Zmienił zdanie. Ćwierć miliona to według niego za dużo jak na moje zabezpieczenie i twoje słowo. Bar jest wart dwieście tysięcy i dlatego tylko tyle może nam pożyczyć.

- Ale umawialiśmy się inaczej.

- Coś ty, naprawdę? Napisał, że jeśli nie podobają się nam nowe warunki, możemy odesłać mu kasę.

- I trzeba było odesłać.

- I co byśmy zrobili? Dalibyśmy porywaczowi rewers?

Jack już podnosił słuchawkę telefonu, ale Theo go powstrzymał.

- Daj spokój. Już z nim gadałem. Nie ustąpi.

Jack opadł na krzesło. Minęło prawie dziesięć godzin, odkąd wrócili z palmowej szkółki, a on nie zmrużył przez ten czas oka. Ulżyło mu, że nie są to kości Mii, ale nie przestawał snuć domysłów, kim mogła być ofiara. Nie mógł zasnąć, bo FBI miało zidentyfikować szczątki i rozgorączkowany wciąż czekał na telefon od Andie, żeby zaplanować następny ruch. W tej sytuacji podkrecona piłka Krwawego Buda była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

- No i co teraz? - spytał.

- Ile możesz zebrać?

- Wczoraj zlikwidowałem wszystko, co mogłem. Najwyżej siedemdziesiąt pięć tysięcy. Ale dwadzieścia pięć poszło już na konto tego hycła.

- A więc zostaje ci pięćdziesiąt. Super. Razem mamy ćwierć bańki.

Jack pokręcił głową.

- Muszę wyłożyć na stół tyle, żeby chciał zaryzykować wymianę z ręki do ręki. A to

chyba za mało.

- No to musimy być bardziej twórczy.

- Tak? I znaleźć kogoś, kto wydrukuje nam trochę zielonych?

Zamiast odpowiedzieć, Theo tylko uniósł brew.

Jack zganił go wzrokiem.

- Żartowałem.

Theo wciąż milczał, ale jego mina mówiła sama za siebie.

- Nie. Odpada. Wykluczone.

Żeby nie pomyślał, że sprawa jest otwarta, Jack pokręcił głową i zamachał rękami.

- Ale czemu? - namawiał Theo. - Znam jednego faceta, Rumuna z Fort Lauderdale, który...

- Przestań, ani słowa więcej. Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnim razem zacząłeś zdanie od: „Znam jednego faceta”?

- Nie bardzo.

- Chciałem tylko wydostać się z Wybrzeża Kości Słoniowej, a ty wyhaczyłeś kogoś, kto ledwo umiał latać tym kradzionym samolotem i omal nie poszatkowali nas kulami.

- Samolot nie był kradziony. On odebrał tylko swoją własność.

- Ta delikatna różnica najwyraźniej umknęła strażnikom z kałuszami.

- Jeśli zamierzasz się czepiać, to może ty znajdziesz kogoś, kto załatwi nam przed lunchem parę milionów dolarów, hę?

Tu go miał, ale Jack wciąż nie był do końca przekonany.

- No dobra, tak dla zabawy: jak się to robi?

- Normalnie. Mamy dwieście tysięcy od Krwawego Buda. Powinniśmy kupić za to dwa melony w przyzwoitych fałszywkach.

- I dwadzieścia lat w federalnym zakładzie karnym.

- Masz inne wyjście? Uzbieraliśmy ćwierć miliona, tak? A za Ashley Thornton nie wystarczył nawet milion. Za dwie bańki każdy pójdzie na jednoczesną wymianę. A wtedy zdejmą go snajperzy FBI.

Jack spojrział w kuchenne okno.

- To szaleństwo. Jestem prawnikiem, adwokatem. Nie mogę kupować fałszywych banknotów.

- Masz lepszy pomysł?

Jack podszedł do blatu i otworzył walizeczkę. Była po brzegi wypełniona plikami nowiuteńkich studolarówek. Wyciągnął ręce i jego palce zatańczyły na nich leciutko jak palce

pianisty.

Zaterkotał telefon. Jack ściszył pilotem telewizor - właśnie leciał dziennik - i spojrzął na ekranik aparatu. Znowu dzwonił „anonim”, co na tym etapie gry mogło oznaczać tylko jedno. Włączył głośnik i Theo mógł ich słyszeć, ale rozmawiał przez słuchawkę, żeby tamten nie wiedział, że ktoś go podsłuchuje.

- I tyle z naszej małej tajemnicy, Swyteck. - Głos zniekształcony tak jak poprzednio, tym razem był bardziej gniewny. - Umawialiśmy się, że nie będzie glin, tak? A dziesięć minut po tym, jak wykopałeś worek, w szkółce zaroiło się od tajniaków.

- A czego się spodziewałeś? Znalazłem zwłoki, bałem się, że to Mia.

- Mia? - W słuchawce zabrzmiał protekcyjny chichot. - Myślałem, że jesteś bystrzejszy.

- Czyje to zwłoki?

- Dlaczego nie spytasz tych z FBI? Skoro już znają naszą małą tajemnicę...

Obecność agentów w palmowej szkółce była właściwie nie do wytłumaczenia. Nie zważając na nagłą zmianę tematu, Jack musiał po prostu skierować rozmowę na Mię.

- Mam pieniądze. I chcę wymiany z ręki do ręki.

- Marzyciel z ciebie.

- Z ręki do ręki. Żadnych glin. Tylko ty i ja.

- Ile płacisz?

Jack się zawahał, ale nie wiedzieć czemu, nie potrafił zachować kamiennej twarzy i powiedzieć: ćwierć miliona.

- Dwa miliony

Zapadła cisza.

- Zainteresowałeś mnie - odparł w końcu tamten.

- Nie ma Mii, nie ma pieniędzy. To proste. Albo się wymieniamy, albo nic z tego.

- Ja wybieram miejsce i czas.

- Zgoda. Gdzie i kiedy?

- Przecież wiesz: w Czarcim Uchu.

Jackowi zamarło serce.

- O drugiej w nocy bądź na dzikim polu namiotowym numer dwadzieścia siedem. I tym razem zostaw FBI w domu.

- Rozumiem.

- Ja nie żartuję, Swyteck. Mówię poważnie. Żadnych glin. Inaczej twoja przyjaciółka skończy jak Ashley Thornton. A potem znajdę ciebie.

W jego głosie zabrzmiała obca nutka przyprawiającej o dreszcz nieodwołalności. Odpowiedź utknęła Jackowi w gardle i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, porywacz się rozłączył.

- W porządku? - Theo otworzył lodówkę, jakby podsłuchiwanie negocjacji zaostriżyło mu apetyt.

- Chyba tak - odparł Jack.

- Dobrze ci poszło. - Theo znalazł kawałek starej pizzy pepperoni i słoik majonezu. Powąchał majonez i wstawił go z powrotem do lodówki. - Naprawdę dobrze.

Jack po raz ostatni spojrział na walizkę. Wiedział, że pieniędzy jest za mało, że Mia jest warta znacznie, znacznie więcej. Ale żeby aż dwa miliony? Co go napadło?

- Czy ja zwariowałem? Czy może tak trzeba?

Theo wziął widelczyk do marynat i zanurzył go w słoiku z musztardą.

- Zamknij oczy.

- Po co?

- Zamknij.

Jack zamknął oczy.

- A teraz otwórz.

Wyglądało to na głupią zabawę, ale Jack posłuchał.

- Co widzisz? - spytał Theo.

- Ciebie.

- Właśnie. - Theo wrzucił do ust umazanego musztardą pikla i mlasnął lepкими, żółtymi wargami. - I chcesz mnie oglądać do końca życia czy wolałbyś patrzeć na Mię?

W pierwszej chwili zabrzmiało to śmiesznie, ale on się nie roześmiał. Odstawił słoik z ogórkami i spojrział Jackowi w oczy.

- Pamiętasz, jaki byłeś szczęśliwy, kiedy mi ją przedstawiłeś? Pamiętasz?

- Tak - odrzekł cicho Jack. - Pamiętam.

- Ilu popaprańców ma fart, żeby znaleźć w życiu kogoś, przy kim tak się czują? Mówię poważnie. Myślisz, że na przykład ja wyhaczę kiedyś taką kobietę?

Theo nie należał do krasomówców, ale w różnych sytuacjach podbramkowych Jack najczęściej musiał przyznać mu rację.

Jack zamknął walizeczkę.

- Dobra. Jak mus, to mus.

Andie musiała czekać. Lekarz sądowy niczego nie obiecywał. Mógł zidentyfikować szczątki z worka jeszcze przed lunchem, ale równie dobrze mógł nie zidentyfikować ich wcale. Wszystko zależało od wyników badań i - jak w każdym udanym śledztwie - od szczęścia i właściwej interpretacji faktów.

Nie spała całą noc i teraz myślała tylko o krótkiej drzemce. Ale najpierw musiała wydostać się z ruchliwego kampusu. Biuro lekarza sądowego mieściło się w Centrum Medycyny Sądowej imienia Josepha H. Davisa, składającym się z trzech gmachów w kompleksie za kampusem wydziału medycyny Uniwersytetu w Miami i za szpitalem Jacksona. Kiedy tu przyjechała, wszędzie było ciemno i względnie spokojnie, ale o dziesiątej na kampusie zaroilo się od pacjentów spieszących do instytutu ortopedycznego, do instytutu okulistycznego i do innych światowej sławy specjalistów.

Zatrzymała się na czerwonym świetle przed Centrum Onkologii imienia Sylwestera. Palił się napis IDŻ i przez ulicę - o smutna ironio - przejeżdżała na wózku jakaś pacjentka. W pierwszej chwili Andie pomyślała, że pchający wózek młody mężczyzna jest jej synem albo wnukiem. Ale kiedy znaleźli się przed maską samochodu, zobaczyła, że kobieta jest młoda, że to choroba tak ją zniszczyła. Próbowwała na nią nie patrzeć, ale nie mogła. Zastanawiała się, czy kobieta usłyszała właśnie dobrą wiadomość, czy złą, czy wciąż ma nadzieję na wyzdrowienie, czy kurczowo trzyma się resztek życia. Znała te uczucia aż za dobrze. Strach i bezradność doprowadziły ją do rozpacz - i do zakładu karnego w Walla Walla, gdzie widziała się z człowiekiem, który zamordował jej matkę. Zrobiła to nie dlatego, że tego chciała. I nie dla zaspokojenia próżnej ciekawości czy w poszukiwaniu swoich korzeni. Ta żalosna namiastka istoty ludzkiej była jedyną żyjącą osobą, która mogła powiedzieć jej, kim był jej biologiczny ojciec. Przez te wszystkie lata nigdy nawet nie pomyślała, żeby go odszukać. I nagle stało się to sprawą życia lub śmierci, co tamtego szarego, pochmurnego poranka wyraźnie dał jej do zrozumienia onkolog z Seattle. - Jest bardzo źle? - spytała. Czekala kilka godzin, żeby porozmawiać z lekarzem prowadzącym i dopadła go wreszcie, gdy wysiadał z windy.

- To walka z wiatrakami - odparł.

- To znaczy?

Lekarz ciężko westchnął i odpowiedź nie była już konieczna.

- Pani siostra walczy, lecz bez udanego przeszczepu szpiku kostnego nie możemy poddać jej skutecznej chemioterapii.

Andie próbowała zachować spokój, ale po tylu nieprzespanych nocach, po tylu modlitwach, które pozostały bez odpowiedzi, zaczynała ulegać lękowi i frustracji.

- Nie rozumiem. Dlaczego jej ciało odrzuciło mój szpik? Przecież jesteśmy bliźniaczkami.

- Ale nie jednojajowymi. Jest pani w tej samej kategorii dawców, co każdy inny brat czy siostra, co znaczy, że był to przeszczep alogeniczny, a nie jednorodny. W przypadku rodzeństwa antygeny krwinek białych są zgodne tylko w trzydziestu, czterdziestu procentach.

- Dobrze, czyli mój szpik nie pasuje. A szpik dawców niespokrewnionych? Nie możemy spróbować tego?

- Mielibyśmy nikłe szanse, prawie żadne. Ma pani inne siostry czy braci?

- Nie. To znaczy, nie wiem. Wychowaliśmy się w rodzinie zastępczej. Nasza biologiczna matka nie żyje.

- A ojciec?

Zażenowana Andie uciekła wzrokiem w bok. Spodziewała się tego pytania, ale wcale nie było jej przez to łatwiej.

- Nie wiem. Musiałabym go znaleźć.

- Ile by to potrwało?

- A ile mam czasu?

Lekarz znowu ciężko westchnął.

- Białaczka jest uleczalna, ale tak jak w przypadku każdego innego raka, im wcześniej, tym lepiej. Nie chciałbym czekać dłużej niż dwa miesiące. Góra dziesięć tygodni. I proszę pamiętać, że nawet udany przeszczep przyjmuje się od dziesięciu do dwudziestu ośmiu dni. Tak więc ma pani tylko kilka tygodni, żeby go znaleźć i przywieźć tu na pobranie.

Andie nie miała podstaw do optymizmu i dostawała dreszczy na samą myśl o perwersyjnych warunkach, jakie postawił jej Wicasa w zamian za informację o biologicznym ojcu. Ale chodziło o życie siostry, dlatego do głowy przyszła jej tylko jedna odpowiedź.

- Proszę się nie martwić. Znajdę go. Bez względu na wszystko.

Z tyłu niecierpliwie zagrzmiała symfonia klaksonów. Andie podniosła wzrok i zobaczyła, że ma już zielone światło. W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Andie odpędziła wspomnienia, przejechała przez skrzyżowanie i odebrała.

- Tak, słucham.

Dzwonił Crenshaw.

- Nie mogę go znaleźć.

- Jak to?

- Nie odbiera telefonu. Byłem w jego domu, ale domofon też jest głuchy. Byłem na dwóch budowach. I nic.

- Jego wóz stał na podjeździe?

- Nie, ale facet ma garaż na pięć samochodów i nie udało mi się tam zajrzeć.

- Może po prostu nas unika.

- Może - odparł Crenshaw. - A może jednak miałem nosa i w worku wykopanym przez Swytecka jest Ernesto Salazar.

Mia obudziła się z głębokiego snu, z najgłębszego snu, w jaki zapadła od chwili uprowadzenia. Była ospała i zdezorientowana, jak po narkozie. Pulsujący ból w lewym udzie był dojmującym wspomnieniem tego, co się stało. Poczula ukłucie igły i straciła przytomność. Poszło szybko. Bardzo szybko.

Nie pamiętała, jak i kiedy ją przeniósł, ale otoczenie było teraz zdecydowanie inne. Nowe pomieszczenie, mniejsze od poprzedniego - miało może dwa i pół metra na trzy - oświetlała pojedyncza żarówka małej mocy. Podłoga była betonowa. Ani okien, ani klimatyzacji, wszędzie unosił się zapach pleśni. Musiało być ze trzydzieści stopni Celsjusza, może nawet więcej. Skóra błyszczała od potu. Już od samego siedzenia na podłodze ubranie lepilo się do ciała. Gdyby nie ta straszliwa duchota, pewnie spałaby jeszcze dłużej.

Wstrzymała oddech i wyteżyła słuch. Nic. W nowym więzieniu było równie cicho jak w starym. Próbowwała zmienić pozycję, ale nie dała rady. Ręce skrępowano jej z przodu, mogła więc pomacać się po całym ciele. Nogi przykuto łańcuchem do ściany. Żeby to zrobić, porywacz wyciął dziurę w płycie gipsowej i przewiercił na wylot drewniany słup. Chcąc stąd wyjść, musiałyby pociągnąć za sobą cały budynek. Przysunęła się bliżej ściany i obejrzała otwór. Mały i wąski nie zachęcał do ucieczki - można było tylko przewlec przezeń łańcuch, nic więcej. Chyba że jest się... wijem, pomyślała. Zauważyła jednego na podłodze. Był czarny i ruchliwy, nie większy niż jej mały palec. I jeszcze jednego, też na podłodze, potem kolejnego, na ścianie, gdzie wraz z kilkoma innymi pełzł w stronę sufitu. Przeszły przez dziurę w słupie, co ją zastanowiło. Wije, a właściwie krocionogi, zaatakowały kiedyś jej ogród w Palm Beach i robotnicy z firmy zajmującej się tępieniem szkodników powiedzieli jej, że rozmnożyły się tak pod liśćmi gnijącymi na podwórzu sąsiada. Kilka wpełzło nawet do domu, ale z zasady nie odchodziły daleko od źródła pożywienia. Ot, taki drobiazg, niby nic, ale na tym etapie gry ważne były nawet najmniejsze fragmenty informacji. Jeśli krocionogi znalazły się po tej stronie ściany, źródło pożywienia musiało znajdować się po tamtej. Źródło pożywienia, czyli roślinność. Roślinność, czyli otwarta przestrzeń. Wolność.

Szarpnęła łańcuchem i metalowe kajdanki wbiły jej się w ciało tuż nad kostką u nogi. Nic z tego. Krocionogi wskazywały jej drogę, ale równie dobrze ptaki mogłyby uczyć ją latać. Chociaż było to zupełnie irracjonalne, szarpnęła łańcuchem jeszcze mocniej, jakby chciała



wyrwać go ze słupa, a słup ze ściany. Łańcuch - miał sto dwadzieścia, sto trzydzieści centymetrów długości - napiął się jak sztywny stalowy pręt, atakując najsłabszy punkt oporu, delikatną skórę nad kostką. Mia przestała ciągnąć. Łańcuch zwiotczał i upadł z brzękiem na podłogę. Krawędź metalowej obręczy była ostrzejsza, niż się wydawało. Przecięła skórę i ranka zaczęła krwawić. Mia wyciągnęła rękę, żeby ją ucisnąć i nagle zamarła. Zabrała rękę i usiadła bez ruchu, obserwując czerwony strumyczek. Obudziły się wspomnienia, znowu ożył widok jej własnej krwi spływającej po udzie długimi, wąskimi wstążeczkami niczym żyły bez ścianek. Chirurg plastyczny mógłby usunąć tę bliznę już przed laty, bo czyż nie zmienił kształtu jej nosa i podbródka, żeby mogła przybrać inny wygląd i nową tożsamość? Ale nie, kazała ją zostawić. Blizna przypominała jej, dlaczego musiała uciekać.

I dlaczego wciąż musi.

Usłyszała kroki za drzwiami. Odruchowo usiadła prosto, przygotowując się wewnętrznie, chociaż - tak jak zawsze - nie wiedziała na co. Zachrząścił klucz w zamku, szczęknęły zapadki. Mia skupiła wzrok na klamce. Gwałtowny rozbłysk jaskrawego światła powiedział jej, że jest dzień, lecz prawie natychmiast znowu zapadł półmrok. Porywacz szybko zamknął drzwi i rzucił na podłogę płócienną torbę. Ubrany na czarno, w świetle słabej żarówki był jak cień. Mia nie podniosła głowy. Patrzyła na torbę. Bała się, że znowu będzie ją filmował, ale nie, bo gdyby w torbie była kamera, nie rzuciłby jej tak na betonową podłogę.

- Jak się czujesz? - spytał.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy dotąd nie pytał o jej samopoczucie.

- Chyba dobrze.

- Świetnie. - Ukląkł na jedno kolano, rozpiął torbę i zaczął w niej szperać. Wyjął coś, wstał, podszedł bliżej i zatrzymał się pół kroku przed nią. - Uklęknij.

Nienawidziła tej pozycji, nienawidziła, kiedy nad nią stał. Zawahała się, lecz szybko wypełniła rozkaz, bojąc się reprimendy.

- Spójrz na mnie.

Powoli zadarła głowę. Patrzyła do góry, nie skupiając na niczym wzroku, widząc tylko jego czarny korpus nad klamrą u pasa. Słabe światło było czasem prawdziwym błogosławieństwem. Próbowwała się nie skrzywić, kiedy odgarnął jej włosy z czoła.

- Przymierz.

Poczuła na twarzy dotyk zimnego lateksu i odruchowo się cofnęła.

- Nie ruszaj się! - krzyknął.

Zesztywniała, a wtedy naciągnął jej coś na głowę. To była maska. Maska do nurkowania.

- Zamknij usta i wciągnij powietrze przez nos.

Zrobiła, co kazał. Maską przywarła do skóry i puściła z cichym cmoknięciem, gdy następnie zerwał ją z jej twarzy.

- Znakomicie. - Wrzucił maskę do torby. - Nurkowałeś?

- Z aparatem?

- Tak. Nurkowałeś?

Znowu nie wiedziała, co powiedzieć.

- Raz. W Cozumel.

- Cozumel, hę? Ładne grotty.

- Do grot nie wpływalismy. Głośno prychnął, a może zachichotał.

- Zawsze jest ten pierwszy raz, skarbie.

Nie odpowiedziała, chociaż doskonale go zrozumiała. „Pierwszy raz” miał być jej ostatnim.

Drzwi otworzyły się i szybko zamknęły. Porywacz zniknął, ale torbę zostawił. Mia była pewna, że wkrótce wróci. I że nie będzie to nurkowanie dla rozrywki. Podupała na duchu, lecz nagle przypomniała sobie o swojej małej tajemnicy. Narkotyk, który jej wstrzyknął, wyczyścił pamięć i nowa myśl zrodziła nową nadzieję. Podciągnęła nogawkę i sprawdziła, czy jej as wciąż tam jest. Był. Pod szwem tkwił długi, ostry kawałek szkła z żarówki. Bardzo uważała, żeby go nie złamać - i żeby się przy okazji nie skaleczyć. Nie należał do największych, ale był dość duży, miał z pięć centymetrów długości. Jakimś cudem zdołała ukryć go po ostatnim filmowaniu, kiedy kazał jej opatrzyć ranę. Miała teraz broń i od razu poczuła się lepiej. Broń była prymitywna, lecz skuteczna i nie bała się jej użyć.

Pytanie tylko kiedy.

Jack bywał w miejscach ustronniejszych i spokojniejszych, ale roilo się tam zwykle od nagrobków. O drugiej nad ranem osiemdziesiąt jeden hektarów lasu porastającego Ginnie Springs było jak ocean czarnej ciszy. Kłopotów z wjazdem nie mieli, bo ośrodek działał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale znalezienie drogi po ciemku graniczyło z cudem.

- Piszą tu, że w tysiąc pięćset trzydziestym dziewiątym miejsce to odkrył i zbadał Hernando de Soto. - Siedzący w fotelu pasażera Theo oświetlił latarką tablicę informacyjną i mapę. - Myślisz, że przejeżdżając przez High Springs, wpadł do knajpy Hardee'ego?

- Możesz przestać żartować i skupić się na mapie?

- Chciałem tylko, żebyś się trochę rozluźnił. To wszystko.

Jack zerknął na swoje ręce. Zaciskał je tak mocno, że kierownica groziła pęknięciem. Tak, był za bardzo spięty, ale granica między odprężeniem i brakiem czujności jest bardzo cienka.

- Przepraszam. Psychole, z którymi mam zwykle do czynienia, są sędziami, a nie porywaczami.

Brama, pierwszy skręt i coś w rodzaju centrum do nurkowania połączonego ze sklepem - wszystko na głucho zamknięte. Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, mapa, na której zaznaczono pięćdziesiąt trzy kempingi z podłączoną elektrycznością. Mniej więcej połowa była zajęta przez turystów z namiotami, przyczepami i samochodami kempingowymi. Jediną oznaką życia był pijany staruch sikający za pikapem. Światło ich reflektorów trafiło go prosto w genitalia, więc stał przed nimi jak na castingu do Goło i wesoło. Przyłapano o drugiej nad ranem. Musiał czuć się jak największy pechowiec na świecie, chociaż zważywszy na to, co ich czekało, Jack chętnie by się z nim zamienił.

- Pole namiotowe numer dwadzieścia siedem, tak? - spytał Theo.

- Tak, ale to na pewno nie tutaj.

- Skąd wiesz?

- Bo on mówił o dzikim polu namiotowym. Na dzikich nie ma prądu.

- Chciałbym się z tobą pokłócić - odparł Theo, przeciągając samogłoski jak wytrawny ulicznik - ale nas pewnych rzeczy w szkole nie uczyli.

Zdawało się, że to niemożliwe, lecz im dalej od centrum do nurkowania i głównego

kempingu, tym droga była ciemniejsza. Zaraz za miejscem, gdzie asfaltówka przechodziła w żwirówkę, Jack zauważył małą drewnianą tablicę. Zatrzymał samochód i poświecił latarką. DZIKIE OBOZOWISKA 12-31. Pod napisem była strzałka wskazująca wąską ścieżkę odchodzącą od drogi.

- Wygląda na to, że dalej musisz zasuwać piechotą - powiedział Theo.

Jack spojrział na zegarek. Za dwadzieścia druga. Wysiadł i obszedł samochód. Wszystko było skąpane w pomarańczowo-czerwonym świetle tylnych świateł, chociaż widział tam więcej czerwieni, która kojarzyła mu się z krwią. Nie wiedział, czy jego, czy Mii, ale nie miało to znaczenia. Jeśli chciał przetrwać noc, musiał odpędzić te makabryczne myśli. Włożył kluczyk do zamka i otworzył bagażnik. Otworzył i zastygł bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w bezcennym ładunku.

Drgnął, słysząc czyjeś kroki. Ale to był Theo.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie. Pomóż mi tylko i zostań przy samochodzie.

Na wierzchu leżała kamizelka kuloodporna, którą dostał od FBI; wisiała teraz na stałe w jego szafie zamiast granatowej marynarki. Theo pomógł mu ją włożyć. Zapiął rzepy i sprawdził, czy dobrze trzymają. O drugiej po południu upał byłby nie do zniesienia, ale o drugiej nad ranem panował miły chłód. Jack sięgnął po plecak, lecz Theo go powstrzymał.

- Jeszcze jedno. - Wcisnął mu do ręki glocka.

- Andie powiedziała: bez broni.

- Andie nie musi targać walizy z kasą.

Jack umiał strzelać, ale ilekroć brał do ręki pistolet, czuł się jak po zastrzyku adrenaliny. Rozpiął plecak i rzucił glocka na stertę pieniędzy.

- Brakuje tylko melodii przewodniej z Ojca chrzestnego.

Theo zaczął nucić coś pod nosem.

- To z Love Story, baranie.

- Przepraszam. Ale przynajmniej trafiłem z dekadą.

Jack zatrzasnął klapę bagażnika. Theo trzymał fason, jednak miał zatroskane oczy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Jack.

- Nie o to się martwię. Pójdę za tobą. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów z tyłu, tak na wszelki wypadek. Dobra?

Jack pokręcił głową.

- Jeśli cię zauważy, pomyśli, że to FBI. A to byłaby bardzo zła wiadomość dla Mii.

- To samo można powiedzieć o tych z FBI.

- Andie twierdzi, że będą ubezpieczać mnie tak, że nikt nic nie zauważy i kiedyś trzeba jej zaufać. Poza tym gdyby zobaczyli, że za mną idziesz, mogliby cię postrzelić.

- Czyli co? Mam tu siedzieć i czekać?

- I nie wylączyć komórki. Jeśli najdą mnie złe przeczucia, zadzwonię.

- Kiedy mam zacząć cię szukać?

- Kiedy usłyszysz coś, co zabrzmiałoby jak wrzask borsuka z językiem w sidłach na niedźwiedzie, możesz spokojnie wyruszać.

Wymienili słabe uśmiechy. Theo życzył mu powodzenia i Jack zagłębił się w las. Ścieżka była wąska i bez latarki natychmiast by zabłądził. Przez dziury w liściastym baldachimie wlewał się blask księżyca, oświetlając hiszpański mech, który oplatał gałęzie niczym podarte rybackie sieci. Ziemia była miejscami tak rozmokła, że gdyby wyteńczył słuch, usłyszałby cichy szum płynącej w pobliżu rzeki. Wszędzie coś skrzeczało i chrobotowało, rechotały wielkie żaby, krzyczał jakiś ptak, czapla albo rybołów. Po kilku minutach przedzierania się przez krzewy, przeskakiwania przez leżące na ścieżce pnie i obchodzenia mrowisk znalazł się na skraju polany i przeczytał napis na tablicy informacyjnej. Nie było żadnych rezerwacji, kto pierwszy, ten lepszy - taki obowiązywał tu regulamin. Miejsce w sam raz dla tych, którzy zaplanowali wyjazd w ostatniej chwili, oraz dla porywaczy. Jack poszedł dalej, mijając kilka ciemnych namiotów. Te małe przytuliska wydały mu się niezwykle wężkie i kruche. Ot, kawał nylonu i kilka patyków, względnie dobra ochrona przed wiatrem i deszczem, przed niczym więcej. Szlak był tak odludny i samotny, że pozbawionemu sumienia nożownikowi uszłoby tu wszystko łącznie z morderstwem.

Wreszcie w miejscu, gdzie ścieżka odbijała w prawo, by długim łukiem ominąć kępę cyprysów, wędrowka dobiegła końca. W świetle latarki ukazała się strzałka wskazująca drogę do obozowiska numer 27.

Jack miał być tu o drugiej i był. Nie powiedziano mu, co ma robić, ale ciągle powtarzał w myśli jedno: wymiana z ręki do ręki. To warunek niepodlegający dyskusji.

Poświecił wokoło latarką i zobaczył pierwszą niespodziankę. Na najwyższym miejscu - na Florydzie jest to zwykle kopczyk wysokości kilkunastu centymetrów - stał czerwony nylonowy namiot. Nie wiedzieć czemu, Jack myślał, że obozowisko będzie puste i zastanawiał się przez chwilę, czy nie rozbił go jakiś turysta, nieświadomie narażając Mię na niebezpieczeństwo. A może zrobił to sam porywacz, żeby „zaklepać” sobie miejsce? Może namiot był istotną częścią jego planu?

Jack zgasił latarkę i zaczekał, aż oczy przywykną do rozświetlonego przez księżyc nieba. Mijały sekundy i im lepiej widział, tym większych nabierał podejrzeń. Czy to możliwe, żeby

w namiocie był sam porywacz? Nie, wykluczone. Ale namiot na pewno nie stał tu bez powodu. Jack zerknął na ekranik komórki. Miał zasięg, więc jeśli porywacz chciał do niego zadzwonić, na pewno by zadzwonił. Spróbował odtworzyć ich ostatnią rozmowę, dokładnie, słowo po słowie. „O drugiej w nocy bądź na dzikim polu namiotowym”. Pamiętał to i ostrzeżenie, żeby nie zawiadomiać FBI, które oczywiście zignorował. Rozejrzył się wokoło. Jeśli agenci rzeczywiście tu byli, musiał pogratulować im świetnej roboty, bo ukryli się doskonale. Może w namiotach, które mijał po drodze.

Podszedł dwa kroki bliżej i przystanął. Podniósł kamień i rzucił nim w namiot, żeby sprawdzić, czy coś się w środku poruszy. Nie poruszyło się nic. Cisnął w namiot garścią drobnych kamyków. Znowu nic, chociaż hałas obudziłby nawet umarłego. Albo w środku nikogo nie było, albo ktoś się tam przyczaił. Oczywiście tym kimś mogła być również Mia. Związana albo martwa. Przed oczyma znowu stanęła mu scena z palmowej szkółki: fruująca wokoło ziemia, walące jak młotem serce, płócienny worek z ludzkimi szczątkami. Czy była to tylko wynaturzona próba, bestialskie preludium do dzisiejszego wieczoru? Czyżby miał zaraz wpaść do namiotu, rozpiąć śpiwór i znaleźć w nim...

Potrząsnął głową. Nie, precz z tym. Pod wpływem impulsu podbiegł jeszcze bliżej. Szybko rozchylił poły i poświecił latarką. Namiot był pusty, nie licząc zapisanej kartki na podłodze.

Wpełznął do środka, podniósł ją i zaczął czytać. Zanim dotarł do końca pierwszego zdania, w kieszeni zawibrowała komórka. Wystraszył się, ale odczuł też ulgę. Kolejny list od porywacza uniemożliwiłby jakiegokolwiek negocjacje. A on musiał z nim negocjować. Wyjął telefon, przygotowując się do najważniejszej rozmowy w życiu. Już miał odebrać, gdy wtem znieruchomiał. To był SMS i to wcale nie od porywacza. MONTALVO NIE ŻYJE.

Poczuł się tak, jakby oblano go kubłem lodowatej wody. Andie Henning. Nacisnął guzik oddzwaniania.

Za kwadrans trzecia był głęboko w lesie, podążając ścieżką wśród gęstego poszycia. Nie widział rzeki, ale czuł zapach bagna, siarkowy odór stojącej przy brzegu wody i gnijących wodorostów. W prawej ręce miał latarkę, w lewej kartkę. W środku nocy łatwo by się tu zgubił, co wyjaśniało, dlaczego porywacz zostawił mu w namiocie odręcznie narysowaną mapę. Wskazówki były jasne i czytelne - w przeciwieństwie do wszystkiego innego, przynajmniej w tej chwili.

Rozmowa z Andie przyprawiła go o ból głowy. Montalvo nie żył, byli tego pewni. Miał dziurę po kuli nad lewym oczodołem i nie żył od lat, nie od tygodni czy miesięcy. Dezorientujące, owszem. Ale Jack nie zdążył nawet o tym pomyśleć, bo komórka zawibrowała ponownie. Numer zastrzeżony. Wiedział, że to nie Andie, bo umówili się na telefon dopiero po tym, jak przekaże tamtemu pieniądze. Pozostawał więc tylko... Otworzył klapkę i bez zastanowienia wypalił:

- Zabiłeś Montalva?

Chwila ciszy i znajomy, chrapliwy głos.

- To pierwsze inteligentne pytanie, jakie zadałeś mi od dłuższego czasu. A więc domyśliłeś się w końcu, kto leżał pod tą palmą. A może to zasługa twoich przyjaciół z FBI?

- Chcę tylko wiedzieć, kto go zabił.

- Ciekawość bywa bardzo niebezpieczna.

- To ty?

- Nie. To nie ja.

- To skąd wiedziałeś, gdzie pogrzebano zwłoki?

Cisza po drugiej stronie linii była nie do zniesienia.

- Od twojej przyjaciółki. - W głosie porywacza zabrzmiała stanowcza nutka. - Wreszcie z niej to wyciągnąłem. Chcesz wiedzieć jak?

- Nie wierzę.

- Skoro kości mają siedem lat, to dlaczego ziemia była świeżo skopana? Musiałem zajrzeć do worka i sprawdzić, czy Mia nie kłamie.

Jack zatrzymał się na rozwidleniu ścieżek. Już miał odpowiedzieć, ale tamten go uprzedził.

- Przyniosłeś pieniądze? Tyle, ile jest dla ciebie warta?
- Nie martw się, przyniosłem. Gdzie Mia?
- A gdzie tym razem ukrywają się ci z FBI?
- Nie ma ich tu. Jesteśmy sami, tylko ty i ja, tak jak chciałeś. Gdzie Mia?
- Wkrótce do tego dojdziemy.
- Nie. Mówiłem, albo wymiana z ręki do ręki, albo nic z tego. To warunek niepodlegający dyskusji.
- To ja decyduję, co podlega dyskusji, a co nie. Zrobimy tak. Tylko dobrze słuchaj, bo nie zamierzam powtarzać tego dwa razy.



# 61

Płetwonurkowie czekali, ale aż ich roznosiło.

Agent Peter Crenshaw nie czuł się jak zastępca i podwładny. Nie ulegało wątpliwości, że akcją dowodzi Andie Henning, ale on miał dwadzieścia lat doświadczenia więcej. Jako odznaczony wietnamski weteran i były żołnierz Fok, jednostki specjalnej amerykańskiej marynarki wojennej, o nurkowaniu wiedział więcej niż którykolwiek z jego ludzi, łącznie z dwoma płetwonurkami z miejscowej grupy poszukiwawczo-ratowniczej, którzy uważali się za ekspertów od nurkowania jaskiniowego. Zgoda, nigdy nie schodził do Czarciego Ucha i nie był na tyle bezczelny, by twierdzić, że „nurkowanie to tylko nurkowanie”. Wiedział, że eksploracja podwodnych jaskiń to zupełnie coś innego, ale swego czasu zaliczył sporo wraków z wąskimi przejściami i ciasnymi wnętrzami, w tym kilka na głębokości ponad sześćdziesięciu metrów, gdzie w słoneczny dzień było jak w środku nocy. Badał dno rzek tak wzburzonych i mętnych, że można w nich było pływać tylko po omacku. Dlatego kiedy Henning zabroniła im schodzić do Czarciego Ucha bez wyraźnego rozkazu, nie zamierzał szukać pretekstów, by się jej sprzeciwić. Ale gdyby mimo wszystko pretekst taki znalazł, był zdecydowany pójść za głosem własnego rozsądku.

- Widziałem światło - powiedział ten z grupy poszukiwawczo-ratowniczej. Nazywał się Danfield i był szczupłym triatlonistą o ostrzyżonych po wojskowemu włosach i nabrzmiałych pod kombinezonem bicepsach. Crenshaw wysłał go na zwiady. Danfield właśnie wrócił i zaległ na brzuchu tuż obok niego i swego kolegi. W czarnych piankach, ukryci w gęstych zaroślach, byli zupełnie niewidoczni. Rozmawiali cichym szeptem.

- Na pewno?

- Jak widzę, to wiem - odparł Danfield. - Tam jest światło. Głęboko. Ktoś nurkuje.

- Jakiś turysta?

- Ci, którzy schodzą do jaskiń, nie tracą poczucia czasu. Jest po trzeciej. Nurkować można tylko do północy. Złapią cię i stracisz licencję. A strata licencji to dla płetwonurka śmierć.

Crenshaw sięgnął do torby po telefon z urządzeniem szyfrującym, ale Danfield chwycił go za rękę.

- Nie rób tego.

- Henning zabroniła schodzić bez rozkazu.
- Tak było ostatnim razem. I jak skończyła Ashley Thornton?

Crenshaw spojrział na czarną sadzawkę, wejście do systemu podwodnych grot. W łagodnym świetle księżyca jej powierzchnia marszczyła się lekko od silnych podwodnych prądów.

- No więc? - drążył Danfield.

- Myślę.

- Oby nie za długo. Byłem w grupie, która wyciągała stąd jej ciało. I wolę tego nie powtarzać. Każda minuta to strata cennego czasu. Ten facet wlecze tam kolejną ofiarę. Chcesz powiedzieć jej rodzinie, że siedzieliśmy tu na dupie i spokojnie czekaliśmy?

Crenshaw znowu spojrział w tamtym kierunku. Może była to tylko księżycowa poświata, srebrzysta i rozkołysana, ale mógłby przysiąc, że przez chwilę widział w wodzie błysk latarki. W Czarcim Uchu ktoś był.

Wyjął telefon.

- Naprawdę chcesz do niej zadzwonić? - jęknął Danfield. - Mimo wszystko?

Crenshaw spiorunował go wzrokiem.

- Centrum dowodzenia musi znać naszą pozycję, ale to nie znaczy, że zamierzam prosić Henning o pozwolenie. Wkraczamy do akcji, chłopcy. Czy jej się to spodoba, czy nie.

Opadła lekka mgła, delikatna mgiełka. Zaległa wśród wierzchołków drzew, niemal dzwoniąc mu w uszach, jak cisza w eterze. Po kilku minutach na najwyższych liściach zebrało się tyle wilgoci, że na rosnące poniżej dzikie pnącza i karłowate krzewy zaczęły spadać krople wody. Wkrótce w świetle latarki połyskiwał już cały las.

„Montalvo nie żyje”. Trzy krótkie słowa, których nie mógł wymazać z pamięci. Przez cały ten czas zakładał, że ma do czynienia z Montalvem. A teraz okazało się, że nic nie wie o człowieku na drugim końcu linii telefonicznej. Dobrze, prawie nic. Porywacz twierdził, że to Mia powiedziała mu, gdzie ukryto zwłoki. I że to ona zabiła Montalva. Jack w to nie wierzył, nie bez przekonujących dowodów. Ale jedno było pewne. Porywacz uważał, że Mia ma coś wspólnego ze śmiercią Montalva, a przynajmniej z pozbyciem się jego ciała. Występując przeciwko komuś o takim sposobie myślenia, musiał zadać sobie pytanie: czy naprawdę istnieje jakaś szansa na to, że ten bandzior uwolni ją żywą?

Mgiełka zniknęła, ale przedtem zdążyła schłodzić nocne powietrze i nad pobliskim bagniskiem wstała upiorna mgła. Jack znowu spojrzął na mapę, uważając, żeby nie rozmazać tuszu mokrymi rękami. Pokonał kolejne sto metrów, wreszcie dostrzegł kępę dzikich magnolii. I gwałtownie przystanął. Jeszcze krok i wpadłby do sadzawki. A przynajmniej do czegoś, co wyglądało jak sadzawka. Przyjrzał się uważniej i zobaczył, że wybija z niej woda. Nie, to było źródło, wywierzyisko, wejście do północnoflorydzkiej warstwy wodonośnej.

Zgodnie z poleceniami porywacza, zajrzał za pobliskie krzaki i znalazł tam metalową kapsułę. Miała mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów długości i kształt torpedy. Otworzył ją. Była pusta, tak jak się spodziewał. Zdjął i otworzył plecak. Spojrzął na pieniądze, na grube, zgrabne pliki banknotów.

Nadeszła pora. Musiał podjąć decyzję.

Nie miał dwóch milionów. Poprzedniego dnia rano, zamiast wypełnić plecak fałszywkami od Thea, postanowił zablokować i rozegrać to po swojemu, z ćwierć milionem dolarów. Ale teraz, gdy wreszcie nadeszła ta chwila, nie potrafił się przełamać i narazić przyjaciela na tak dużą stratę. Wepchnął do kapsuły swoją działkę, pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pieniądze Thea wróciły do plecaka. Potem wyjął kartkę i napisał:

*Masz tu 50 000 dolarów więcej, niż warta jest twoja obietnica uwolnienia Mii. Resztę - tyle, ile Mia jest naprawdę warta - dostaniesz, kiedy mi ją oddasz. Wymiana z ręki do ręki. To bezdyskusyjny warunek. Zadzwoń.*

Przeczytał to dwa razy, sprawdzając, czy wszystko gra. Kiwnął głową, wetknął kartkę między banknoty, zamknął kapsułę i zaniósł ją nad brzeg źródła. Do pniaka była przytroczona gruba nylonowa lina z pętlą na końcu. Nie miał pojęcia, jak długa, bo znikwała pod wodą, w jaskini. Przywiązał kapsułę i podniósł ją obiema rękami. Wiedział, co ma robić, mimo to lekko się zawahał.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W świecie dziewięciocyfrowych wygranych w Lotto nie brzmiało to zbyt imponująco, dopóki nie chodziło o własne pieniądze i dopóki pieniądze te nie miały zaraz spłynąć z wodą, i to dosłownie. Porywacz czekał na drugim końcu liny, w trzewiach labiryntu podwodnych grot, który niczym plaster miodu składał się z setek kilometrów korytarzy wypłukanych w milionach ton piasku i twardego wapienia. Większości z nich jak dotąd nie zbadano i była to taktyczna przewaga, którą porywacz na pewno zamierzał wykorzystać. Tak, w końcu będzie musiał stamtąd wyjść, może na jakimś bagnie, przez świeżo uformowane wywierzysko, o którym nikt jeszcze nie wiedział. Ale przedtem zaliczy kilka kilometrów tuneli i jaskiń ciągnących się na głębokości trzydziestu i więcej metrów. Zdawało się, że to przesada, zbytnia ostrożność, ale na pewno wiedział, że wraz z pieniędzmi Jack umieści w kapsule lokalizator GPS. Wiedział również, że pod wodą urządzenie jest bezużyteczne. Nie był głupi, co to, to nie. Ale kiedyś będzie musiał wyjść na brzeg, a wtedy lokalizator zrobi swoje i FBI go namierzy.

Przynajmniej tak zakładał ich plan.

Jack wrzucił kapsułę do wywierzyska. Wpadła z pluskiem do wody i podskoczyła jak splawik bambusowej wędki, na jaką jako mały chłopiec łowił z ojcem ryby, najczęściej małe okonie i mole. Wrzucił kapsułę i czekał. Powiał lekki wiatr i mgła znikła tak szybko, jak się pojawiła. Bijąca od dołu woda wylewała się na powierzchni i kapsuła zaczęła się powoli obracać zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Nagle drgnęła. Jack nikogo nie widział, ale pod wodą ktoś był, ktoś pociągnął za linę. Cichy głosik w jego głowie nakazywał mu zanurkować i zobaczyć, kto to jest, ale byłaby to czysta głupota. Musiał trzymać się planu, poczekać na telefon od porywacza i zająć go rozmową, aż FBI namierzy współrzędne lokalizatora.

Kapsuła drgnęła jeszcze raz i zaczęła się zanurzać, powoli i statecznie jak „Titanic”: pod wodę poszedł dziób, rufa stanęła dęba i metalowe cielsko pojemnika zniknęło w ciemności.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ot tak, jak splunąć.

A Mii wciąż nie było.

Pierwsza faza operacji dobiegła końca. Pozostawała mu tylko nadzieja, że pięćdziesiąt tysięcy wystarczy, żeby skusić porywacza do dalszej rozmowy. I żeby przejść do fazy numer dwa.

## 63

Crenshaw wpłynął do rzeki. Po cichu, bez najmniejszego plusku, bezgłośnie, niemal nie wywołując fal. Przez chwilę znowu był młodym żołnierzem FOK, znowu walczył w Wietnamie, ale zimna woda szybko zburzyła ten obraz. Dwadzieścia dwa stopnie - pozornie to całkiem ciepło, dopóki nie zanurzysz się w niej po czubek nosa w środku nocy. Ale ciepło ciała powoli ogrzało cienką warstwę wody pod przylegającą do skóry pianką, w rękawicach i butach.

- Nie musisz tego robić - powiedział Danfield. Nie włożyli jeszcze ustników. Pływali w miejscu i ich głowy podskakiwały na powierzchni jak trzy ciemne boje.

- Jak tu zostanę, nikomu się nie przydam - odparł Crenshaw.

Danfield kiwnął głową, pokazał mu uniesiony kciuk i zapalił latarkę. Crenshaw i ten drugi poszli w jego ślady. To zdumiewające, jak jedno pstryknięcie włącznikiem potrafi zmienić nieprzeniknioną czerń w wodę tak jasną i krystalicznie czystą. Zagryźli ustniki. Danfield zanurkował pierwszy, za nim jego kolega. Ku powierzchni popłynęła kaskada bąbelków powietrza i światło załamało się na nich jak światło lampy wodorowej na brylantach w tajemnej niszy. Crenshaw obserwował je przez chwilę z fascynacją i lękiem, potem wciągnął haust suchego powietrza i popłynął za tamtymi.

A oni płynęli szybko, bo stawką było życie Mii. Crenshaw miał już swoje lata i przekonał się, że zużywa więcej powietrza, niżby chciał. Na głębokości piętnastu metrów ujrzał wejście do Czarciemu Systemu. Było większe, niż się spodziewał i w świetle trzech silnych latarek niemal zapraszające. Danfield zatrzymał się i dał im znak, żeby zrobili to samo. Zawisli kilkadziesiąt centymetrów nad dnem, wzniesając płetwami piaskową burzę. Znajdowali się u wejścia do „galerii”, pierwszej części systemu jaskiń, groty przypominającej duże foyer. Oby tak dalej, pomyślał Crenshaw. Nurkował już w miejscach ciaśniejszych i głębszych.

Danfield oświetlił swoją maskę. Crenshaw nie widział jego twarzy, za to wyraźnie widział gest ręką, szybkie cięcie po gardle, z lewej do prawej. Natychmiast zgasili latarki.

Zapadła ciemność.

Tylko na kilka sekund, mimo to Crenshaw poczuł, że ma przyspieszony puls i że wydycha zbyt dużo bezcennego powietrza. Mniej doświadczony płetwonurek pewnie zsikałby się w pianki, lecz on potrafił nad sobą zapanować. Ale tak bardzo skupił się na tym, żeby nie

dać ciała, że nieomal zapomniał o celu tego nagłego zaciemnienia. Zajrzał do galerii, popatrzył w kierunku niekończącego się ciągu przewężeń i wtedy to zobaczył. A przynajmniej tak mu się zdawało. Zobaczył słaby poblask światła.

W grotach ktoś był.

Danfield zapalił latarkę, oni włączyli swoje. I na jego znak wpłynęli do Czarciego Ucha.

Jack szedł na północ, zgodnie z wypisanym na kartce poleceniem: „Wrzuć kapsułę do wody i idź ścieżką na brzeg rzeki”. Wiedział, że co najmniej przez kilka minut porywacz będzie pod wodą - i pod ziemią - dlatego postanowił wykorzystać tę okazję i zadzwonić do Andie Henning.

- Odebrał pieniądze - powiedział, nie zwalniając kroku. Opisał jej, w jaki sposób, kończąc na chwili, kiedy kapsuła zniknęła pod wodą.

- A jednak Crenshaw miał rację - odparła Andie. - On tam jest.

- Co?

- Crenshaw i jego ludzie wypatrzyli coś w Czarcim Uchu. Zeszli pod wodę.

Jackowi nogi wrosły w ziemię.

- Przecież nikogo tam miało nie być. Nikogo, dopóki tamten do mnie nie zadzwoni, żeby uzgodnić warunki wymiany.

- Zmieniliśmy plany. Płetwonurkowie widzieli światło w jaskini i wkroczyli do akcji.

- I nie przyszło im do łba, że on mógł widzieć ich światło? Natychmiast się domyśli, że zadzwoniłem do FBI. I ją zabije. Dostał tylko pięćdziesiąt tysięcy i będzie wkurzony jak wszyscy diabli.

- Jack, po tym, co zrobił Ashley Thornton, musimy działać agresywniej. To najlepszy sposób. Jeżeli rzeczywiście tam jest, miejmy nadzieję, że jest sam, bez Mii. Jeśli go znajdziemy, zapędzimy do narożnika i schwytemy, może uda się nam odzyskać ją żywą.

- Więc co mam teraz robić?

- To, co ci kazał. Niech myśli, że wszystko idzie zgodnie z jego planem. A potem zobaczymy.

- A jeśli wyjdzie z Czarciego Ucha, zanim tamci go znajdą?

- Włożyłeś lokalizator do kapsuły?

- Tak.

- To dobrze. On musi kiedyś wypłynąć na powierzchnię. Namierzemy go, gdy tylko otworzy kapsułę i zacznie liczyć pieniądze. Tymczasem rób swoje. Mamy w terenie kilka zespołów. Przez cały czas cię obserwujemy. Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie,

natychmiast zadzwonię.

Jack nie zamierzał usuwać się w cień, ale jeśli wszystko miało rozegrać się pod wodą, nie mógł im pomóc.

- Dobra, idę nad rzekę. Jeszcze jedno. I chciałbym, żebyś odpowiedziała wprost, bez ogródek.

- Wal.

- Myślisz, że Mia żyje?

Andie się zawahała, co wcale go nie pokrzepiło.

- Gdybym uważała, że to zupełnie beznadziejne, wyciągnęłabym cię stamtąd szybciej, niż myślisz.

Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie, ale przynajmniej szczerze.

- Dzięki. Bardzo chciałem to usłyszeć. - Rozłączył się i poszedł dalej.



W zimnej wodzie na głębokości piętnastu metrów Crenshaw skupił się na oszczędnym oddychaniu, podczas gdy tamci przywiązywali poręczówkę do skały sterczącej u wejścia do jaskini. Nawinięta na coś w rodzaju wielkiego kołowrotka, długa, żółta lina miała podążyć za nimi w głąb Czarciego Ucha, a potem ich stamtąd wyprowadzić. Bez poręczówki szybko by się zgubili i musieliby na własną rękę szukać wyjścia z chciwego labiryntu, który więził swoje ofiary w podwodnych katakumbach do czasu, aż ktoś się na nie natknał.

Danfield odwinął kawałek liny i szybko wpłynął do środka. Zabulgotały bąbelki powietrza i Crenshaw podążył za jego błyszczącymi płetwami, nie chcąc zostać w tyle. Światło latarek sondowało i omiatało grotę, odsłaniając dziwne wypukłości i wnęki w ścianach. Płynęli przed siebie i Crenshaw coraz wyraźniej odczuwał bliskość litej skały nad głową. Nad głową - słowa te nie brzmiały zbyt groźnie, nasuwały jednak dość niepokojące wnioski co do trasy ewentualnej ucieczki. W tego rodzaju miejscach nie ma drogi „do góry” - nie można zrzucić pasa z balastem, napompować kamizelki i wypłynąć na powierzchnię, jeśli dojdzie do jakiegś awarii czy zawiodą nerwy. Można tylko płynąć dalej. I kropka. Crenshaw sprawdził sprzęt i odetchnął, widząc, że nie zgubił zapasowych latarek.

Przyspieszyli i w srebrzystobłękitnym stożku światła ukazało się pierwsze przewężenie. Nie był to przyjemny widok. Crenshaw dopiero zaczynał nad sobą panować, przywykać do myśli o nurkowaniu jaskiniowym. I nagle musiał wpłynąć za Danfieldem do czegoś, co wyglądało jak rozdziawiona paszcza głodnego prehistorycznego rekina. Zerknął na wskaźniki. Wciąż piętnaście metrów, ale strop był znacznie niższy. Jak to możliwe? Odpowiedź nasuwała się sama: nad głową miał teraz mniej wody i więcej skały, więcej ton litego wapienia dzieliło go od świata zewnętrznego. Czy to nie starożytni Grecy grzebali swoich zmarłych w wapieniu, doskonałej trumnie, która obracała ciało w proch ledwie w czterdzieści dni? Odpędził tę myśl i wziął głębszy oddech.

Wokoło panowała niezwykła cisza, cisza niemal denerwująca.

Błysnęło światło latarki i nagle wyrósł przed nim Danfield. Patrzył mu prosto w oczy, dając sygnał, że wszystko jest OK. Crenshaw zdołał skupić na nim wzrok i zdał sobie sprawę, że na sekundę całkowicie się wyłączył. Szybko zamrugał i zapanował nad oddechem. Odpowiedział takim samym gestem i tuż za jego płetwami wpłynął do przewężenia.

Myślał, że za ciasnym korytarzem, w głębi tego podziemnego plastra miodu, będzie kolejna wielka galeria, coś w rodzaju sali balowej Posejdona. Ale korytarz ciągnął się w nieskończoność, im dalej, tym był węższy, tak wąski, że gdyby rozłożyć ręce, można by dotknąć palcami bocznych ścian. Stać prosto? A gdzie tam. Przewężenie było tak niskie, że nikt by tu nawet nie usiadł, bo Crenshaw z trudem posuwał się do przodu z twarzą w dół, równoległe do podłoża. Usłyszał, jak butla ociera się ze zgrzytem o skalny strop. Płetwami dotykał piaszczystego dna. Jak płetwonurkowie płynący przed nimi, wzbijał kłęby drobnego piasku, w świetle latarki widział tylko toczące się ku niemu chmury nieprzeniknionej czerni. W automacie syczało powietrze. A gdyby tak nagle przestało płynąć? Czy dałby radę teraz zawrócić? Poklepał się po piersi, sprawdzając, czy ma zapasowy automat, tak zwaną ośmiorniczkę. Ośmiorniczki nie było. Była, była, tu, z boku. Ale gdyby i ona zawiodła?

Machał płetwami, walcząc z naturalnymi odruchami, z niepohamowaną pokusą, żeby zawrócić. Chociaż zdawało się, że to niemożliwe, strop obniżył się jeszcze bardziej. Otoczeni przez skały, żywcem pogrzebani, schodzili coraz głębiej do miejsc, gdzie życie zależało od zaworów, gumowych węży, membran, latarek i setek innych zrobionych przez człowieka urządzeń, które mogły w każdej chwili się zepsuć. W nadgarstek skubnął go mały węgorz koloru musztardy. Masz tu przewagę, bracie.

Korytarz zaczął się wreszcie poszerzać. Było trochę więcej miejsca, tylko trochę, ale Crenshaw dziękował Bogu i za to. Spojrzał na manometr. Zużył o wiele za dużo powietrza. Poświecił na Danfielda, który dawał znajomy sygnał, przeciągając ręką po gardle. Latarki. Musieli zgasić latarki. Crenshaw pokręcił głową. Danfield podpłynął do niego i nawet przez maskę widać było, że jest zły. On i jego kolega zgasili latarki, świeciła tylko jego. Danfield powtórzył sygnał. Crenshaw zagryzł ustnik tak mocno, że zaboląły go zęby. Zdrętwiały mu palce, mimo to zdołał pstryknąć włącznikiem.

Pochłonęła go ciemność.

Z głośnym rykiem tuż koło uszu przemknęła chmura bąbelków - za dużo powietrza, tracił za dużo powietrza. Przekrzywiła mu się maska - a może to tylko umysł płatał figle, może to tylko złudzenie? Na wszelki wypadek poprawił ją i przedmuchał. Zrobiło mu się gorąco, a zaraz potem zimno, jakby ciemność zepsuła jego wewnętrzny termostat. Oddychał coraz szybciej, coraz bardziej nieregularnie. Wiedział, że to niemożliwe, ale spuchła mu głowa i była teraz dwa razy większa. Mało brakowało, a wpadłby w panikę, gdy wtem dostrzegł słabą, szarawą poświatę w głębi korytarza. Początkowo była prawie niezauważalna, ale gdy oczy przywykły do ciemności, przybrała kształt kuli i stała się jaśniejsza. Zaświeciła latarka, jedna, potem druga. Danfield i jego kolega szybko popłynęli naprzód. Crenshaw zapalił swoją

i ruszył za nimi.

Był teraz równie zdeterminowany jak oni, bo strach ustąpił miejsca adrenalinie. Minęli grupę czarnych wystrzępionych skał i gwałtownie skręcili za róg. Poświata w głębi korytarza była widoczna nawet przy włączonych latarkach. Dzieląca ich odległość szybko malała i podniecony pościgiem Crenshaw poczuł się jak nowo narodzony. Wyprzedził płynącego przed nim pletwonurka i już miał wyprzedzić Danfielda, gdy wtem obydwaj znieruchomieli. Poświata się oddalała, lecz oni nie mogli jej ścigać.

Drogę zagrażała żelazna krata.

I wtedy Crenshawowi przypomniał się film z akcji ratowniczej Ashley Thornton. Jej ciało było przykute łańcuchem do kraty, którą władze parku zamontowały przed laty, żeby pletwonurkowie nie zapuszczali się w najniebezpieczniejsze rejony Czarciego Ucha. Crenshaw chwycił za pręty obiema rękami i potrząsnął nimi jak niesłusznie skazany więzień. Krata ani drgnęła. Światło po drugiej stronie coraz bardziej rozmywało się i bladło. Crenshaw i Danfield wymienili gniewne spojrzenia. Pod wodą nie mogli mówić, ale było widać, że myślą o tym samym. Porywacz Mii znalazł inne wejście do podziemnego labiryntu. Znał te groty lepiej niż oni.

I właśnie im uciekł.

## 65

Ścieżka była długa i zanim znalazł się wreszcie nad brzegiem Santa Fe, minął po drodze kilka domków i obozowisk. Miał dobrze rozwinięty zmysł orientacji i dotarłby tam znacznie szybciej, ale Andie uważała, że ważniejsze jest, by porywacz myślał, że Jack wciąż wykonuje jego polecenia. Musiał to jakoś przełknąć, co było trudne, bo chciał zmusić go do wymiany z ręki do ręki. FBI przejęło inicjatywę i zanim zdążył wprowadzić w życie drugą część swego planu, wysłało do akcji pletwonurków. Wcale go to nie ucieszyło, ale dla dobra Mii nie chciał się z nimi spierać.

Wokół bagnisk i mokradeł, wokół piaszczystych wydm, przez krzewy i zarośla wędrówka trwała prawie dwadzieścia minut. W końcu, wciąż z mapą w ręku, znalazł aluminiową łódkę, którą opisał mu porywacz.

W tej części rzeka miała dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy metry szerokości i porośnięte wierzbami brzegi, które schodziły na głębokość trzech, czterech metrów. Prąd był bardzo łagodny, ale woda płynęła na tyle szybko, żeby się zorientował, że idzie pod prąd, oddalając się od wielkiej Suwannee. Suwannee River, Old Folks at Home - nagle przypomniał mu się Theo, jego występ przed komisją architektoniczną w Coral Gables, beztroski dzień, kiedy to przegrał sprawę posągu Dawida i przedstawił przyjacielowi Mię. Zdawało się, że od tamtych chwil minęły lata, a nie tygodnie. Nie próbował sobie nawet wyobrazić, jak bardzo jej czas się dłużył.

Łódka była przywiązana do pala zwykłą liną, bez kłódki. Oświetlił ją latarką. Na ławce dziobowej leżały resztki przynęty, kilka martwych świerszczy; pewnie zostawił je tam jakiś wędkarz. Były i wiosła, długie jak cała łódź, ale on nie musiał wiosłować - na szczęście. Łódź miała mały silnik i - jeśli porywacz dotrzymał słowa - pełny bak paliwa. Jack odwiązał linę, wskoczył na pokład i odbił od brzegu. Plecak z pieniędzmi Thea wepchnął pod ławkę. Im dalej od brzegu, tym prąd był silniejszy i mocniej spychał go w dół rzeki. Pociągnął za sznurek startera, raz i drugi. Za trzecim szarpnięciem silnik jęknął, zagulgotał, splunął wodą i wreszcie zaskoczył. Zgodnie z poleceniami porywacza, Jack miał płynąć powoli w górę rzeki.

Zawrócił i ruszył przed siebie, zastanawiając się, czy kręta rzeka prowadzi go ku czy od Mii.

W terenowym centrum operacyjnym FBI było cicho jak w grobie, ale napięcie sięgało zenitu. Andie Henning wraz z zespołem techników i specjalistów zajmowali główny pawilon obozowiska Ginnie Springs, mały, drewniany domek, idealnie usytuowany i odpowiadający ich potrzebom. Jedynym minusem był upał. Klimatyzator nie działał, a okna musiały być szczelnie zamknięte i dobrze zaciemnione, żeby nikt z zewnątrz nie wykrył ich obecności.

Zajmujący kuchnię technicy byli gotowi do przechwycenia wszystkich rozmów komórkowych. Technik w sypialni miał przechwycić sygnał lokalizatora GPS, który Jack umieścił w kapsule z pieniędzmi. Andie stała przed szczegółową mapą w saloniku. Była to najnowsza mapa warstwy wodonośnej dorzecza Suwannee River. Obok niej, w kałuży wody na podłodze, stał Peter Crenshaw, wciąż w mokrych piankach. Na mapę patrzył również Bruce Gelhorn, dyrektor Zarządu Gospodarki Wodnej Suwannee River, szczupły mężczyzna z klasyczną opalenizną a la szop pracz, z dwoma białymi owalami po okularach przeciwsłonecznych na ogorzalej twarzy. Gelhorn był nie tylko kartografem, ale i świetnym płetwonurkiem, i osobiście zbadał większość źródeł pod zbiegiem Santa Fe i Suwannee.

Andie drgnęła. W słuchawkach głośno zatrzeszczało i odezwał się dowódca grupy obserwacyjnej z July Spring, dokładnie naprzeciwko Czarciego Ucha.

- Swytek płynie w górę rzeki z prędkością mniej więcej trzech węzłów.

- Przyjęłam - odrzekła Andie.

Ponownie spojrzała na mapę.

- Po co wysłał go w górę rzeki?

Gelhorn podszedł bliżej.

- Można się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób: patrząc na to, co tu mamy. W zasadzie jest to ciąg źródeł bijących z niezwykle rozbudowanej sieci podziemnych grot. Niektóre są zbadane, inne nie.

- Ale moi ludzie widzieli światło w Czarcim Uchu - powiedział Crenshaw. - Ja też, na własne oczy. A to znaczy, że musi być w pobliżu.

- To wapienny labirynt. Można tam szukać kogoś przez całe życie.

- Daleko nie ucieknie - zauważyła Andie. - Prędzej czy później zabraknie mu powietrza.

- Nie byłbym taki pewny - odparł Gelhorn. - Nie ulega wątpliwości, że jest doświadczonym płetwonurkiem. Wynika to choćby z relacji pana Crenshawa. Niewielu zna boczne wejście do Czarciego Ucha, to za kratą.

- Zgoda - odrzekł Crenshaw - ale agentka Henning ma rację: on musi kiedyś wyjść, chyba że zamiast płuc ma skrzela.

- Tak, kiedyś musi. Jednak na pewno wszystko sobie zaplanował i założył, że FBI

obstawi Ginnie Springs i Czarcie Ucho ze wszystkich stron. Dlatego wątpię, czy wyjdzie akurat tam.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała Andie. - Że ma zapasowe butle?

- Otóż to.

- Ale skąd? - spytał Crenshaw. - Ile? Nosi je z sobą? W tych jaskiniach trudno jest pływać z dwiema, główną i rezerwową.

- I znowu zakładam, że on umie planować i doskonale zna teren. Moim zdaniem domyślił się, że będzie musiał zostać pod wodą dłużej, niżby chciał, i porozkładał zapasowe butle wzdłuż całej trasy. Łatwo je ukryć, bo pełno tam szczelin i skalnych występów. Płynie, zmienia butlę, płynie do następnej, i tak dalej. Może je zmieniać wiele razy. Wszystkie części warstwy wodonośnej są ze sobą połączone. Oczywiście nie może tam siedzieć w nieskończoność, ale kilka godzin wytrzyma na pewno. A przez ten czas zdąży wypłynąć poza obstawiony przez was teren i wyjść na suchy ląd.

Andie milczała. Gelhorn przedstawił im właśnie scenariusz, na który nie byli przygotowani.

- A więc wszystko zależy od tego, jak szybko zareagujemy na sygnał lokalizatora, kiedy się w końcu wynurzy. I tak wracamy do mojego pytania: po co wysłał Swytecka w górę rzeki?

- Bo sam płynie w dół? - rzucił Crenshaw.

- Albo chce, żebyśmy tak myśleli - odparła Andie.

- Mam jeszcze jedną sugestię - powiedział Gelhorn. - Niedaleko stąd jest miejsce, gdzie rzeka płynie pod ziemią.

- Pod ziemią? Cała rzeka?

- Tak, przez pięć kilometrów. Wypływa dopiero tutaj. - Gelhorn postukał palcem w mapę.

- W parku stanowym O'Leno. Są tam bardzo niebezpieczne syfony, na całym odcinku.

- Syfony?

- Łykawce albo ponory, przeciwieństwo źródeł, czyli wywierzysk. Największe są właśnie na Santa Fe. Wsysają pod ziemię ponad sto trzydzieści sześć tysięcy metrów sześciennych wody dziennie. Niektóre mają nawet nazwy, choćby Wielka Groźna Ssawa czy Mała Groźna Ssawa. Jest ich mnóstwo. Jedne są jak łagodny wir. Inne jak gigantyczna muszla klozetowa o średnicy czterech i pół metra. Są tak potężne, że mogą bez trudu wessać wszystko, co do nich wpadnie, pień drzewa, kajak czy kanu.

- Albo człowieka - dodała Andie.

- Tak. Albo człowieka.

Andie wyjęła komórkę.

- Do kogo dzwonisz? - spytał Crenshaw.

- Do Swytecka. Coś mi mówi, że właśnie odkryliśmy, dlaczego porywacz kazał mu płynąć w górę rzeki.

Pierwsze dwie butle wymienił czterysta metrów za Czarcim Uchem. Zanim wymacał pełną, podłączył automat i odkręcił zawór, z zimna zdrętwiały mu wargi. Zagryzł ustnik, przedmuchał automat i łapczywie wciągnął do płuc haust powietrza. Butle. W najmroczniejszych zakamarkach systemu jaskiń czekało ich jeszcze sześć i wiedział, że to wystarczy, by wydostać się poza granicę policyjnej obławy. Jednakże światła po drugiej stronie kraty kazały mu na nowo zdefiniować pojęcie „granicy”. Nie spodziewał się, że FBI narazi życie Mii na niebezpieczeństwo, wysyłając na dół pletwonurków. Może obszar poszukiwań był większy? Może policja działała bardziej agresywnie, niż myślał? Może gdzieś tam czekali na niego następni? Nie, nie mógł aż tak ryzykować.

Nadeszła pora na plan B.

W świetle latarki wypatrzył kolejny marker. Montował je na skalnych ścianach przez wiele tygodni. Były jego mapą, z góry ustaloną trasą ucieczki. Dzięki nim mógł pokonać labirynt bez poręczówki. Płynął w wodzie krystalicznie czystej jak górskie powietrze, ledwie centymetry nad warstwą pomarszczonego mułu. Korytarz zwęził się i skręcił w lewo. Niczym naczynia włosowate od arterii, odchodziły od niego korytarze mniejsze, jeszcze bardziej kręte. Zbyt wąskie, by ktoś mógł się przez nie precyzyjnie przesuwać, były doskonałym schowkiem na pieniądze z okupu.

Przytrzymał się skalnego występu. Prąd nie był silny, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że to odpowiednie miejsce. Początkowo nie zamierzał zostawiać tu kapsuły, ale uznał, że skoro Swytek zawiadomił FBI, nie ma innego wyjścia. Na pewno namówili go, żeby umieścił w niej nadajnik GPS, co z kolei prowokowało pytanie: za kogo go mieli? Za amatora? Przecież mógł łatwo ukryć pieniądze w grotach i wrócić po nie za tydzień, za miesiąc albo za pół roku. A wtedy nawet jeśli nakryliby go na brzegu z pojemnikiem pełnym szmalu, zawsze mógł powiedzieć, że nurkuje tu dla przyjemności, że miał dziki fart i zupełnie przypadkiem znalazł w jaskiniach taką kupę kasy.

Wepchnął kapsułę do długiego, wąskiego otworu. Szarpnął nią i spróbował poruszać na boki. Ani drgnęła. Nie, ten maluszek nigdzie nie odpłynie i na pewno tu na niego zaczeka. Zawrócił - co w ciasnym korytarzu wcale nie było łatwe - i popłynął do następnego markera.

Płynął szybko - prąd przybrał na sile; nie był to jeszcze prąd pierwszego stopnia, ale



prawie - lecz musiał zwolnić. Przy tej prędkości mógłby przegapić marker, swoją linię ratunkową. Markery decydowały o tym, co za chwilę zrobi. Bo na każdym skrzyżowaniu mógł albo płynąć dalej, do kolejnej butli, albo się wynurzyć.

Awaryjny plan B zakładał wynurzenie.

Dał się unieść prądowi i płynął teraz, unosząc się swobodnie między stropem i dnem. Na skraju stożka światła z latarki igrały niebieskie i granatowe błyski, a dalej była już tylko ciemność, wrota do otchłani. Strop, ściany i podłóżę zlewały się ze sobą w najrozmaitszych odcieniach szarości i brązu, nic więc dziwnego, że tak łatwo można tu było stracić orientację. Zwolnił, przytrzymał się ściany i zawisł bez ruchu. Poświecił latarką w korytarz, z którego właśnie wypłynął. Korytarz wyglądał zupełnie obco - dla płetwonurka to zły znak. Gdyby miał mniej doświadczenia, mógłby spanikować. Ale on doskonale to wszystko znał. Kiedy patrzyło się z drugiej strony, tu, w podwodnych grotach, nic nie wyglądało znajomo. Poświecił przed siebie, w głąb sąsiedniego korytarza. Srebrzystobłękitny stożek przesuwiał się po czarnych wapiennych zapadliskach, aż wyłowił z mroku maleńką, podnoszącą na duchu iskierkę. Odepchnął się od ściany i bez wahania ruszył w stronę kwadratowej, chromowanej płytki, która wskazywała wyjście.

Mia zastygła bez ruchu z uchem przy ścianie.

Próbowała tego już przedtem, w obydwu ciasnych pomieszczeniach, gdzie przetrzymywał ją... od kiedy? Od dwóch tygodni? Dłużej? Do tamtych dochodziły odgłosy świata zewnętrznego. Nic konkretnego, po prostu odgłosy. Ale tu słyszała tylko swój oddech. Może specjalnie je uszczelnił i wyciszył. Może wywiózł ją na zupełne odludzie. Tak czy inaczej, całkowity brak odgłosów zewnętrznych musiał coś znaczyć.

Zostawił ją tu na pewną śmierć? Czy ktoś ją kiedyś znajdzie, choćby przypadkiem? Czy zwęszą ją dzikie zwierzęta? Zjedzą jej szczątki czy zostawią dla krocionogów?

Szarpnęła łańcuchem, którym przykuł ją do drewnianego słupa w ścianie. Męczyła się tak od wielu godzin: lewa stopa, prawa stopa, lewa, prawa, tak jak piłą. Drewno było odporne, ale robiła postępy. Musiała jednak narzucać sobie właściwe tempo. Gdyby opadła z sił, wszystko poszłoby na marne. I musiała być czujna. Nie miała złudzeń co do jego zamiarów. Szanse na to, że ją uwolni, były niemal zerowe. Bo lepiej niż inni wiedziała, że w tym porwaniu chodzi o zemstę, a nie o okup. Dlatego musiała to zrobić, kiedy tylko tamten wróci - jeśli w ogóle wróci. Musiała idealnie wyczuć moment i zrealizować swój plan.

Zamknęła oczy i jeszcze raz wszystko przeanalizowała. A potem znowu szarpnęła łańcuchem - lewa stopa, prawa, lewa, prawa - powoli przedzierając się na wolność.

Wapienny komin wyprowadził go na powierzchnię wywierzyska w małej kotlinie. Bijąca z jaskiń woda była zbyt czysta i zimna, żeby uchodzić za bagnisko, trzciny, rosnące na brzegu cyprysy i dzikie krzewy osłaniały źródło ze wszystkich stron. Żaden pływacz nie lubi wchodzić czy wychodzić z wody wśród moczarów, dlatego to małe wodne oczko było jego najpilniej strzeżoną tajemnicą.

Zdjął sprzęt i ukrył go za krzakami. Nie miał zamiaru po niego wracać, ale dzięki milionowemu okupowi od Thorntona - nie wspominając już o pieniądzech w kapsule - mógł sobie na to pozwolić. Czarny kombinezon był dobrym kamuflażem, podobnie jak kaptur i buty. Rękawic też nie zdjął. Palce będą trochę mniej zręczne, ale nie zostawi przynajmniej odcisków.

Musiał założyć, że gliniarze obstawili cały teren i że mają noktowizory. Dlatego dotarcie do chaty spacerkiem czy nawet biegiem nie wchodziło w rachubę. Legł na brzuchu i jak wąż wodny wypełznął w wysoką do pasa trawę. Już kilka minut później ukazała się rzeka. W jej łagodnym nurcie igrała księżycowa poświata. Niczym cierpliwy aligator podchodzący zdobycz, bezszelestnie zsunął się z brzegu do wody. Był trochę sfrustrowany. Właśnie rezygnował z czegoś, nad czym tak usilnie pracował, właśnie tracił przewagę, jaką miałby w podwodnych grotach. Ale FBI zmusiło go do przewartościowania całego planu. Bez względu na to, jak dobrze znał teren, dalsza ucieczka korytarzami podziemnego labiryntu nie wchodziła teraz w rachubę. Widok światła w Czarcim Uchu poważnie go zaniepokoił i kazał mu dostosować się do nowych warunków.

Najpewniejszą ucieczką była ucieczka z zakładniczką - zakładniczką, której można się w każdej chwili pozbyć.

Większość lasów wzdłuż tego odcinka rzeki była prywatna, dlatego na brzegu pojawiała się czasem jakaś chatka czy domek. O wiele lepiej znał przejścia pod rzeką, ale gdy, zbliżając się do dużego zakrętu, zobaczył drewniany pomost, natychmiast go rozpoznał. To tam, na pewno. Nabrał powietrza, zanurkował i przepłynął pod wodą ostatnie piętnaście metrów. Wynurzył się pod pomostem. Do pała była przywiązana aluminiowa łódka z małym silnikiem, podobna do tej, jaką kazał Swyteckowi popłynąć w górę rzeki. Obok niej cumowała łódź z włókna szklanego, szybki ślizgacz z silnikiem Johnsa. Po szyję w wodzie,

dobrnął pod pomostem do brzegu i szybko wyszedł na suchy ląd.

Do chatki miał kilkaset metrów, dwie minuty biegiem, nawet w butach do nurkowania. Ale gdyby pobiegł żwirówką, tamci mogliby go wypatrzeć. Nie, nie mógł aż tak ryzykować, dlatego wybrał trasę wolniejszą, przez las. Przeskakiwał od drzewa do drzewa, pełznął od krzaka do krzaka - zajęło mu to dziesięć minut, ale był przynajmniej pewien, że umknął radarom FBI.

A gdyby namierzyli go teraz, w zasięgu ręki miał zakładniczkę.

Drzwi garażu za chatką były zamknięte na kłódkę. Klucz leżał dokładnie tam, gdzie go zostawił, pod kamieniem na końcu podjazdu. Szybko otworzył kłódkę, wszedł do środka i zamknął drzwi. W garażu zbudował grubo izolowaną budkę, coś w rodzaju pudła w pudle. Teresa mogła sobie wierzgać, kopać w ściany i krzyczeć ile sił w płucach. Nikt by jej nie usłyszał, chociaż budka miała mały wywietrznik. Może nawet za mały. W środku musiało być jak w piecu. Zastanawiał się, czy zakładniczka - jego bilet na wolność - jeszcze żyje.

Klucz wisiał na haczyku przy włączniku światła. Macał go po ciemku, zbyt ostrożny, żeby zapalić światło w garażu. Wreszcie go znalazł, a potem, też po ciemku, długo szukał dziurki od klucza. Trafił za trzecim razem. Przekręcił klucz i gdy kliknął zamek, delikatnie pchnął drzwi. W twarz uderzyła go fala gorącego, stęchłego powietrza. Było gorzej, niż się spodziewał. Wytrzymała w tym koszmarze? Czy nie? Zamknął drzwi i zapalił światło.

Teresa leżała bez ruchu w kącie. Obserwował ją przez chwilę, potem klasnął w dłonie. Nic. Chyba nawet nie oddychała.

- Teresa - powiedział.

Ani drgnęła.

Idąc w jej stronę, poczuł dziwny odór. Albo to upał tak działał na ekskrementy, albo był to smród zgnilizny, rozkładającego się ciała. Teresa leżała zwinięta w kłębek plecami do ściany. Miała zamknięte oczy. Trącił ją nogą w łopatkę. Nie poruszyła się. Ukląkł, żeby sprawdzić puls - i wtedy nagle ożyła, rzucając się na niego jak wygłodniała lwica.

Coś mignęło mu przed oczami i zanim zdążył zareagować, kawałek szkła - z rozbitej żarówki - dosięgnął celu. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Od jego krzyku zatrzęsły się ściany. Z przebitego oka trysnęła krew. Jęknął i upadł, słysząc brzęk łańcucha przebiegającej tuż obok Teresy. Trzasnęły jedne drzwi, potem drugie. Wiedział, że wykłuła mu oko. Ale wiedział też, że jeśli nad tym nie zapanuje, może stracić znacznie więcej, nawet wszystko.

Wytoczył się z budki. Na stole warsztatowym znalazł szmatę i przytknął ją do oka. Momentalnie przesiąkła krwią, ale to go nie zatrzymało.

Dla Gerarda, pomyślał. Robię to dla Gerarda.

Wyjął pistolet ze skrzynki na narzędzia i popędził za Teresą.

W twarz siekły ją nisko zwisające gałęzie. Biegła ile sił w nogach, lecz spowalniał ją palec, który porywacz zmiądzzył podczas pierwszej sadystycznej sesji filmowej. I miała rozharataną rękę. Ostry kawałek szkła zranił ją prawie tak jak jego. Raz krzyknęła o pomoc, ale natychmiast zamilkła. Była na odludziu i jedynym człowiekiem, który mógł ją usłyszeć, był ten zwyrodnialec. Krzyk - każdy hałas - tylko by ją zdradził.

Trudno jej było biec ze skutymi z przodu rękami i ponad metrowym łańcuchem na nogach. Ale tamten porwał ją podczas porannej przebieżki, więc miała przynajmniej sportowe buty. Pieścić się z bolącym palcem? Nie w takiej chwili. Biegła, przedzierała się przez krzaki i wreszcie wypadła na drogę. Co teraz? Musiała zdecydować: w lewo? W prawo? Jej uwagę przykuły ślady stóp na gąbczastej ziemi. Prowadziły w prawo, w kierunku wiszącego nad lasem księżycy. Księżyc wschodzącego czy zachodzącego? Nie miała pojęcia. Nie wiedziała, która jest godzina, nie wiedziała, gdzie jest. Ale ślady musiały przecież dokądś prowadzić. Poszła w prawo. Szła szybko, coraz szybciej, z każdym krokiem coraz bardziej przyzwyczajając się do łańcucha, i już wkrótce biegła sprintem.

Pobocza wąskiej żwirówki były porośnięte wysokimi cyprysami, które pilnowały jej niczym upiorni strażnicy. Ale nieco dalej droga błyszczała w blasku księżycy. Mia usłyszała cichy syk, a może szum i zrozumiała, że to wcale nie droga. Światło księżycy odbijało się w wodzie. W rzece! Bolały ją nogi, bolał palec, w niewoli zeszywniały mięśnie. Ale pokonała ból, znalazła w sobie zapas sił i puściła się pędem w tamtą stronę. Kilkadziesiąt sekund później stanęła na brzegu zdyszana i z mocno bijącym sercem. Zerknęła nerwowo przez ramię. Nie widziała go, ale jej ślady były czytelne jak mapa. Dostrzegłby je nawet jednooki. Popłynąć wplaw? Nie, nie ze skutymi rękami. I wtedy zobaczyła łodzie przy molo ledwie pięćdziesiąt metrów w dół rzeki. Bez wahania pobiegła w tamtą stronę, pokonując tę odległość z szybkością olimpijskiej mistrzyni.

Wskoczyła do tej większej, do ślizgacza z wielkim silnikiem na rufie. Wyzwaniem było już samo zorientowanie się w sytuacji, walka o oddech i skupienie. W stacyjce nie było kluczyka. Przeszukała boczne szuflady, przeszukałaabinę, przeszukała wszystkie miejsca, gdzie mógł leżeć klucz do jej wolności - i to dosłownie. Nie znalazła niczego, oprócz wędki, latarki i pomarańczowo-niebieskiego otwieracza do butelek, który zapiszczał: „Naprzód,

krokodyle!", kiedy go podniosła. Sfrustrowana odrzuciła go na bok i zamarła.

Szedł drogą, był już prawie na brzegu.

Mia wskoczyła do mniejszej łódki. Tę uruchamiało się bez kluczyka. Odwiązała cumę i pociągnęła za sznur startera. Zrobiła to niezdarnie, bo miała związane ręce, i omal nie wypadła za burtę. Znowu zerknęła przez ramię. Był pięćdziesiąt metrów od niej. Rozstawiła szerzej nogi i ponownie szarpnęła sznurem. Tym razem silnik głośno prychnął i z zadowoleniem zamruczał, burząc ciszę leniwie płynącej rzeki. Warkot, wibracja kadłuba, bulgotanie wzburzonej wody - wszystko to oznaczało wolność i omal nie przyprawiło jej o zawrót głowy. Odepchnęła się od pomostu, usiadła na rufie i przekręciła manetkę gaźnika. Dziób uniósł się, ale tylko trochę. Łódka ledwo płynęła. Mia przekręciła manetkę jeszcze mocniej. Silnik ryknął na pełnych obrotach, lecz łódka wciąż pełzła jak ślimak.

Kotwica! Nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może zakotwiczyć łódź przywiązaną do pomostu - pewnie zrobił to po to, by zniechęcić żadnych przygód nastolatków - ale nie miała wątpliwości, że wlecze za sobą kotwicę.

Wrzuciła wsteczny i łódź skoczyła w stronę pomostu. Mia przebiegła na dziób i chwyciła za linę. Jeszcze jedno spojrzenie na brzeg. Był ledwie dwadzieścia pięć metrów dalej. Pociągnęła ze wszystkich sił, z wściekłością wybierając linę. Kotwica wychynęła wreszcie z wody i z głuchym łoskotem wpadła do łodzi - w tym samym momencie rozległ się ogłuszający huk, suchy trzask i prawą burtę przebiła kula. Porywacz strzelał do niej z pistoletu, a kadłub zapewniał taką samą osłonę jak aluminiowa folia. Mia rzuciła się do silnika i przekręciła manetkę. Usłyszała kolejny wystrzał, lecz tym razem kula trafiła w wodę jak kamień, którym nie da się puszczać kaczek; widać z jednym okiem kiepsko mu się celowało. Przekręciła manetkę do oporu, tak mocno, że rozbolał ją nadgarstek. Łódka zmieniła się nagle w mały ślizgacz i pomknęła w górę rzeki niesiona pełną mocą silnika i jej żarliwych modlitw. Mia rozpląszczyła się na dnie i wystawiła tylko głowę, żeby cokolwiek widzieć. Myślała, że tamten znowu strzeli, ale to nie huk wystrzału zmusił ją do ostatniego zerknięcia na pomost.

Zadudnił silnik ślizgacza. Porywacz płynął za nią.

Andie po raz trzeci próbowała dodzwonić się do Jacka.

Zanim wyruszył z okupem, dosłownie błagała go, żeby dał się podłączyć do sieci radiowej FBI. Ale nie, stanowczo odmówił. Nie chciał mieć przy sobie niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, że działają w zмовie: ani radionadajnika, ani GPS-u, ani urządzeń podsłuchowych. I kropka. Owszem, włożył kamizelkę kuloodporną i umieścił lokalizator w kapsule z pieniędzmi, lecz to było częścią jego planu i dalej posunąć się nie chciał. Troszkę więcej współpracy bardzo ułatwiłaby Andie życie, ale nie dziwiła się, że Jack trzyma ich na dystans. Nie po tym, jak poszło im z Ashley Thornton.

- Odbierz, Swytek. Odbierz, do cholery. - Krążyła wściekle po saloniku. Do prawego ucha przyciskała komórkę, do lewego słuchawki, z których płynęły meldunki z terenu. Wciąż analizowała doniesienia grupy operacyjnej numer jeden, która zajmowała pozycję na północ od July Spring, gdy Jack wreszcie odebrał.

- Wszystko w porządku? - spytała. - Dzwoniłam trzy razy.

- Nie słyszałem. Pewnie silnik za bardzo hałasuje.

Rzeczywiście, w tle słyszała zawrozczenie silnika.

- Moi ludzie donoszą, że na północ od July Spring po rzece pędzą dwie łodzie.

- To nie ja. Ja pyrkam, robię najwyżej pięć węzłów. Nie wiem, gdzie jestem, ale na pewno nie w July Spring.

- Wiem, że to nie ty. One płyną za tobą. I to szybko. Dobij do brzegu i ukryj się w lesie.

- Ale właściwie kto za mną płynie?

- Nieważne.

- Na jednej z tych łodzi jest Mia?

- Proszę, choć raz mnie posłuchaj. Ukryj się w lesie. Resztę zostaw nam.

Jack milczał tak długo, że ścisnęło ją w żołądku.

- Źle cię słyszę. Chyba tracę pole.

- Jack, nie rób tego... - Andie urwała, bo dotarło do niej, że już się rozłączył. - Niech cię szlag. - Schowała komórkę.

- Co jest? - mruknął Crenshaw.

- On się w to wpakuje. Daję za to głowę.

- Ostrzegła go pani przed syfonami? - spytał Gelhorn.

Andie już miała wyjąć telefon, ale wiedziała, że Jack i tak nie odbierze.

- Nie - odparła niepewnie. - Nie ostrzegłam.



Jack dodał gazu i ostro zawrócił. Rozbryzgi zimnej wody zmoczyły mu twarz niczym delikatna londyńska mgła. Mały silnik dawał z siebie wszystko i łódka nabrała wreszcie rozpędu, wyszła z bocznego poślizgu, zadarła dziób i popłynęła w dół rzeki, zostawiając za sobą błyszczący w blasku księżyca kilwater w kształcie litery V. Z brzegu, niczym roztrzepotana chmura bieli, zerwało się stado czapli przestraszonych nagłym hałasem.

W uszach wciąż brzmiały mu słowa Andie: w jego stronę pędziły dwie łodzie. W jednej musiała być Mia, w drugiej porywacz. Żaden inny scenariusz nie miał sensu. Bo dlaczego Andie nie chciała powiedzieć, kto nimi steruje, i kazała mu ukryć się w lesie? Ale to nie była pora na zabawę w chowanego. Znowu przypomniały mu się słowa Theo: „I chcesz mnie oglądać do końca życia czy wolałbyś patrzeć na Mię?”. Pędząc w dół rzeki, uświadomił sobie nagle, że odpowiedź na to pytanie jest zupełnie jasna, klarowna jak woda ze źródeł zasilających Santa Fe. Nie, za bardzo ryzykował, wycofując się za boczną linię i pokładając nadzieję w policji, której osiągnięcia w walce z Wyceniaczem trudno było nazwać imponującymi. Przypomniała mu się wizyta w biurze FBI w Miami. I to, jak w poczekalni, za ścianą z kuloodpornego szkła, obejmując głowę rękami, siedział Drew Thornton. Wiedział, że do końca życia nie zapomni widoku jego twarzy, pustej twarzy człowieka, który zrobiłby więcej, który postąpiłby zupełnie inaczej, gdyby tylko miał drugą szansę. Nie chciał tak skończyć. Zwłaszcza jeśli mógł skończyć inaczej.

Włożył rękę do kieszeni i wymacał pistolet Theo. Tak na wszelki wypadek.

- Szybciej, szybciej... - mamrotała Mia. Zrobiłaby wszystko, żeby łódka przyspieszyła. Silnik prychał i kichał, nie wytrzymując długotrwałego przeciążenia. Kula przedziurawiła kadłub dokładnie na linii wodnej i łódź nabierała wody z prędkością prawie czterech litrów na minutę. Systematycznie zwalniała, traciła prędkość. Mia spojrzała przez ramię. Ślizgacz ją doganiał, był ledwie sto metrów za nią. Ten wyścig był ustawiony. Wiedziała, że ta mała łupinka nigdy nie prześcignie łodzi wyposażonej w potężny silnik. Musiała czym prędzej dobić do brzegu, zniknąć w lesie, ukryć się gdzieś albo zaalarmować kogoś, kto mógłby jej pomóc.

Zobaczyła wir za ogromnym kłębowiskiem korzeni, które wpełzały do rzeki niczym palce

prehistorycznego potwora. Dobre miejsce na zacumowanie. Skręciła w tamtą stronę, przygotowując się do ucieczki na piechotę.

Głośniejsze buczenie silnika mówiło, że jest coraz bliżej. Początkowo myślał, że to jego motor tak warczy. Ale po chwili zdał sobie sprawę, że jest to koncert na trzy silniki, jego i łodzi płynących z naprzeciwka. Nie widział ich, lecz czuł, że odległość dzieląca go od Mii - i od porywacza - szybko się zmniejsza. Ale tuż przed zakrętem hałas wyraźnie przycichł. Zatrzymali się? Jak się ten pościg skończył dla Mii? Przeklął silnik, jakby dzięki temu mógł szybciej pokonać zakręt, i odbił na środek rzeki, żeby ominąć kępę rosnących tuż nad brzegiem cyprysów. Wtedy zobaczył dryfującą łódź, małą, aluminiową, podobną do jego łodzi. Silnik był pochylony do przodu, śruba sterczała nad wodą. Jakiś mężczyzna... Nie, jakaś kobieta wiosłowała rozpaczliwie pagajem.

- Mia! - krzyknął.

Mia znieruchomiała i spojrzała w jego stronę. Nie wiedział, czy go rozpoznała. Mogła usłyszeć tylko warkot silnika. Mimo to zareagowała tak, jakby jego widok - widok kogokolwiek - sprawił jej niewypowiedzianą radość. Zaczęła machać pagajem, wzywając pomocy.

Nie widziała ślizgacza, który pełną szybkością pędził prosto na nią.

Przednia szyba rozbryzgnęła się na wszystkie strony i odłamek szkła omal nie wykuł mu drugiego oka. Kula świsnęła tuż koło ucha i wiedział, że ktoś strzela do niego z tyłu. Snajper? FBI sprowadziło snajperów i był to tylko strzał ostrzegawczy, lekkie klepięcie w tyłek. Jeśli nie wyłączy silnika i nie podniesie do góry rąk, następna kula roztrzaska mu czaszkę.

Po jego trupie. Miał już na koncie morderstwo Ashley Thornton, a za porwanie Teresy dostałby drugie dożywocie.

Rzucił się na pokład z ręką na kierownicy. Zaczął szarpać nią w lewo i w prawo, zygzakując, kładąc łódź to na jedną burtę, to na drugą, stając się ruchomym celem, zbłąkanym pociskiem ledwie muskającym wodę. Miał w schowku dwie butle, maskę i automat, ale nie mógł ich teraz włożyć, nie ze snajperem na brzegu. Jego jedynym biletem na wolność był zakładnik - jeden, bo dwóch nie potrzebował.

Nadeszła pora rozprawić się z ostatnim żyjącym człowiekiem, który mógł go zidentyfikować.

# 71

Jack skręcił ostro w stronę Mii. Chociaż świecił księżyc, rozpoznała go dopiero w ostatniej chwili. Jej łódka dryfowała z prądem. Ślizgacz szybko się zbliżał, lecz płynął dziwnymi, zawilými zygzakami. Jack zrobił zwrot, opłynął dziób aluminiowej łodzi, zwolnił i dobił do burty.

- Wskakuj! - krzyknął.

- Jack? Co ty...

- Wskakuj!

Ślizgacz walił prosto na nich. Nagle ponad rykiem silnika huknęły dwa wystrzały i kadłub przeszły dwie kule. Jack natychmiast odpowiedział ogniem, strzelając na oślep, bo nie widział sternika. Ślizgacz nie zwolnił i wciąż zygzakując, błyskawicznie się do nich zbliżał. Jack wiedział, że silnik jego motorówki nie ma wystarczającej mocy, by zejść mu z drogi.

Kątem oka dostrzegł plecak pod ławką na dziobie. Plecak z dwustoma tysiącami dolarów Thea. Był za daleko, poza zasięgiem ręki.

- Skacz! - krzyknął, frunąc w powietrzu nad łódką Mii. W locie chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą, w zamieszaniu gubiąc pistolet. Wpadli do zimnej rzeki. W ułamek sekundy potem ślizgacz zmiażdżył obydwie łodzie jak puszkę po piwie.

Jack znalazł się pod powierzchnią spienionej, kipiącej od zderzenia wody. Wokoło było czarno i zimno, i mógł myśleć tylko o tym, jak znaleźć Mię. Świetnie pływała, ale na jej rękach i nogach widział łańcuchy, które przeszkodziłyby nawet najlepszemu pływakowi. Zanurkował. Schodził coraz głębiej i głębiej, aż dotknął rękami dna. Było za ciemno, by cokolwiek dostrzec, lecz poczuł, że omywa go prąd, prąd tak silny, że mogło to znaczyć tylko jedno: gdzieś w pobliżu było wejście do systemu jaskiń. Źródło? Dziwne tylko, że zamiast wypychać, woda wciągała go jak wir.

Popłynął ku powierzchni, macając na oślep rękami, wciąż szukając Mii. Po minucie zabrakło mu powietrza. Wynurzył się, wziął kilka głębokich oddechów, popatrzył w górę rzeki, popatrzył w dół, popatrzył na brzeg. Nikogo. Za to kilkanaście metrów dalej w świetle księżyca zobaczył dryfujący ślizgacz. Pusty pokład, martwy silnik - czyżby podczas zderzenia porywacz wypadł do wody?

Nocną ciszę przerwał odległy pomruk silnika płynącej ku nim motorówki. FBI?

Wtem usłyszał przeraźliwy krzyk i głośny plusk.

- Mia! - krzyknął. Głowa ledwo wystawała mu z wody, mimo to widział, jak kurczowo trzymając się szczątków łodzi, Mia rozpaczliwie walczy o życie. Ruszył w jej stronę, lecz nagle tuż przed nim ktoś się wynurzył, nagle zobaczył przed sobą lufę pistoletu widoczną nawet po ciemku. Palec grubej, czarnej gumowej rękawicy nacisnął spust ułamek sekundy za późno. Jack był już pod wodą i stłumiony huk wystrzału zabrzmiał jak daleki grzmot. Porywacz najwyraźniej uznał, że jeden zakładnik mu wystarczy.

Wynurzenie oznaczało pewną śmierć, dlatego Jack został pod wodą tak długo, jak tylko mógł, na tyle długo, by tamten pomyślał, że oberwał i pochłonęła go rzeka. Unosił go prąd i to dziwne uczucie, że coś go wsysa i ściąga do dołu, przybrało na sile. Musiał nabrać powietrza, i to szybko. Tak, mógł płynąć jak najdalej przed siebie z nadzieją, że wynurzy się poza zasięgiem wzroku porywacza. Ale wtedy Mia musiałaby radzić sobie sama, ze skutymi rękami. Bez namysłu wybrał jedyne możliwe wyjście.

Zanurkował na trzy, cztery metry, tam, gdzie nikt nie mógł go wypatrzeć. Zadarł głowę, ale nawet w blasku księżyca dostrzegł tylko niewyraźny cień, zamazaną sylwetkę pływającego w miejscu człowieka. Nurka bez butli i płetw. Może był w kombinezonie, ale na pewno nie miał aparatu oddechowego. Trzy metry dalej na powierzchni chybotął szczuplejszy cień Mii rozpaczliwie młócej wodę skutymi łańcuchem nogami.

Jack unosił się tuż nad dnem i wykorzystał je jak trampolinę: odbił się mocno i poszybował do góry jak rakietą. Trafił mężczyznę prosto w brzuch.

Nie bardzo pamiętał, co było potem, ale przypominało to zapasy z aligatorem. Rozpaczliwie próbował chwycić przeciwnika za ręce albo objąć go w pasie, lecz uniemożliwiał to jego śliski kombinezon. Poza tym szybko tracił przewagę zaskoczenia, bo brakowało mu powietrza. Tamten jakby to wyczuł, bo złapał go za włosy i wciągnął pod wodę. Był doświadczonym płetwonurkiem i Jack nie zamierzał bawić się z nim w „kto wytrzyma dłużej bez oddychania”. Szarpał się, bił go i kopał, robiąc wszystko, żeby przenieść walkę na powierzchnię.

W końcu zdołał się uwolnić, lecz wciąż opadał na dno. I to nie tamten go spychał. Obydwu wciągał podwodny prąd. Poczł, że nie płynie już równoległe do brzegu.

Pływał w kółko, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Nigdy dotąd nie wpadł w wir, ale znał to zjawisko z florydzkich plaż. Dlatego, wyczerpując siły, popłynął w poprzek prądu. Początkowo wydawało się, że na próżno, ale już po chwili siła, z jaką wciągało go w głębiny, nieco zelżała. W końcu wychynął na powierzchnię, wciągnął haust powietrza i zerknął w

stronę brzegu. Nie przestawał płynąć i czuł, że powoli wygrywa bitwę z żywiołem. Wir jeszcze się nie poddał, ale on zdołał już dotrzeć do powalonego cyprysa, którego wierzchołek spoczywał w rzece. Wyczerpany złapał się gałęzi i mocno przytrzymał.

Zanim zdążył wziąć oddech, zza pnia wystrzeliła czarna ręka i chwyciła go za włosy. Jakimś cudem udało mu się podnieść swoją. Tamten był w gumowym kapturze, ale on centymetr po centymetrze przesuwiał palce po jego głowie i wreszcie wyczuł nagą skórę na czole. Szarpnął się, obrócił i przez ułamek sekundy widział jego twarz, jego wyklute oko.

Była to twarz Richiego, znajomego Theo, bramkarza z Vertigo II, tego samego, który w klubie Montalva w Atlancie dał Teresie wizytówkę z zaproszeniem na prywatne przyjęcie.

Jack wycelował w poharatane oko. Cios nie był silny, ale Richie momentalnie odskoczył do tyłu, dostał w odsłonięty nerw. Odskoczył i puścił się pnia. Natychmiast porwał go prąd. Ręce, nogi, głowa - wirował w blasku księżyca, rozpaczliwie próbując utrzymać się na powierzchni. Ale był już zbyt zmęczony, żeby wygrać tę walkę. Obracał się tak i kręcił prawie przez minutę. A potem zniknął jak w naturalnej studziencie ściekowej, wessany do podziemi bez butli z powietrzem i światła. I bez najmniejszych szans na przeżycie.

Ciężko dysząc, Jack dostrzegł plecak, który wpływał powoli do wiru.

- Nie! - krzyknął.

Pieniądze Theo podążyły za porywaczem do wodnego grobu.

Siedzieli na tarasie głównego pawilonu obozowiska Ginnie Springs, w terenowym centrum operacyjnym FBI, i patrzyli na zachodzący księżyc. Na miejscu był lekarz, który natychmiast opatrzył Mię; na szczęście zmiądzony palec i rana na wewnętrznej stronie uda nie wymagały poważniejszych zabiegów. Był tam również psycholog, ale ona chciała rozmawiać tylko z Jackiem.

Monotonne granie cykad zakłócały jedynie trzaski i piski policyjnego radionadajnika. Przez pawilon przewinęło się kilkunastu agentów, z których jedni mieli tam coś do zrobienia, a inni po prostu cieszyli się z udanej akcji. Jack i Mia nie byli tak do końca sami, ale kołysząc się na wiszącej ławce, od dawna nie mieli dla siebie tyle czasu. Jack mógłby zadać jej tysiąc pytań, lecz było na to za wcześnie. Mia nie zdążyła się jeszcze ogrzać i na ramieniu czuł chłodny dotyk jej wilgotnych włosów. Splotła palce z jego palcami i głaskała jego dłoń, jak zwykła to robić, gdy skończyli się kochać. Ale tego wieczoru ścisnęła mu rękę o wiele mocniej. Jakby już nigdy nie chciała jej puścić. Jack nie miał nic przeciwko temu.

Z rzeki wyłowili ją agenci FBI. Jego znaleźli dwieście metrów dalej; ledwo żywy, kurczowo trzymał się powalonego drzewa. Natychmiast powiedział im, że to Richie, ale wyczuł, że Andie już o tym wie. Że wiedziała od jakiegoś czasu i jak zwykle nic mu nie powiedziała. Płetwonurkowie wciąż szukali ciała i byli pewni, że prędzej czy później je znajdą. Nie mieli takiej pewności co do kapsuły z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów Jacka i jeszcze mniejszą, że kiedykolwiek znajdą plecak z dwustu tysiącami Theo. Wiedział, że stratę swoich pieniędzy jakoś przeżyje, ale pieniądze przyjaciela to zupełnie inna sprawa.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i zatrzasnęły na sprężynie. Przecinające taras kroki były głośne i stanowcze, jakby ktoś przynosił im złą wiadomość. Jack podniósł głowę i w żółtawym świetle lampy zobaczył Andie.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak - odparła. - Przed bramą zaczynają gromadzić się reporterzy i zaraz będę musiała do nich wyjść. - Podeszła do krzesła naprzeciwko huśtanej ławki. - Mogę na sekundę?

- Jasne.

Usiadła na samym brzeżku, jakby nie chciała, żeby było jej za wygodnie.

- Mia, wiem, że wolałaby pani o tym nie mówić, ale chciałabym spisać pani zeznania.

- Naprawdę musimy robić to teraz? - spytał Jack.

- Nie, nie, nie szkodzi - powiedziała Mia. - Lepiej to mieć za sobą.

- Świetnie, ale... Hmm...

- Ale co? - ponaglił ją Jack.

Andie miała kłopoty ze znalezieniem właściwych słów.

- Najpierw muszę panią uprzedzić, że ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko, co pani powie, może być wykorzystane w sądzie...

- Zaraz, chwila - przerwał jej Jack. - Chcesz ją aresztować? Za co?

Tym razem głos Andie był trochę bardziej stanowczy.

- Za morderstwo.

- Ależ to nie było morderstwo. Ten bydlak na to zasłużył.

- Zgoda, Gerard Montalvo pewnie też. Ale kobieta ma prawo zabić gwałciciela tylko w obronie własnej. Nie z zemsty.

Mia zaczęła coś mówić, lecz Jack ją uciszył. Przeszył Andie spojrzeniem.

- Dobra, dość tych gierek. Bądź szczerą. O co tu chodzi?

Andie się zawahała.

- Jack, nie mogę...

- Tak, tak, wiem, nie możesz o tym mówić. Klepiesz to jak pacierz. Ale zaskocz mnie choć raz, dobra? Tak dla ożywienia rozmowy.

- To nie takie proste...

- Dla ciebie nic nie jest proste. Ilekroć cię o coś pytałem, zawsze odpowiadałaś, że nie masz prawa rozmawiać ze mną na temat śledztwa...

- Nieprawda.

- Prawda. Obiecałaś nawet, że załatwisz mi dostęp do tajnych informacji i guzik załatwiłaś.

- Bardzo mi przykro, ale pewnie nie wiesz, że biurokracji nie da się pokonać bez biura.

- Owszem, dobrze wiem, że macie tam niezły burdel. Ale w tej sprawie informacje przepływały tylko w jedną stronę i jestem już tym zmęczony. Więc jeśli myślisz, że możesz tak po prostu przyjść tu bladym świtem i ni z tego, ni z owego zacząć recytować prawa mojej klientki...

- Twojej klientki?

Jack westchnął. Ta kobieta doprowadzała go do szału.

- Andie, choć raz rzuć mi jakąś kość do oblizania.

Andie spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie powiedziała „nie”. Wzięła głęboki oddech.

- Chcę, byście wiedzieli, że zupełnie mnie to nie cieszy. Wiercie mi, nikt nie ma więcej współczucia dla zgwałconych niż ja. Gorsze od gwałtu jest chyba tylko to, że kiedy zbierasz się wreszcie na odwagę, żeby wnieść oskarżenie, nikt ci nie wierzy.

Spojrzała na Mię.

- Jestem pewna, że przyczyną pani frustracji było to, że nie przeszła pani badania na wykrywaczu kłamstw. Tego rodzaju badania nie są w stu procentach wiarygodne. Jack i ja widzieliśmy kłamców, którzy je zaliczali, i ludzi do cna uczciwych, którym się to nie udało. Moim zdaniem, prokuratorzy za bardzo w nie wierzą. Ale to nie dawało Mii prawa do zemsty.

- To tylko teoria - odparł Jack. - Wciąż nie widzę, a raczej nie słyszę żadnych dowodów.

Andie znowu się zawahała.

- To spytaj panią, co po tym badaniu zrobiła prokuratura w Atlancie.

Jack zerknął na Mię. Nie zamierzał jej o nic pytać, nie w obecności agentki FBI, ale domyślił się odpowiedzi po jej minie.

- Postanowili się dogadać - ciągnęła Andie. - Pójść na ugodę. Wstrzymać postępowanie. Montalvo miał pozostać na wolności. Nie groziło mu nawet wpisanie kary do akt. To tak, jakby do gwałtu w ogóle nie doszło, przynajmniej z prawnego punktu widzenia.

- Mało wiarygodny motyw. Bo czy możesz udowodnić, że Mia o tej ugodzie wiedziała?

- Jack, nie wiedział o niej nikt poza nią. Mia była pierwszą osobą, z którą rozmawiała prokuratorka. Montalvo zniknął, zanim zdążyła zadzwonić do jego adwokata i złożyć mu propozycję. Teraz wiemy, co się z nim stało.

- Ale to Richie doprowadził mnie do jego zwłok.

- Dzięki informacjom od Mii. Sam ci to powiedział. Wskazał ci je tylko dlatego, że Mia powiedziała mu, gdzie są pogrzebane. Ziemia była naruszona, bo musiał je wykopać, żeby sprawdzić, czy Mia nie kłamie.

- To dowód z zasłyszania.

- Mówisz jak prawdziwy obrońca.

Mia odchrząknęła.

- To nie jest...

- Nie teraz - przerwał jej Jack.

- Słusznie - ciągnęła Andie. - To nie najlepsza pora. I nie moje kompetencje. Będzie pani miała mnóstwo czasu, żeby przedstawić swoją wersję w Atlancie. Powiem szczerze: mam głęboką nadzieję, że prokuratura spróbuje to jakoś wyciszyć.

W innych okolicznościach zabrzmiałoby to fałszywie, lecz po jej minie i po tonie głosu Jack poznał, że nie był to popis policyjnego chojractwa. Mówiła im to dla ich własnego



dobra, żeby mogli postąpić tak, jak uważali za stosowne.

- Mogę przyjąć pani zeznania już teraz - dodała. - Albo, jak to już powiedziałam, może pani zachować milczenie.

- Chyba powinnam najpierw porozmawiać z Jackiem - odrzekła Mia.

- Bardzo dobra decyzja. - Andie wstała i ruszyła do drzwi.

Jack wstał i poszedł za nią.

- Andie.

Odwróciła się.

- Jak myślisz, kiedy zawita do niej prokurator?

- Za dwa dni. Może za trzy.

- Macie narzędzie zbrodni?

- Przy zwłokach Montalva znaleźliśmy pocisk kalibru trzydzieści osiem. Spytaj swoją klientkę o pistolet, który kupiła i zarejestrowała na swoje nazwisko trzy dni przed jego śmiercią.

- Jestem pewien, że kupiła go do obrony własnej.

- Możliwe.

- Jej adwokat Henry Talbridge opowie ci, jak Montalvo prześladował ją i jak jej groził przez całe przesłuchanie wstępne.

Andie milczała, lecz wyraz jej twarzy mówił, że to koniec rozmowy. Nagle lekko zboczyła z tematu.

- A propos: to, co zrobiłeś na rzece, było niesamowite.

- Tak? Nie wiem, może później to do mnie dotrze.

- Oby nie.

Widział w jej oczach znużenie, ciężar dziesiątków spraw, które nie dawały jej spokoju długo po ich zakończeniu.

- Tak - mruknął. - Chyba cię rozumiem.

Położyła rękę na klamce.

- Dzięki - dodał. - Za ostrzeżenie.

- Nie mów teraz, że nic dla ciebie nie zrobiłam.

Kiwnął głową w milczącym podziękowaniu, doskonale wiedząc, że zrobiła aż za dużo. Wymienili uśmiechy i Andie zniknęła za drzwiami. A on powoli wrócił na huśtawkę.

Andie zaprosiła swoich ludzi na wczesne śniadanie w Great Outdoors Trading Company & Cafe w High Springs, historycznej restauracji przy Main Street, która mieściła się w tej samej kamienicy od 1895 roku. Na szczęście dla jej portfela, jadłospis proponował aż dwadzieścia cztery dania w cenie niecałych pięciu dolarów. Andie wmawiała sobie, że nie jest głodna, ale w jedzeniu słynnych szwedzkich racuchów z syropem klonowym z powodzeniem dotrzymywała kroku nawet pletwonurkom. Wszyscy bardzo ten gest docenili, nawet Pete Crenshaw poklepał ją po plecach i rzucił:

- Dobra robota.

Porannym samolotem poleciała do Miami, żeby wraz z Paulem Martinezem przygotować się do konferencji prasowej. Jak na szefa przystało, Martinez przywiązywał wielką wagę do koncepcji pracy zespołowej. Andie wiedziała, że przed kamerami na pewno podkreśli skuteczność skoordynowanych działań wszystkich agentów, którzy brali udział w polowaniu na Wyceniacza. Nie miała nic przeciwko temu, ale cieszyła się, że może porozmawiać z nim w cztery oczy przed spotkaniem z prasą, na którym Martinez będzie bez wątplenia wychwalał podwładnych, a ją w szczególności. No i musiała przygotować go na trudniejsze pytania, które na pewno padną.

- Chcę to ująć jak najprościej - mówił. - Utrzymujemy, że ten cały Richie uprowadził Mię Salazar, bo zabiła jego przyjaciela Gerarda Montalvo. Tak?

- Tak.

- Prokurator powie, co zechce, jego sprawa, ale te hieny na pewno spytają mnie, dlaczego Richie porwał i zamordował Ashley Thornton.

- Nie wiem i pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Jeden i drugi już nie żyją.

- Fakt, i mógłbym powiedzieć, że nie chcę na ten temat snuć żadnych domysłów. Ale tak między nami: czy między tymi dwiema sprawami jest jakiś związek?

- Żadnego. I właśnie dlatego Mia była tak dobrym celem.

- Jak to?

- Gdyby Richie uprowadził tylko ją, prędzej czy później odkrylibyśmy, że chciał pomścić śmierć Gerarda Montalvo. Porwanie żony mechanika z Georgii, a potem Ashley Thornton z Ocala rzuciło na tę sprawę zupełnie inne światło. Dosłownie wszyscy, od pletwonurków z

Czarciego Ucha poczynając, na psychologach z Quantico kończąc, myśleli, że szukamy Wyceniacza.

- Twoja teoria byłaby łatwiejsza do przełknięcia, gdyby nikogo przy okazji nie zabił.

- Z tego, co zdążyliśmy się o nim dowiedzieć, mieliśmy do czynienia z byłym więźniem, ostatnią kanalią. Dostał od Thorntona milion dolarów okupu. Niektórzy zabijali za znacznie mniej.

- Zgoda, ale przecież nie musiał jej zabijać. I bez tego wzięlibyśmy go za seryjnego porywacza.

- Może zamierzał ją wypuścić, ale zobaczyła jego twarz i rozpoznała go. Jeśli tak, musiał ją zabić.

Martinez potarł czoło.

- Jak już mówiłaś, to tylko domysły. Dobra pożywka dla gadających głów z CNN.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się słabo. - Gdybyśmy odpowiedzieli na wszystkie pytania, nasi emerytowani agenci nie mieliby nic do roboty i przez cały czas musieliby grać w golfa.

Skończyli o pierwszej, godzinę przed konferencją. Kusila ją mała koja na dole - nie szkodzi, że z wybrzuszonym materacem - ale wiedziała, że myśli nie pozwolą jej zasnąć. Wróciła do siebie i zamknęła drzwi, żeby przed spotkaniem z reporterami pobyć trochę sama ze sobą.

Usiadła przy biurku i zastygła bez ruchu. Papierkowej roboty wystarczyłoby jej na tydzień, ale była to ostatnia rzecz, na jaką miała teraz ochotę. Nie, to nic pilnego. A przynajmniej nie na tyle, żeby powstrzymać falę wspomnień i natrętnych myśli o tym, dlaczego znalazła się w Miami, dlaczego wyjechała z Seattle, dlaczego nigdy tam nie wróci.

Sam na sam z upiorami - to były najbardziej niebezpieczne chwile.

W południe Jack, Mia i Theo wrócili do Miami. Ponieważ Mia nie chciała rozmawiać z mężem, wpadli na płątną autostradę i szybko zostawili za sobą Palm Beach. W Miami była jednak jej siostra. Jack wiedział, że ich spotkanie będzie bardzo emocjonalne, dlatego postanowił dać im trochę czasu na rozmowę w cztery oczy. Podrzucił Mię do hotelu, gdzie zatrzymała się Cassandra, a sam zaczekał w kawiarni. Właśnie pił drugi kubek kawy, kiedy Cassandra zeszła wreszcie na dół. Sama.

- Śpi jak zabita. - Wśliznęła się do boksu. Włosy miała ściągnięte do tyłu szeroką, białą przepaską i Jack przyjrzał się jej uważniej. Wiele razy widział taką samą fryzurę u Mii, zwłaszcza po tym, gdy wzięła prysznic czy wyszła z morza. Nie każda kobieta wygląda w niej ładnie, ale one wyglądały przepięknie.

- Wiedziałem, że padnie - odparł. - Będzie spała ze dwa dni.

- Co najmniej.

Nadeszła kelnerka z dzbankiem kawy i kubkiem dla Cassandry. Obsłużyła ich i pospieszyła do sąsiedniego boksu. Jack patrzył, jak wysypująca się z cukierniczki biała strużka znika w kubku Cassandry.

- Ale trochę sobie pogadałyście.

- Mało powiedziane. Wiem już, co zrobiła ta Henning i że prawdopodobnie oskarżą moją siostrę o morderstwo Montalvo. Łajdaki.

- Widzę, że nadrobiłyście całkiem sporo zaległości.

- Tyle chcieliśmy sobie powiedzieć...

- Na przykład... prawdę?

Cassandra zrobiła zaskoczoną minę.

- Prawdę?

- Cassandro, jest coś, o co muszę cię spytać.

- Jejku, brzmi złowieszczo.

Jack spojrział na nią znad parującego kubka.

- Myślę, że mnie okłamywałaś.

Sztuczny uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Ja?

- Nie wierzę, że przez siedem lat myślałaś, że Mia nie żyje. Andie Henning też w to nie wierzy.

- Ale to prawda.

- Nie, to kłamstwo.

Przez chwilę zdawało się, że Cassandra znowu zaprzeczy, że zaprze się i będzie obstawała przy swoim. Ale coś w twarzy Jacka powiedziało jej, że to bez sensu. Nerwowo uciekła wzrokiem w bok, popatrzyła na kasjera, na powoli obracającą się tacę z ciastkami. Patrzyła wszędzie, tylko nie na niego.

- Kiedy się domyśliłaś?

- Coś tknęło mnie już podczas naszej pierwszej rozmowy. Spytałem, czy Mia ma bliźnię na udzie, a ty powiedziałaś, że na przesłuchaniu wstępnym nie było o tym mowy. Okazuje się jednak, że było, że trafiło nawet do prasy. I tu odsłania się problem kłamstwa. Czasem nie warto udawać, że wie się za mało.

- To jeszcze nie znaczy, że wiedziałam, że Teresa żyje.

- Nie. Ale Andie Henning domyśliła się tego, kiedy spytała cię, dlaczego nie wniosłaś oskarżenia o morderstwo przeciwko Gerardowi Montalvo. Muszę się z nią zgodzić. Gdybym podejrzewał, że jakiś bydlak zabił kogoś z moich bliskich, chodziłbym do prokuratury codziennie, a przynajmniej raz na tydzień. Ty nie chodziłaś.

- Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Nie muszę. Jedynym sensownym wytłumaczeniem jest to, że przez cały czas wiedziałas. Wiedziałaś, że Mia żyje.

Cassandra wypila łyk kawy i Jack zauważył, że drży jej ręka.

- Dobrze. Powiedzmy, czysto hipotetycznie, że wiedziałam. Czy zrobiłoby to jakąś różnicę? Czy postąpiłbyś inaczej? Przestałbyś jej pomagać?

- Nie. Masz moje słowo. To by niczego nie zmieniło.

Cassandra spuściła oczy, jakby chciała to przeczekać. Wreszcie głosem cichym, jakby z oddali powiedziała:

- Wiedziałam.

- Od samego początku? Od pierwszego dnia?

- Nie. Raczej od drugiego.

- Rozmawialiście nazajutrz po jej zniknięciu?

- Tak. Przez telefon.

- Co Mia ci powiedziała?

Cassandra wzruszyła ramionami. Wciąż czuła się nieswojo.

- Że musi wyjechać. Zniknąć.

- Na długo?

- Na zawsze.

- Powiedziała dlaczego?

- Powiedziała, że dla jej własnego bezpieczeństwa.

- Wiedziała, że tego samego dnia zniknął Montalvo.

- Oczywiście. Dlatego uciekła.

- Bo się go bała.

- Tak. Sędzia wydał orzeczenie zaraz po przesłuchaniu. Montalvo miał mieć proces za gwałt.

- Którego nie było.

- Słucham? - najeżyła się Cassandra.

Jack nie chciał jej dobijać, ale wiedząc, że prokurator zamierza oskarżyć Mię o morderstwo, uznał, że nie ma czasu na owijanie niczego w bawełnę.

- Mia skłamała. Montalvo jej nie zgwałcił. Udowodniło to badania na poligrafie.

- Te urządzenia często się mylą.

- Ale nie w jej przypadku. Ja to wiem. Ty wiedziałaś od siedmiu lat.

Cassandrze stężała twarz, lecz zaprzeczenie nie padło.

- Myślę, że Mia okaleczyła się sama przed pójściem na policję, żeby uprawdopodobnić zarzuty. Nie było nasienia ani innych dowodów, bo przecież nie było gwałtu. Dzięki ranie na udzie zyskała na wiarygodności.

- Też coś, widzę, że znasz odpowiedzi na wszystkie pytania - powiedziała Cassandra.

- Na wszystkie oprócz jednego i najważniejszego: dlaczego Mia skłamała?

- Masz niezwykle bujną wyobraźnię. Jestem pewna, że na to też znasz odpowiedź.

- Wyniki badania na wykrywaczu kłamstw były bardzo interesujące. Mia nie zaliczyła dwóch pytań dotyczących gwałtu. Potem spytano ją, czy to Montalvo spowodował uraz na jej nodze. Sformułowanie tego pytania jest niezmiernie ważne. Odpowiedziała: „Tak”, a prowadzący badanie nie potrafił określić, czy to prawda, czy kłamstwo. Nasuwają się dwa wnioski. Pierwszy jest taki, że Mia skłamała. Że jej nie zgwałcono. Drugi, że czuła się usprawiedliwiona, wnosząc fałszywe oskarżenie. Usprawiedliwiona, a może nawet zmuszona. Bo naprawdę uważała, że to Montalvo „spowodował uraz na jej nodze”.

Cassandra milczała.

- Mii nie zgwałcono - ciągnął Jack. - I to nie on ją okaleczył.

- Jej nie chodziło o pieniądze - powiedziała spiętym głosem Cassandra. - Talbridge, ten

adwokat, dał to jasno do zrozumienia, kiedy zaproponował, że za jednego marnego dolara Mia odstąpi od wszystkich roszczeń cywilnych. Nie miała powodu, żeby kłamać.

- Wiem. Bo nie robiła tego dla pieniędzy. Miała o wiele lepszy powód, żeby skłamać.

Cassandra poprawiła się na ławie, jakby chciała wstać i wyjść.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy sama na to odpowiedziałaś. Spytałem wtedy, dlaczego nie byłaś na przesłuchaniu wstępnym. Pamiętasz, co odpowiedziałaś? Że siostra kazała ci trzymać się od tego z daleka, bo groziła ci deportacja.

- Właśnie. Przebywałam tu wtedy nielegalnie. Wiza Teresy była jeszcze ważna, moja już nie. Nie mogłam pójść do sądu, boby mnie deportowano.

Jack pochylił się do przodu jak oskarżyciel, który chce przyprzeć do muru wijącego się na przesłuchaniu świadka.

- Dlatego nie mogłaś dochodzić sprawiedliwości.

- No właśnie. Nie mogłam uczestniczyć w rozprawie, nie mogłam nawet przyjść do sądu.

- Nie mówię o Teresie. Mówię o tobie. Bo Montalvo zgwałcił ciebie, Cassandro. I nie mogłaś wnieść oskarżenia, bo przebywałaś tu nielegalnie.

Cassandra próbowała trzymać twarz, nie zdradzić niczego nawet mową ciała, ale siła jego słów miała moc jej siedmioletnich kłamstw. Jack nie ustępował.

- Doskonale rozumiem, że doprowadzało to was do wściekłości. Ona miała wizę, ty nie. Dlatego zrobiła to za ciebie. Twoje przeżycia stały się jej przeżyciami i poszła z nimi na policję. Dlatego trwało to aż trzy dni. Dlatego poligraf wykazał, że skłamała spytana, czy Montalvo ją zgwałcił. Dlatego nie wykazał, że kłamała, mówiąc, że to on „spowodował uraz na jej nodze”.

Cassandra spuściła oczy. Zrobiła to niemal niezauważalnie, ale Jack był pewien, że leciutko skinęła głową.

- I dlatego Richie nigdy jej tego nie zapomniał.

Cassandra wreszcie na niego spojrzała. W jej twarzy nie dostrzegł wielkich emocji, ale był tam na pewno ból, może nawet gniew i nienawiść za to, co zrobił. Mimo to Jack drążył dalej.

- Zgwałcił cię Gerard Montalvo. I kiedy Teresa nie zaliczyła badania na poligrafie, kiedy sprawa zaczęła się sypać, to właśnie ty go zabiłaś.

Wytoczył przeciwko niej najcięższe działa, ale skończyła mu się amunicja. Cassandra wzięła głęboki oddech, jakby próbowała dojść do siebie.

- Prawie, Jack - powiedziała. - Prawie wszystkiego się domyśliłeś.

- Co poszło nie tak?

- Najpierw muszę mieć pewność, że to rozmowa poufna. Jak między adwokatem i klientem.

- Dobrze, jak między adwokatem i klientem.

Cassandra odruchowo zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

- Tamtej nocy bramkarz minął mnie i dał wizytówkę Teresie. To była taka gra. Jego, Montalva. Masz w sobie to coś. Miała to każda kobieta, która godziła się na seks za pieniądze.

- Wiem. Była o tym mowa na przesłuchaniu wstępnym. Jednoznacznie ustalono, że Mia dostała wizytówkę i poszła na przyjęcie w prywatnym apartamencie Montalva.

- Ale poszła tylko dlatego, że ją namówiłam. Wróciła po dwudziestu minutach. Dosłownie wyciągnęła mnie z klubu i powiedziała, że jedziemy do domu. Była podenerwowana, ale ja nie chciałam iść.

- Dlaczego?

Cassandra wzruszyła ramionami.

- Kiedy była na górze, podszedł do mnie inny bramkarz z wizytówką. Nie wiedziałam, co znaczy: „Masz w sobie to coś”. Teresa nie uprzedziła mnie, że chodzi o seks. Była wzburzona, powiedziała tylko, że wychodzimy. Ale kazałam jej się wypchać, bo chciałam zostać.

- Nie próbowała cię przekonać?

- Jasne, że próbowała. Powiedziała, że ten Montalvo to kiepski aktor i że musimy iść. Myślałam, że przesadza, że chce po prostu wracać do domu albo że mają tam jakieś prochy. Teresa nie znosiła narkotyków. Tak czy owak, skłamałam, powiedziałam, że kiedy była na górze, spotkałam znajomą i że zaraz zmieniamy lokal. Nie miała nic przeciwko temu pod warunkiem, że wyjdziemy z Vertigo. Pojechała taksówką beze mnie.

- Nie powiedziałaś jej, że bramkarz dał ci wizytówkę?

- Nie. Chyba nie chciałam, żeby mnie zniechęciła. Chciałam zobaczyć, jak tam jest.

- A więc poszłaś na górę. Co było dalej?

Cassandra przełknęła ślinę. Jack widział, że jest bardzo zawstydzona.

- Musisz mnie zrozumieć: przyjeżdżając do Ameryki, miałam wielkie marzenia, chciałam iść do college'u, zrobić karierę. A potem skończyła mi się wiza. Wiesz, co wtedy robiłam? Byłam gosposią i zarabiałam dwieście dolarów tygodniowo, sprząając ubikacje. Wszystkie pieniądze szły do Wenezueli, do domu. I nagle zapraszają mnie na luksusowe przyjęcie, gdzie poznaję bogacza, który wyklada na stół pięć tysięcy dolarów w gotówce. Muszę się tylko z



nim przespać. Mówię: „Nie”. Wtedy on dokłada jeszcze tysiąc. Ja swoje: „Nie”. Ilekroć odmawiałam, wyciągał kolejny plik banknotów. W życiu nie widziałam tyle pieniędzy.

- Więc je wzięłaś.

- Nie. Dobiliśmy targu i... Rozebrałam się. Jak tylko zaczęliśmy, chyba się opamiętałam. Nie mogłam uwierzyć, że to robię, że na to poszłam, i kazałam mu przestać. Ale on nie chciał. Próbowałam go odepchnąć, ale on ciągle powtarzał: „Dobrze wiesz, kim jesteś, suko, dobrze wiesz”. Nie mogłam go z siebie zrzucić. Kiedy skończył, zawołał tego osiłka Richiego. Śmiali mi się w twarz, kiedy wyrzucali mnie półnagą za drzwi. Nie wzięłam pieniędzy, ale ostrzegłam Montalva, że mi za to zapłaci.

- A więc byłaś zdecydowana wnieść oskarżenie o gwałt, przynajmniej wtedy.

- Chyba tak. W sumie to nie wiedziałam, co zrobię. Zanim wróciłam do domu, była już prawie piąta nad ranem. Siostra bardzo się niepokoiła, a kiedy się rozebrałam, zobaczyła, że nie mam na sobie bielizny. Już mówiłam, Richie wyrzucił mnie stamtąd półnagą. Na szczęście złapałam chociaż sukienkę i buty. Teresa wiedziała, że nie jestem z tych, które wracają do domu bez majtek, i zaczęła mnie wypytywać, co się stało. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie byłam nawet pewna, czy mnie zgwałcił, z punktu widzenia prawa, rzecz jasna. Bo najpierw się zgodziłam, a potem powiedziałam „nie”. Wszystko mi się pomieszało.

- To był gwałt, Cassie. To, że się najpierw zgodziłaś, nie znaczy, że nie mogłaś zmienić zdania.

- Teresa też tak mówiła. Ale to mądra dziewczyna: wiedziała, że nie mogę iść na policję. Nie miałam ważnej wizy i natychmiast by mnie deportowano. O nic jej nie prosiłam, ale była moją starszą siostrą. Zawsze się mną opiekowała.

- Fałszywe zeznania to był jej pomysł?

- Tak, ale robiła to tylko po to, żeby Montalvo dostał za swoje. Nie rozumiesz? Zgwałcono jej młodszą siostrzyczkę, a ten sukinsyn mógł uniknąć kary tylko dlatego, że nie miałam wizy i nie mogłam się bronić.

- Więc powiedziała prokuratorce, że to ją zgwałcono.

- Tak.

- I okaleczyła sobie nogę? Sama?

- Próbowała, ale nie mogła się przemóc. Więc...

- Ty to zrobiłaś?

Cassandra kiwnęła głową.

- Nie chciałam, ale Teresa była przekonana, że bez dowodów czynnej napaści zarzut zostanie oddalony. Powiedziała, że Montalvo kazał jej oglądać film pornograficzny o

kobiecie, która cięła się czymś przed kamerą. Miała nadzieję, że policja znajdzie ten film podczas przeszukania, że będzie to namacalny dowód jego zboczonych zainteresowań, który jednoznacznie potwierdzi, że Montalvo okaleczył ją dokładnie w tym samym miejscu.

- Dobrze, jak na razie wszystko rozumiem. Ale jak to się stało, że go zabiłaś?

Cassandrze zwilgotniały oczy. Jackowi nie podobał się sposób, w jaki na niego patrzyła.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Ona opiekowała się tylko swoją małą siostrzyczką. - Cassandra głośno pociągnęła nosem. - Kiedy nie przeszła testu na poligrafie i kiedy prokuratorka powiedziała, że spróbują dogadać się z obroną, Montalvo i jego kumple zaczęli jej grozić. Teresa nie chciała się wycofać. Potem sędzia wydał orzeczenie, a wtedy on poszedł na całość.

- To znaczy?

- Tamtego wieczoru byliśmy na kolacji. W drodze do domu zauważyliśmy, że jedzie za nami jakiś samochód. Teresa przyspieszyła, ale tamten przez cały czas siedział nam na ogonie. W końcu stanęliśmy na czerwonym świetle i zobaczyliśmy, że to Montalvo.

- Co wtedy zrobił?

- Ruszyliśmy, a on za nami. W końcu Teresa skręciła na parking. Miała tego dość. Chciała mu tylko powiedzieć, żeby się odczepił, bo wezwie policję. Podczas przesłuchania wstępnego tak ją nastraszył, że zaczęła nosić pistolet w torebce. Na tym parkingu znowu zaczął jej grozić. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Rzucił się na nią, jakby chciał ją uderzyć i wtedy...

- Zastrzeliła go?

- Tak. I to właśnie dlatego po tylu latach jego kumpel Richie zaczął ścigać ją, a nie mnie. Działała w samoobronie, ale nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

- Dla prawa by miało - odparł Jack - i to duże. Ale dlaczego uciekła, skoro strzelała w samoobronie?

- Musiałyśmy podjąć jakąś decyzję. Ciało Montalva było w bagażniku jej samochodu. Teresa nie zaliczyła badania na poligrafie i prokuratura zamierzała umorzyć postępowanie. Jeszcze kilka dni i udowodniono by jej, że okaleczyła się sama. Kto by uwierzył, że zrobiła to w samoobronie?

- Byłaś świadkiem. Mogłaś opowiedzieć policji, co się stało.

- Tak, ale właśnie dlatego w to się wpakowałyśmy. Gdybym poszła na policję, od razu by mnie deportowano.

Jack był odrętwiały, jakby uszło z niego całe powietrze.

- Jechałyśmy nocą przez wiele godzin, aż dojechaliśmy do Miami. - Cassandrze

załamywał się głos i już na niego nie patrzyła. - Zakopaliśmy ciało w tej szkółce, tam, gdzie je znalazłeś. Teresa wynajęła kuter rybacki i popłynęła na Bahamy. A ja wysłałam jej wóz do Ameryki Południowej frachtowcem pełnym skradzionych samochodów.

- A więc jesteś współsprawczynią zbrodni.

- Nie obchodzi mnie, kim jestem. Mam tylko nadzieję, że nie zaczniesz myśleć źle o Teresie. To najdzielniejsza osoba, jaką kiedykolwiek znałam. - Cassandra zawahała się, jakby chciała coś dodać, ale zmieniła zdanie. Wzięła torebkę i wstała. - Pójdę zobaczyć, jak się czuje.

Poszła w stronę wyjścia, a on patrzył za nią, choć jej nie widział. Widział tylko duże okno od ulicy i greyhounda, który zatrzymał się na czerwonym świetle. Cichutki głosik w jego głowie kazał mu wybiec z kawiarni, wskoczyć do autobusu i uciec stąd, gdzie pieprz rośnie. Wszystko jedno gdzie, byle dalej od Miami i wszystkich tych, których tu znał. Jego nadzieje, że to Cassandra stanie przed sądem za morderstwo, podczas gdy on i Mia będą żyli długo i szczęśliwie, okazały się tylko piękną bajką.

Zamówił jeszcze jedną kawę i czekał samotnie, zastanawiając się, co powie Mii.

Sprawa Mii Salazar wciąż nie dawała jej spokoju. Andie nie lubiła oszukiwać, nawet przesłuchując podejrzanego. Tymczasem podczas ich ostatniej rozmowy w Ginnie Springs zachowała się kłamliwie i zwodniczo.

Nigdy nie pokładała ślepej wiary w skuteczność badań na poligrafie, jednak w przypadku badania Mii-Teresy zdecydowanie przesadziła ze sceptycyzmem. Jedynym dowodem napaści seksualnej była stara rana cięta na wewnętrznej stronie uda, którą Mia ponownie otworzyła na filmie za pomocą kawałka szkła z rozbitej żarówki. Tak, oczywiście, brak nasienia, włosów łonowych i innych dowodów fizycznych można było wytłumaczyć tym, że wróciła do domu, wzięła prysznic, przebrała się i poszła na policję dopiero siedemdziesiąt dwie godziny później. Ale w świetle wyników badania na wykrywaczu kłamstw wyjaśnienie to brzmiało wątpliwie.

Andie obróciła się z fotelem do okna. Nie interesowały jej samochody na parkingu ani ruch na autostradzie stanowej. Szukała czegoś, co zajęłoby jej uwagę. Zdawała sobie sprawę, dokąd prowadzi ją wyobraźnia i nie chciała tam iść. Ale cichy głosik w jej głowie miał własne zdanie.

Spojrzała na leżące na biurku papiery i zatrzymała wzrok na dużym, czarnym nagłówku u góry strony: „Wielka ława przysięgłych rozpatrzy sprawę morderstwa sprzed siedmiu lat”. Tej informacji jeszcze nie upubliczniono. Prokurator przygotował oświadczenie, które zamierzał opublikować po konferencji prasowej FBI. I grzecznościowo poprosił ją o komentarz. Chociaż ujawniono niewiele szczegółów, najsłabszy punkt dochodzenia był oczywisty: skoro Montalvo nie zgwałcił Mii Salazar, dlaczego go zabiła?

Andie miała na ten temat własną teorię. Teorię do obrony, która jednak burzyła wewnętrzny spokój. Kazała wracać do trudnych pytań, które kosztowały Andie tyle bezsennych nocy. Odpowiedzi na te pytania zmusiły ją w końcu do wyjazdu z Seattle. Wszystkie sprowadzały się do jednego: do rodziny i wyborów, jakich dokonujemy w najważniejszych w życiu chwilach. Jeśli dwie siostry kochają się tak, jak może kochać się tylko rodzeństwo, czy jest coś, czego by nie zrobiły, żeby się wzajemnie bronić i chronić?

W zamyśleniu patrzyła na telefon. Trudno było powiedzieć, jakie motywy kierowały Mią. Broniła młodszej siostry? Montalvo groził im obu? Miała wyrzuty sumienia, wiedząc, że

gdyby tamtej nocy zawiozła Cassandrę do domu, do niczego by nie doszło? Andie nie dokonałaby może takiego wyboru, ale chyba rozumiała Mię.

Zastanawiała się, czy ona zrozumiałaby jej wybór.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer. W Seattle było wczesne przedpołudnie. Odebrał jej szwagier.

- Cześć, Steve. Tu Andie.

- Hej, jak się masz?

- Dobrze, dzięki. Jakoś sobie radzę.

- Na pewno? Masz smutny głos.

- Nie, po prostu jestem trochę zmęczona. Posłuchaj, już od dawna chciałam ci coś powiedzieć.

Steve milczał, jakby zaniepokoił go jej lekko drżący głos.

- Czy coś się stało?

Andie miała ściśnięte gardło i z trudem przełknęła ślinę. Nie wiedziała, od czego zacząć, więc przeszła od razu do sedna.

- Przepraszam - szepnęła cichutko.

- Ale za co?

- Przepraszam, że... że nie mogłam zrobić więcej dla Susan.

- Andie, wszyscy się tak czujemy. Ale wierz mi, zrobiliśmy, co w ludzkiej mocy. Okazało się, że to po prostu za mało.

Miała inne zdanie. Steve stracił nadzieję jako ostatni, do końca wierząc, że znajdzie się jakiś dawca. Mogłaby mu powiedzieć o kreaturze z więzienia w Walla Walla, o tym, że mógłby doprowadzić ją do ich biologicznego ojca, że przeszczep mógłby uratować Susan życie. Mogłaby mu powiedzieć, czego nie zrobiła, ale odebrało jej mowę. Nikt nie miał prawa potępiać jej za wybór, jakiego dokonała - nikt oprócz niej samej. Bo w głębi serca czuła, że gdyby to ona leżała w szpitalnym łóżku, przegrywając wyścig z czasem, wszystko potoczyłoby się inaczej. Że zrobiłaby to, by ratować własne życie. Na tym właśnie polegała ta siostrzana próba.

Ale na próżno szukała słów. Nigdy nie zdradziła swej tajemnicy, nigdy i nikomu. I nikomu jej nie zdradzi. Kropka.

- Dzięki, Steve. Właśnie to chciałam usłyszeć. Jak się czujesz?

- Raz lepiej, raz gorzej, wiesz, jak to jest. Żyję z dnia na dzień, i tyle.

- Tak, chyba tylko to nam pozostało. Uważaj na siebie, dobrze?

- Ty też. Dzięki, że zadzwoniłaś.

- Na razie - powiedziała, lecz tak cicho, że chyba jej nie słyszał. Odkładając słuchawkę, poczuła, że ma łzy w oczach, ale szybko wzięła się w garść. Teraz była w Miami. Przeszłość została daleko stąd.

Wzięła papiery z biurka i poszła na konferencję.

## 76

Jack oglądał konferencję z hotelowego łóżka. Kilka stacji telewizyjnych transmitowało ją na żywo od początku do końca. Mówił tylko Paul Martinez. Andie nie było widać i Jack zastanawiał się, czy celowo trzymała się na uboczu.

Wynajęcie pokoju było jego pomysłem. Wiedział, że gdy tylko konferencja się skończy, jego domowy telefon rozdzwoni się i już nie zamilknie, że pod drzwiami może nawet czyhać na niego kilku dziennikarzy. Martinez uchylił się od odpowiedzi na pytanie, czy Mia Salazar jest podejrzana o morderstwo Gerarda Montalvo. Było do przewidzenia, że prasa zechce spytać o to jego.

Oparł się o zagłówek i wyłączył pilotem telewizor. Mia wreszcie wyszła z łazienki.

- Jak wyglądam? - spytała, obracając się wokół niczym modelka na wybiegu.

Uśmiechnął się smutno.

- Pytasz nie tego, kogo trzeba. Zawsze lubiłem twoje długie, kasztanowe włosy i ciemnobrązowe oczy.

Mia odruchowo poruszyła głową, jakby chciała przerwucić włosy z jednego ramienia na drugie. Musiała teraz przywyknąć do jasnych i krótkich, nie wspominając już o niebieskich szklach kontaktowych.

- A sukienka? - spytała. - Może chociaż sukienka ci się podoba?

- Jest świetna. - Kiedy farbowała włosy, poszedł do hotelowego butiku i sam ją dla niej kupił. Wstał z łóżka, zrobił kilka kroków w jej stronę i się zatrzymał. Stali bez słowa prawie przez minutę, ona patrząc na niego, on na zmienioną nie do poznania kobietę.

- Wiem, że jesteś temu przeciwny - powiedziała.

- Masz inne wyjście.

- Dożywocie nie jest wyjściem.

- Działanie w samoobronie jest działaniem w pełni uzasadnionym.

- Nikt mi nie uwierzy. Skłamałam, że mnie zgwałcono. Zastrzeliłam go, uciekłam i zmieniłam tożsamość. To tylko najcięższe zarzuty.

- To jeszcze nie znaczy, że przysięgli uznają cię za winną.

- Ale nie zagwarantujesz mi, że tak nie będzie.

- Nie. Nikt ci tego nie zagwarantuje. Jednak jeśli znowu uciekniesz, zaczną cię szukać

policja i nie ma gwarancji, że cię nie znajdą.

- Jeśli znajdą, stanę przed sądem. Nie widzę tu żadnych minusów.

Jack szybko mrugał oczami, jakby coś pominęła, jakby zapomniała o małej drobnostce, o facecie, który ryzykował dla niej życie i wyłożył pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby wyrwać ją z rąk psychopaty. Zastanawiał się, czy Mia ucieka ze strachu przed więzieniem, czy po prostu woli zacząć wszystko od początku, od zera, z czystym kontem.

- Przykro mi, Jack. Kocham cię i po tym, co dla mnie zrobiłeś, wiem, że ty też mnie kochasz.

Nie odpowiedział, nie potwierdził nawet, że tak jest.

Mógłby wszcząć szczerą rozmowę na temat prawdy i zaufania, tylko jaki to miało sens? Mia już podjęła decyzję.

- Nie uciekam przed tobą - ciągnęła. - Nigdy tak nie myśl.

- Nie musi tak być.

- Słusznie - odparła z przebiegłym uśmiechem. Podeszła krok bliżej. - Jedź ze mną.

- Co? Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo... bo nie mogę.

- Bo to szaleństwo?

- Tak. Bo to szaleństwo.

- Czy to znaczy, że mnie nie kochasz i nie chcesz ze mną być?

- Nie. To po prostu szalony pomysł, nic więcej.

- A więc teraz już chyba rozumiesz. Dla mnie szaleństwem byłby proces. Moja decyzja znaczy tylko tyle.

Usiłował znaleźć inny argument, lecz nie mógł.

- Jeśli zmienisz zdanie - powiedział - wiesz, gdzie mnie szukać.

- A jeśli ty zmienisz swoje, będę w...

Przytknął palec do jej ust.

- Nie chcę tego wiedzieć.

Odsunęła jego rękę, objęła go za szyję i pocałowała, długo i namiętnie, jak na pożegnanie. W końcu się odsunęła.

- Muszę iść. Za pół godziny odpływam.

Nie znał szczegółów, wiedział tylko, że jakiś przemytnik ma zawieźć ją na Bahamy. Stamtąd mogła polecieć wszędzie. Otworem stał przed nią cały świat. Jak przed siedmiu laty.

- Powodzenia - powiedział.



Uśmiechnęła się słabo i cmoknęła go w usta. Wymienili ostatnie spojrzenia i widział, że ma łzy w oczach, w tych dziwnych, nie swoich oczach. Potem odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Nie patrzył za nią. Czekał tylko na trzask otwieranej zasuwki, który zabrzmiał jak szczęk zamka strzelby. Drzwi zaskrzypiały. Zapadła cisza i nie wiedział, czy Mia się waha, czy przystanąła, żeby jeszcze raz spojrzeć na mężczyznę, którego porzucała. Nieważne.

Drzwi się zamknęły i odeszła.

Nie wiedział już nawet, jak ma na imię.

# Epilog

Minęły trzy tygodnie i nie miał od Mii żadnej wiadomości. Próbował o niej nie myśleć, ale często przyłapywał się na tym, że jednak myśli, że zastanawia się, dokąd mogła wyjechać. Do Australii, do Rosji, może do Ameryki Południowej. Ci, którzy mówią, że świat jest mały, nie widzieli ostatnio globusa.

Kiedy nie myślał o Mii, próbował skupić się na pracy. Najbardziej dręczyła go sprawa knajpki Theo i pieniędzy, które przepadły w Ginnie Springs.

Tawerna Sparky'ego, ot, zwykła rudera, straszyla przy drodze międzystanowej nr 1, tuż przed wjazdem na Florida Keys. Kiedy Theo ją kupił, była starą stacją benzynową. Najwięcej kosztowała go działka i koncesja na sprzedaż alkoholu, co znaczy, że „przebudowano” ją na bar w taki sam sposób, w jaki z okazji balu maturalnego salę gimnastyczną w ogólniaku Jacka przerobiono na Margaritaville<sup>13</sup>. Kanał serwisowy zlikwidowano, ale drzwi zostały. Był tam długi, drewniany bar i telewizor zawsze nastawiony na wiadomości sportowe ESPN, a o każdej porze nocy i dnia na stole do bilardu stały stosiki ćwierćdolarówek. Piwo podawano tam w puszkach, a puste puszkę miażdżono w prawdziwie warsztatowym stylu, w starym imadle wciąż przymocowanym do stołu roboczego. Niektórzy powiadali, że Theo się tu marnuje. Oczywiście mieli na myśli jego pasję: saksofon.

Właśnie skończył solówkę wartą płyty w wytwórni Blue Note. Grał na starym buescherze 400, którego dostał od swego nauczyciela, dziadka ciotecznego Cyrusa. Cyrus był kiedyś gwiazdorem klubu nocnego w Overtown i na pewno by się ucieszył, że Theo gra na jego instrumencie w swoim własnym barze.

Był to kolejny powód, dla którego Jack nie mógł znieść myśli, że już wkrótce jego przyjaciół straci to wszystko za długi.

Goście - bardziej pijani niż pełni uznania - nagrodzili go burzliwymi oklaskami. Theo odłożył saksofon i usiadł obok Jacka. Dał znak barmanowi, który natychmiast podał im wodę sodową i piwo. Piwo było dla Jacka, woda dla niego. Podczas występu Theo nigdy nie pił alkoholu - tego też nauczył go dziadek Cyrus.

Jack sięgnął po portfel, ale Theo go powstrzymał.

- Ja stawiam. Za twoje nowe życie.

---

<sup>13</sup> Meksykańskie miasteczko z piosenki Jimmy'ego Buffetta.

Stuknęli się szklankami.

- Za nowe życie - mruknął Jack.

- Może by tak więcej entuzjazmu, co? Jak długo zamierzasz usychać z żalu za tą Mią?

- To głupie, wiem.

- Naprawdę mógłbyś jej znowu zaufać?

- Nie mam pojęcia. Zawsze łatwiej jest myśleć, że można było rozwiązać wszystkie problemy i kochać kogoś, gdy tego kogoś już nie ma. Przejdzie mi.

- No jasne. Jesteś młody, jesteś wziętym adwokatem, jesteś prawie tak przystojny jak ja. Powiodło ci się, stary. Masz forsy jak lodu. Świat leży przed tobą otworem.

- Stoi. Świat stoi.

Theo pociągnął łyk wody i zrobił minę.

- Ten to ma parę, co?

Jack postanowił odłożyć tę dyskusję na kiedy indziej.

- Theo, musimy pogadać o tych pieniądzach.

- Nie teraz. Teraz gram.

- Poważnie. Za tydzień Krwawy Bud zgłosi się po dwieście tysięcy dolarów. A my możemy powiedzieć mu tylko, że utknęły gdzieś w Czarcim Uchu.

- Spokojnie, już się tym zająłem.

- Jak to? Tu chodzi o dwieście tysięcy dolarów.

- Już mu je oddałem.

Jak zakrztusił się piwem.

- Skąd wzięłeś tyle kasy?

- Moja sprawa, nic się nie martw.

Jack rozejrzał się po sali. Do baru Theo zawsze ściągała dziwaczna klientela, od motocyklistów poczynając, na biznesmenach kończąc. Na pewno bywali tu również dilerzy narkotyków i spece od prania brudnych pieniędzy.

- Theo, mam nadzieję, że nie zrobiłeś niczego głupiego.

- Staruszk, przecież powiedziałem: przestań o tym myśleć.

- Za późno. Jak mogę nie...

- Dość, wystarczy. Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Wiesz, czego ci trzeba?

- Hmm... Dwustu tysięcy dolarów?

- Nie, luksusowej kurewki.

- Przestań.

- Serio. Powinieneś zrobić coś, co zupełnie do ciebie nie pasuje. Od razu lepiej się

poczujesz. Zawsze szukasz odpowiedniej dziewczyny. Moim zdaniem, stałe związki między kobietą i mężczyzną są mocno przereklamowane. Mówię ci, idź na dziwki. Pomyśl tylko. Bez zobowiązań, to coś w sam raz dla ciebie. Może nawet ożyje w tobie duch przygody. No wiesz: śmiało krocź tam, gdzie wielu kroczyło przed tobą.

- Przestań, nie chcę żadnych dziwek. Poza tym znowu wszystko pochrzaniłeś. Śmiało krocź tam, gdzie nikt nie kroczył przed tobą. Powinno być tak.

- Wierz mi, staruszk. Jeśli chodzi o seks, każdy głupek potrafi kroczyć tam, gdzie nikt nie kroczył przed nim: nie potrzeba do tego żadnej odwagi. - Theo wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Jackowi omal nie pękły bębenki.

- To nie było aż tak śmieszne.

- Nie, nie, śmiesz mnie twoja gęba. Jeśli zaraz nie zrobisz czegoś zwariowanego, bierz snajperkę i włącz na najbliższą wieżę, bo marnie z tobą, brachu, oj marnie.

Wciąż się śmiejąc, Theo wstał i poszedł grać. Jack pociągnął długi łyk piwa i omal się nie zakrztusił, bo kątem oka dostrzegł młodą, ładną kobietę, która usiadła na stołku obok. W dzinsach wyglądała niezwykle pociągająco.

- Henning? Co ty tu robisz?

- Mam się świetnie, dziękuję. Co u Mii?

Jack wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

- Ty nigdy nie rezygnujesz, co? Dać ci palec...

- Tak, tak, a wezmę całą rękę. Jestem straszna.

Jack pokręcił głową. Andie była chodzącym paradoksem, jedną z tych, które potrafiły go rozdrażnić i jednocześnie zaintrygować. Kiedy lekko mrużył oczy, w łagodnym świetle baru widział piękną kobietę. Ale kiedy szeroko je otwierał, siedział przed nim pitbul gotowy odgryźć mu nogę.

- Masz coś z oczami? - spytała.

- Nie, nie. Po prostu... Nieważne. Ale tak serio: co tu robisz?

- Powiedzmy, że dopieszczam szczegóły. Nie, nie przyszedłam cię dręczyć, słowo. Mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

- Nie znoszę tej zabawy, zwłaszcza z FBI. Ale niech ci będzie. Zaczniij od dobrej.

- Nasi pletwonurkowie znaleźli kapsułę z twoimi pieniędzmi. I plecak z dwustu tysiącami dolarów. Utknął na kracie u wejścia do Czarciego Ucha.

Mało brakowało, a Jack spadłby ze stołka.

- To nie jest dobra wiadomość. To jest wiadomość fantastyczna!

- Zaczekaj. Nie znasz jeszcze tej złej.

Jack wziął się w garść.

- Dobra, wal.

- Pieniądze z plecaka są fałszywe.

Jacka trafił szlag i gdyby nie Andie - w końcu, bądź co bądź, agentka FBI - pewnie rozniósłby cały bar.

- Fałszywe? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Tak. Domyślasz się może, skąd się tam wzięły?

Jack robił wszystko, żeby tylko nie spojrzeć na scenę i nie zabić Theo wzrokiem.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Na pewno?

- Absolutnie.

- Tak... absolutnie na pewno.

- Zupełnie.

- No nie, wszystko zepsułeś.

- Zepsułem? Co zepsułem?

- Theo dawał głowę, że dostaniesz szau.

Jack spojrział na scenę. Theo uśmiechnął się szeroko i wesoło mu zasalutował, jakby chciał powiedzieć: mam cię!

- To znaczy, że pieniądze nie są fałszywe?

- Nie. Mówiłeś, że należą do Thea. Dwie godziny temu zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że je znaleźliśmy. To on mnie na to namówił.

- Na ten numer? Cały Theo.

- Tak, powiedział, że jeśli to zrobię, zaprosisz mnie na kolację.

W pierwszej chwili Jack pomyślał, że to tylko kolejny żart, ale jej mina mówiła co innego. Mógłby znaleźć sto wymówek, ale może jednak Theo miał rację. Może rzeczywiście choć raz w życiu powinien zrobić coś zwariowanego, zupełnie do niego niepasującego.

- Na kolację? Czemu nie? Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Theo stawia. A my płacimy kartą.

- Zgoda.

- A więc dokąd pójdziemy?

- Przykro mi, panie mecenasie - odparła z uśmiechem Andie. - To tajemnica.

Jack też się uśmiechnął.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

# Podziękowania

To Wielka Dziesiąta, moja dziesiąta powieść. Parafrazując Roda Stewarta: nie mogę uwierzyć, że robię to tak długo i... ciągle uchodzi mi na sucho.

Książka ta, podobnie jak poprzednie, nie powstałaby bez pomocy i udziału wielu osób. Dopiero teraz przekonałem się ostatecznie, że Carolyn Marino, moja wydawczyni, naprawdę wszystko wie. (Bo czy potrafilibyście roztrząsać niuanse pisemnej gwarancji zwolnienia za kaucją, a zaraz potem, dosłownie na jednym wdechu, powiedzieć mi, od kiedy można kupić w Stanach buty od Prady?) Mój agent Richard Pine jak zwykle służył mi swoją wiedzą i umiejętnościami.

I jak zwykle chciałbym podziękować moim pierwszym czytelnikom, dr Glorii M. Grippando, Judy Russell, Eleanor Rayner i Amy Kovner. Dziękuję również Zarządowi Gospodarki Wodnej Suwannee River za tony informacji na temat nurkowania jaskiniowego i florydzkiej warstwy wodonośnej. Gordon Van Alstyn znowu służył mi pomocą w rozstrzygnięciu kwestii związanych z bronią palną. (Tak, pistolet może wypalić po wyjęciu go z rzeki). Dziękuję również Davidowi McWilliamsowi, który potrafi polecić dosłownie wszystko, od dobrego chardonay poczynając, na podłej knajpie w centrum Atlanty kończąc (to prawdziwy człowiek renesansu).

Dzięki hojnej darowiźnie dla WXEL, południowoflorydzkiej publicznej stacji radiowo-telewizyjnej, Mark i Nancy Gilbertowie załatwili rolę dla swojej córki Dani - w mojej powieści oczywiście. Rola ta nie odzwierciedla prawdziwych talentów Dani, ale mam nadzieję, że ten gościnny występ przypadnie jej do gustu. Cieszę się, że mogliśmy połączyć siły w szlachetnym celu.

Na koniec pragnę zaznaczyć, że pisanie książki w żaden, ale to w żaden sposób nie można porównać z rodzeniem dziecka. Tiff, dzięki, że nie zdzieliłaś mnie po łbie, kiedy śmiałem to zasugerować, w dodatku zupełnie nie w porę. Tak, to prawda: mężczyźni nie mają o tym zielonego pojęcia.